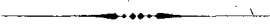


PRZEGLĄD
POWSZECHNY



SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

PRZEGLĄD POWSZECHNY



„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO“.

Ps 143.

ROK XL.

Tom 159.

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1923



KRAKÓW

DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

Z domu zaczadzonych.

(Marjawici w świetle własnych publikacyj).

Sektą marjawicką mało się zajmował w ostatnich latach ogół polski. Wiedziano o niej tyle, że wegetuje w Łodzi i kilkunastu punktach Kongresówki, że utraciła wszelką siłę ekspansji i dla katolicyzmu nie przedstawia większego niebezpieczeństwa. O założycielce sekty, płockiej „mateczce“, opowiadano historie, w których nie wiedziało się co uważać za prawdę, a co za wymysł i legendę. Nikt nie usiłował poznać marjawityzmu od wewnątrz, w jego wierzeniach i praktykach; sam marjawityzm nic nie czynił, by takie poznanie siebie profanom ułatwić. Zamknąwszy się hermetycznie w sobie, odseparowawszy się od wszelkich wpływów katolickich, nawzajem nie usiłował prowadzić szerszej propagandy, jakby stracił wiarę w jej możliwość i skuteczność; nie publikował też prawie nic ze swoich wierzeń i swoich dążeń. Podczas gdy cisnące się w latach ostatnich do kraju sekty zagraniczne, baptyści, badacze Pisma św., metodyści, zasypywali swemi produkcjami literackimi nasze wioski i przedmieścia miast, gdy wpływy protestanckich organizacji w rodzaju Y. M. C. A. usiłowały wkraść się do umysłowości nawet inteligencji polskiej, nasza rodzima herezja zasnęła, zdawało się, w swoim obskurantyzmie, nie mając nic świata do powiedzenia. Przynajmniej długo nie słyszało się o żadnych znaczniejszych publikacjach marjawickich, podobnych do tych, jakie jeszcze w zaraniu sekty się pojawiały.

Rok temu mateczka Kozłowska rozstała się z tym światem i wtedy nieco obudziła się ciekawość ogółu, co stanie

się z jej dziełem; lecz pierwsze miesiące po jej śmierci nie przyniosły nic nowego. Dopiero na wiosnę tego roku dzienniki zaczęły donosić, że w łonie marjawityzmu jest jakieś wrzenie; dwie parafje marjawickie w diecezji podlaskiej powróciły prawie całe na łono Kościoła w ślad za swym proboszczem, ks. Modrzejewskim, który uroczyste wyrzekł się herezji; niebawem złożyli w Płocku wyznanie wiary katolickiej jeden ksiądz-marjawita pochodzenia francuskiego i trzej klerycy (podobno jednak jeden z nich wrócił do marjawityzmu na zaklęcia matki); słyhać o ucieczce z marjawickiego kościółka jeszcze paru innych kapłanów (Krakiewicz, Pągowski). Jako przyczynę tego „exodusu” podawano dziwne praktyki, wprowadzone do pożycia marjawickich ojców z siostrami, a ochrzczone nazwą „małżeństw mistycznych”. Szeroko pisał o tych rzeczach w *Dzienniku Płockim* nawrócony z marjawityzmu Francuz, ks. Verdin.

Powstało stąd większe niż dotąd zaciekawienie obecnym stanem marjawickiej sekty. Czy rewelacje konwertytów są wierne? czy nie zakradła się do nich jakaś przesada? W co właściwie wierzą marjawici, co czczą; jak daleko od katolickiej nauki odeszli, do czego dążą i czego się spodziewają?

Oto pytania, na jakie warto odpowiedzieć w społeczeństwie, w którym ta sekta powstała.

Do sformułowania odpowiedzi na te pytania pomagają sami marjawici, ogłaszając po długim milczeniu parę swoich publikacyj. Takich publikacyj mamy w rękach dwie: jedna pod ciężkim tytułem: „Główne podstawy marjawityzmu, objawione w Apokalipsie i zapowiedziane w dziełach myślicieli i wieszczów narodu polskiego” (str. 238); druga p. t. „Stary katolicki kościół marjawitów” (str. 40). Obie tłóczone w „drukarni biskupa marjawitów” w Płocku, r. 1923, a większa z nich jest całkowicie jego pióra. Te dwie broszury wprowadzają nas nie już za kulisy herezji, ale — pierwsza szczególnie — pod same czaszki odszczepieńców, do ich mózgów, pozwalając dowiedzieć się, czem oni się karmią duchowo i czem żyją.

W co wierzą marjawici?

Broszura mniejsza, będąca właściwie spisem parafii i duchowieństwa marjawickiego, głosi już w swym tytule, że marjawici są „kościołem starokatolickim“. „Staro-katolicki kościół Marjawitów w Polsce — tak czytamy we wstępie rzeczzonej broszury — jest zjednoczony ze staro-katolickimi kościołami Holandji, Niemiec, Austrii, Szwajcarji i z Polskim narodowym kościołem Ameryki północnej, na zasadach Unji Utrechckiej z r. 1889, według których każdy należący do Unji kościołów rządzi się autonomicznie“.

O jakimś połączeniu marjawitów z jansenistowskimi sekciarzami w Holandji i starokatolikami wiedzieliśmy już dawniej. Zbliżenie nastąpiło już we wrześniu 1909 r. na zjeździe starokatolików w Wiedniu przy silnem poparciu rosyjskich protektorów starokatolickiej schizmy, generała Kiriejewa, protojereja Jakszicza, owszem samego metropolity petersburskiego. Na podstawie tego zbliżenia otrzymał 5 października tegoż roku w Utrechcie „minister generalny związku marjawitów“ Kowalski święcenia biskupie z rąk jansenisty Gula, dając tym sposobem początek dzisiejszej „hierarchji“ marjawickiej. W IX „międzynarodowym“ zjeździe starokatolików w r. 1913 brali już udział trzech marjawiccy biskupi: Kowalski, Gołębiowski i Próchniewski, zasiadając obok niezależnego narodowego biskupa Hodura z Ameryki, pod wysokimi auspicjami znowu petersburskiego Najświętszego Synodu, który na ów kongres wysłał urzędowego przedstawiciela p. Łodyżeńskiego, w towarzystwie protojereja Jakszicza i siostry zmarłego generała Kiriejewa, pani Nowikowej. Więc o bliskim fraternizowaniu marjawitów nie tylko z jansenistami i starokatolikami, ale także z Hodurem i nawet rosyjskimi schizmatykami było nam dawniej wiadomo; obecnie dowiadujemy się tylko tego, że unja ze starokatolicyzmem i jansenizmem rozciąga się, przy zawarowaniu sobie „autonomji zarządu“, aż do oficjalnego przyjęcia przez naszych odszczepieńców nazwy „starokatolików“ i że tworzą oni także właściwie jeden kościół z „narodowym“ kościołem Hodura, należącego również do tejże unji utrechckiej, podczas gdy mało kto w Polsce nie sądził, że

marjawici i hodurowcy to dwie nie mające nic wspólnego organizacje schizmatyczne ¹⁾).

Stwierdziwszy przynależność marjawitów do starokatolickiego kościoła, też sama broszura streszcza „główne zasady wiary“ marjawickiej w czterech punktach. „Wiary“ dotyczy właściwie tylko punkt pierwszy: „Staro-katolicki kościół marjawitów uznaje dogmaty Kościoła katolickiego, wyjąwszy prymat i nieomylność papieży, jako niezgodne z Pismem św. i tradycją Kościoła Powszechnego“. Drugi punkt mówi, że biskupi i kapłani marjawiccy są obowiązani prowadzić życie zakonne według I reguły św. Franciszka z Asyżu; trzeci — że nie pobierają żadnej pensji rządowej, ani opłat za posługi religijne, żyjąc wyłącznie z jałmużny; czwarty wreszcie, że liturgia odprawia się w języku narodowym.

Gdyby o „wierze“ marjawitów sądziło się tylko na podstawie tej deklaracji, jużby nasuwały się ciekawe pytania na temat jedności wiary z jansenizmem i starokatolicyzmem, z którymi marjawici tworzą unę kościelną. Jak można bowiem, uznając dogmaty Kościoła katolickiego z wyjątkiem prymatu i nieomylności papieży, pozostawać w jedności wiary z jansenistami, którzy od katolicyzmu różnią się znacznie w dogmatycznej nauce o łasce, a znowu przeciwnie gotowi są przyznać papieżowi jakieś pierwszeństwo w Kościele, mianowicie tak zwany „prymat czci“? Wywnioskować więc chyba trzeba, że „autonomja“, jaką się cieszą poszczególne kościoły w związku utrechckim, rozciąga się, daleko poza formy organizacji i zarządu, aż na samą dziedzinę wiary.

Studjowanie drugiej broszury marjawickiej: „Główne podstawy marjawityzmu objawione w Apokalipsie“ ukazuje nam wiele nowych rzeczy, którymi marjawityzm różni się od swoich siostrzanych organizacyj: jansenistów, starokatolików i hodurowców. A więc spotykamy u naszych marjawitów silnie akcentowany kult Eucharystji, wyrażający się w ustawicznych wystawieniach Najśw. Sakramentu, ado-

¹⁾ Znamienna rzecz, że o tej jedności kościelnej z marjawitami milczy stale krakowski organ hodurowców „Polska odrodzona“, jakby się wstydził takich współwyznawców.

racjach, częstej, owszem codziennej komunji świętej, od którego to kultu marjawityzm oczekuje przemiany świata (słusznie, tylko nie w odszczepieństwie!). Jakże to wszystko dalekie od sprostamentyzowanego kultu u starokatolików, a tem bardziej u jansenistów, którzy wszak swój rozbrat z Kościołem katolickim motywowali między innymi powodami tem, że Kościół pozwalał wiernym — ich zdaniem, zbyt często — przystępować do komunji świętej! Dzisiaj połączyli się w unji z tymi, którzy oskarżali tenże Kościół katolicki, że przeszkadzał im w szerzeniu częstej komunji!

Mniejsza wszakże o to. Nie chodzi nam tu o niekonsekwencje w różnych odłamach „starokatolicyzmu“, lecz o specyficzne nauki marjawitów, o istotę ich herezji.

Istotę nauki marjawickiej, jak ją wyklada arcybiskup Kowalski w swojej książce o Apokalipsie, stanowi pojęcie Kościoła. Mianowicie, na miejsce Kościoła założonego przez Chrystusa, a trwającego dotąd i mającego trwać, według nauki katolickiej, do skończenia świata, marjawityzm oznajmia zapanowanie już teraz zupełnie nowej ekonomji zbawienia, nowego z Bogiem przymierza, słowem nowej epoki i nowego Kościoła. Kościół ten nowy stoi w takim stosunku do Kościoła katolickiego, w jakim ten ostatni stał do Synagogi żydowskiej: wyłania się z niego i zajmuje jego miejsce. Ten nowy Kościół nie jest zapowiadany dopiero na jakąś dalszą przyszłość; nie, on już się zjawił na ziemi, jest nim właśnie marjawityzm. Do tego swojego Kościoła odnosi Kowalski wszystkie biblijne prorocтва, dotyczące już to końca świata, już to nawet wiekuistej szczęśliwości świętych w niebie; w nim widzi urzeczywistnienie obietnicy Chrystusowej o zesłaniu Ducha Świętego.

Prefensja marjawickiego Kościoła w pomysle swoim nie jest nowa. Na te same teksty, brane w podobnem rozumieniu, powoływały się niezliczone sekty w ciągu dwóch tysięcy lat istnienia Kościoła katolickiego: montaniści, donatyści, katarzy, albigensi, różne pietystyczno-rewolucyjne kierunki w protestantyzmie i t. d. Wszystkie one głosiły, że w nich urzeczywistnia się w pełni Królestwo Boże na ziemi, że od nich zaczyna się nowa epoka świata. Wszystkim tym pre-

tensjom historia nieubłagalnie zadawała kłam; czy marjawici pod tym względem będą szczęśliwsi?

Za przykładem owych sekt marjawityzm szuka potwierdzenia swoich mrzonek przede wszystkim w Apokalipsie, owej tajemniczej księdze, której bogactwo obrazów i symboli, kryjące historyczne losy chrystianizmu i zwycięstwo dobra nad złem, daje łatwo okazję do dowolnych wykładów każdemu, kto się tylko usunie z pod kierownictwa nauczającego Kościoła. Ale wykład Kowalskiego na Apokalipsę posiada jedną cechę, której oczywiście nie mogą posiadać komentarze tej księgi, dokonywane gdziekolwiek poza Polską. Widząc spełnienie się proroctw św. Jana w marjawityzmie powstałym w naszym kraju, czyni też Kowalski z Apokalipsy proroctwo dotyczące szczególnie Polski. Widzący z Patmos skreślił w swojej księdze nie co innego, tylko wizję naszej polskiej historii i Polsce przede wszystkim wskazywał wielkie jej powołanie w świecie. I tu, niestety, przychodzą Kowalskiemu w sukurs nasi prawie wszyscy romantycy, mesjaniści i myśliciele, którzy w swoich historjozoficznych dociekaniach podobne Polsce wyznaczali stanowisko w świecie i podobnież do Apokalipsy często zaglądali w celu wyszukania poparcia dla swoich koncepcyj. Jednej rzeczy nie przewidzieli: kto ich pomysły i nadzieje wyeksploatuje na swoją korzyść. Wszyscy oni pragnęli widzieć urzeczywistnienie Królestwa Bożego przez Polskę. W duchu narodu naszego, w jego instytucjach widzieli zarodki odrodzenia świata. Słowacki wprost utożsamiał gdzieś królestwo polskie z królestwem Bożem. Kowalski chwytą ich za słowa. Polska ma być „rzeczpospolitą wszystkich narodów świata i królestwem Bożem wszystkich ludów, do którego kto będzie należał, będzie zbawiony“ (str. 42). Ale Polska stanie się tem zbawieniem narodów tylko przez marjawityzm. „To królestwo Boże — pisze wyraźnie Kowalski — mające powstać na ziemi, ten nowy Kościół, nowe państwo, przepowiedziane w Apokalipsie, zapoczątkowane jest i założone w Polsce przez Polaków i Polki w marjawityzmie“ (str. 153). Marjawici są to „te orły, te Boże, u których skrzydeł duch wisi narodu“, jakie widziała w natchnieniu Konopnicka (str. 37). Tak unaradawiając Apokalipsę, wertuje Kowalski bogatą na-

szą literaturę romantyczno-mesjańską i czyni z niej obszerne wyciągi¹⁾). Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Cieszkowski, Towiański, ba, nawet Konopnicka i poczcuiwy Pol zostali namaszczeni na proroków i prekursorów marjawityzmu. Na te narodowe proroctwa nie powoływali się jeszcze marjawici w latach, kiedy zabiegali o uznanie i protekcję u rządu rosyjskiego. Obecnie w poparciu wykładu Apokalipsy pismami narodowych powag spodziewa się widocznie marjawicki teolog zyskać łatwiejszy posłuch w polskim społeczeństwie. Tem bardziej, że w uznaniu naszych romantyków-mesjanistów posuwa się aż tak daleko, że stawia ich na jednej linii z Biblią, z pismami Ojców Kościoła i raz po raz akcentuje, że zarówno jak prorocy i Apostołowie, byli i oni natchnieni od Boga i przemawiali do Polski jako organa Ducha Świętego.

Jakże więc wygląda rozumienie Apokalipsy w tem oświeceniu pism naszych „natchnionych“ wieszczów, a raczej rozumienie tych ostatnich przez Kowalskiego? Zapowiadali oni nastanie już tu na ziemi w królestwie Bożem, czy też w ludzkości przez Polskę nowej odmienniej epoki epoki sprawiedliwości i miłości powszechnej. U Cieszkowskiego po epoce Ojca (w Starym Zakonie) i epoce Syna (w Kościele) ma nastąpić epoka Ducha Świętego, polegająca na doskonałem uspołecznieniu ludzi na zasadach Chrystusowych. U Krasińskiego jest to nowy Kościół św. Jana, mający zapanować po zawaleniu się kopuły św. Piotra. To wszystko, zdaniem marjawickiego egzegety, dokonywa się już obecnie w marjawityźmie i przez marjawityzm.

A jakąż nową treść przynosi. ze sobą ten nowy Kościół? Według Kowalskiego, dotychczasowy Kościół był Kościołem synostwa Bożego, ale to nie jest jeszcze pełnia zjednoczenia się z Bogiem. Kościół trzeci dopiero ma być Kościołem ludzkości, która wejdzie z Bogiem w stosunek „mistycznego małżeństwa“. Płocki egzegeta

¹⁾ Według zeznań nawróconego ks. Verdina, wertowaniem polskich pisarzy i robieniem z nich wyciągów ad usum mariavitismi ma się zajmować nie sam Kowalski, lecz jego pomocnik Feldman, uważany w sekcie za natchnionego, podobnie jak sam arcybiskup.

stosuje tutaj nawet słowa Biblii: „Opuści człowiek ojca i matkę i przyłączy się do żony swojej, i będą dwoje w jednym ciele“ — ma to oznaczać obowiązek opuszczenia dotychczasowego Kościoła, a przejścia do marjawityzmu. Dla tego nowego Kościoła znalazł Kowalski w Piśmie świętym jeszcze inną nazwę: jest on owem „trzeciem niebem“, które w objawieniu widział Paweł św., którego wszakże sekretu nie godziło się mu jeszcze zdradzić. Pierwszem niebem było „łono Abrahamowe“, a drugim, otworzonym przez mękę Chrystusa, było miejsce świętych dotychczasowych. Teraz kolej na niebo trzecie (str. 193). Tajemnice „trzeciego nieba“ odsłaniać mieli dopiero stopniowo różni mistycy i przepowiadacze przyszłości, do tego nieba tęsknili nasi wieszcz, ale i oni jeszcze go dobrze nie rozumieli. Dopiero marjawitom, a zwłaszcza ich założycielce, „mateczce“ Kozłowskiej udzielona została pełnia rozumienia owej tajemnicy. „Co oni (wieszcz polscy) na początku 19 wieku z natchnienia Ducha Św. zapowiadali, to my teraz, na mocy osobnego danego nam od Boga objawienia, wam jako fakt spełniony oznajmiamy“ („Główne podstawy“ str. 38). Bo — czytamy gdzieindziej — „czego Bóg wieszczom naszym jeszcze nie objawił, a co nam już wiedzieć trzeba, do czegośmy już dorosli, to teraz nam kapłanom marjawitom Bóg objawić raczył... jako apostołom, przepowiedzianym przez tamtych... abyśmy... ziszczali Królestwo Boże na ziemi“ (Tamże str. 20).

Gdy się bliżej wczytamy w wykład Apokalipsy, dokonany przez Kowalskiego, to się przekonamy rzeczywiście, że w stosunku do objawienia udzielonego wieszczom polskim, objawienie marjawickie przedstawia znaczne wzbogacenie treści. Cieszkowskiemu, na przykład, przyszła epoka przedstawiała się tylko jako doskonałe uspołecznienie ludzkości z zaniechaniem modlitwy i wszelkiego kultu religijnego i dogmatów, jako rzeczy w owej epoce niepotrzebnych; otóż objawienie marjawickie, przeciwnie, istotę swego Kościoła, owego „trzeciego nieba“, owego „mistycznego małżeństwa“, zakłada właśnie na kulcie liturgicznym, mianowicie na kulcie Eucharystji i do dogmatów dawnych, jak jeszcze niżej zobaczymy, dodaje nowe. Kult Eucharystji — zresztą i z katolickiego stanowiska słusznie — staje się ośrodkiem religijnego życia

u marjawitów. Na „odczuwaniu“ obecności Jezusa w Eucharystji, a nie na samej tylko wierze, jak według Kowalskiego było dotąd, polega właśnie owa tajemnica „trzeciego nieba“, jaką w zachwyceniu widział św. Paweł, o czym jednak nie wolno mu było jeszcze mówić. Tak mieszkając i udzielając się ludziom, Jezus króluje sam nad światem i wobec tego niepotrzebne są już inne najwyższe władze, mianowicie papieska, co wszakże nie przeszkadza Kowalskiemu odnieść do siebie przepowiednię Słowackiego o „słowiańskim papieżu“.

Wiary w Eucharystję i jej kultu prawdziwego uczą ludzi dopiero marjawici; według zapewnienia Kowalskiego, kult ten był zaniedbywany w Kościele dotychczasowym, bo nawet kongresy eucharystyczne zajmowały się polityką więcej, niż Najśw. Sakramentem, kapłani zaś katolicy całym życiem swoim zdradzali, że w obecność Chrystusa w hostji nie wierzą. Dopiero na widok księży marjawickich, odprawiających mszę św., można odzyskać tę wiarę.

Jakie subiektywne skutki przynosi ludzkości „trzecie niebo“ marjawickie? Tu odkrywamy nowy charakterystyczny punkt nauki marjawickiego biskupa. W marjawityzmie mają znaleźć wierzący odnowienie skażonej przez grzech pierworodny swojej natury i odzyskać pierwotną niewinność. Owszem znajdują coś więcej ponad to, co utracili nasi pierwsi rodzice w raju. Według wykładu Kowalskiego, Bóg stworzył ludzi na „wyobrażenie swoje“, lecz nie wycisnął na nich jeszcze swego „podobieństwa“. „Podobieństwo bowiem Boże, jak to wyjaśnił Pan Jezus mateczce, polegać miało na utwierdzeniu pierwotnego człowieka w łasce, w której nie został on odrazu utwierdzony“ (str. 160). Utwierdzenie jednak w tej łasce osiąga się w marjawickiem „trzeciem niebie“. Stąd, według zapewnienia marjawickiego teologa, dzięki marjawityzmowi zapanują na świecie wszystkie cnoty: pokora, przebaczenie powszechne, bezinteresowność, jakich wzór dają już zresztą kapłani marjawiccy (str. 8); przeobrazi się także małżeństwo, uświęci się pożycie w niem i stanie się ten związek nierozzerwalnym nawet przez śmierć (str. 170); przedewszystkiem ustąpi zmysłowość, poczynszy od kapłanów marjawickich i sióstr, a skoń-

czywszy na wiernych; „w taki to sposób małżonkowie (będą) rządzeni w duszach i ciałach swych przez Ducha Św., który będzie sam rozbudzał w nich żądze serca i zmysłów i sam je przez nich zaspokajał“ (str. 171). Wobec takich zapewnień nie wolno nam już chyba przyganiać owym „małżeństwom mistycznym“ ojczulków marjawickich z siostrami, które w ostatnich miesiącach zyskały tyle rozgłosu dzięki ucieczce z marjawickiego raju kilku „ojców“, widocznie niedość jeszcze utwierdzonych w „podobieństwie“ Bożem. Dla świętych — wszystko święte.

Jeżeli pojedynczy człowiek uzyska takie utwierdzenie w świętości, to nic dziwnego, że musi przemienić się gruntownie zbiorowe życie ludzkości. Istotnie przez marjawityzm odменя się stosunki między narodami, „sprawiedliwi bowiem, odrodzeni i odnowieni na duchu i ciele, utworzą nowy Kościół święty, nowe państwo święte, w którym znajdą miejsce i pokój i dobrobyt wszystkie narody świata. Utworzą jeden lud Chrystusowy, którego królem Chrystus, rządzący przez pomazańca swego (kogo? zapewne „słowińskiego papieża“), a nie przez zasiadającego w zborze złośliwych naśmiewcę (papieża?)... Kościoła tego i państwa prawem — duch ewangelji Chrystusowej... Przez wypełnienie wskazań w Apokalipsie podanych ułożą się między narodami, państwami i wyznania mi bardzo piękne stosunki“ (str. 167)...

Tutaj czytelnik, myślący według praw zwyczajnej logiki, przystaje i pyta ze zdziwieniem: jakże to? więc pomimo zmiany natury ludzkiej, pomimo zjednoczenia się wszystkich narodów i państw w jeden lud Chrystusowy i w jeden nowy Kościół — pozostaną jednak różne wyznania, żyjące ze sobą w takiej miłej zgodzie? więc może pozostanie i katolicyzm obok marjawityzmu, żydostwa, islamu i buddyzmu? Zdziwienie czytelnika wzrasta, gdy czyta na tej samej stronie (167), jak Kowalski prorokuje, iż wszyscy, „którzy się nie odrodzą w myśl wskazań Apokalipsy (a właściwie w myśl Kowalskiego), będą wyeliminowani ze społeczności ludzkiej i będą wrzuceni w jezioro gorejące ogniem i siarką, t. j. utworzą własne swoje państwo i Kościół, a raczej synagogę szafana, w której się będą nienawidzić i mordować aż do

zupełnego wytrucia się morem i wytępienia się mieczem". Nie szukajmy wszakże konsekwencji tam, gdzie przemawia namiętność i fantazja. Raz srożyć się one będą przeciwko wszystkim, co nie chcą uznać marjawityzmu, a zaraz uczynią pokłon w stronę modnego humanitaryzmu, którego ideałem zgodne pożycie wszystkich narodów i wyznań.

Tak komentując Apokalipsę i mesjańskie nadzieje polskich wieszczów, daje marjawicki arcybiskup zarazem tłumaczenie, dlaczego Pan Bóg tylko stopniowo objawiał swoje zamiary względem ludzkości i Polski i dlaczego ludzkość tak długo czekać musiała na spełnienie się jego objawień. Ucieka się tutaj do nowej przerośni, użytej przez samego Chrystusa na oznaczenie królestwa swego, — do godów małżeńskich, jakie Król z przypowieści sprawił Synowi swemu, przerośni powtórzonej w Apokalipsie św. Jana. I tu dopiero dowiemy się arcy-ciekawych rzeczy.

„To trzecie niebo eucharystyczne — pisze Kowalski — nazywane w Ewangelji przez Chrystusa Pana Godami, które król sprawił Synowi swemu, a w Apokalipsie Godami Barankowemi, było dotąd zamknięte dla ludzkości. Dlaczego? Dlatego, że nie było jeszcze na ziemi godnej Chrystusa oblubienicy, Małżonki Barankowej, przez którą ludzkość mogłaby się tak przybliżyć do Chrystusa, żeby się mogła zespolić i zjednoczyć z Nim nierozdzielalnym węzłem miłości już nie oblubieńczej tylko, ale małżeńskej" (str. 201). „Bo jak drugie niebo synostwa Bożego było zamknięte dla ludzi dopóty, dopóki nie przyszła na świat Najśw. Marja Panna... tak też i to trzecie niebo eucharystyczne, Godów małżeńskich,... nie mogło być dla ludzi otwarte, dopóki nie przyszła na świat i nie przygotowała się Ta, którą Bóg wybrał i poświęcił na Oblubienicę i Małżonkę Barankową" (str. 20). Któż to taki, ta Oblubienica i Małżonka Barankowa? Zadaje sobie to pytanie i Kowalski: „Któż z nas albo ze świętych, którzy przed nami byli, mógł sobie przypisać taką doskonałość, żeby mógł być uważany w obliczu nieba i ziemi za godnego takiego związku z Chrystusem?" (str. 202). I zaraz odpowiada: „Ani też żaden z istniejących Kościołów Chry-

stusowych (ile to Kościołów założył Chrystus? *pyt. nasze*) nie jest tą Oblubienicą i Małżonką Barankową... Kościół Chrystusowy nie był Małżonką Barankową, gdyż sam jej przyjścia oczekiwał, jako przyszłej pani i Królowej swojej, bo królewskiej Małżonki Króla królów". Tutaj po licznych zarzutach, uczynionych zarówno Kościołowi, jak i sek-
tom protestanckim, że zaniedbały kult Najśw. Sakramentu, Kowalski wreszcie objawia: „Dzieło to dokonało się w marjawiźmie przez tę, którą Bóg wybrał i przygotował na Oblubienicę i Małżonkę Synowi swemu, którą obłókł w bisiór czysty i świetlny, to jest dał Jej do rozporządzenia wszystkie zasługi świętych i krew męczenników i od tak przygotowanej i czystej przyjął ofiarę, jaką Mu złożyła ze swych cierpień i śmierci dla wyjednania miłosierdzia, za naród polski i za cały świat" (str. 204, 205).— Czy jeszcze nie domyślamy się, kto jest ową „Małżonką Barankową"? Autor wykładu na Apokalipsę dalej przygotowuje nas do ostatecznej rewelacji. „Skoro do usynowienia Bożego ludzkości potrzebną była wielka ofiara Syna Bożego, dokonana na krzyżu, to i do połączenia tejże ludzkości z Bogiem węzłem nierozzerwalnym miłości małżeńskiej niezbędną jest ofiara jakiejś ludzkiej istoty, bezwzględnie czystej i świętej, podobnej w czystości i świętości samemu Chrystusowi Panu, któraby godną była zjednoczyć się z tą niepokalaną Hostją-Barankiem najściślejszemi związkami ofiarnej swej miłości i stosownie do wyroków Pisma św.: „i będą dwoje w jednym ciele", spełnić z tą Hostją jedną zadośćczynną ofiarę" (str. 205). Wreszcie po takim uzasadnieniu *a priori*, które sam nazywa „ratio theologica", oznajmia nam Kowalski: „Jakoż istotnie, w r. 1893, d. 2 sierpnia, Pan Jezus objawił Mateczce naszej, w jaki sposób chce po raz drugi zbawić świat, ofiarując mu miłosierdzie swoje przez ręce mateczki" (str. 207).

Darujemy czytelnikom opisy i streszczenia różnych rozmów między Panem Jezusem a mateczką, mianych w Płocku, Rzymie i gdzieindziej, — spieszymy do konkluzji marjawickiego arcybiskupa: „Stąd widzimy, że w ręce naszej Naj-

droższej Mateczki złożył Pan Jezus nie tylko cześć Przenajświętszego Sakramentu, jako ostatni ratunek dla ginącego w występkach świata, ale dał jej zwycięstwo i moc nad duchem nieczystym... w końcu wszelkie miłosierdzie nad ludźmi i wymierzenie im sprawiedliwości złożył w jej ręce" (str. 211). A więc to nie Kościół odkupiony krwią Baranka, ale „mateczkę” Kozłowską widział św. Jan w postaci niewiasty obleczonej w słońce, oblubienicy i małżonki Barankowej? Tak! Ja, i żeby świat nie wątpił o tem, zapewnia nas dalej Kowalski, że „prawdziwość tego miłosierdzia, danego światu we czci Przen. Sakramentu przez ręce i ofiarę błagalną naszej mateczki, stwierdza Duch Święty, przez uprzedzające je w Kościele proroctwa Świętych Pańskich i wielkich wieszczów polskich" (str. 211). I tu następują „natchnione Duchem Św.” dowody ze św. Hildegardy, ze Słowackiego, wreszcie z Konopnickiej.

Z „proroctwa” autorki „Pana Balcera w Brazylii” warto przytoczyć przynajmniej najcharakterystyczniejsze wyrażenia. Siedząc kiedyś na „Jungfrau”, taką miała wizję:

.....
Grzmi po szczytach muzyka,
Już Pan Młody przecyka,
Już śle jutrznie różane
po słoweczko żądane.

Kiedyż będzie, kiedyż będzie Panna Młoda gotowa?

Długo trzeba było czekać na Pannę Młodą. Są już drużki, Pan Młody przybrał się w odświętne szaty i wysłał dwie rzeki na zwiady, kiedy będzie gotowa Panna Młoda, upływają wszakże całe wieki, świat cały niecierpliwie oczekuje tych zaślubin, tymczasem

Panna Młoda się chmurzy,
We mgłach lico zanurzy...
— Jeszcze nie czas, nie chwila...

.....
Kiedyż ta chwila miała nastąpić? i o czyich to godach mowa? Nikt dotąd nie rozumiał wiersza Konopnickiej; może ktoś sądził, że chciała, swoim zwyczajem, skojarzyć „Jungfrau” z jakąś inną górą męskiego rodzaju; wszak „Mnich” czekał w pobliżu, by ślubu udzielić... Zakończenie wiersza

jednak wskazuje, że mamy tu do czynienia z „prorocstwem”; zapowiedziała w niem poetka, ni mniej ni więcej, tylko „czas wielkich godów mateczki”, chwilę „otworzenia nam przez jej mękę owego trzeciego nieba”.

.
 Jak od ładu do ładu
 Róg otrąbi dzień sądu,
 Jak rozpękną wierzeje,
 Jak w przepaściach rozdnieje,
 Jak powstaną doliny,
 Jak się zniży wirch siny,
 Jak grom sądny wypali,
 Jak pół świata rozwali,

Wtedy będzie, wtedy będzie Panna Młoda gotowa.

Panną Młodą jest mateczka Kozłowska — Panem Młodym — domyśli się czytelnik — jest Pan Jezus. „Jakoż istotnie — dopowiada Kowalski — kiedy grom wojny wszechświatowej pół świata rozwalił, przygotowała się ta, którą Bóg wybrał, aby przez jej ręce i przez jej ofiarę wielkie miłosierdzie świata podarował” (str. 219). Dowiadujemy się też zaraz, że podczas najazdu bolszewickiego na Polskę, założycielka marjawityzmu ofiarowała swoje życie za „klasztór, za miasto i kraj”, że dla jej ofiary spełnił się on cud Wisły, „którego przyczyny wielu napróżno szukało, nie znając prawdy”, że wreszcie dla jej zasług zawarty został traktat ryski i nastał czas, obiecany mateczce przez „Pana Jezusa” w słowach: „ten jest wiek pokoju, miłosierdzia i czci Przen. Sakramentu” (str. 219). Po niedługim czasie dokonała się ofiara mateczki, kiedy po „niewypowiedzianych cierpieniach”, oddała Bogu ducha swego 23 sierpnia 1922.

Oto najważniejszy oryginalny dogmat marjawickiej sekty: zbawienie świata doczesne i duchowne przez mateczkę Kozłowską, oblubienicę i małżonkę Barankową!

Dogmat to nie po śmierci dopiero „mateczki” skryształizowany. Kiedy w zaraniu odszczepieństwa marjawickiego poczęto im zarzucać, że Kozłowską stawiają na równi z Najśw. Panną, że w jej ręku składają miłosierdzie dla całego świata, że bez jej pomocy i pośrednictwa nikt miłosierdzia nie dostąpi etc., wielu katolików (z początku i ja do ich liczby należa-

łem) nie chciało wierzyć, by ludzie, bądź co bądź z jakąś inteligencją, owszem z dyplomami teologicznymi, mogli dojść do tego stopnia aberracji umysłowej, by coś podobnego twierdzić. Wątpliwości ustąpiły, kiedy ogłoszono w Płocku ze strony katolickiej w r. 1909 w broszurze „Marjawici i ich Dzieło Miłosierdzia“ fotograficzne *facsimile* takiego wyznania wiary, podpisanego przez trzech marjawickich ojców, ale i wtedy jeszcze chciało się tłumaczyć, że to może wytwór chorej wyobraźni kilku fanatycznych czcicieli mateczki, za który jeszcze nie odpowiada cały marjawityzm. Obecny wykład nauki marjawickiej („główne podstawy marjawityzmu“), najbardziej autentyczny, bo dokonany przez najwyższego jego zwierzchnika, nie tylko potwierdza, ale bardziej jeszcze przejawia dawne bluźnierstwa. „Mateczkę“ nie już stawia na jednej linii z Najśw. Panną, ale wywyższa ją nad nią o tyle, o ile „trzecie niebo“ marjawickie wyższem ma być niż dotychczasowy „drugi Kościół“. Owszem stawia płocką awanturnicę narówni z Chrystusem samym, nazywając ją wyłączną Jego oblubienicą i małżonką. Czy po tem wszystkim będziemy mieli jaką trudność uwierzyć rewelacjom ks. Verdina, że według dalszych wykładów Kowalskiego, Kozłowska po śmierci jest przytomną razem z Chrystusem w monstrancji i że dlatego nie przy jej grobie modlić się do niej należy, ale adorując Najśw. Sakrament?

*

*

*

Znamy już całą naukę naszej rodzimej herezji. Powracamy do porzuconego wyżej pytania, w jakim stosunku stoją do marjawityzmu ich starokatolicy i hodurowscy sojusznicy. Czy bredzenia o „trzeciem niebie“, o „utwierdzeniu w łasce i świętości“ jego obywateli-marjawitów, a zwłaszcza o stanowisku „mateczki“ w „dziele miłosierdzia“ dzielają ci, co z marjawitami pozostają w jedności kościelnej: janseniści, starokatolicy niemieccy i szwajcarscy, nasi hodurowcy? Jeśli nie, to czem wytłumaczyć, że marjawici połączyli się z nimi, chociaż oderwali się od Kościoła katolickiego dlatego właśnie, że papież nie uznał powołania i roli Kozłowskiej? Jeżeli zaś autonomja wchodzących w skład unji utrechckiej

„Kościołów“ idzie aż tak daleko, że mogą w niej być cierpiane takie różnice wierzeń, jakie są między naszym marjawityzmem a znanym nam dotąd jansenizmem czy też starokatolicyzmem i aż takie brednie, to co właściwie łączy te sekty w jeden związek?

I tu dotykamy sekretu wspólnego wszystkim wrogom Chrystusowego Kościoła. Wszystkich ich łączy nie co innego, tylko wspólna nienawiść do Kościoła katolickiego, a zwłaszcza do jego widomej głowy, papieża, a zarazem jakaś głęboka tęsknota, jakaś nostalgia za utraconą katolickością. Poczucie, że Kościół Chrystusowy powinien być jeden i powszechny, świadomość, że się do tego Kościoła nie należy, budzi w głębi dusz odszczepieńczych tę nostalgię i pcha do szukania jakiegoś surogatu katolickości. Stąd też widzimy wszędzie po kościołach schizmatyckich usiłowania nawiązania jakiejś jedności kościelnej z kimkolwiek, byleby poza Stolicą rzymską. Tem się tłumaczą owe próby, jakie podejmował tyle razy protestantyzm, wejścia w porozumienie z Kościołem wschodnim, tem — nowe usiłowania „interkomunji“ anglikanów z Grekami i Rosjanami; z tej potrzeby oparcia się o jakąś większą całość powstała także spółka naszych marjawitów i hodurowców ze starokatolikami i jansenistami.

Z samej broszury Kowalskiego widać, że marjawici, poćpieni przez papieża, czuli się „odciętymi od Kościoła“; matczka „cierpiała bardzo z tego powodu“ i modliła się o zjednoczenie (str. 232). I w pierwszych czasach marjawityzmu nie napotykalmy ani śladu „objawienia“, aby mieli szukać jedności kościelnej w Utrechcie lub Szwajcarji; zdaje się, że w tym kierunku pchnęli marjawitów dopiero rosyjscy sympatycy starokatolicyzmu, z którymi się w Petersburgu zaprzyjaźnili. Kiedy zostali przyjęci do tego kościółka (liczącego na całym świecie daleko mniej wiernych, niż mieli marjawici swoich zwolenników), może uczuli jakąś ulgę, ulegając iluzji powrotu do jakiejś powszechności. Już list „pasterski“, jaki biskup Kowalski ogłosił zaraz po swojej konsekracji, z radością zaznaczał, że przez zjednoczenie z Kościołami starokatolickimi ujawnił się wobec świata apostolski i katolicki charakter marjawityzmu. Czyż nie tem samem złudzeniem tchnie pompacyjne stwierdzenie świeżej publikacji marjawickiej,

że Kościół marjawitów jest zjednoczony ze staro-katolickimi Kościołami Holandji, Niemiec, Austrii, Szwajcarii i Ameryki Północnej?

Ta iluzja zmusza rozbieżne elementa unji utrechckiej do zamykania oczu nawet na tak daleko idące różnice między poszczególnymi członkami unji w poglądach i wierzeniach, jakie powyżej zaznaczyliśmy. Każę raczej zwrócić główną uwagę na to, w czym praktycznie spotkać się mogą. Otóż jedyną żywą wspólną akcją rozwinąć mogą w zwalczaniu Kościoła katolickiego i papieża. Znaną jest nienawiść do papieństwa i katolicyzmu ze strony jansenistów, starokatolików i naszych amerykańskich hodurowców. Nie ustępują jej w niczem i marjawici. Już w r. 1909 pisał Kowalski: „My kapłani marjawici uważamy sobie za najświętszy obowiązek zwalczać hierarchję katolicką” (Komunikat Ministra generalnego Związku Marjawitów). „Główne podstawy marjawityzmu”, świeżo ogłoszone przez tegoż autora, niemal połowę swej objętości poświęcają wylewaniu żółci na papieństwo. Oczywiście i tu najwyższą powagą są „objawienia”, udzielone Kozłowskiej, według których hierarchja katolicka składa się z samych grzeszników, zbrodniarzy, papieństwo to wszeźtecznica babilońska, papież to syn zatracenia, który usiadł na miejscu Boga. Swoją drogą w pierwszych objawieniach „Jezus” odsyłał „mateczkę” do tego „syna zatracenia” po aprobatę jej objawień i jej „dzieła miłosierdzia” i dopiero po odrzuceniu tych pretensyj przez Rzym nagle zmienił się tenor objawień o papieństwie. Zresztą poco tu objawień, skoro to wszystko, co „mateczka” dowiedziała się o Rzymie i o papieżu, znajdziemy już u Lutra, owszem u starszych jeszcze heretyków sięgając aż w pierwsze wieki istnienia chrześcijaństwa? Podobnież i cytaty, jakie Kowalski przytoczył z historii Kościoła, z dzieł Ojców przeciwko „uzurpacjom” papieństwa były znane dawno; pełne ich *repertorium* ułożyli przeciwnicy nieomylności papieskiej w epoce watykańskiego soboru. Teologja i apologetyka zna je wszystkie i wszystkie umie wyjaśnić bez jakiegokolwiek ujmę dla boskiej instytucji papieństwa. Katolickie odpowiedzi na zarzuty i rozwiązanie trudności musi znać i Kowalski ze swych studjów teologicznych w seminarjum i akademji petersburskiej; jeśli więc

w swej książce o nich milczy, to jest to tylko nielojalność z jego strony wobec prawdy, którą jedynie ślepą i namiętą nienawiścią psychologicznie wytłumaczyć można. Jedną tylko nową podsunął Kowalski kolubrynę pod twierdząc papieżstwa, a mianowicie na papieża, który marjawityzm potępił, zwałił winę za wybuch wojny wszechświatowej. Oznajmia szukającym przyczyny wojny, że na Kongresie eucharystycznym w Wiedniu 1912 r. „rzymscy dostojnicy kościelni, wysłani przez Piusa X, wraz z naszymi Jezuitami, zdecydowali wydanie przez Austrię wojny schizmatycznej Rosji dla pokonania i zniszczenia najniebezpieczniejszych wrogów rzymskiego Kościoła. Tym sposobem papież ten, zamiast pobudzić Kościół do czci Przen. Sakramentu, rozniecił w nim pożar wszechświatowej wojny, usprawiedliwiając przez to przydomek „ignis ardens“... (str. 204). Czytelnik może się przekonać dowodnie, że historjiozofja marjawicka warta jest ich egzegezy i teologii. Nic dziwnego: rodzą się one w tych samych głowach, zaczadzonych ślepą wiarą w „mateczkę“, a nienawiścią do Kościoła katolickiego.

Marjawityzm wybiera się na duchowy podbój świata. Jest on, według wyznania samego Kowalskiego, jeszcze tylko ziarnem gorczycznem, ale rozrośnie się w drzewo, obejmujące świat cały.

Czy nadzieje nie zbyt wygórowane? Jakież szanse widzi Kowalski powodzenia sekty, na czele której stoi?

Zdaje się, że optymizm marjawickiego herezjarchy jest dziełem tej samej chorej wyobraźni, co i jego teologia. Nie usprawiedliwia go wcale ani dotychczasowy „rozwój“ ani obecny stan marjawityzmu. W początkach sekta liczyła około 40 księży odstępców, dziś pomimo wyświęcenia za ten czas dziesięciu nowych „ojców“, liczy ich już tylko 32-ch, łącznie już z czterema biskupami i dwoma Francuzami, którzy zaprowadzają kult mateczki nad Sekwaną i Loirą. Liczba zwolenników marjawityzmu z 200 tysięcy, jaką chępli się sekciarze w początku, zmalała do 100.898 dusz, jak obecnie podaje ich własna statystyka. Mimo wszystko wszakże Kowalski jest dobrej myśli co do zwycięstwa swego i mateczki dzieła. Świat katolicki stanie się marjawickim przez Polskę. Dlatego, kończąc swój wykład Apokalipsy, wzywa wszystkich obywateli narodu

polskiego do praktycznego czynu w tym kierunku. Program streszcza (na str. 233 i 234) w trzech punktach: „porzucić papieństwo“, „przyjąć wiarę i cześć Przen. Sakramentu“, „usunąć wreszcie z urzędu kapłańskiego tych duchownych, którzy prowadzą życie niemoralne i służą za pieniądze, a przyjmując i słuchać tych tylko, którzy życiem swoim i czcżą dla Boskiej Eucharystji dają o sobie świadectwo, że są uczniami Chrystusowymi“. Narazie, dopóki „dobrych“ kapłanów jest za mało, arcybiskup Kowalski dyspensuje katolików od obowiązku spowiedzi, zapewniając, że w tych okolicznościach wystarczy im do przyjmowania komunji sam żal za grzechy (str. 237). Znamy już te wołania. Już od r. 1906, oczywiście na podstawie „objawień“ mateczki, ogłaszali marjawici bliską chwilę, kiedy lud „kołami“ będzie pędził z plebanij i kościołów „niegodnych“ kapłanów; i lud obałamuczony w wielu miejscach zrozumiał, że trzeba dopomóc do urzeczywistnienia się tego „prorocтва“ mateczki. Obecnie słyszymy nawoływania analogiczne do wojny religijnej, już nawet nie w formie prorocтва, ale — programu.

Usunięcie papieństwa, to znaczy wojna z Kościołem katolickim; co się zaś kryje pod usunięciem „niemoralnych“ i „sprzedajnych“ księży, to chyba jest jasne w świetle komentarzy marjawickich, według których prawie całe duchowieństwo katolickie wraz z biskupami opanowane zostało przez „siedmiu czartów“. Narazie żąda się przynajmniej odsunięcia się ludu od nich, choćby ojczulków marjawickich do obsługi prozelitów zabrakło...

W urzeczywistnieniu marjawityzmu upatruje Kowalski główne, owszem jedyne historyczne posłannictwo Polski w świecie; za odrzucenie tego posłannictwa grozi naszemu narodowi losem „synagogi żydowskiej i narodu żydowskiego, bo bicz gniewu Bożego już się podnosi w Rosji przeciwko naszemu Narodowi“ (str. 236). Nie za co innego, tylko za niedość gorliwe popieranie marjawityzmu runął rząd rosyjski, za zamknięcie kościołów marjawickich w swojej okupacji runęła Austrija. „Runie też każde państwo i rząd, choćby to był nawet nasz polski, jeśliby się ośmielił wystąpić wrogo przeciwko temu Dziełu Bożemu, założonemu od Boga dla dobra naszego narodu i całej ludzkości“ (str. 236). Tak grzmi

nowy Eljasz, za jakiego się Kowalski uważa. Czy już zapomniał, że po ryskim traktacie nastał czas pokoju, zapowiedziany w objawieniu „mateczce“?

Przewidujemy, że rząd polski nie ośmieli się wystąpić przeciwko marjawityzmowi, — nie z bojaźni zapowiedzianej kary Bożej, ale z obawy, by nie uchodzić, broń Boże, za nietolerancyjny. Polska tolerancja, otwierająca naoścież wrota dla wszelkiej sekciarskiej propagandy, zapewne otoczy protekcją także „trzecie marjawickie niebo“. Wszak w spisie dobroczynnych instytucyj, otrzymujących zasiłki ze skarbu, czytaliśmy i instytucje marjawickie, a więc instytucje, wychowujące działwę na czcicieli „małżonki Barankowej“.

Inna rzecz czy pójdzie za głosem „słowiańskiego papieża“ naród polski. Godzi się wątpić. Oprócz początkowo uwiedzionych, z których wielu już do Kościoła powróciło, nie poszedł nasz lud ani nasza inteligencja pod płaszc „mateczki“, kiedy starano się zwabić ją tam polską mszą. Dziś Kowalski uderza jeszcze mocniej w strunę patryjotyzmu. Przedstawia swą sektę jako dzieło prawdziwie „narodowe“, przewidziane i przepowiedziane przez naszych wieszczów i myślicieli. Podstęp chytry, którego mało kto mógł się spodziewać po tych, co jeszcze dziesięć lat temu odżegnywali się od patryjotyzmu polskiego wobec petersburskiego synodu, obiecując stać się pomostem dla zjednoczenia Polaków z Rosją! Chociażby nasze społeczeństwo zapomniało o tej przeszłości marjawickiej, chociażby „słowiański papież“, który już uznał boskie natchnienie Towiańskich i Cieszkowskich, kanonizował jeszcze wszystkich naszych pisarzy i patryjotów, to i tak weźmie górę w społeczeństwie zdrowy rozsądek, który z pogardą odwróci się od tych zalecanek marjawityzmu. Zdrowy rozsądek nie da się zaprowadzić do bóżnicy zaczadzonych. Nie uklęknie przed Najśw. Sakramentem, w którym każą mu obok Chrystusa adorować „mateczkę“ Kozłowską.

Ks. Jan Urban.

Prorocstwo Izajasza o Emmanuelu. (R. VII — XII)

— — —

Oddawna już przyjęto wśród biblistów nazywać rr. VII — XII w księdze Izajasza proroka „Księgą o Emmanuelu“. Wprawdzie w rozdziałach tych Emmanuel nie jest głównym i wyłącznym przedmiotem, — oprócz zapowiedzi o nim prorok mówił jeszcze o innych sprawach, których okazją była wojna syro-efraimska i jej następstwa, — jednakże ponieważ Emmanuel występuje w nich jako najważniejsza osoba i wszystko prawie obraca się naokoło Niego, a przytem jest On przedstawiony w kilku ustępach, jako obdarzony nadzwyczajnymi przymiotami charakteru i spełniający wielką rolę zbawcy, słusznie przeto rozdziały te nazwano „Księgą o Emmanuelu“.

Księga ta, tj. rr. VII — XII, nie jest dziełem jednolitem. Nie tylko składa się ona z kilku przemówień proroka, nie związanych z sobą ściśle i logicznie, ale same przemówienia pochodzą z różnych czasów: jedne prorok wypowiedział za panowania króla Achaza (736 — 721 r.), inne były wygłoszone za jego następcy — Ezechjasza (721 — 693), a r. XII, zdaje się, był napisany tylko i dodany dopiero po ułożeniu pierwszej księgi prorocstw (rr. I—XII). Osoba Emmanuela była ogniwem, które połączyło te przemówienia w jedną całość.

O Emmanuelu prorok mówi w tej księdze kilkakrotnie: w VII, 14—16 mówi o Jego narodzeniu i nazwie, którą Mu nada matka, a następnie o Jego dzieciństwie i warunkach życia; w VIII, 8—10 wymienia tylko imię Emmanuela, ale zaznacza, że ziemia (dom. Palestyna) jest Jego własnością; w VIII, 23—IX, 6 opisuje Jego zbawczą działalność, wyraża

radość z powodu narodzin Dzieciątka, któremu przypisuje nadzwyczajne przymioty i zapowiada, że zasiądzie na stolicy Dawidowej; wreszcie w XI, 1—10, porównując to Dziecię do la-torośli, zapowiada, że powstanie z korzenia Jessego, tj. narodzi się z rodu Jessego, a następnie mówi o Jego przymiotach duchownych i moralnych.

Jak widzimy, trzy głównie ustępy (wzmianki imienia nie liczymy) są w księdze poświęcone osobie Emmanuela. Stąd nazywają je niektórzy bibliści trylogią *mesjańską*. Zupewnie słusznie, gdyż jak się przekonamy niżej, mowa w nich o Mesjaszu. Ustępy te nie stanowią oddzielnej całości, którą możnaby wydzielić z toku opowiadania bez naruszenia harmonji myśli, są one z kontekstem ściśle związane i jakby wplecione, gdyż prorok wypowiedział je przy okazji innych i różnych wydarzeń historycznych, a nie specjalnie. Można jednak rozpatrywać je jako całość, tj. jako jeden obraz przyszłego Emmanuela, gdyż następne zapowiedzi uzupełniają i rozwijają to, co przedtem było w krótkich słowach i ogólnie powiedziane.

Tutaj rozpatrzymy każdy ustęp oddzielnie, uwzględniając przytem tło i warunki historyczne, w jakich były wypowiedziane.

I. Narodzenie Emmanuela (VII, 14—16).

Już przed wstąpieniem na tron Achaza króla judzkiego utworzyła się przeciwko Assyrii koalicja państw zachodnio-syryjskich. Achaz nie chciał należeć do niej, to też Rezyn, król syryjski i Facee, król izraelski postanowili go usunąć z tronu i wprowadzić niejakiego syna Tabeela, swego zwoleńnika. Na wieść, że wojska syryjskie zbliżają się do Jeruzolimy, zadrżało serce Achaza i serce ludu jego, jak drżą drzewa leśne od wiatru (Iz. VII, 2). Aby uspokoić i dodać ducha królowi, Izajasz z rozkazu Jahwy udał się do króla, doglądającego prawdopodobnie robót przy fortyfikacji miasta.

Prorok wziął z sobą syna swego, którego imię „Szear-Jazub“ (co znaczy „resztką powróci“, lub „nawróci się“) miało zapowiadać symbolicznie przyszłe nieszczęścia i powrót lub nawrócenie się ludu.

Izajasz usiłował przekonać Achaza, że zamiary królów

spełzną na niczem, byle tylko on wierzył i ufał w opiekę Jahwy. Ale Achaz nie dowierzał zapowiedzi proroka. Zerwawszy z Jahwą i służąc bałwanom, nie mógł on spodziewać się pomocy od Jahwy. Wówczas Izajasz, aby go upewnić, że zapowiedzi swe wygłosił z polecenia Bożego, obiecuje uczynić mu znak nadzwyczajny, tj. cud „w głębokość Szeolu albo wysoko na wyżynie“. Ale Achaz nie chce znaku, rzekomo, aby nie kusić Boga, a w istocie rzeczy dla swego niedowiarstwa. Zamiast ufać Jahwie, on raczej woli prosić o pomoc króla asyryjskiego Teglatfalasara. Izajasz musiał wiedzieć o postanowieniu królewskim i bardzo się na to oburzał, i dlatego, zwracając się do wszystkich członków rodziny królewskiej, wyrzuca im niewiarę, a w słowach uroczystych powiada, że Jahwe sam da im znak, choć oni tego sobie nie życzą. 13. *„Słuchajcie więc, domu Dawidowy! Małoż wam męczyć ludzi, że chcecie też męczyć Boga mego? 14. Przeto Pan sam da wam znak: Oto Panna poczyrna i rodzi syna, i nazwie imię jego Emmanuel. 15. Śmietaną i miód spożywać będzie, ażby potrafił odrzucać zło i wybierać dobro. 16. Zanim bowiem dziecię się nauczy zło odrzucać i wybierać dobro, opuszczona będzie ziemia, której dwu królów teraz się lęka. 17. Przywiedzie Jahwe na ciebie i na lud twój i na dom ojca twego dni, jakich nie było od dnia oderwania się Efraim od Judy“.*

Przytoczone słowa proroka są plastycznym rozwinięciem myśli, podanej poprzednio VII, 7. 9, „to nie przyjdzie i nie będzie... jeśli wiary dać nie chcecie, utrzymać się nie możecie“.

Prorok zapowiadał w nich dwie rzeczy. Najpierw, uspokajał i upewniał Achaza, że zamiary królów izraelskiego i syryjskiego spełzną na niczem, a przeto on sam, jak również cały dom Dawidowy będzie ocalony. Bóg bowiem jest wierny w swoich obietnicach i, raz zapowiedziawszy wieczne jego istnienie (II. Sam. VII. 12—16), nie dopuści, aby ród Dawidowy, z którego Mesjasz ma pochodzić, upadł i całkowicie zagać. Jednakże, ponieważ Achaz przyjął to zapewnienie proroka z niedowierzaniem, zasłużył on na karę. Wprawdzie teraz ziemia będzie uwolniona od nieprzyjaciół i Achaz ujdzie kary, ale przyjdzie czas, że kara Boża

wypełni się na domu Dawidowym, ród upadnie, wyginą wszyscy. Jakże wówczas wypełni się obietnica Boża o Mesjaszu? kto będzie ojcem przyszłego Mesjasza? Prorok odpowiada: Mesjasz nie będzie miał ojca wśród ludzi, będzie on synem Panny. W widzeniu on ją widzi i woła: „Oto panna poczyrna i rodzi syna“.

Słowa Izajasza wszyscy katoliccy egzegeci, a również wielu protestanckich dawniej i dzisiaj rozumieją i tłumaczą w znaczeniu literalnem o przyszłym Mesjaszu i Jego Matce. Natomiast egzegeci radykalni, racjonalistyczni, zaprzeczający porządku nadprzyrodzonego, odmawiają słowom proroka charakteru mesjańskiego, tłumaczą je rozmaicie, widzą w panie rodzącej i Emmanuelu różne osoby, byle tylko nie Mesjasza i Jego Matkę.

A. Osoba Emmanuela.

1) Według świadectwa św. Hieronima („Hebraei hoc de Ezechia filio Achaz prophetari arbitrantur“; in. h. l.), jak również św. Justyna (c. Tryph. n. 66. 68. 71. 77) — Żydzi w pierwszych wiekach tłumaczyli słowa Izajasza o Ezechjaszu. W nowszych czasach Maspero (Hist. anc. del'Orient III, 184) podobnie utrzymywał. Takie tłumaczenie wydawało się im dopuszczalnem, albowiem Ezechjasz był królem z rodu Dawidowego, gdy zaś wstąpił na tron po ojcu, doświadczał skutków zapowiedzianego najścia Assyryjczyków pod Sennacherybem, ale ponieważ był królem pobożnym, zasłużył, że cudownie został ocalony. Przytem w tekście greckim VII, 14, jest *kalasejs* — ty nazwiesz, tj. ty, Achazie, gdyż prorok do niego przemawiał.

Tłumaczenie to należy uznać za błędne. Ezechjasz nie mógł być zapowiedzianym Emmanuelem. a) Pomijam dawniejszy argument chronologiczny, który już św. Hieronim przytaczał, że Ezechjasz miał już dziewięć lat, gdy Izajasz te słowa wypowiedział. Argument ten byłby decydujący, gdyby chronologia tych czasów była pewna, tj. gdyby daty wstąpienia na tron Achaza i Ezechjasza były pewne. Wskazówki chronologiczne, które podaje IV Król. XVI, 1; XVIII, 9. 10. 13 — zawierają pewne sprzeczności, a i z dokumentami assyryjskimi trudno je pogodzić. Przyjmując jednak

najpóźniejszą datę wstąpienia na tron Ezechjasza 716 r., musiał się on narodzić w 741 r. (25 lat miał, gdy wstąpił na tron), a więc dziewięć lat przed zapowiedzią. Prorok więc nie mógł zapowiadać jego narodzenia. b) Ponadto, narodzenie Ezechjasza nie było wypadkiem nadzwyczajnym ani też w życiu swoim nie okazał on nic nadzwyczajnego; nie tylko ani jeden szczegół z zapowiedzi proroka o Emmanuelu nie wypełnił się na jego osobie, ale przeciwnie, wiele jest takich, które były w jawnej sprzeczności z niemi. Np. podczas oblężenia Jerozolimy przez wojska Sennacheryba zamiast być zbawcą dla Izraela, on sam prosił Boga o wybawienie dla siebie. Nie był on monarchą przedziwnym, radnym. Czy można powiedzieć, że był Bogiem mocnym, ojcem wieczności etc. (Iz. IX, 5)?... Talmud (Sanhedryn 94a) naucza, że Bóg chciał uczynić Mesjasza z Ezechjasza, ale nie okazał się on tego godnym. Jest to świadectwem, że uznawano wśród Żydów wielką różnicę między Ezechjaszem i ideałem zapowiedzianego Emmanuela. c) Zresztą, gdyby Izajasz miał na myśli Ezechjasza, dlaczego w takim razie nazywał on matkę jego a żonę Achaza *Alma*, panna? Nazwa ta, zobaczmy niżej, oznacza pannę w wieku dojrzałym (*nubilis*), nie mogła się ona stosować do mężatki. Dlaczego Izajasz, mówiąc do Achaza, nie powiedział wprost: królowa lub żona twoja? Te nazwy byłyby właściwe, — tamta nie była odpowiednia. Nie mogła też być *Alma*, panną żadna z żon drugorzędnych Achaza, gdyż Emmanuel miał zasiąść na tronie Dawidowym (IX, 6). Słowa proroka „oto panna poczyrna i rodzi syna” wskazują na wypadek nadzwyczajny, zapowiadają tajemnicę w poczęciu i narodzeniu Emmanuela, — nie mogły przeto stę stosować do poczęcia i narodzenia Ezechjasza.

2) Św. Hieronim mówił jeszcze „quidam de nostris Isaiam prophetam duos filios habuisse contendit, Jasub et Emmanuel, et Emmanuel de prophetissa uxore ejus generatum in typum Domini Salvatoris”. Tłumaczenie takie miało zwolenników wśród Żydów w wiekach średnich (Aben-Ezra, Jarchi), a w nowszych czasach wśród protestantów bronili go Gesenius, Hitzig, Riehm, Meinhold. Wśród katolickich teologów i biblistów głosili je dawniej Ryszard Simon, Calmet, w XIX w. Le Hir, Schegg. Calmet w specjalnej roz-

prawie temu przedmiotowi poświęconej pisał: „Można słowa proroka: panna poczne i porodzi syna, rozumieć albo w znaczeniu absolutnem i oderwanem od kontekstu, wówczas oczywiście oznaczają one narodzenie Mesjasza z matki-dziewicy; albo też w znaczeniu względnem i jakby wplecionem i połączonem z prorocstwem, które mówi o synu Izajasza; wówczas to autorytet Jezusa Chrystusa, Apostołów, Ojców Kościoła zmuszają nas, aby wyłączyć to i inne w następnych rozdziałach zdania, mówiące o Mesjaszu z kontekstu, w których jest mowa o dziecięciu prorokini, żony Izajasza“.

Tłumaczenie mesjańskie w znaczeniu typicznym jest prawowierne (por. Condamin, *Le livre d'Isaie* str. 65), jednak w tym wypadku jest ono pozbawione podstawy. Trzeba by bowiem wskazać, kogo Izajasz miał wśród ówczesnych osób na myśli, tj. kto mógł być typem Mesjasza, kto miał być tym synem, którego dziewicze narodzenie mogło być typem dziewiczego narodzenia Mesjasza, bo tylko wówczas można mówić o typicznym znaczeniu prorocstwa. Przytem zaznaczyć trzeba, że przymioty osobiste i charakter działalności Emmanuela, o których prorok mówi w następnych rozdziałach, muszą w znaczeniu właściwym i literalnem całkowicie odpowiadać przymiotom i działalności danej osoby. Otóż takich osób, do których możnaby stosować przymioty i działalność Emmanuela, nakreślone przez proroka w następnych przemówieniach, nie można odnaleźć ani wogóle nie było ich wówczas. Przymioty te bowiem, jak np. przedziwny radca, Bóg mocny, ojciec wieczności, książę pokoju na tronie Dawidowym etc. (Iz. IX, 6n) nie odpowiadały żadnemu z królów lub książąt ówczesnych, a tembardziej synowi Izajasza. Nie mógł przeto syn Izajasza być typem dla przyszłego Mesjasza. — Zwolennicy tego rozumienia powołują się na VIII, 18, w którym Izajasz powiada: „oto ja i dzieci moje, które mi dał Jahwe, (jesteśmy) znakami i zapowiedziami dla Izraela“, ale to mowa o samym proroku i jego dwu synach Szezar-Jaszub i Mahar-szalal-chasz-baz, co do których niema wątpliwości (por. VIII, 4 n.), natomiast nic nie wiemy, aby Izajasz miał syna trzeciego. Utożsamiać go z drugim synem Mahar-szalal-chasz-baz niema najmniejszej podstawy. — Ponadto, znaczenie typiczne zapowiedzi, szczegól-

nie po wyjaśnieniu jej przez Ewangelistę Mateusza, dotyczyło przedewszystkiem dziewiczego poczęcia i narodzenia Mesjasza. Czyż mógł syn Izajasza lub którykolwiek inny, być typem Mesjasza pod tym względem? To jest wykluczone. Zresztą, dodać należy, gdyby słowa „oto panna etc.“ stosowały się do żony Izajasza, to dziwnem byłoby bardzo, dlaczego prorok nazwał ją „panną, alma“, a nie „żona moja lub prorokini“, jak to uczynił w VIII, 3.? Znaczenie typiczne zapowiedzi musi być wykluczone.

3) Bezpodstawne też jest inne tłumaczenie t. zw. allegoryczne (Hoffmann), według którego Alma jest uosobieniem domu Dawidowego albo wiernej części ludu hebrajskiego, a Emmanuel miał oznaczać nowego Izraela, odrodzonego, albo też miał być symbolem uwolnienia. Skinner nazywa to tłumaczenie „wytworem samej fantazji“ i zupełnie słusznie, albowiem w słowach Izajasza jest mowa o pewnych określanych osobach. Wyraz Alma jest z przedimkiem, Emmanuel zaś ma wyraźne cechy osoby a przytem jako króla, syna Dawidowego (Condamin).

4) Wśród dzisiejszych krytyków niekatolickich (Marti, Cheyne, Duhm, Löhr etc.) ogólnem uznaniem cieszy się inne tłumaczenie, według którego Alma oznacza naogół niewiasty hebrajskie, a Emmanuel — wogóle ich dzieci. Izajasz bowiem nie miał na myśli osób indywidualnych, słowa jego należy rozumieć w znaczeniu ogólnem, a nazwa Emmanuela miała oznaczać zapowiedź rychłego wybawienia od najścia nieprzyjaciół. Cheyne sądzi, że rozważania krytyczne i egzegetyczne zmuszają nas nieprzeparcie do takiego rozumienia i wykładu. Duhm w ten sposób wyklada: znak, który Izajasz dał Achazowi, miał ten sam cel, co i poprzedni w 11 w., tj. zapowiedź rychłego uwolnienia od nieprzyjaciół. Znakiem takim albo dowodem, że to uwolnienie nastąpi, będzie to, iż niewiasty, które po pewnym czasie urodzą synów, będą mogły nazwać ich Emmanuel tj. Bóg z nami, gdyż odejście nieprzyjaciół będzie świadectwem opieki Boga nad ludem. Achaz sam będzie się mógł o tem przekonać, słyszane zaś z ust matek to imię będzie mu przypomnieniem jego niewiary, a prawdziwości słów proroka. (Das Buch Jesaia, Göttingen 1914, 52). Aby zaś dojść do takiego rozumienia

słów Izajasza krytycy ci są zmuszeni do bardzo radykalnych zmian tekstu, a nawet wyrzucania zdań całych, które im nie odpowiadają. Cheyne i Duhm, Löhr (Z AW. i 1916. 206) odrzucają jako nieautentyczne: w. 15, gdyż ma charakter mesjański i zrywa łączność między w. 14 i 16; w. 17, który łączy w. 1—16 z 18—25, ma być dodany przez późniejszego redaktora, który przerobił też ww. 18—20, dodając od siebie niektóre ustępy i w. 21—25; VIII, 8, w których prorok mówi o Emmanuelu, jako tym, do którego należy ziemia, jest zmieniony: obraz bowiem ptaka, rozpościerającego swe skrzydła nad ziemią (8 b), jest tylko resztką zagubionej strofy lub cytaty; czytanie „na twoją ziemię, Emmanuel” jest błędne; należy czytać: „na ziemię, albowiem Emmanuel”, — ale i te ostatnie wyrazy są późniejszym dodatkiem, uczynionym przez tego, który tekst rozumiał w znaczeniu mesjańskim. — Po takim arbitralnem i bezpodstawnem oczyszczeniu tekstu, po wyrzuceniu zeń, co tylko staje im na przeszkodzie, można głosić teorie i dawać wykład, jaki tylko się chce, i jaki odpowiada racjonalistycznemu stanowisku krytyków. Ale w ten sposób nie wolno postępować z tekstem! Zmiany wprowadzone nie mają najmniejszego uzasadnienia krytycznego ani w tekście ani w przekładach.

Zresztą sam wykład ich nie jest właściwy. Po odmowie żądania znaku i okazaniu swej niewiary Achaz zasłużył na karę, i dlatego też znak, który Pan sam teraz da, będzie miał inny charakter, aniżeli pierwszy, tj. będzie karą dla Achaza; — prorok używa w 14 w. *fachen* — przeto, co zawiera do pewnego stopnia pojęcie oburzenia z jego strony. Karą tą będzie najście nieprzyjaciół i spustoszenie Judy, o czem w 16. 17. Narodzenie zaś mniej lub więcej licznych synów, którzy będą nazwani Emmanuelami, nie byłoby przecież karą dla Achaza!

Dlatego też rozumienie tekstu w. 14 w ogólnem znaczeniu o niewiastach hebrajskich należy uważać za błędne. Meinhold (Studien zur israel. Religionsgeschichte. Bonn, 1903 t. I, 119 n) zwraca słuszną uwagę na niewłaściwość rozumienia wyrazu Ha—alma (panna) w znaczeniu ogólnem — niewiasty. Wyraz ten jest w I. poj. a przytem z przedimkiem, musi przeto być rozumiany o pewnej określonej osobie,

a nie może być żadną miarą rozumiany w znaczeniu zbiorowem o wszystkich młodych pannach. Dlaczego zresztą, można zapytać, te młode panny miały koniecznie rodzić samych synów? Czy przyjście na świat córek (jeżeli rozumieć o wielu niewiastach) w ciągu pewnego czasu miało być wykluczone?

5) W końcu nie można dla całości pominąć tłumaczenia niektórych radykalnych pisarzy, należących do obozu t. zw. mitologicznego. Według nich, osoba Emmanuela ma charakter mesjański, ale mesjańskość ta źródło swoje ma w ogólnem na wschodzie oczekiwaniu Odkupiciela. Zapowiedź Izajasza o Emmanuelu i matce jego jest echem i powtórzeniem znanych opowiadań o Zeusie, którego karmiła Amaltea, o Ozyrysie, wychowanym przez boginię Hathor (krowa), albo też o bogini Isztar (Wenus), której wyobrażenia z dzieckiem na ręku są znane i liczne. Rodzicielki te były uważane za boginie-dziewice, a przedstawiały one Virgo coelestis. Stąd też i Emmanuel jest tylko pojęciem mitologicznem. Na potwierdzenie powołują się oni na wyrażenie „mleko i miód będzie spożywał“, w którym widzą t. zw. język kosmiczny, a przytem motyw ten powtarza się we wszystkich opowiadaniach o bohaterach, którzy mieli rozpocząć szczęśliwy okres na ziemi. (por. A. Jeremias, *Das Alte Testament im Lichte des Alt. Orients*. Lp. 1916, 594 nn.). Można spokojnie (albo raczej z politowaniem) przejść do naszego tematu i nie wdawać się nawet w krytyczne rozpatrywanie tych twierdzeń, gdyż są one w jawnej sprzeczności z historycznymi okolicznościami słów Izajasza.

6) Z przeglądu tłumaczeń, któreśmy wyżej krytycznie rozpatrzyli, jest widocznem, że pod nazwą Emmanuela prorok nie miał na myśli ani Ezechjasza, ani własnego syna ani wogóle chłopców, którzy w pewnym przeciągu czasu po jego słowach mieli się narodzić. Pod tą nazwą Izajasz musiał mieć kogo innego na myśli. Egzegeci katoliccy nadawali stale słowom proroka charakter mesjański i to w znaczeniu dosłownem. Niektórzy tylko, jak wyżej widzieliśmy, tłumaczyli je o Mesjaszu w znaczeniu typicznym, ale bez podstawy.

Jeżeli rozpatrywać będziemy słowa proroka same w sobie, bez bliższego i dalszego kontekstu, to charakter ich mesjański nie jest widoczny, nie narzuca się bezpośrednio. Nazwa

sama „Emmanuel = Bóg z nami“, nie zawiera koniecznego pojęcia, by dziecko, któremu ona będzie dana, miało być Mesjaszem. Jak wiele innych imion własnych, t. zw. teoforycznych, które są połączone z imieniem Bożem, tak również i to imię mogło wyrażać uczucie ufności w opiekę i pomoc Bożą lub też przypominać okazaną pomoc, ale nie określało ono charakteru osoby, która to imię miała nosić¹⁾.

O charakterze przyszłego Emmanuela świadczą i decydują inne czynniki w tekście. a) Najpierw sposób mówienia proroka, jak widać, uroczysty i pełen entuzjazmu, świadczy, że nie dziecko zwyczajne miał on na myśli. Poczęcie i narodzenie tego Dziecięcia miały być nadzwyczajne, kiedy w proroku wywołały one podziw, entuzjazm i wielką radość (por. IX, 5). Matka jego miała być Ha-alma — panna, i to właśnie najbardziej uderzało umysł proroka, gdyż było to wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy. Że matka Emmanuela miała być panną, — przekonamy się z następnego punktu. Samo poczęcie i narodzenie Emmanuela, choćby one były czemś wyjątkowym i nadzwyczajnym, nie stanowią ścisłego dowodu mesjańskości Emmanuela. Do pewnego stopnia jednak pozwalają one przypuszczać, że Dziecię tem imieniem nazwane, będzie przeznaczone do wypełnienia wielkiej roli w zbawieniu, gdyż przez nie będzie „z nami Bóg“.

b) Bardziej wyraźny dowód mesjańskiego charakteru Emmanuela mamy w innych słowach Izajasza, w których opisana jest działalność i charakter jego. Po zapowiedzi najścia assyryjskiego, które porównywa do wszystko niszczącej rzeki, prorok powiada:

I przeniknie aż do Judy, ogarnie i zaleje,
Aż po szyję się podniesie;
A wówczas rociągniętemi swemi skrzydły
Napełni cały twój kraj, *Emmanuel!*

Prorok urywa nagle opis najścia, i zwraca się z prośbą do Emmanuela o interwencję: jest on panem i właścicielem

¹⁾ Tak twierdzimy, o ile rozpatrujemy imię samo w sobie. Być może jednak, iż Duch św. przywiązywał do tego imienia bardziej głębokie znaczenie. Według nauczania np. OO. Kościoła było ono zapowiedzią tajemnicy wcielenia.

kraju Judy, dlatego powinien kraj swój ratować od wrogów. Otóż wiadomą jest rzeczą, że w Piśmie św. bardzo często ziemia Juda nazywana jest ziemią Jahwy, Jego ziemią, Jego dziedzictwem, czyli że Jahwe jest jedynym panem kraju. (por. Iz. XIV, 2, 25; Iz. XLVII, 6; Oz. IX, 3; Jer. II, 17; XVI, 18; I. Sam. XXVI, 19, etc. por. Knabenbauer, Comm. in Isaiam. I, 205). Jeżeli przeto tutaj Emmanuela prorok nazywa panem ziemi Judzkiej, to musiał on być równym Jahwie, tj. Mesjaszem. Bo tylko w tym wypadku, słusznie mówi Marti, jeśli Emmanuel jest Mesjaszem, można nazwać Judeę albo Palestynę jego ziemią.

Krytycy radykalni usiłują osłabić świadectwo tego tekstu przez jego zmianę. Duhm np. wprowadza za LXX do tekstu hebrajskiego całe zdanie, natomiast dwa ostatnie stychy o Emmanuelu uważa za późniejszy dodatek, uczyniony ręką redaktora, który jednak rozumiał tekst w znaczeniu mesjańskim! Takie postępowanie jest arbitralne, nie ma ono żadnej podstawy, sprzeczne przytem z następnymi wierszami (9. 10), w których prorok z wielkim entuzjazmem opisuje zwycięstwo Emmanuela.

c) Nie mniej ważne są inne teksty, które pochodzą z tego samego czasu, a mianowicie: VIII, 23 — IX, 6, a które w ścisłym pozostają związku z VII. 14. W tym prorok zapowiadał domowi Dawidowemu narodzenie dziecięcia, w tamtych mówił z radością o fakcie narodzenia jego, przyczem daje mu on niezwykle nazwy, które mają świadczyć o jego charakterze i działalności, jak np. przedziwny, radca, Bóg mocny, Ojciec wieczności, księżę pokoju — połamie ono jarzmo assyryjskie i będzie światłością zbawienia dla pokoleń Zabulona i Neftalego. Znaczenie tych nazw będzie podane niżej, tu stwierdzamy tylko, że świadczą one niewątpliwie o mesjańskim i boskim charakterze Emmanuela. Ponadto, trzeba przytoczyć jeszcze XI, 1—10, które wprawdzie pochodzą z czasów późniejszych, stanowią jednak całość z wyżej przytoczonymi. Prorok w nich mówi również o Emmanuelu, porównywa go do latorośli, wyrastającej z pnia Jessego (ojciec Dawida), i zapowiada, że położy koniec wszystkim doświadczeniom i niedoli ludów, ustanowi królestwo pokoju. Niewątpliwie, i te cechy Emmanuela muszą być

uznane jako istotne jego charakteru mesjańskiego, szczególnie, jeśli zwrócimy uwagę, że wszyscy prawie prorocy, mówiąc o czasach mesjańskich, zapowiadali je, jako czasy szczęścia i pokoju powszechnego na ziemi. Bliższe wyjaśnienie tego tekstu będzie podane niżej.

d) Micheasz prorok, który współcześnie nauczał z Izajaszem, mówił wyraźnie o przyszłym Mesjaszu; a tekst jego (V, 1-5), który zawiera aluzje do Izajasza VII, 14 i podaje bardzo podobne myśli, jest jednocześnie świadectwem mesjańskiego rozumienia tekstu naszego. Oto jego słowa: „I ty Betleem-Efrata, malutkiś, aby być między osadami Judy, z ciebie dla mnie wyjdzie, który ma być władcą w Izraelu, a wyjście jego od początku, ode dni wieczności. Przeto poda ich aż do czasu, kiedy mająca urodzić porodzi; i (wtedy) resztką braci jego nawróci się do synów Izraelowych. On powstanie i rządzić będzie w mocy Jahwy, w majestacie imienia Jahwy Boga swojego. Będą mieszkać bezpiecznie, bo stanie się on wielkim aż do krańców ziemi, i będzie on pokojem“.

Podobieństwo myśli jest tu rzeczywiście uderzające. Jakkolwiek zapatrywać się będziemy na wzajemny stosunek tych proroctw, nie ulega wątpliwości, że zarówno w tamtych, jak i w tym jest mowa o tej samej osobie, o takiej samej jej działalności. Według Micheasza, Mesziasz-Zbawca narodzi się w Betleem i, jak Emmanuel, będzie on potomkiem Dawida. W obydwóch jest mowa, że będzie on zbawcą Izraela i następcą na tronie Dawidowym, że panowanie jego przyniesie pokój i szczęście. W tekście Micheasza matka Zbawcy jest nazwana „mająca urodzić“, co jest niewątpliwą aluzją do Alma Iz. VII, 14. Tożsamość władcy Mesjasza u Micheasza i Emmanuela u Izajasza jest niewątpliwa. Jeśli przeto zapowiedź Micheasza ma charakter mesjański, zapowiedź o Emmanuelu musi być również rozumiana w znaczeniu mesjańskim (Por. V. Hoonacker, *Les douze petits prophètes*. Paris. 1908, 390).

e) Potwierdzenie i zarazem autentyczny wykład słów Izajasza mamy w Now. Test. Ewangelista św. Mateusz, opowiadawszy o cudownym poczęciu Jezusa w łonie Marii, dodaje: „To wszystko zaś stało się, aby się spełniła zapo-

wieść Pana w słowach proroka: oto Dziewica pocznie w łonie i porodzi Syna, i nazwie imię Jego Emmanuel, co się tłumaczy: z nami Bóg" (Mt. I. 22. 23). Cel Ewangelisty był wyraźny i pewny: chciał on wykazać Żydom, dla których napisał swą Ewangelię, że Jezus jest prawdziwym Mesjaszem, i dlatego przytoczył proroctwo Izajasza, który mówił o przyjściu obiecanego Zbawiciela i o cudownem narodzeniu się Jego z Dziewicy. Zgodność faktu narodzenia Jezusa z Marji z zapowiedzią Izajasza była w oczach św. Mateusza pewnym dowodem prawdziwości Mesjasza¹⁾. — Opierając się na tym wykładzie Ewangelisty, tradycja chrześcijańska od czasów najdawniejszych uznawała słowa Izajasza o Emmanuelu, jako zapowiedź o przyszłym Mesjaszu i tłumaczyła je zawsze o dziewiczym poczęciu i narodzeniu się Jezusa z Dziewicy Marji. (zb. J. Knabenbauer, Comm. in Is. t. I, 179 n.).

Egzegeci katoliccy do dzisiejszego dnia przy tym wykładzie mocno stoją.

¹⁾ Można zapytać, dlaczego Mesjasz został nazwany Jezusem, a nie Emmanuelem? Odpowiadamy: Emmanuel jest nazwą symboliczną, oznaczała ona, że Bóg będzie z nami, okaże nam pomoc i zbawi. Przytem należy zwrócić uwagę, że wyrażenie „być nazwanym” równoznaczne jest w księgach św. a przedewszystkiem w pismach proroków z pojęciem „być” Por. Dict. de la Bible t. IV, 1671.

(Dok. nastąpi)

Ks. Józef Archutowski.

Dwór Ludwika XIV.

Dwór królewski to zjawisko niezmiernie dawne w dziejach ludzkości i niezmiernie powszechne. Mówią o nim karty Starego Zakonu i z trudem odcyfrowane napisy klinowe czy hieroglify egipskie — tak jak dziś w szczepach, na najniższym szczeblu kultury stojących, znajdujemy i tam ten sam fenomen z odmiennymi formami ale treścią podobną. Musi w tem być coś bardzo ludzkiego, opartego na tych najgłębszych pokładach psychiki ludzkiej, co to poprzez przestrzeń czasu i miejsca te same, narzucają nam niejako tę prawdę, że z jednej rodziny pochodzimy — a więc może powinniśmy wreszcie raz uczuć to pokrewieństwo i nie oddalać się, ale zbliżać do siebie. Pewna Angielka, która za naszych czasów w poszukiwaniu narzeczonego, zamordowanego przez dzikich w Afryce, zaszła do ludów, nie mających wyobrażenia o cywilizacji, takie uczyniła tam spostrzeżenie: „Zauważyłam, że ludność jest podobna do siebie od jednego krańca świata do drugiego. Widziałam w pustyni kobiety, zdobiące się fałszywymi warkoczami, by się wydawały piękniejszemi, i fałszywymi piętami dla podniesienia wzrostu. Dwór sułtana półdzikiego przypominał mi dwór w Buckingham — arystokracja, chodząca prawie nago, wydała mi się tak dumną ze swych godności i ze swych przywilejów, jak członkowie Izby Lordów“. ¹⁾ A więc i te dzikusy nagie w środkowej Afryce mają swój dwór królewski. Czy warto tedy zajmować się osobno dworem Ludwika XIV, jeśli tych dworów mieliśmy i mamy w Europie i poza nią tyle prawie niemal, ile krajów i szczepów? Otóż powiedzmy sobie, że jeśli

¹⁾ Cyt. Dr. B. Platz. *Der Mensch*. 3 wyd. Würzburg 1898, str. 145.

coś prawdy jest w powiedzeniu, że wszystko się powtarza — *nihil novi, sub sole*, to więcej jeszcze prawdy jest w zdaniu przeciwnem, że nic się nie powtarza, albo lepiej, że w fenomenach powtarzających się są zawsze elementa nowe, i dla których ten nowy objaw dawnej koncepcji zasługuje na bliższe poznanie, nieraz na gruntowne studjum.

I tak jest z dworem Ludwika XIV, który jako koncepcja i fenomen dziejowy, mimo licznych z natury rzeczy cech podobieństwa do innych dworów królewskich, godzien jest szczególnej uwagi dla badacza dziejów, zwłaszcza dziejów kultury ludzkości, w szczególności francuskiej. Bo ta kultura francuska — a wiemy, że Europa nią żyła przez pewien czas — jest ściśle związana z dworem królewskim, w pierwszym rzędzie z dworem Ludwika XIV, który prawda że przygotowany został przez dwór poprzedników.

Wśród tych poprzedników pierwsze miejsce zajmuje Franciszek I ze swą kulturalną siostrą Małgorzatą z Nawary, które to rodzeństwo na tronie tak olbrzymie poniosło zasługi około wprowadzenia i rozszerzenia kultury odrodzenia we Francji. Że ten dwór królewski gromadzi kwiat kultury i myśli w narodzie, to fakt na dworach oświeconych władców powszedni; tak było za Aleksandrów i Augustów, a w pełni średniowiecza ten ideał dworu realizuje na sposób bardzo nowoczesny taki Fryderyk II, podobno pierwszy monarcha absolutny o nowożytnym pokroju, który na swoim dworze sycylijskim stwarza środowisko w swoim rodzaju jedyne, choćby tem, że zogniskował tam kultury tak różnorodne jak chrześcijańską, grecko-rzymską i maurytańską, nie gardząc i uczonymi żydowskimi. To ześrodkowanie kultury więc będzie wielką zasługą ale nie nowością dziejową na dworze Franciszka i Małgorzaty. Nowością natomiast jest ruchliwość tego dworu w dosłownem, fizycznem tego słowa znaczeniu. Przedewszystkiem są wtedy dwa dwory, oba niestałe, oba przenoszące się z miasta do miasta, oboje rodzeństwo bowiem zmieniają często miejsce pobytu; Małgorzata uświetnia dwór brata, gdzie nieraz przebywa, ale i sama w swoich rezydencjach: Alençon, Bourges, Nésac, Pau skupia uczonych, poetów, stwarza zatem centra kulturalne; to samo robi brat, który z całym dworem objeżdża prowincje,

zatrzymując się w większych, a i mniejszych miastach prowincjonalnych, wszędzie rozniecając ogniska kulturalne. Rzecz wielkiej wagi, nie doceniona niestety przez następców Franciszka I, którzy rezydowali stale w Paryżu, kulturalne życie ześrodkowywali w stolicy, z wielką, niepowetowaną szkodą dla prowincji. Albowiem w ten sposób ta „ville-lumière“ absorbowała coraz bardziej i wyłącznie wszystkie pierwiastki umysłowe narodu. Prowincja zaczęła się coraz bardziej wyludniać z wszystkiego co tętsze, kulturalniejsze, albo też co ciekawsze, chciwsze nowości. (Już starożytni pisarze bowiem zauważyli w psychice Gallów wielką żywość umysłu, ciekawość na nowości wszelkiego rodzaju, pociąg do kultury. Nie czemu innemu też przypisać należy ową tak fenomenalnie szybką romanizację Gallji, odrzucenie języka celtyckiego i przyjęcie języka zdobywców, pociągnął ich blask kultury rzymskiej. Tak i teraz blask kultury dworu królewskiego pociąga szlachtę francuską, która tłumnie rzuca wieś, rzuca zamki swoje i ciągnie do stolicy na dwór króla, à la cour du roi). Budzą się i refleksje sceptyczne coprawda. Poważny Agrippa d'Aubigné podpatruje i wytyka śmiało śmieszne strony tej depopulacji szlacheckiej prowincji; bohater jego powieści satyrycznej baron de Foenesse umyślnie przedstawiony jest jako zabawny Gaskończyk, próżny, samochwał, na którego usta wracają ciągle słowa: „idę na dwór“ lub „wracam ze dworu króla“, któremi się upaja poprostu; z całą naiwnością opowiada też niestworzone historie, z których jednak wynika, że na tym dworze on się ośmiesza tylko; wielcy panowie i panie dworują sobie z niego, ale on i tak kontent, że z tak wielkimi personami obcuje i tem się chlubi, jak i tem przedewszystkiem, że jest „na służbie króla“. Kiedyś, trzymając świecznik przy grze króla, a stojąc za blisko kominka, poparzył sobie nogi, w czym znalazł asumpt, by się chwalić, że „był w ogniu dla króla“. Dworakowi temu, przeciwstawia D'Aubigné szlachcica starej daty pana d'Enay. Ten nie widział króla na swoje oczy; za to ma dobry, zdrowy stół, dobrze uprawioną ziemię, dobrą służbę i nie zadrości bynajmniej tamtym, co to woła lichu jadać, zaniedbywać gospodarstwo, byle móc pokazać się na dworze. Ta chęć „pokazania się“ wydaje

się panu d'Enay, a więc i autorowi powieści, głównym grzechem szlachty gaskońskiej, a i francuskiej wogóle tego wieku. Ta słabostka natury stała się też niebawem główną wędką, za pomocą której król ściągał szlachtę na swój dwór. Miał zaś ku temu racje bardzo poważne. Feudalizm się przeżył oddawna; na gruzach jego powstawał gmach nowoczesnej budowy państwowej w postaci monarchji absolutnej. Ale takie przemiany nie dokonują się prędko ni łatwo. Szlachta niechętnie rezygnowała ze swych przywilejów i części swjej władzy na rzecz króla; stąd wojny domowe, rokosze pod rozmaitemi postaciami od spiskowania z wrogami króla i ojczyzny aż do warcholskich raczej buntów, jakim była ostatnia fronda w czasie małoletności Ludwika XIV. Otóż od walki otwartej z tą szlachtą, od represyj gwałtownych pewniejszym środkiem uzyskania pokoju wewnętrznego było pozyskanie tej szlachty, ściągnięcie jej na dwór królewski — i tego królowie francuscy dokonali w sposób poniekąd mistrzowski. Posłużyła im tu ogromnie owa, już przez Cezara podpatrzona cecha duszy francuskiej, mianowicie zamiłowanie do okazałości, wielkiego gestu, upodobanie w nowościach, ciekawość, która łatwo przechodzi w chciwość wiedzy, i pociąg do kultury. I tak jak kiedyś skuteczniejszą od geniuszu wojennego Cezara okazała się w podboju definitywnem Gali owa namiętność kultury, że ją tak wprost nazwiemy, która tak szalenie przyspieszyła dzieło romanizacji tego kraju, tak i teraz więcej od zwycięstw wojsk królewskich dokonał blask dworu królewskiego, który przyciągał tę chciwą blasku i okazałości zewnętrznę naturę szlachty francuskiej. Na to oczywiście trzeba było wytrwałej, świadomej pracy nad tem, aby temu dworowi onej świętności, blasku kulturalnego nadać.

Przyznać też trzeba, że królowie francuscy, jeden po drugim, robili to z prawdziwym artyzmem; dwór uczynili ogniskiem kultury, do którego światła lgnęło wszystko w narodzie, co choć trochę instynktu kulturalnego w sobie uczuło. Że to będzie miało wpływ na całą kulturę i literaturę francuską, to rzecz jasna. Przypominają się tu słowa owego literata warszawskiego z III części Dziadów, który mówi:

Ja mówię, że Poezji niema bez poloru,
A polor być nie może tam, gdzie niema dworu:
Dwór to sądzi o smaku, piękności i sławie;
Ach ginie Polska! dworu nie mamy w Warszawie.

Słowa te, z gryzącą ironją powiedziane przez Mickiewicza, są, rzecz jasna, w zastosowaniu do Warszawy pod knutem moskiewskim — paradoksem; ale cofając się wstecz do wieków niepodległości Polski, trudno się powstrzymać od uwagi, że brak takiego właśnie dworu królewskiego w Polsce nieobojętną był przyczyną wolniejszego tempa w pochodzie kulturalnym narodu. Jak w tylu innych kwestjach i dziedzinach, tak i tutaj skupianie sił jest spotęgowaniem ich; skupienie się całej śmietanki intelektualnej, kulturalnej narodu dokoła dworu może mieć swoje ujemne strony, i miało je istotnie, ale w czasach, kiedy kultura narodu się dopiero tworzy, takie ześrodkowanie jej musi stać się nader dobroczynnem w procesie dalszego rozwoju tej kultury — jak naodwrot, rozpraszanie się tych promieni światła choćby świetnych, ale w początkach rozwoju przecie nie-licznych, jest bardzo niefortunnem zjawiskiem dla narodu, bo utrudnia oddziaływanie tego światła, które jest, na zewnątrz, na całe społeczeństwo. U nas w Polsce już to samo, że tron nie był dziedziczny, było i pod względem kulturalnym nieszczęściem. Ludzie obcy na tronie, choćby i najdzielniejsi (jak Batory), nie umiejący często języka naszego, jakże oni mogli wczuć się w życie kulturalne narodu i jego potrzeby? jak mogli na dworze swoim to życie kulturalne zogniskować? To też u nas to życie jest rozprószone po różnych krańcach Rzeczypospolitej; jeden, drugi magnat roznieca na własną rękę w swoim zakątku ognisko, które z natury rzeczy, jako odosobnione, na długo świecić nie może.

Europa zachodnia to wszystko już przeszła w średniowieczu, kiedy działo się podobnie: światło kultury zabłysło na zamku czy w grodzie tego lub owego księcia, i nawet pięknie zaświeciło — ale nietrwale, a te błyski nieześrodkowane, razem wzięwszy, mało przyczyniły się do rozlania światła kultury po całym kraju. I dopiero dwór królewski tego skupienia, tego zogniskowania dokonał, a niema dwóch zdań, że przoduje tu całej Europie Francja swoim

wspaniałym dworem, który do doskonałości doprowadził i stworzył typ swego rodzaju w historii Ludwika XIV¹⁾.

Jak zawsze w życiu jednostek i narodów, realne pobudki były ważniejsze od idealnych; chodziło tu o ugruntowanie monarchji absolutnej, któremu na przeszkodzie mogła stawać — jak to się w Polsce działo — „samowola szlachty“ w najrozmaitszych postaciach. Najlepszym lekarstwem na to było sprowadzić tę szlachtę na dwór i mieć w ten sposób na nią czujne oko. Przecie tuż pod okiem króla szlachcic nie będzie spiskował. Otóż cechą charakterystyczną dworu Ludwika XIV będzie to właśnie, że na tym dworze jest cała szlachta; nie konieczne równocześnie, ale kto ze szlachty chce mieć opinię lojalnego poddanego króla, ten musi się raz po raz pokazać na dworze. Gdy król Ludwik XIV powie o kim: „to człowiek, którego ja nie widzę“, spada to na interesowanego jak grom „niełaski królewskiej“, w takim powiedzeniu tkwi bowiem posądzenie, że ów pan coś niedobrego knuje.

To też szlachta francuska ciśnie się do dworu, jak pobożni do miejsca świętego. Porównanie to, mogące się wydać przesadzonem, naprawdę bynajmniej niem nie jest. Ludwik XIV swoją koncepcją dworu doprowadził istotnie do tego, że wyrażano się o tym dworze jak o dworze niebieskim, a o królu, jak o samym Bogu. Dowodów na to raczej za wiele, jak za mało w dziełach, zwłaszcza w listach tego wieku: „Jest on (t. j. król) jako Bóg; trzeba czekać na jego wolę z uległością i wszystkiego się spodziewać od jego sprawiedliwości i jego dobroci bez zniecierpliwienia, aby mieć więcej zasługi“. Tak pisze panna de Montpensier do pana de Bussy, który znowu tak się wyraża: „Wyobrażałem sobie, że jak w przeciwnościach cierpliwość i poddanie się woli Boga łagodzi gniew Jego i czyni nas wreszcie godny-

¹⁾ Źródła do poznania dworu Ludwika XIV są nader obfite przede wszystkim w korespondencji i pamiętnikach tej epoki. U nas ukazał się w „Bibliotece Narodowej“ tomik V. p. t. Wybór listów francuskich w. XVII i XVIII, gdzie sporo listów do tego przedmiotu się odnosi. Cenny jest rozdział odnośny w dziele Voltaire'a: *Siècle de Louis XIV* (świetne i wiele objaśniające uwagi w wydaniu tego dzieła, które opracowali Rébellian i Marion, 1894). Z licznych innych dzieł nowszych wymienię Bourgeois: *Le Grand Siècle*, 1894.

mi Jego łask, tak samo jest i w stosunku do króla“... „Jednakże — mówi tenże w innym liście — on (t. j. król) wie znacznie lepiej od nas samych czego nam trzeba“. Marszałek de Villera pisze do pani de Maintenon: „Zaczynam widzieć niebiosą otwarte, król udzielił mi posłuchania“, a ks. de Richelieu: „Wolę raczej umrzeć, aniżeli być dwa lub trzy miesiące bez oglądania króla“. La Bruyère zaś czyni porównanie odwrótne, mówiąc: „Kto zważy, że oblicze panującego stanowi całą szczęśliwość dworzanina, którego zajmuje i wypełnia przez całe życie to, iż widzi go i jest przezeń widziany, ten zrozumie trochę, jak to wyglądanie Boga może stanowić całą chwałę i szczęście świętych“. A któż z czytelników ślicznych listów niezrównanej pani de Sévigné nie pamięta, z jakim zachwytem mówi ona o królu, jaka ona uszczęśliwiona każdym słówkiem z ust królewskich usłyszanem. „Ale co mi się ponad wszystko podoba, to żyć całe cztery godziny z królem, gdy my w jego przyjemnościach, a on w naszych: to dosyć na zadowolenie całego królestwa, które namiętnie lubi oglądać swego pana“. Król tak samo zapatruje się na swoją rolę wobec poddanych; oto, co w szkicu przygotowanym dla swych pamiętników pisze o królu: „Wszystkie oczy są na niego jednego skierowane, do niego jednego zwracają się wszystkie życzenia, on sam otrzymuje wszelkie objawy szacunku, on sam jest przedmiotem wszelkich nadziei; nie dąży się do niczego, nie oczekuje się niczego, nie robi się nic, jedno przez niego samego. Jego łaski uważa się za jedyne źródło wszystkich dóbr; człowiek wznosi się jedynie w miarę zbliżania się do jego osoby, albo do jego poważania; wszystko inne jest marnem“.

Nas dzisiaj zastanawia oczywiście ten fakt pod względem psychologicznym; bo że w czasach i krajach o bardzo niskiej kulturze osoba króla mało co mniejsze miała poważanie od bogów, albo równe bogom, to łatwe do pojęcia. Ale jak naród, który dopiero co wydał Descartes'a i tego Descartes'a z jego *cogito ergo sum*, a więc dumą myśliciela, naprawdę czytał, rozumiał i cenił (w bardzo szerokiej warstwie kulturalnej przynajmniej), jak naród, który wystrzelił właśnie literaturą najbogatszą w Europie z takimi talentami, jak Pascal, Bossuet, Moljer, że pominię innych, a którzy

wszyscy byli ludźmi myśli przedewszystkiem, jak taki naród w swych najlepszych reprezentantach mógł dojść do takiej koncepcji politycznej, dochodzącej o mało że nie do ubóstwienia osoby króla? Oto problem, któremu warto się bliżej przyjrzeć¹⁾.

Ma on swoje wytłumaczenie przedewszystkiem w dziejach Francji, tuż poprzedzających panowanie Ludwika XIV, a nawet lata jego małoletności, kiedy to indywidualności wybitne, ale na ogół nikczemne próbowały się wybić ze szkodą króla i królestwa i wszczynały wojny domowe połączone ze zdradą, bo z sojuszami z nieprzyjacielem kraju; te wojny zaś z natury rzeczy burzyły pokój wewnętrzny, którego Francja szczególnie wtedy pożądała. Albowiem życie skoncentrowało się na dobre w mieście, jako siedlisko pracy i kultury, która to praca i kultura otrzymać była właśnie dzięki odrodzeniu szczególny rozpęd. Otóż olbrzymia większość narodu, ta, co chciała się swobodnie oddać tej pracy odtąd produktywniejszej, bo na wyższej kulturze opartej, i która chciała używać dobrodziejstw tej kultury coraz szerzej się rozlewającej, ta większość narodu patrzyła z oburzeniem na warcholstwo i ambicję przeżytków dawnego porządku, a natomiast powitała w osobie absolutnego monarchy jedyne wybawienie, jedyny ratunek. I stąd stało się, że im większa była kultura narodu, tem bardziej była pożądana absolutna władza królewska, ochraniająca tę kulturę i jej rozwój. Zjawisko zresztą nie całkiem nowe; czy

¹⁾ Tym, co się dziś jeszcze gorszą mniemanym serwilizmem dawnych wieków wobec króla czy możnych, warto zwrócić uwagę na fakt podobnego serwilizmu, tylko wobec masy; Bossuet to wprost wypowiedział w tych słowach: „każdy pochlebca jest zwierzęciem zdradzieckiem i wstrętnem; ale gdyby przyszło porównywać pochlebających królom z tymi, co pochlebstwem obudzają w sercu ludu ten ukryty pierwiastek nieposłuszeństwa i tę dziką wolność, która jest przyczyną buntu, nie wiem, który z nich byłby ohydniejszy” (Kazanie „o obowiązkach królów”). Czy dziś nie widzimy dokoła siebie grasującego poprostu owego pochlebstwa, zwróconego w dół, pochlebstwa o tyle gorszego, że wychodzi na szkodę kultury, podczas gdy tamto miało w sobie coś z respektu do wyższości kulturalnej czy to panujących, czy całych warstw istotnie wyższych kulturą? Gdy dziś jednostki wyżej kulturalne to pochlebstwo uprawiają, czyż to nie bardziej upadające, a więc „ohydniejsze” naprawdę?

nie z podobnego źródła wyszła popularność Cezara Augusta w Rzymie?

I nie tylko to. Od epoki Odrodzenia i pod bezpośrednim wpływem tego ruchu rozbudzała się coraz żywiej indywidualność narodowa, oczywiście najsilniej w tych krajach, gdzie ta kultura Odrodzenia rozwijała się na gruncie najlepiej przygotowanym kulturą może nie tak szeroko rozlaną ale często bardzo głęboką średniowiecza; takim krajem była Francja, gdzie już w pełni średniowiecza sławna stuletnia wojna z Anglią poczęła się jako wojna feodalna, a skończyła jako czysto narodowa: to właśnie jest znaczenie nieśmiertelnej pamięci Dziewicy Orleańskiej i jej dzieła, rozbudzenie poczucia w narodzie, że Francja dla Francuzów! Otóż to poczucie narodowe wzrastało z postępem kultury, a że ten postęp we Francji był chyży, przeto w wieku XVII, gdy doszedł na znane nam wyzyny Bossuetów, Moljerów, musiało i to poczucie narodowe przybrać wielkie rozmiary, a więc i intensywność wewnętrzną w psychice narodu. W ustroju demokratycznym czy feodalnym to napięcie znalazłoby swoje niejako wyładowanie w jakiejś wojnie zewnętrznej lub wyprawie krzyżowej; we Francji wieku XVII nie było innego upustu temu uczuciu jak spotęgowany kult osoby króla, która w tym wypadku staje się personifikacją ojczyzny. Sławne: *l'Etat c'est moi* Ludwika XIV dopiero znacznie później wydało się czemś rażącym, gdy ludzie na nie spojrzeli przez pryzmat koncepcji „kontraktu socjalnego” Russa; współcześni Francuzi najzupełniej i najchętniej się na to powiedzenie króla godzili, bo oni naprawdę w tym królu widzieli państwo, ojczyznę. I dlatego też akty oddania się temu królowi, uległości aż do uniżenia nie wydają im się poniżeniem godności ludzkiej czy szlacheckiej (a z tego szlachectwa są przecie tak dumni!) Cały ceremoniał dworski aż do wstawania króla i tych śniadań, kiedy to król na podniesieniu sam jadał, a książęta krwi podawali mu serwetę i w tem widzieli godność i zaszczyt godzien zazdrości — wszystko to były wyrazy patriotyzmu Francuza wieku Ludwika XIV.

W urobieniu i utrzymaniu tej koncepcji pomocną też była niepomrotnie religja, która po silnych wstrząśnieniach

w epoce Odrodzenia doszła w duszy francuskiej do najwyższego napięcia, czego wyrazem jak zwykle była literatura religijna, od św. Franciszka Salezego do Bossueta wydająca to, co najpiękniejszego i najgłębszego wydała wogóle literatura religijna w Europie. Otóż organizacja Kościoła katolickiego od soboru trydenckiego zwłaszcza konsoliduje się w coraz konkretniejszą monarchję absolutną. Leży to zresztą w dogmacie o prymacie Piotra, ale na Soborze trydenckim przybiera szczególnie wyraźną postać prawną, że się tak wyrażę. Wprawdzie Ludwik XIV w imię racji stanu stacza na tym właśnie polu z Kościołem zaciętą walkę (sławny gallikanizm 1682 r.), ale ogół narodu do polityki się nie miesza, pozostawiając ją najzupełniej królowi, walka ta więc nie narusza głębokiej religijności wieku w niczem i ta religja, której opiekunem i obrońcą głosi się król, *rex christianissimus*, łączy się harmonijnie z owym patriotyzmem skupiającym się w osobie króla, jak ona, t. j. religja, w osobie papieża. Katolicyzm francuski też skojarzył się wtedy z monarchją tak ściśle, że stanowił jakby jedno w duszy francuskiej. Pokazało się to najwyraźniej w wieku następnym, XVIII, kiedy walka z monarchją i walka z Kościołem były niemal rzeczami identycznymi; a wielka rewolucja aż nadto silnie to potwierdziła; a ile z tego połączenia idei religijnej z monarchiczną pozostało do dziś w duszy katolika francuskiego, o tem wie każdy, kto zbliża się temu przyglądał, a choćby tylko czytał pisma lub dzieła z tego obozu.

Otóż jeżeli współcześni sami porównanie czynili między stosunkiem do Boga a stosunkiem do króla, to, rzecz jasna, nie mogli widzieć nic ubliżającego w służeniu temu królowi na dworze; ich patriotyzm i religja razem połączone utwierdzały ich w tem pojęciu, że ten dwór królewski to niby obraz dworu niebieskiego, przedsmak zatem onego królestwa bożego na ziemi, o którem marzyli mistycy dawnych wieków.

A do tylu innych racyj przybyła jeszcze jedna, wcale nieobojętna dla Francuza wieku XVII — to powab, urok, jakim ten dwór do siebie pociągał w postaci jego świętności, okazałości, na które to rzeczy, jak wspomnieliśmy, już przodkowie Francuzów, Gallowie, byli nader wrażliwi. I tu Ludwik XIV

okazał się mistrzem, prawda że nie całkiem oryginalnym, bo miał wzory Augustów i swych własnych przodków z wspomnianym Franciszkiem I na czele — a i wzór bezpośredni, bliski, który, jak się dziś pokazuje, zaważył wiele na tej kreacji, która się zwie dworem Ludwika XIV, a przynajmniej na materialnej jego powłoce.

A było to tak. W pierwszych dniach objęcia rządów przez samego Ludwika XIV, tenże dał się zaprosić na dwór finansisty Fouqueta. Pan „surintendant“ Fouquet był prawą ręką Mazariniego w sprawach finansów; był to jednak raczej finansista sprytny aniżeli genjalny; operacje, któremi ratował skarb państwa były raczej łataniną dorywczą niż naprawą rzetelną; oszukiwano poprostu obywateli, ale czynił to Fouquet z wiedzą ministra. Sam zaś doszedłszy do tak wielkiego znaczenia, a i majątku zarazem, poczuł w sobie instynkty wieku, a więc chęć uwiecznienia swojej sławy, jak to czynili ludzie renesansowi, papieże i króle, przede wszystkim wspaniałemi budowlami. Z tej ambicji powstał zamek Vaux-le-Vicomte, który stał się najwspanialszym domem we Francji. Pracują nad tem cudem architektury i sztuki najwybitniejsi artyści epoki, a więc Ludwik Le Vau, Le Nôtre; sławny Le Brun maluje wspaniałe allegoryczne obrazy w komnatach, gdzie sam pan Fouquet zasiada w gronie bogów olimpijskich; zakłada się w pobliżu fabrykę gobelinów. Jest też kolekcjonerem wszelkich nadzwyczajności, *omnium curiositatum indagator*; lubi obrazy, medale, rzeźby z marmuru i jaspisu, sarkofagi episkie, książki pięknie oprawne a rzadkie; jak alkorany, talmudy, traktaty medyczne i przyrodnicze, rękopisy, drogie kamienie, cuda sztuki włoskiej, niderlandzkiej i chińskiej, słowem w pałacach swych miał muzeum jedno z najbogatszych w Europie. To też wszyscy ciekawie i tłumnie te cuda zwiedzali, a pan nadintendent był ogromnie gościnny: stoły suto zastawione czekały na gości, którzy siedząc, albo w razie nadmiernej liczby stojąc, raczyli się przy bufetach; w szafach jadalni było 500 tuzinów talerzy i 36 tuzinów srebrnych półmisków, na wielkie uroczystości były naczynia złote. Kuchmistrem był sławny Vatel.

Ale pan nadintendent był także opiekunem muz i skła-

nia on osobiście Corneille'a, by powrócił do twórczości dramatycznej, którą był zarzucił; uroczystości tego dworu uświetnia Molier; bawi tu lata całe La Fontaine i opromienia swą poezją to kulturalne, a wesołe środowisko, na cześć swego opiekuna pisze liczne wiersze i, trzeba przyznać, nie opuszcza go w nieszczęściu. Poeta Scarron śpiewa tak: „Szczęśliwy wiek, w którym żyjemy, nie ustępuje żadnemu innemu w wydawaniu wielkich ludzi; daje on nam wielkiego, wspaniałomyślnego Fouqueta“. Mnóstwo jest dzieł dedykowanych panu nadintendentowi. Był on, jak trafnie powiedziano, „mecenaseм Francji podczas dzieciństwa Augusta“.

Tak było istotnie; ale gdy ten Augustus urósł, spostrzegł odrazu, że jego dwór królewski jest tylko bladym odbłyśkiem dworu pana Fouqueta, i zaproszony nań, na razie z uśmiechem łaskawym przyjął ofiarowane mu tam uroczystości, ale i zarazem postanowił nie dopuścić, by poddany przewyższał w okazałości króla. Rezultatem tego były dwa fakty: 1) oskarżenie i uwięzienie Fouqueta, 2) budowa Wersalu, który miał zaćmić i zaćmił istotnie rezydencję Vaux-le-Vicomte.

Ci sami artyści, którzy budowali i ozdabiali pałac Fouqueta, przeszli teraz na służbę młodego króla, który zaanimował się ogromnie do tego dzieła. Colbert był tem zaniepokojony, a wreszcie przerażony z powodu olbrzymich kosztów tej nowej rezydencji i zabaw i uroczystości, które król urządzał w Wersalu, kiedy jeszcze daleko było do wykończenia dzieła. „Oświadczam Waszej Kr. Mości — pisał mu oddany minister — że jedna niepotrzebna uczta za tysiąc talarów sprawia mi nieopisany ból, a gdy chodzi o miliony złotych dla Polski, to sprzedałbym wszystką moją posiadłość, zadłużyłbym żonę moją i dzieci i chodziłbym całe życie moje pieszo, by tego dostarczyć, gdyby była potrzeba. Młody król jednak na przestrogi patriotycznego ministra nie dbał; uroczystości fantastyczne poprostu, o których cała Europa cuda sobie rozповідаła, powtarzały się z udziałem poetów (Moliera!), artystów i całego dworu. Dwór ten zresztą nibawem cały przenosi się do Wersalu, miejscowość sama nie nadawała się nawet na to wszystko, co z niej kaprys królewski uczynił; ale to właśnie królowi-słońcu się podobało z niczego coś tak wielkiego stworzyć; słusznie podnosi

jeden z historyków, że ze wszystkich pochlebstw, jakie wtedy otrzymał, najmiłszem mu pewnie był sonet, którego autor, Cotharel, wprost mówi królowi, że dziełem tem „zdaje się zbliżać do Mocy najwyższej, która z nicości dobyła Niebo, Ziemię i Morze“, albowiem „z miejsca najniewdzięczniejszego w świecie uczyniłeś dzisiaj cudo świata“.

Pochlebstwo to trąci nam dzisiaj bluźnierstwem — zwłaszcza, że to „cudo świata“ kosztowało nie tylko wiele pieniędzy — ale i ofiar ludzkich. Albowiem grunt wersalski był wilgotny i przy rozkopywaniu go dobywały się zabójcze wyziewy, poprostu choroby, które porywały sporo ofiar. I tak opowiada pani de Sévigné, że gdy podczas pierwszych robót król chciał tam pewnego dnia się udać, nie mógł tego uczynić „z powodu znacznej śmiertelności robotników, których całe wozy pełne umarłych wywozi się co nocy jak ze szpitala; ukrywa się ten smutny pochód, aby nie przestraszać pracowników i nie obmawiać tego faworyta bez zasługi“. Rozegrała się nawet scena bardzo charakterystyczna, pozwalająca nam zajrzeć po za kulisy tego wspańskiego teatrum królewskiego; opowiadał mianowicie d'Ormesson, jak to pewnego razu napadła na Ludwika XIV jakaś kobieta, która straciła syna, co pracując „przy maszynach wersalskich“ spadł i zabił się. Ból serca macierzyńskiego był silniejszy od respektu dla króla-słońca, i z ust kobieciny padły pod adresem władcy takie przezwiska jak: putassier, roi machiniste, tyran, „i tysiąc innych głupstw i szaleństw“. Król zdziwiony zapytał: „Do mnie mówisz? Ona zaś odpowiedziała, że tak i mówiła dalej. Została schwytana i skazana natychmiast na różgi i zaprowadzona do więzienia. Różgi jej wymierzono z niezwykłą surowością, a kobieta ta nie powiedziała już słowa, cierpiąc ten ból jak męczenniczka i z miłości dla Boga“.

Odwróćmy się jednak od cieni, które ludzi w. XVII nie zatrzymywały ani zastanawiały bardzo i przyjrzyjmy się światłom, tym blaskom dworu wersalskiego, które olśniewały całą Francję, za nią Europę. „W Wersalu się bawia — pisze pani de Sévigné — codziennie przyjemności, komedje, muzyki, kolacje na wodzie. O trzeciej godzinie król, królowa, brat królewski, jego żona, córka, wszyscy książęta

i księżniczki, jacy tylko są, pani de Montespan, cała świta, wszyscy dworzanie, wszystkie panie, słowem wszystko co się zwie dworem francuskim (la cour de France), znajduje się w owej pięknej komnacie króla, którą znasz. Wszystko jest bosko umeblowane, wszystko jest wspaniałe. Tam nie wiedzą co to jest gorąco; przechodzi się z jednego miejsca do drugiego, nigdzie nie narażając się na ścisk... To miłe pomieszanie bez pomieszania wszystkiego co najbardziej doborowe, trwa od szóstej godziny do trzeciej. Jeśli przychodzą kurjerzy, król się usuwa, by czytać listy i następnie wraca. Zawsze jest jakaś muzyka, której słucha i która bardzo dobre robi wrażenie... wreszcie opuszcza się zabawę... o szóstej wsiada się do powozów... (następnie) jeździ się gondolami po kanale, i tam znajduje się muzykę; wraca się o 10-tej; znajduje się komedję; bije północ, zaczyna się medianoche“.

Król szczególnie lubił takie przejażdżki gondolą w nocy, tuż za nim łódź osobna wiozła Lulli'ego i jego trupę muzyków. „Wśród głębokiej ciszy nocnej — opowiada Félibien — słychać było skrzypce tuż za statkiem J. królewskiej mości. Dźwięk tych instrumentów zdawał się dodawać życia wszystkim tym postaciom... Podczas gdy łodzie płynęły powoli, widać było wodę bielejącą wokoło, a wiosła uderzające weń miękko i miarowo znaczyły gdyby srebrzyste brzozy... Wielkie przestrzenie wodne... podobne były długim galerjom i wielkim salonom ubogaconym i ozdobionym architekturą i statkami nieznanego dotąd artyzmu i piękna i ponad wszystko, co sobie umysł ludzki może wyobrazić“.

To porównanie piękna przyrody do salonu jest bardzo charakterystyczne i uzasadnione najzupełniej w tym wypadku. Było to istotnie przeniesienie salonu do natury: linje geometryczne (jak w salonie) tam panowały, tak w onym kanale sztucznym prosto wyciągniętym, jak nawet w drzewach i krzewach przyszytych tak, by dały linje regularnie geometryczne, jak one stiuki arabeskowe w salonie. Sztuczność miała wówczas swój specjalny wdzięk — widziano w niej triumf człowieka, jego rozumu nad naturą. Stąd to upodobanie króla i dworu we fontannach i sztucznych kanałach. Król nie lubił strumyka szemrzącego cicho i wiją-

cego się w dowolnych linjach po łące. Podobają mu się woda ujęta w karby i linje kanału, lub wytryskująca gwałtownie długimi strugami ku górze z ust Trytonów i innych potworów; lubił się wsłuchiwać w szelest fontann wersalskich. Podczas kampanji wojennej r. 1673 pisze: „Trzeba robić tak, by pompy wersalskie szły tak dobrze, zwłaszcza ze zbiornika u góry, abym, gdy wrócę, znalazł je w stanie należytym, aby mi nie sprawiały przykrości, rwąc się co chwila“. W miesiąc potem poleca, by fontanny dwanaście godzin dziennie funkcjonowały, wreszcie żąda, by się nie zatrzymywały nigdy. To było bardzo trudnem do zrobienia, bo przedewszystkiem wody tyle nie było na miejscu; trzeba ją było sprowadzać, a w tym celu budować olbrzymie kanały. Głowę sobie nad tem łamała akademja, pan Lonvois, Vauban itd., na narady przychodził sam król; w rezultacie po kolosalnych wysiłkach i ofiarach ludzkich także, musiano zarzucić ten pomysł.

Król lubił także rozkazywać innym żywiołom i ogień musiał dodawać blasku uroczystościom nocnym w Wersalu; a więc oświetlenie parku, ognie sztuczne, a wszystko znowu w linjach rozumem i wolą ludzką zakreślonych, wolą króla przedewszystkiem.

Bo cały Wersal to dzieło króla, i jego jedynie, on też swoją osobą był ośrodkiem, duszą tego dworu. „Prawda, że to przybytek zaczarowany?“ — spytano pani Cornuel, która powracała z Wersalu pod nieobecność króla. „Tak, odpowiedziała, lecz trzeba, aby w nim był czarodziej“.

Ten czarodziej musiał czarować, olśniewać — i to nie tylko oczy, uszy, ale i umysł, bo jeżeli ulubioną rozrywkę stanowiły opery, balety (sam król w tych ostatnich brał raz udział), to była tu i tragedia — oczywiście francuska, — Francja do dziś po za swoją tragedją mało uznaje, a przy najmniej smakuje mało w obcych produkcjach, tem mniej w wieku Ludwika XIV. — Kiedy Corneille na stare lata zaczął tracić na uznaniu i rozumieniu swych tragedj, wtedy król dał w swoim teatrze cały tydzień kornelowski, kazał grać 6 tragedj z rzędu: Cinna, Pompée, Horace, Sertorins, Oedype, Rodogeme; sędziwy poeta był wzruszony tem wskrzeszeniem swej sławy i dziękował gorąco. — Oczywiście

większem powodzeniem cieszył się Racine, on, który wyszedł z tej atmosfery dworskiej Ludwika XIV; cóż bowiem ten dwór miał wspólnego z bohaterami woli Corneille'owskich tragedyj? Ciepłarniana temperatura wygód i rozkošzy, jakimi otaczał i uczył otaczać się dwór wersalski, uśpiła, sparaliżowała bohaterskie wysiłki woli Cydów i Horacjuszów, dla których też nie miano na tym rozbawionym dworze żadnego zrozumienia; bardziej do nich przemawiała bezbrzeżna namiętność Racinowskiej Fedny, tkliwa miłość Ifigenji; niedarmo za Richelieu'go Corneille celował w rzeźbieniu typów męskich — Racine celuje w typach kobiecych — kobiety u niego przeważają, przeważa uczucie bardzo silne, namiętne, bardzo miękkie, tkliwe — zwłaszcza w tem pierwszym jest Racine niezrównany. Bohaterowie Corneille'a uczucie takie uważają za słabość, ułomność, która musi milknąć wobec ideałów wyższych, jakimi są religja, honor, ojczyzna; te ideały nie dochodzą do głosu w teatrze Racine'a, jak niema tam głosu wola; uczucie tam jest fatalistyczne jak u Janseniusza predestynacja — nie jest to przypadkowem, iż Racine był wychowankiem Port-Royalu, ogniska jansenizmu, jak przypadkowem nie jest powodzenie tej sekty i jej doktryny w epoce Ludwika XIV, kiedy to nikomu nie wolno było nic chcieć, chcieć mógł tylko król jeden — l'Etat c'est moi. On też chciał za wszystkich, a wszyscy do jego woli kornie czy fatalistycznie się naginali, jak za jego wolą, na jego rozkaz bezbarwny, blade, banalny poprostu zakątek zwany Wersalem, wystrzelił w ciągu paru lat cudnym pałacem, parkiem z wodotryskami — i zaroił się najwspanialszym na świecie dworem królewskim. W tragedji swej Racine nie opiewa swego króla — bo współczesność nie miała dostępu w tragedji francuskiej XVII w., ale czy nie entuzjazm dla osoby króla brzmiał i tak rozumiany był w takich wierszach Bereniki, które też, przyjęte były niemilknącemi oklaskami, bo w Tytusie tu odczuło Ludwika XIV, a w uczuciach dla niego uczucia Francji, zwłaszcza dworu dla swego władcy, tego dworu w jedną z owych nocy wersalskich:

Widziałas Fenicjo, jak w blasku tej nocy

Wielkość Tytusa w całej zajaśniała mocy?

Te pochodnie w ciemnościach, stosy gorejące,

Te orły, pęki, ten lud, te wojska tysiące,
To senatu, konsulów, królów zgromadzenie,
O których blask Tytusa odbijał promienie;
Ta purpura, to złoto, znaki jego chwały,
Te laury, zwycięstw jego dowód okazały,
To wielkie mnóstwo ludzi z każdej państwa strony,
Ten wzrok wszystkich na niego tak chciwie zwrócony;
Ta postawa wspaniała, z tem słodkiem wejrzeniem!
O nieba! z jakim czuciem, z jakim uniesieniem,
Wszystkie mu serca wierność raczyły tajemnie!

Osobliwym zupełnie zjawiskiem na tym dworze był Molier. Na pozór bardzo mu tam do twarzy; bawi przecie towarzystwo całe, bawi króla, któremu zawdzięcza najwięcej pośród wszystkich pisarzy. Gdyby nie opieka Ludwika XIV, źleby mu się działo. Potrzebował on tej opieki bardzo, bo tak po prawdzie to człowiek całkiem inny niż otoczenie; zdradza on na każdym kroku swoją awersję do salonu i jego form krępujących naturalną swobodę ruchów, w której przez lat kilkanaście wędrował ów aktor prowincjonalny, dziecko natury, Molier. Nie dziw, że jest on też ciągłym, głośnym, pełnym dowcipu, ale niemniej zaciętym wrogiem salonu, a więc tem samem i dworu, który jest przecie salonom macierzystym wszystkich salonów. A raczej Molier dowcipny nie tyle jest wrogiem dworu jako takiego, któremu zbyt wiele zawdzięcza, by sobie na to mógł pozwolić, ile dworzan czy dworaków, wrogiem tych form towarzyskich, tego fałszu, który widział na każdym kroku, może i tam nawet, gdzie go nie było. Molier — jak przed nim d'Aubigné — nie dość wchodzi w tę prawdę — nie zarzut to, tylko skonstatowanie faktu — iż Francja nie kroczyłaby na czele kultury, gdyby pozostała taką, jaką była prowincja, gdyby nie miała tego dworu, który blask kultury siał dokoła; że w tem zapałtrzeniu się całej Francji w ten dwór był szczęśliwy instynkt kulturalny, ten sam, który kiedyś rozentuzjazmował Gallów do kultury rzymskiej, że i te formy towarzyskie, zrazu w pierwszych generacjach mające strony śmieszne, w rezultacie wpływały na złagodzenie obyczajów — bo przecie to nie to samo w dyskusji rzucić szklanką w głowę przeciwnika, a przekonywać go spokojną argumentacją! Otóż dwór, a za nim salony francuskie były tą szkołą ogłady to-

warzyskiej, która zapewne nie jest wszystkim w kulturze ludzkości — negatywnego dowodu na to dostarczył wiek XVIII — ale jest tej kultury częścią wcale nie obojętną.

Ten dwór też nie był tak pustym, jakby się z komedji molierowskich wydawać mogło; on wchłaniał w siebie soki kulturalne całego narodu, wszystko co wielkie, wartościowe ku sobie pociągając, aż do moralistów i kaznodziejów. Dwór smakował w wielkiej kulturze myśli i nią promieniował na zewnątrz. Bossuet z prowincji (z Metzu), przybywszy do Paryża, i to na dwór królewski, tutaj podnosi się na szczyt swej twórczości, dlaczego? — poprostu dlatego, że zastaje tam audytorjum kulturalniejsze, zwłaszcza kulturą myśli wyższe od swych słuchaczy w Metzu; to samo Bourdaloue. I samego Moliera twórczość na tym dworze się podnosi, dla tejże samej przyczyny; tego wykwintnego towarzystwa wersalskiego nie można już było bawić farsami, jakie wystarczały prowincji.

Posiew kultu myśli, rzucony przez Descartes'a, tu na dworze dojrzywał; tutaj tą myślą pogłębiały się problemy, które w dawnych wiekach tylko nielicznych wybranych zajmowały, a które odtąd stają się problemami życiowymi coraz szerszych warstw. Kiedyś Francja — jak nasza Polska szlachecka — politykowała, i to namiętnie — dowodem wojny domowe, krwawsze stokroć od naszych rokoszów. Ludwik XIV położył temu kres; myśl o państwie, o sprawach publicznych zmonopolizował dla osoby króla, i dokazał tego, że naród mu przyklasnął, zgodził się na to, oddał królowi pieczę nad sprawami politycznymi. Ale sam był za kulturalny, by oddać się jedynie przyjemnościom zewnętrznym, by tę myśl rozbudzoną tchnieniem odrodzenia i filozofją Deskartes'a zawiesić, że tak powiem, na kołku. Nie mogąc jej zwrócić ku sprawom publicznym, zwrócił ją w głąb swego *ja* ogólnoludzkiego; i z tego to wyszła ta przebogata literatura francuska wieku XVII, której hasłem jest nie „*de re publica emendanda*“, o naprawie rzeczypospolitej (jak u nas), ale o naprawie jednostki, o *naprawie człowieka*, o naprawie swego *ja*; do tego służy owo poznanie *człowieka*, jakim on jest zawsze i wszędzie. Nie jest to *ja* romantyzmu, *ja* jednostki samej dla siebie, w czem ona różni się od innych;

ale *ja* klasycyzmu, obejmujące cechy wspólne wszystkim ludziom; jest *ja sub specie aeternitatis*, którego studjum wydało samego Moliera i Bossueta, Pascala i La Bruyére'a, nie pomijając La Fontaine'a i całą tę plejadę imponującą, jakiej w tej liczbie i sile już sama Francja nie wyda po raz wtóry.

Mimowoli nasuwa się uwaga, że Polsce takiej epoki absolutyzmu kulturalnego brakło; brakło nie tylko dworu koncentrującego kulturę i promieniejącego nią na kraj, ale brakło tego zmuszenia myśli do skupienia się w sobie, do stężenia, któreby tej myśli dało przewagę w duszy zbiorowej narodu nad uczuciem i wyobraźnią. U nas, przeciwnie, nieprzerwane niczem życie polityczne ciągle utrzymywało ferment uczucia w duszy narodu, nie pozwalając jej się skupić, by wydobyć na czoło życia rozum, myśl. Kształciliśmy Polaka-obywatela, zaniedbaliśmy kształcenie *człowieka*. Tego byłby dokonał we właściwej porze absolutyzm kulturalny, jak dokonał tego we Francji; a dokonał nie jako ślepa siła — ta co czasem „zło zamierza a dobro czyni“, ale jako świadomy wysiłek dla dobra narodu. Dwór był tego wysiłku narzędziem i świetnym przejawem, dwór królewski wogóle — od Franciszka I poczynawszy — a już w szczególności ten, który stał się dworem *par excellence* w dziejach i literaturze, dwór Ludwika XIV.

M. Paciorekiewicz.

Filozoficzna jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych.

(Ciąg dalszy).

Po bokach tylnej powierzchni gruczołów tarczycowych leżą dwie zwykle pary gruczołków, postaci soczewkowatej, t. zw. gruczoły przytarczycowe (*glandulae parathyreoideae*), albo inaczej także, ciała nabłonkowe. Są one tak drobne — każdy z nich ma zaledwie kilka milimetrów długości, a 2 do 4 mm szerokości — że długi czas anatomici ich nie dostrzegali, dopiero Virchow w r. 1864 zwrócił na nie uwagę, a dokładnie je zbadał Sandström w roku 1880 i opisał, jako przyboczne gruczoły tarczycowe. Ciała nabłonkowe powstają u człowieka z nabłonka trzeciej i czwartej kieszeni skrzelowej. Jak wiadomo mianowicie, nie tylko u ryb, ale też u zwierząt ssących, a więc i u człowieka, górna część przewodu pokarmowego w pierwszych etapach rozwoju płciowego tworzy kilka łuków chrząstkowych, a między nimi wgłębienia, z których powstają następnie części nabłonkowe, t. zw. kieszenie skrzelowe. Łuki te u zwierząt wyższych i człowieka następnie kostnieją, podlegają licznym przemianom i tworzą u człowieka i kręgowców podstawę zawiązku części szkieletu twarzowego, a także i kości, wchodzących w skład narządów zmysłowych i oddechowych; są to kostki narządu słuchowego, mianowicie młoteczek, kowadełko i strzemiączko, trzon kości gnykowej i chrząstka tarczycowata krtani. Otóż właśnie z trzeciej i czwartej pary takich kieszeni skrzelowych powstają nasze gruczoły przytarczycowe, mianowicie z komórek nabłonkowych, wyścielających te kieszenie. Stąd też odpowiednio w budowie wewnętrznej tych gruczołów dostrzec można grupy, a nawet listki, utworzone z komórek nabłon-

kowych, a więc gruczołowych, zanurzone w warstwy tkanki łącznej, a między nimi stwierdzić nawet można pęcherzyki, wypełnione płynem koloidalnym.

Dawniej, aż do czasów ostatnich, nieznanem było znaczenie tych ciałek nabłonkowych, dziś wiemy już, że wydzielają one ze siebie inkrety, które wchodzą wprost do naczyń krwionośnych włoskowatych, zasilanych przez arterję tarczycową. I nigdzie może tak jaskrawie, jak na tych drobnych gruczołkach przytarczycowych nie występuje działanie i znaczenie inkretów dla organizmu. Wycięcie wszystkich ciałek nabłonkowych, tych z trudnością dostrzegalnych tworów, powoduje niechybnie śmierć, jak to na zwierzętach stwierdzono, a mianowicie po tem wycięciu dostaje zwierzę tężec, t. j. skurcze spazmowe mięśni, oddycha gwałtownie, toczy pianę i ginie. Chorobą tą, zwaną w medycynie: *tetania parathyreopriva*, przypisuje Koch i inni zatruciu organizmu przez guadininę, substancję znajdującą się także i w mięśniach a będącą produktem rozkładowym białka. Wyciągają stąd autorowie wniosek, że inkrety ciałek nabłonkowych mają za zadanie regulowanie przemian materji, odbywających się pod wpływem guadininy, a stąd i napięcie muszkułów szkieletowych. Z tego powodu też przypuszczają, że niektóre choroby analogiczne, jak taniec św. Wita i epilepsja powstają skutkiem funkcyjnych zaburzeń ciałek nabłonkowych i wynikającego stąd braku odpowiednich inkretów, jakie normalnie te ciała do organizmu wlewają.

Oddziaływanie powyższe ciałek nabłonkowych na skurcze mięśni, usiłują fizjologowie tłumaczyć przez wpływ, jaki te ciała wywierają na przemianę materji w organizmie — zwłaszcza na wapno, które w postaci soli fosforowych i węglowych wchodzi w skład nie tylko kości i zębów, lecz także i innych części, zwłaszcza mięśni i krwi. Wapno ma tu, jak stwierdziła najnowsza fizjologja, do spełnienia zadanie bardzo ważne, mianowicie jego obecność reguluje działanie nerwów, obniżając znacznie ich pobudliwość. Najlepiej to oddziaływanie wapna na tkankę nerwową stwierdzić można za pomocą zjawisk elektrofizjologicznych. Gdy naprzykład odpreparuje się mięsień udowy żabi wraz z nerwem i ten nerw podrażni się prądem elektrycznem, to na każde po-

drażnienie mięsien odpowie silnym skurczem, byle prąd podrażnienia był dostatecznie silnym. Otóż gdy cewkę indukcyjną, z której bierzemy prąd drażniący, uregulujemy w ten sposób, że skurcze mięśnia są zaledwie dostrzegalne, czyli gdy wyszukamy tak zwane podrażnienie progowe i następnie na ten mięsień podziałamy kwasem, który odciągnie zeń wapień, zobaczymy, że teraz wystarczy prąd kilka razy słabszy, by mięsień do skurczów pobudzić. Otóż podobne zjawisko podwyższenia pobudliwości widzi się właśnie u zwierząt, którym wyjęto ciałka nabłonkowe, a także i u ludzi, chorych na tężec, w których to wypadkach stwierdzono również, że ilość wapnia w krwi się zmniejsza, a natomiast powiększa się ona w moczu i wydalinach. Gdy zaś zastrzyknie się podskórnie roztwory soli wapniowych, pobudliwość znowu opada.

Również niekorzystny wpływ braku ciałek nabłonkowych dostrzeżono także i na tworzenie się zębów i kostnienie. U królików w 6 do 10-ciu tygodni po operacji, w której usunięto zwierzęciu całkowicie ciałka nabłonkowe, prócz zwykłych objawów nerwowych tężca, występowały białe plamy na zębach, które w miarę wzrostu zęba zbliżały się powoli do końca zęba. Plamy te wskazywały na niedomaganie w zwapnieniu substancji zębowej, czyli dentyiny i brak szkliwa, to też ząb taki łatwo się ukruszał, a na miejscu ukruszenia powstawały wrzody. Nie pomagało nic karmienie tych zwierząt ciałkami nabłonkowymi, gdy jednak ciałka takie, pochodzące oczywiście od innych osobników, wszczepiono im w śledzionę lub mięśnie, zwierzęta przychodziły napowrót do zdrowia, objawy nerwowe ustawały, a nadto zniknęła też i choroba zębów, które zagoiły się i rozwijały się nadal normalnie.

Stwierdzono też przy tego rodzaju doświadczeniach, że nie wystarcza zalewać organizmu wewnątrznie wapnem, do wyzdrowienia konieczna jest w organizmie obecność ciałek nabłonkowych, a więc doprowadzania doń owych tajemniczych tworów, hormonów, których wapno zastąpić nie zdoła. Stwierdzono też dowodnie, że i do normalnego wzrostu i rozwoju kości, jakoteż do kostnienia chrząstki, koniecznem jest współdziałanie ciałek nabłonkowych, gdyż inaczej potworzą się kości, podobne do tych, jakie napotyka się

u chorych na rachitis, a także i kostnienie chrząstki ulega zawieszeniu. Gdy na przykład zwierzęciu, któremu wyjęto ciała nabłonkowe, złamano kość goleniową, to w miejscu złamania zrasta się wprawdzie u niego goleń, lecz tylko za pomocą chrząstki, która jednak pozostaje miękką i gąbczastą i nie wapnieje tak, jak u zwierząt normalnych.

Z wszystkich tych przytoczonych tu badań i doświadczeń widzimy, jak olbrzymia, a nawet niezbędna jest rola, którą ma do spełnienia w organizmie tych parę drobnych ciałek nabłonkowych, tak drobnych, że istnienie ich przez tyle wieków zupełnie przeoczono. Nic też dziwnego, że przeoczyć tembardziej musiano ich znaczenie i działanie, które dopiero w ostatnich latach zaczyna się należycie oceniać, albo raczej tylko odgadywać, bo jeszcze daleko może nauce do całkowitego, wyczerpującego ich zgłębienia.

Pod wielu względami analogiczne i podobne jak ciało nabłonkowe skutki wywiera na organizm dalszy gruczoł bezprzewodowy, leżący w bliskim sąsiedztwie tych ciałek, znacznie od nich większy, t. zw. *grasica thymus*. Jest to organ parzysty, położony na przedzie ciała, poniżej gruczołu tarczowego. Grasica składa się z dwóch płatów, zwisających w kształcie stożków tak, że górne ich części są na szyji i dochodzą prawie aż pod gruczoł tarczowy, a dolne, mniejsze, leżą pod mostkiem, przylegając do przedniej powierzchni osierdza. Grasica powstaje, podobnie jak i gruczoł tarczowy, z entodermalnego nabłonka trzeciej kieszeni skrzelowej, a odznacza się tem, że u dziecka jest ona stosunkowo znacznie większa i pod każdym względem doskonalej rozwinięta, niż w wieku późniejszym człowieka, tak, że u starca prawie już zanika, chociaż nie całkowicie. U noworodka ma ona długości 5 do 6 cm., szerokości u podstawy 3 do 4 cm., a grubości jeden cm., waży zaś 15 gramów. — W drugim roku życia dziecka waży ona 25 gr., w okresie dojrzewania płciowego dochodzi do 40 gr., następnie jednak zmniejsza się szybko tak, że w 45-tym roku życia waży 10 gramów, ma więc widoczny związek z płciowym życiem organizmu. Płat jej każdy powleczonej jest tkanką łączną, pod którą rozróżnić można już z zewnątrz liczne zrazy, płatki, u noworodka w liczbie około dwudziestu, z których

cała grasicca się składa. W zraziku każdym, mającym przekroju około 20 mm, rozróżnić można ciemniejszą substancję korową i jaśniejszą rdzeniową, których podstawowe rusztowanie tworzy siatka, zbudowana z wielkich komórek nabłonkowych, łączących się między sobą delikatnymi wypustkami, a stanowiących ów pierwotny nabłonek kieszeni skrzelowej, z którego grasicca właśnie pochodzi. Wśród nich, między okami siatki, znachodzą się małe komórki, barwiące się ciemniej i nadto nagromadzenia komórek nabłonkowych pochodzenia mezodermalnego. W późniejszym wieku elementa komórkowe zanikają, a ich miejsce wypełnia tkanka tłuszczowa, ten najniższy, rozkładowy prawie twór organizmu.

Ma więc grasicca budowę typowo gruczołową, lecz przewodu gruczołowego zupełnie nie posiada. Mimo to wpływ jej na organizm i jego nawet najistotniejsze funkcje jest bardzo znaczny, jak o tem można sądzić także i z objawów, jakie się znachodzą przy nieprawidłowościach chorobowych tego organu. Tak np. podaje Klose, że przerost grasicy oddziałuje na skład krwi niekorzystnie, mianowicie pomnaża w niej znacznie liczbę ciałek białych. Podczas gdy normalna ilość tych ciałek wynosi 7.000 w milimetrze sześciennym krwi, to przy przeroście grasicy liczba ta zwiększyć się może do 18.000. Pokazały dalej doświadczenia, że grasicca wywiera także wybitny wpływ na asymilację wapna w organizmie, co znów odbija się bezpośrednio lub pośrednio na procesie tworzenia się kości u osobników młodych. Gdy młodym, płciowo niedojrzałym jeszcze zwierzętom wycięto grasicę, zauważono już po czterech tygodniach w systemie kostnym zmiany, podobne do tych, które powstają po wycięciu gruczoła przytarczycowego: piszczela kostne odnóż stawały się miękkie, i powstawały na nich kuliste narośla, zaś chemiczne badania moczu, porównywane z ilością wapna, wprowadzanego do organizmu z pożywieniem, wykazywały, że organizm, to znaczy kości i inne tkanki traciły na zawartości w nich wapna. Natomiast zarówno zwierzęta dorosłe, jak i starzy ludzie, znosili wycięcie grasicy bez widocznej szkody. Psy, którym wyjmowano grasicę w ich dziesiątym dniu po urodzinach, przestawały rósć, a kości ich wykazywały zmiany chorobliwe, opisane powyżej, natomiast operacja podobna,

wykonana u psów dwudziestodniowych nie pociągała już za sobą żadnych złych następstw. Wogóle więc trzeba wedle dotychczasowych badań uważać grasicę za gruczoł, którego inkrety służą głównie do pobudzania organizmu, mianowicie szkieletu kostnego, do szybkiego wzrostu, przez regulowanie przemiany wapna w organizmie. Grasica ma za antagonistę, przeciwnika, w organizmie gruczoły płciowe, których inkrety przeciwdziałają jej inkretom. To też gdy gruczoły płciowe dochodzą do najwyższego rozwoju, grasica maleje znacznie, a wzrost organizmu zaczyna się zwalniać, aż wreszcie ustaje. Inkrety grasicy mogą działać także i wtedy, gdy karmimy zwierzę obcemi grasicami. Ciekawe niezmiernie rezultaty otrzymał pod tym względem Abderhalden, w ciągu swych trzydziestu doświadczeń, w których karmił świeżemi grasicami kijanki żabie. Po dwudziestu dniach takiego odżywiania dosięgnęły kijanki długość do 389 mm, podczas gdy ich siostrzyce, normalnie karmione, doszły co najwyżej do 292 mm, przyczem jednak przemiana larwalna u kijanek, karmionych grasicą, doznawała zahamowania.

Z kolei rozpatrzeć należy dwa gruczoły, stojące anatomicznie i topograficznie w związku z mózgiem. Jeden z nich to t. zw. przysadka (*hypophysis*), a drugi, ciało szyszczokate (*corpus pineale*). Pierwszy, przysadka mózgowa, jest to twór owalny, drobny, bo zaledwie na półtora centymetra szeroki, dwa cm. gruby i pół cm. wysoki, i ważący około pół grama. Mimo to składa on się z dwóch, albo raczej z trzech płatków, różniących się zasadniczo między sobą nie tylko budową, ale i pochodzeniem. Płat przedni, większy, pochodzi, podobnie jak gruczoł tarczowy, z nabłonka wyścielającego zagłębienia pierwotne jamy ustnej, to też ma typową budowę gruczołową; składa się mianowicie z listków i sznurów utworzonych przez komórki, wśród których rozróżnić można dwa główne typy; — jedne są większe, o ziarnistej protoplazmie i małym jądrze, inne mniejsze, o bezziaarnistej, trudno barwiącej się plazmie, okalającej wielkie jądro. Płat tylny przysadki jest natomiast utworzony z tkanki nerwowej, mianowicie z tak zwanej neuroglii, poprzetykanej włóknami nerwowymi, biegnącemi od podstawy mózgu do jego przedniego płata i ta część przysadki jest właściwie dalszym ciągiem

lejka mózgowego. Pochodzi też z podstawy międzymózgowia, od którego początkowo oddziela się jako pusta rurka, a potem nabiera przez wzrost neuroglii wewnętrzna pustka jego wypełnia się całkowicie. To też cała przysadka mózgowa w stanie rozwiniętym jest częścią mózgu, mianowicie należy do międzymózgowia, z którym jest połączona za pomocą stylika i zwiesza się poniżej skrzyżowań nerwów wzrokowych, pomiędzy mózgiem a błoną, powlekającą mózg, zwaną: *dura mater*. Płat średni przysadki mózgowej u zwierząt niektórych jest silnie rozwinięty, u człowieka natomiast jest w zaniku, i przedstawia się tu tylko jako szereg przestrzeni wolnych, wypełnionych płynem koloidalnym, a wyścielonych komórkami nabłonkowymi.

Ten tak drobny a skomplikowany organ wywiera swemi inkretami, których jest, zdaje się, wiele rodzajów, wpływ wielki na cały organizm. Przedewszystkiem zauważono, że inkrety te podnoszą bardzo ciśnienie krwi, przy równoczesnym zmniejszeniu skurczów serca. Zjawisko to obserwować można zwłaszcza przy zastrzyknięciu pituitryny, preparatu, uzyskanego ze średniego płata przysadki wołu, przyczem rozwój słaby, bo jednodziesięciotysięczny już wywołuje widoczne objawy. Jak wiadomo, nerw błędny, dochodzący do serca, podrażniony, także wywołuje zwolnienia skurczów serca, jednak pituitryna działa na serce nawet wtedy, gdy ten nerw przetniemy, a więc dowód to oczywisty, że oddziałuje ona na serce wprost, a nie za pośrednictwem nerwu błędnego. Crawford sporządzał z przysadki wyciągi alkoholowe, które wstrzyknięte psu w ilości bardzo drobnej, sześćnastu stusetnej części miligrama, podnosiły ciśnienie krwi u tego zwierzęcia aż o 66 mm rtęci.

Leschke otrzymywał nadto preparaty z przysadki, które zastrzyknięte do żyły, zmniejszały zarówno u chorych na cukrzycę, na zapalenie nerek, jak i u zdrowych, wydzielanie moczu, przyczem koncentracja moczu znacznie wzrastała. Działa też przysadka i na organa tak daleko od niej położone, jak gruczoły zarodkowe. U osobników, dotkniętych niektórymi chorobami przysadki, dostrzeżono mianowicie atrofią, czyli zmarnienie jąder, zaś pewne tumory przysadki powodują nawet zanik drugorzędnych cech płciowych i two-

rzenie się pokładów tłuszczowych na biodrach i piersiach, podobnie jak u eunuchów. Niektórzy chcieli ten objaw przypisywać naciskowi, jaki tumor przysadki wywiera na mózg, lecz twierdzenia tego nie da się utrzymać wobec faktu, że opisane powyżej zjawiska występują także po wycięciu przysadki, a więc widoczną jest rzeczą, że chodzi tu o brak inkretów, które organizmowi dostarcza przysadka w zwykłych warunkach. To też zażywanie *hypophisyny*, ekstraktu z przysadki sporządzonego, zapobiega tym objawom chorobliwym u tych, którym przysadkę wycięto. Pewne przerosty przysadki spowodować też mogą nadmierny wzrost ciała, tak zwaną akromegalią, której zapobiec można przez zabieg operacyjny, wykonany na przysadce, co dowodzi, że istnieje także związek między inkretami, wytwarzanymi przez przysadkę, a wzrostem szkieletu.

Drugi gruczoł bezprzewodowy, należący do mózgu, to ciało szyszkowate (*corpus pineale* albo *epiphysis*), który jest częścią tak zwanego zawzgorza mózgowego (*metathalamus*), i leży z tyłu mózgu powyżej mózdzka, na tylnym krańcu pagórka wzrokowego. Jestto organ bardzo mały, bo zaledwie 8 mm długi, a 6 mm szeroki, ważący piątą część grama. Zauważyć go można już w piątym tygodniu życia płodowego, gdzie powstaje przez wypuklenie nabłonkowej przykrywy międzymózgowia, więc należy do mózgu. To też ciało szyszkowe całkiem rozwinięte składa się ze zbitych razem komórek gliji nerwowej, pomiędzy które po siódmym roku życia zaczynają wciskać się wytwory tkanki łącznej, na niej zaś osadzają się następnie ziarenka z węgla i fosforanu wapniowego i magnezjowego, widzialne nawet gołym okiem a znane pod nazwą piasku mózgowego (*acervulus*). W komórkach neuroglii ciała szyszkowego, można zauważyć ziarenka, barwiące się barwikami kwaśnymi, które uważają autorowie za widzialny wyraz inkretów, wytwarzanych przez ciało szyszkowe. Że takie inkrety istnieją, można uważać za rzecz pewną, lecz z powodu położenia ciała szyszkowego przy samym mózgu i jego drobnych rozmiarów, operacje, a tem samem badania doświadczalne są niezmiernie utrudnione, tak, że fizjologowie różnią się w poglądach na działanie tych inkretów. Przy tumorach ciała szyszkowego dostrzeżono na-

przykład u chłopca sześciolatniego tak szybki rozwój psychiczny i fizyczny, że inteligencją i rozwojem płciowym równał się on chłopcu siedemnastoletniemu, przyczem odznaczał się bardzo wesołym usposobieniem. Niektórzy sądzą, że inkrementy, wytwarzane przez ciała szyszkowe, działają korzystnie na funkcje psychiczne i rozwój władz wyższych, i dlatego przepisują dzieciom odżywianie się preparatami, zrobionymi z ciał szyszkowych. Ale dopiero daleka może przyszłość wykaże, o ile ich nadzieje są słuszne, w każdym razie dziś za fakt przyjąć trzeba, że ciało szyszkowe jest gruczołem bezprzewodowym, i że jego inkrementy mają ważną rolę do spełnienia w życiu i rozwoju organizmu.

Jednym z najwybitniejszych gruczołów bezprzewodowych jest bezsprzecznie t. zw. nadnercze, nad którym pracują już fizjologowie i patologowie od dawna i które dostarczyło już medycynie bardzo cennych preparatów o zupełnie stwierdzonem oddziaływaniu. — Nadnercze (*glandula suprarenalis*) jest to organ parzysty, składający się z dwóch gruczołów, o postaci trójkątnej, spłaszczonej, z których każdy spoczywa na jednej nerce, oddzielony od niej pokładem tkanki łącznej i tłuszczowej. Nadnercze prawe leży na nerce prawej, na górnym odcinku jej przedniej powierzchni i ma kształt trójkątny, nadnercze lewe, o kształcie raczej półksiężycowatym, spoczywa na nerce lewej przykrywając górną i środkową część jej powierzchni przedniej. Każdy z tych gruczołów waży 11 do 18 gr. przy długości 4 do 6 cm. i szerokości 2 do 3 cm. W budowie wewnętrznej nadnercza dostrzec można odrazu dwie warstwy, różniące się nie tylko barwą i kształtem, lecz nawet pochodzeniem, każda z nich bowiem zakłada się osobno i potem dopiero się łączą razem u człowieka, u zwierząt zaś niektórych niższych istnieją one każda z osobna, tworząc dwa oddzielne organy. Warstwa górna, korowa, której barwa żółto-brunatna prześwieca przez spoistą kapsułkę, otaczającą nadnercze, utworzona jest z komórek, grupujących się pod powierzchnią nadnercza w gromadki, które następnie, idąc ku wnętrzu gruczołu, ustawiają się w słupki i wreszcie w siatki. Protoplasma tych komórek zawiera w sobie kuleczki lipoidalne, jasnego koloru. Dolne warstwy siateczek substancji

korowej mieszają się już z komórkami niższej, wewnętrznej warstwy nadnercza, z tak zwaną substancją rdzeniową, która ma budowę miękką i raczej kleistą, o barwie szarej, i obejmuje komórki duże, odznaczające się wyglądem bladym, ziarnistym, a zawierające prócz wielkiego jądra liczne ziarenka barwikowe i tłuszczowe. Kolossow i Landau wykazali istnienie u komórek substancji korowej, wspomnianych wyżej, mostków międzykomórkowych, to znaczy wypustek plazmatycznych, przechodzących z jednej komórki do drugiej, a podobne mostki znalazł nadto Landau także i u komórek substancji rdzeniowej. Co do pochodzenia, to substancja rdzeniowa zakłada się w jamie ciała z tego samego nabłonka, co gruczoły rozrodcze, natomiast część rdzeniowa powstaje wraz ze zwojami nerwu sympatycznego jamy brzusznej. To też i inkretami różnią się obie te substancje zasadniczo, podczas gdy bowiem z substancji rdzeniowej otrzymujemy adrenalinę, to substancja korowa dostarcza tak zwanej choliney.

Już w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia udało się badaczom, jak Vulpusowi i Virchowowi, wydobyć z komórek rdzenia nadnercza substancję swoistą nazwaną z tego powodu adrenoliną, którą następnie przez odpowiednie badania barwikowe wykryć można w roztworach tak słabych, że na jedną część tej substancji przypada trzydzieści milionów rozpuszczalnika. Metody później wynalezione doszły pod względem otrzymywania adrenaliny z nadnercza do takiej doskonałości, że adrenalinę otrzymywano w stanie krystalicznym i wreszcie nauczono się wytwarzać ją sztucznie, syntetycznie. Stwierdzono też, że u człowieka na 100 kilo wagi ciała przypada 8 mg adrenaliny i że taką ilość wlewają gruczoły nadnercza w krew ciała człowieka dwadzieścia razy na dobę. Cyfra ta oczywiście nie jest zupełnie ścisła, obliczono ją bowiem z analogji, branej z doświadczeń, czynionych nad kotami, którym robiono przetokę w nadnerczu i obserwowano ilość i jakość cieczy wypływającej. Pokazało się, że na minutę otrzymywano średnio 1·2 cm. sześciennego cieczy, z której w ciągu doby wydobyto 5 mg adrenaliny. Autorowie różnią się też co do danych powyższych, ale jest faktem, że idąc za najskromniejszymi nawet przypuszczeniami, koncentracja

adrenaliny w krwi naszej nie jest większą ponad jeden do 500 milionów. I taka koncentracja wystarcza do wywołania zamierzonych przez przyrodę w organizmie skutków! A skutki te i oddziaływania adrenaliny są bardzo silne i ważne.

Wyciąg z substancji korowej nadnercza, wstrzyknięty do zwierzęcia zdrowego, wywołuje silne zwężenie arteryj i idące bezpośrednio za tem wzmożenie ciśnienia krwi, zwolnienie uderzeń pulsu, a nawet zatrzymanie skurczów przedsiionka serca, przyczem zmniejsza się znacznie, a nawet zupełnie ustaje wydzielanie moczu, oddech staje się krótki i przyspieszony, a gdy dawka zbyt wielka, następuje śmierć przez porażenie centralnego systemu nerwowego i serca. Z drugiej jednak strony wycięcie całkowite obu gruczołów nadnercza również jest zgubne dla organizmu i powoduje zgon przy oznakach zatrucia powolnego, osłabieniu, ubytku na wadze ciała i obniżeniu temperatury, co wskazuje na to, że inkrety nadnercza obok oddziaływania silnego na system nerwowy, mają za zadanie niszczenie w organizmie pewnych substancyj trujących, które się tam wytwarzają. Co do działań adrenaliny na czynność serca, to doświadczenia angielskich badaczy Brodiego i Dixona stwierdziły dowodnie, że adrenalina atakuje bezpośrednio zakończenie nerwu sympatycznego, który dochodzi do serca, a nie mięsień serca, gdy bowiem to zakończenie przez oddziaływanie porażającej substancji, np. ergotoksyny, wyłączono wtedy podziałanie na serce zwierzęcia adrenaliną nawet w większej ilości nie wywierało żadnego na skurcze serca wpływu. Także i na ruch robaczkowy jelita oddziałuje adrenalina, osłabiając go bardzo wybitnie. Działanie jej jest tu tak silne, że po wstrzyknięciu do żyły roztworu adrenaliny rozcieńczonego w stosunku jeden do 30 milionów występuje znaczne zmniejszenie ruchu robaczkowego kiszek, silne ściągnięcie mięśni zamykających i zwężenie naczyń krwionośnych kiszek. Zresztą wogóle hormony silny wpływ wywierają na ruch robaczkowy kiszek. Adrenalina, jak dopiero co widzieliśmy, go zwalnia, wyciąg z przysadki, pituitrina, go przyspiesza, a czyni to samo także i inkret gruczołu tarczycowatego, gdyż po wycięciu tego gruczołu następuje zawsze obstrukcja, która po spożyciu gruczołów tarczycowych lub zastrzyknięciu wyciągu z tego gru-

czołu zamienia się wnet na rozwolnienie. Zauważyć tu jednak należy, że to działanie inkretu gruczołu tarczycowego nie jest bezpośrednie na nerwy lub mięśnie kiszek, lecz odbywa się w ten sposób, że inkret tego gruczołu zwiększa pobudliwość nerwu błędnego, którego jedna gałąź dochodzi do kiszek i który ma tu za zadanie przyspieszać ruch robaczkowy; gdy więc przez wycięcie gruczołu tarczycowego zabraknie pobudki pochodzącej z jego inkretu, słabnie też i działanie pobudzające nerwu błędnego na ruch robaczkowy kiszek.

Inkrety wywierają swe działanie nawet na takie zjawiska w organizmie, jak temperatura i wytwarzanie ciepła. Zastrzyknięcie adrenaliny w żyły, wzmacnia wnet temperaturę organizmu, a podobne skutki wywołuje także inkret gruczołu tarczycowego i przysadki, tylko że sposób bezpośredniego oddziaływania jest inny. I tak adrenalina sprawia przede wszystkim zwężenie naczyń krwionośnych i z tego powodu krew odpływa od powierzchni ciała do jego wnętrza i stąd mniej traci swego ciepła na zewnątrz, a więc nie tak szybko stygnie. Chociaż więc bezwzględna ilość wytwarzanego ciepła w organizmie się nie zmieniła, to jednak temperatura jego wzrosła, gdyż zwolniło się ostudzenie organizmu przez oddawanie ciepła na zewnątrz. Inaczej natomiast działają inkrety tarczycowe i przysadki. Te mianowicie przyspieszają utlenianie w komórkach ciała, i przez to sprawiają, że wytwarza się w organizmie znacznie więcej ciepła, przez co temperatura organizmu wzrasta. Przyczyny więc różne, a skutki te same. Małeńki ten, lecz interesujący obrazek z wewnętrznego życia organizmu pokazuje, jak tam niezmiernie skomplikowane odbywają się procesa i wzajemne oddziaływania, o których ludzkość dotychczas nic a nic nie wiedziała, a ileż tam jeszcze do zbadania tajemnic, ile do rozwikłania zagadek mieści się w tem jednym, tak prostym pojęciu, które obejmujemy wyrazem: życie!...

Że i na psychiczne stany i zjawiska nie pozostają bez wpływu inkrety, to można było łatwo przewidzieć z ich oddziaływań na system nerwowy. Cannon i de la Paz stwierdzili jednak ten wpływ i bezpośrednio doświadczeniem. — Kazali oni mianowicie psom przez czas dłuższy oszczekiwać

koty, co oczywiście wprawiało te koty w wielkie rozdrażnienie i podniecenie nerwowe, poczem badali ich nadnercza. Pokazywało się zawsze, że po takim podnieceniu ilość adrenaliny w ich nadnerczu była stale zwiększona. Do podobnego rezultatu doszedł także Hopkins w doświadczeniach na zwierzętach, które podniecał psychicznie i drażnił, zadając ból nerwom obwodowym, zapewne przez bicie. Z tych doświadczeń wyciągają niektórzy autorowie interesujący wniosek. Jak wiadomo z codziennego doświadczenia, gniew lub inne psychiczne gwałtowne wzburzenia, wywołują u człowieka takie same objawy, jakie widzimy przy zastrzyknięciu adrenaliny, a mianowicie: rozszerzanie się źrenicy, wzmożenie ciśnienia krwi, przyspieszenie bicia puls, obstrukcję. Otóż można sobie to tak wytłumaczyć, że podobnie jak u wspomnianych powyżej kotów, podrażnienie psychiczne oddziałuje przez system nerwowy na wzmożenie adrenaliny w nadnerczu, a ta wylewając się do krwi w znaczniejszej niż zwykle ilości, wywołuje wspomniane objawy. Znaczyłoby także, że wytwarzanie się i oddziaływanie inkretów odbywać się może momentalnie, prawie natychmiast.

(Dok. nast.).

Ks. F. Hortyński.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

H. Pérennes: *Les psaumes, traduits et commentés*. Z przedmową O. Condamina. Saint-Pol-de-Leon (Finistère). Str. XXII + 320.

Tekst łaciński psalmów w Wulgacie jest starym przekładem z przekładu greckiego (LXX), poprawionym tylko przez św. Hieronima według tekstu heksapłarnego Orygenesusa. Przekład grecki jest w wielu ustępach niedokładny, przeto niezrozumiały (tłumacze nie zawsze dobrze rozumieли tekst hebrajski, przekładali przytem niewolniczo), wady więc jego przeszły następnie do tekstu łacińskiego Wulgaty, jak również do wszystkich przekładów z niej dokonanych. Z tego powodu, choć Psalterz był i jest księgą modlitw i pieśni religijnych, jest on dla wielu często trudny do zrozumienia, i dlatego nieznany. Wadę tę można do pewnego stopnia usunąć przez przekład z tekstu oryginalnego i rzeczywiście tekst wielu nowych przekładów Psalterza z tekstu hebrajskiego dokonanych, zupełnie inne daje pojęcie o treści, pięknie i wzniosłości uczuć natchnionych jego pieśni. Jednakże pod jednym warunkiem, a mianowicie, aby tłumacz trzymał się wiernie tekstu hebrajskiego i nie wprowadzał do niego zbyt radykalnych zmian.

We Francji jest kilka już przekładów Psalterza z tekstu hebrajskiego; przekładali: Crampon, Lesêtre, Pannier — teraz przybywa nowy przekład X. H. Pérennes'a profesora z Quimper. Tłumacze dawniejsi starali się przedewszystkiem o wierne oddanie tekstu masoreckiego, (Crampon), nie zwracając uwagi na jego formę zewnętrzną (metryka, strofika), lub pewne braki, pochodzące ze skażenia tekstu. Tymczasem w ostatnich latach sprawa tekstu psalmów i metryki wogóle była bardzo żywo omawiana i znacznie została naprzód posunięta. H. Pérennes uwzględnił rezultaty prac ostatnich, i przez to właśnie przekład jego zyskał bardzo dużo na przejrzystości i jasności. Co się tyczy zmian w tekście hebrajskim, uwzględnił on tylko te, które na ogół są konieczne, oparte na dawnych przekładach i które są zgodnie proponowane przez wszystkich krytyków. Zmiany wprowadzone tłumacz wykazuje zaraz po tekście psalmów lub u dołu stronicy. Dobrze zaś postąpił, że pominął wiele innych zmian, proponowanych przez poszczególnych egzegetów, bo są one b. często dowolne i bezpodstawne.

Przez podział psalmów na wiersze metryczne (stychy) i na strofy Pérennes dał wytyczne wskazówki do ujmowania logicznego układu myśli

psalmów, bo, trzeba przyznać, w dzisiejszych podziałach na wiersze tylko jest trudno dość często odnaleźć tok myśli autorów.

Że autorowie psalmów trzymali się pewnych zasad metryki i strofiki, nie ulega wątpliwości. Jednakże we wszystkich przekładach forma metryczna i stroficzna zostały zatarte. Odnaleźć je dzisiaj trudno, bo nie mamy pewności, jakie to były ich zasady. Powoli, dzięki wysiłkom całego szeregu badaczy, wyjaśniamy tę zagadkę, ale do pewności jeszcze daleko, wśród egzegetów panują jeszcze dość rozbieżne poglądy. Pérennes poszedł za poglądami Zennera (*Die Psalmen nach dem Urtext*, Münster: W. 1906), ale niekiedy odstępuje od podanego przezeń podziału. Każdy psalm został podzielony na strofy, zawierające jedną ważniejszą myśl, przez co plan całego psalmu jest uwydatniony. Jednak podział tłumacza nie zawsze jest udatny, często sprzeciwia się logicznemu rozwojowi myśli i układowi psalmu.

Przekład sam jest ścisły i wierny, a nie zbyt niewolniczy — tłumacz unika hebraizmów („Dusza moja“=ja), — odznacza się on prostotą, jasnością i pewną elegancją zwrotów, na co pozwala bogactwo języka francuskiego. Czytając np. psalmy, które pod względem lirycznym wyżej stoją (psalmy Korachitów), można co chwila „odkrywać“ bogactwo uczuć i wzniosłość myśli, których w łacińskiej i polskiej szacie one nie mają.

Po przekładzie każdego prawie psalmu tłumacz dołączył krótkie uwagi, w nich wyjaśnia niektóre wyrażenia i podaje historyczno-archeologiczne wskazówki. Komentarz ten może fachowców nie zadowolnić, jednak dla zrozumienia psalmów jest on całkowicie wystarczający.

Ks. Józ. Archutowski.

Ks. Dr. Wł. Szczepański: *Palestyna po wojnie światowej. Światła i cienie*. Kraków, Wyd. „Przeglądu Powszechnego“ 1923, str. 405 i 2 mapki.

Wyprawa na Wschód jest w naszych warunkach zbyt kosztowna. Szczęśliwi więc, którym los ześle hojnych mecenasów! Ks. prof. Szczepański należał do nich, mógł cały rok prawie spędzić na Wschodzie, mógł na miejscu przypatrzeć się doskonale tamtejszym bardzo zmienionym po wojnie warunkom, ludziom i ich działalności. Co widział, co poznał — opisał w książce. W pracy swej przedstawił on dzieje i stan Palestyny w ostatnich czterech latach tj. od zajęcia jej przez wojska angielskie do końca 1922 r., a niektóre wiadomości pochodzą nawet z kwietnia b. r. Nie ta nowość jednak zasługuje na uwagę, ale raczej podkreślić trzeba wszechstronną i dokładną znajomość rzeczy, które opisuje. Ks. Prof. Szczepański ma bardzo bystre i spostrzegawcze oko, nic nie uszło jego uwagi, toteż w pracy swej uwzględnił on wszystkie zagadnienia Palestyny po wojnie.

Książka napisana jest żywo, gorąco, jakby „z pełności“ wiadomości, które zdobył przez osobiste zetknięcie z tamtejszymi ludźmi, i osobiste patrzeć na ich działalność. Informacje prasy palestyńskiej lub europejskiej były dlań tylko pomocą lub potwierdzeniem spostrzeżeń.

Najwięcej miejsca zajął sam problem Palestyny. Autor podaje dokładne wiadomości o podbiciu kraju przez Anglików, deklaracji Balfoura, mandacie palestyńskim i syjonizmie. Istotą tej części historyczno-politycznej jest zagadnienie syjonizmu i planów jego co do Palestyny. Syjoniści marzyli o utworzeniu pod opieką Anglii, państwa żydowskiego, nie zwracając uwagi, że nie tylko teraz, ale i przez długie lata będą stanowili w Palestynie ogromną mniejszość narodową (11,06%). Sokołow wprawdzie mówił, że ludność arabska jest niekulturalnym materiałem, z którym nie trzeba się liczyć, jednak ta ludność przez pogromy, a bardziej jeszcze przez bojkot wyborów dowiodła, że chce bronić swego stanu posiadania w Palestynie. Ks. Szczepański jest zdania, że polityczne zamiary syjonistów nie spełnią się, ostrzega więc krańcowych syjonistów przed zaostrzeniem sprawy i przypuszczalną klęską ich planów. Natomiast o syjonizmie umiarkowanych, który w Palestynie chce utworzyć siedzibę żydowską (nie państwo), wyraża się ogólnie, uznaje możliwość urzeczywistnienia jego planów, byle tylko zgodnie z miejscową ludnością arabską i bez obrażania uczuć religijnych chrześcijan plany owe przeprowadzano. Wszystko zależy od Anglii, tej reżyserki państwa żydowskiego. Zdaje się jednak, że tam inny wiatr teraz zawiął, że Anglia zrozumiała niefortunne swe stanowisko w sprawie Palestyny i wycofa się z roli opiekuna i dobrodzieja Izraela.

Bo problem Palestyny nie jest łatwy do rozwiązania. Do kraju tego mają pretensje Arabowie, którzy tam mieszkają w znacznej liczbie (78%) i oddawna (VII w. po Chr.), następnie chrześcijanie rozmaitych obrządków, którzy uważają Palestynę za kolebkę swej religii i mają w niej od-pierwszych wieków z małemi przerwami, swoje t. zw. sanktuarja, i wreszcie żydzi, którzy opuścili Palestynę już przed osmnastu wiekami, ale uważają ją za swoją dawną ojczyznę. Uzgodnić pretensje wszystkich — jest rzeczą wprost niemożliwą. Chrześcijanie z Arabami mogą żyć w zgodzie, i nawet zawarli oni z sobą związek, — sprawa więc sanktuarjów chrześcijańskich w takim stanie byłaby pozostawiona status quo. Z chwilą zaś rządów żydowskich, nietolerancyjnych, jak wiadomo, w najwyższym stopniu, chrześcijanom grozi wielkie niebezpieczeństwo (jak w Rosji). Toteż stolica Apostolska kilkakrotnie podnosiła głos w obronie posiadania sanktuarjów i niejedno już usunęła, ale wiele rzeczy dzięki angielsko-protestanckiej opiece jest w niebezpieczeństwie.

W części trzeciej opisuje autor rządy wojskowe i następnie od 1920 r. rządy p. Samuela jako W. komisarza Anglii, która od Ligi Narodów otrzymała mandat nad Palestyną. Wprawdzie kraj powoli przychodzi do spokoju po burzy wojennej, ale rządy nie zadowolili nikogo. Gdy Samuel po roku rządów wyjeżdżał do Anglii, ogólne było życzenie i przekonanie, że już więcej nie wróci. Ale wrócił i rządy sprawuje. Dlaczego niezadowolenie? Najbardziej rozgorączkowana ludność arabska, widzi bowiem niedotrzymanie przyrzeczeń i zobowiązań angielskich, widzi krzywdę, jaka jej się dzieje przez forytowanie żydów, narzucanie języka angielskiego i hebrajskiego, jako urzędowych. Arabowie nie mogą pogodzić się aby Palestyna miała stać się żydowską, jak Anglia jest angielska (hasło

syjonistów). To bowiem byłoby równoznaczne z wygnaniem ich z kraju. Tu też jest źródło owych pogromów, które kilkakrotnie już się zdarzyły i stale wiszą w powietrzu, jak również bojkotu przeprowadzonych wyborów, które stanowczo ich skrzywdziły (w ostatnich dniach maja Anglja unieważniła te wybory).

W ostatnich dwóch częściach autor mówi o zagadnieniach ekonomicznych Palestyny i sprawach naukowych. Pod wielu względami z tych dziedzin widzimy, że warunki życia palestyńskiego uległy bardzo wielkim zmianom w stosunku do przedwojennych, jak np. w dziedzinie komunikacji, rolnictwa, szkolnictwa, i to w znaczeniu dodatniem, zapowiadając lepszą przyszłość dla kraju, ale bardzo dużo rzeczy jest jeszcze do zrobienia lub pozostaje w sferze projektów lub marzeń na przyszłość, jak np. budowa kanałów, elektryfikacja. Projekty interesujące.

Książka prof. S. jest bardzo ciekawa. Czteroletni okres Palestyny po wojnie światowej został w niej przedstawiony wszechstronnie, a zarazem systematycznie i wyczerpująco. Dużo rzeczy można się z niej dowiedzieć o dzisiejszym stanie i warunkach tamtejszych. Oddał też przez nią prof. S. wielką usługę nie tylko bibliotece, ale też wszystkim, co interesują się sprawą Palestyny, a nie mogą w naszych czasach tam jechać.

Ks. Józef Archutowski.

A. Boudou, S. J.: *Le Saint-Siège et la Russie*. Paris Plos, 1922, XV+580 in 8°.

Przy końcu lutego 1922 przeniósł się do wieczności O. Paweł Pierling T. J., mając lat 80 i parę, znany i głośny w swoim czasie Jezuita, autor dzieł ważnych i pouczających o katolicyzmie w Rosji, a pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje znakomite jego studjum p. t. *La Russie et le Saint-Siège*. Ostatni piąty tom wydany w Paryżu w roku 1922, obejmuje panowanie Katarzyny II, Pawła I i kilkanaście lat pierwszych Aleksandra I. Następnie O. Pierling pracował dalej w tym kierunku, posuwając naprzód swoje studjum i owocem tego jest dzieło, o którego treści mamy tu mówić. W zupełności nieboszczyk O. Pierling nie zdążył dokończyć tego lecz zostawił rozmaite notaty, przygotowane materiały, a wszystko to wykończył, zebrał udatnie w jedną całość i wydał O. Adrjan Boudou, tak, że może to śmiało stanąć obok innych prac O. Pierlinga w tym zakresie.

Dzieło to przeważnie napisane na podstawie manuskryptów z Archiwów Watykańskich, literatura drukowana tego przedmiotu w różnych językach bardzo obficie podana i licznie tam reprezentowane książki rosyjskie, tak np. Bobrowskiego, Szulgina, Downara-Zapolskiego, Moroszkina, Popowa, Tołstoja e tutti quanti; cytowane są też pamiętniki Siemaszki (lecz pamiętniki Łużyńskiego z wspomnień - Zubki pominięte). Z dzieł polskich zaznaczone: Bielińskiego Uniwersytet Wileński, Encyklopedia Orgelbranda w 28 tomach, Likowskiego Dzieje Kościoła Unickiego w XVIII i XIX w., Czasy Nerona w XIX w., oto, chyba, wszystkie, ale w tekście cytowane są też inne, tyjące się tego przedmiotu.

Na początku, od str. 1—29, znajdujemy wstęp: krótki szkic stosun-

ków carów do Kościoła katolickiego, zaczynając od Piotra I na podstawie prac o tem O. Pierlinga. Rozdział I (29—64), rok 1814—1815, wprowadza nas na Kongres wiedeński, a więc utarczki dyplomatyczne kardynała Consalvi'ego ze Stackelbergiem, a oprócz tego Nesselrode'm, Razumowskim, a obok Consalvi'ego występuje Severoli, nuncjusz wiedeński. Papież chciał utrwalić położenie katolików w Rosji, która ze swojej strony postanowiło dać jak najmniej, a smutnej pamięci arcybiskup Siestrzencewicz nie mało zawad czynił i przeszkadzał sprawie katolickiej.

Rozdział II (64—99) r. 1815—1818: Aleksander wysłał do Rzymu generała Tuyll'a i odwołuje go, potem wyprawia tam Italińskiego; zasady Aleksandra o stosunku Kościoła do państwa, też kwestja poruszona przez Consalvi'ego; sprawy kościelne w t. z. królestwie kongresowem. Baron Thuyll (bo i tak go piszą) van Seroskerken, Holender, niedługo zostawał w Rzymie; jego misja nie udała się, a miał on sobie polecone 3 sprawy: zjednanie Stolicy Apostolskiej dla t. z. świętego przymierza, wyrobienie kapelusza kardynalskiego dla Siestrzencewicza i przeniesienie arcybiskupstwa mohylowskiego do Wilna i osadzenie tam w charakterze prymasa, z rozległemi przywilejami, Siestrzencewicza. Papież na to wszystko się nie zgodził. Generał-baron odwołany i Italiński na początku r. 1817 zajął jego miejsce, dalej prowadząc negocjacje, ale, widocznie, Aleksander już tak bardzo nie nalegał na owe 3 punkty, nie ustępując jednak od swoich żądań, wkraczających w zakres prawa kanonicznego, na co znowu Papież nie mógł przystać, więc się to naprzód wcale nie posuwało, lecz udało się Italińskiemu uregulować sprawy kościelne w Kongresówce, jako tako. Tutaj autor zahacza o konstytucję nową tego królestwa i słusznie bardzo, zaznacza, że w stosunku do Kościoła ta konstytucja odznaczała się tendencjami galikańskimi, febronianizmem z „artykułów organicznych“ Napoleona. Otóż udało się Italińskiemu wyjednać bullę z d. 12 marca 1818, powołującą do życia arcybiskupstwo warszawskie, potem w tymże roku d. 30 czerwca bullę, organizującą biskupstwa tamże i breve z 3 września t. r., upoważniające uniwersytet warszawski do wydawania stopni doktora teologii i prawa kanonicznego. Młode to królestwo wskutek wojen i zamieszek zubożało wielce i uposażenie biskupstw i kapitał zbiedniały bardzo, więc Stolica Apostolska pozwoliła na rzecz ich znieść tam pewną ilość bogatych klasztorów, upoważniając arcybiskupa Malczewskiego zająć się tą sprawą i w razie koniecznym skasować kilka klasztorów; ale nie takie były zamiary rządu miejscowego, który postanowił zrujnować 47 klasztorów, na co arcybiskup się nie zgadzał, ale był on wtenczas schorzały, cierpiący, już umierający, i organy rządowe wymogły na nim, że drżącą już i niepewną ręką podpisał ów dekret d. 17 marca 1819, a nazajutrz umarł. Papież protestował, zalecił X. Hołowczycowi, następcy Malczewskiego, zająć się rewindykacją tych klasztorów, ale to nic nie pomogło. Tą drogą, wskazaną przez rząd polski, poszli dalek Rosjanie i nikogo już nie pytając, niszczyli dalek domy Boże i siedziby zakonne.

Rozdział III (99—140) od r. 1815—1825, zawiera w sobie: masoni i pietyści w Rosji, Towarzystwo biblijne, popierane przez Siestrzencewi-

cza; znowu starania o kardynałstwo dla niego i osobiste usposobienie Aleksandra dla Kościoła katolickiego; mnóstwo ciekawych szczegółów i zajmujących rzeczy, które jednak opuścić musimy. Autor przebiega tu różne hipotezy o wierzeniach religijnych Aleksandra i rozmaite temu towarzyszące okoliczności, przychodząc do wniosku, że dotąd niema pewnych, autentycznych dokumentów, któreby upoważniały mniemanie, że Aleksander umarł jako katolik.

Rozdział IV (140—170) r. 1826—1830: koronacja Mikołaja, na którą wysłany był Mon. Tomasz Bernetti; Kościół łaciński, obiór nowego arcybiskupa mohylowskiego Cieciszowskiego; Kościół unicki; Unici za czasów Aleksandra I, matactwa Siemaszki i jego charakterystyka: pierwsze upomnienie z Rzymu bez skutku, tembardziej, że Leon XII prędko potem umarł, a rządy Piusa VIII niedługie były. Ustęp o Unji i o t. z. głównem seminarjum w Wilnie, które wydało tylu apostołów pomiędzy Unitami, skreślone, choć w krótkości, ale bardzo dobrze.

Rozdział V (170—213) poświęcony powstaniu polskiemu w r. 1831. Jest to kwestja drażliwej natury i zawila; inaczej na nią się zapatrują w Polsce, a inaczej zagranicą; autor, chcąc uniknąć krańcowości, postanowił, podobno, trzymać się maksymy, wygłoszonej przez Cyserona: *inple-risque rebus mediocritas optima est*, i źle na tem nie wyszedł. Rzecz naturalna, jest tu też mowa o odezwach Stolicy Apostolskiej do kleru polskiego; autor utrzymuje, że Grzegorz XVI miał na sercu los Polaków chciał bardzo jakąś im ulgę przynieść i w tym celu zawiązał pertraktacje z Mikołajem, który wiele obiecywał, lecz przyrzeczenia nie dotrzymał.

Rozdział VI (213—241) mówi o katastrofie z r. 1839, t. j. o gwałtownem oderwaniu paru milionów Unitów od Stolicy Piotrowej i przemocą ich przyłączeniu do panującego w Rosji kościoła i o zniszczeniu zupełnem Unji na Litwie i Rusi, zostawiając ją jeszcze w diecezji chełmskiej; protesty Papieża nie doprowadziły do niczego. Te dzieje u nas, w naszej literaturze, dokładnie i oddawna dobrze znane, ale ze strony cudzoziemców, po francusku, może, raz pierwszy tak ściśle historycznie opracowane i to na podstawie dokumentów z pierwszej ręki, co stanowi już wyjątkną autóra zasługę.

Rozdział VII (241—278) zatytułowany: wojna wydana Kościołowi łacińskiemu w r. 1840. Mikołaj, uporawszy się z Unitami, natychmiast zaczął walkę z obrządkiem łacińskim. Ciekawe to są ustępy o ks. Ignacym Pawłowskim, którego cesarz proprio motu mianował metropolitą mohylowskim, charakterystyka tego kapłana, „trwożliwego serca“, nielojalnie względem Rzymu postępującego i niekanonicznie dającego ślub Maksymiljanowi Leuchtenberskiemu z córką cara; również sprawa biskupa podlaskiego, ks. Jana Marcelego Gutkowskiego, znanego pasterza, gorliwego pracownika w winnicy Pańskiej, którego autor nazywa „sans reproche et surtout sans peur“, niechającego być niemyym świadkiem prześladowania Kościoła w Polsce i za to rząd go usunął z biskupstwa i internował na Białorusi, w Ozieranach, w klasztorze kanoników Regularnych Laterańskich.

Rozdział VIII (279—328) od r. 1840—1842 p. t. Obietnice niespeł-

nione, allokucja z r. 1842. Mikołajowi bardzo chodziło o to, aby wyjednać u Stolicy Apostolskiej potwierdzenie Pawłowskiego na arcybiskupstwie mohylewskim i kanonicznie pozbawić Gutkowskiego biskupstwa podlaskiego. Żeby to otrzymać, posłany był do Rzymu Fuhrmann z osobną misją (w tej misji są fakty zagadkowej natury, których tutaj nie poruszamy). Papież po długim wahaniu zgodził się uznać Pawłowskiego, a Gutkowskiego namówić, aby dla dobra Kościoła zrezygnował z biskupstwa podlaskiego; uczynił on to w zamian za niektóre koncesje dla katolików w Rosji i odwołanie niektórych ukazów, krępujących tam sumienia katolickie, co mu przez Fuhrmanna obiecano było, który po powrocie do Petersburga w lutym r. 1841 nagle i niespodzianie zupełnie umarł. Mikołaj następnie nie chciał słyszeć o tych koncesjach i zaraz w roku następnym skonfiskował wszelkie fundusze duchowne, podkopał istnienie klasztorów na zniszczenie przeznaczonych, tak się wywdzięczając za wyżej wspomnianą powolność Grzegorza XVI. Wtedy Papież, d. 22 lipca 1842, wystąpił ze znaną allokucją, wyświetlającą położenie Kościoła katolickiego w Rosji, bardzo ciężkie i przykre.

Rozdział IX (328—409) i Rozdział X (362—409), obejmujące nowe negocjacje dworu petersburskiego ze Stolicą Apostolską i ciągnące się od roku 1842 do roku 1845. — Bardzo dokładnie i szczegółowo przedstawiony tutaj przebieg tych rokowań i niby układów, korespondencja Mikołaja z Grzegorzem XVI też uwzględniona, ale tego wszystkiego nie będziemy tutaj dotykali, powiemy tylko ogólnikowo, że chociaż car wynurzał swoje, niby dobre usposobienie względem katolików, to jednocześnie wydawał nadal wrogie rozporządzenia, wręcz przeciwne przepisom Kościoła, przedstawiał do sakry biskupiej niegodne osoby, więc Papież na nie nie mógł się godzić, co znowu rozgoryczało cara i sprawa pojednania nie posuwała się naprzód.

Rozdział XI (409—469) p. t. Rok 1845. Żonę Mikołaja dla poratowania zdrowia wysłano do Palermo, on z nią też podążył i postanowił przy tej okazji być w Rzymie, aby nadal z Ojcem Świętym pertraktacje prowadzić, ale zawsze miał na widoku, wcale nie naprawiać szkód wyrządzonych Kościołowi katolickiemu u siebie, zgubnych ukazów nie cofać, wymagać, żeby Papież akceptował wszelkie jego bezprawia i przyjął taki stan rzeczy, jaki już był wprowadzony w Rosji; przymem wszystkim zaznaczał swoje dobre, niby, chęci dla katolików, narzekając na biskupów polskich, którzy jakoby intrygowali, oczerniali go przed Stolicą Apostolską; gdy zaś Papież żądał dowodów jego niby dobrego usposobienia, wskazując na to, co tam odmienić koniecznie było, to wymawiał się, że tego uczynić nie może, bo się to nie zgadza z prawami rosyjskimi. Autor bardzo detalicznie opisuje audjencje cara w Watykanie, choć to są rzeczy już znane, lecz nie brak tu, niektórych, nowych szczegółów ciekawych. O naradach Mikołaja z Lambruschini'm i kard. Acton'em też jest tu mowa. Sprawa t. zw. Matki Makryny Mieczysławskiej, która się w Rzymie znajdowała, nie została tam też pominięta. Autor pisał to przed wyjściem książki Ks. J. Urbana o tym przedmiocie, gdzie wszystko wyjaśnione dokładnie i wyczerpująco przedstawiono na podstawie nowych, nieznanych

dotąd materiałów ważnych, jednak O. Boudou nie dowierzał rewelacjom i opowiadaniom niektórym rzekomej matki Makryny i nazywał je fantazyicznymi, nie sprawdzonemi, bez dowodów.

Rozdział XII (469—808). — Konsekwencje wizyty w Rzymie cesarza w r. 1846. Podany tutaj memoriał papieża i odpowiedź cesarza; przybycie do Rzymu Nesselrode'go; konferencja jego z Lambruschini'm i Carbali'm i allokucja konsystorjalna. Potem przeniesienie sprawy do Petersburga; raport Nesselrode'go; komitet t.zw. katolicki (tj. w sprawie katolickiej, a zasiadał jeden tylko katolik, Turkuł) pod prezydencją Nesselrode'go. Komitet długo się naradzał, deliberował, nakoniec orzekł, że należy uczynić niektóre ulgi i koncesje Kościołowi katolickiemu: choćby nieco rozszerzyć władze biskupów w kwestji seminarjów, konsystorzy, obsadzania parafij, polepszyć stan finansowy księży i zakonników; przyznać pewne ułatwienia w budowaniu nowych kościołów, których brak się czuje w niektórych okolicach, etc. etc.

Rozdział XIII (508—556). — Konkordat z r. 1847. Żeby te ulgi i koncesje nie były znaczne i wystarczające, postanowiono je ponownie przesłać przez sito: jeszcze raz wysłano z Petersburga negocjatorów do Rzymu w tej sprawie; na ich czele stanął Dymitr Błudow, a z nim byli: Buteniew, syn Błudowa, Wołkoński i Romuald Hube (brat tego, co miał udział w utworzeniu Zmartwychwstańców naszych). Pojechali oni w październiku r. 1846, więc przybyli do Miasta Wiecznego już po śmierci Grzegorza XVI, za rządów wiekopomnego Piusa IX, co tak umiłował nieszczęśliwą Polskę. Inauguracja tych układów rozpoczęła się 19 listopada i trwały one do 1 marca 1847, potem zawieszone zostały i znowu rozpoczęte 15 czerwca i ostatecznie ukończone 3 sierpnia. Zadaniem tej misji było, aby co utargować od Stolicy Apostolskiej, przyrzeczenia poobcinać, jak najwięcej wziąć, a dać — minimum możliwe. Położenie Kościoła w Rosji stało się okropnem; trzeba było spieszyć z pomocą, a więc Ojciec Święty, zmuszony okolicznościami, uczynić musiał Mikołajowi niektóre koncesje. Przebieg tych pertraktacyj zaznaczony tu bardzo szczegółowo i wyczerpująco. Autor miał sposobność wykazać fałsze Popowa, rządowego histrjografa, zawarte w jego pracy — Relacje Rzymu z Rosją 1845 — 1850; podał też on osobno tekst tego konkordatu artykułów umówionych i nieumówionych, co doskonale ilustruje zapobiegliwość i starania papieża i opieranie się autokraty rosyjskiego.

J. M. G.

Albert Bessières: *A mes nouvelles*. Avec préface de René Bazin
Paris J. de Gigord. Str. 47 i 242.

Bardzo ładna książka, nie darmo dwukrotnie uwieńczona, raz przez Akademię francuską, drugi raz przez Komitet literatury duchownej. Treścią jej jest prześliczny ruch katolickiego odrodzenia, który przed samym wybuchem wojny światowej rozpoczął się w pewnym kółku niższego i średniego nauczycielstwa francuskiego, a w czasie wojny wspaniale dojrzał i wydał pierwsze owoce, przeważnie niestety skoszone na polu chwały. Ośrodkiem tego ruchu i zarządem osi, około której owija się cała książka

jest dziwnie szlachetna postać Piotra Lamouroux, który wzorem tylu innych konwertytów współczesnych, dochodzi od zupełnej niewiary i z manowców skrajnego syndykalizmu do najgorętszej religijności i nieomal do progów świętości. Pod barwnem, ciepłym a subtelnym piórem księdza Bessières śledzi się z najżywszym zainteresowaniem i ogromną pociechą postępy tej duszy, która pchana miłością prawdy, z niezłomną wytrwałością i sama przedziera się do światła i ciągnie za sobą szereg innych, nie zawsze tak mężnych. Całe zaś tło tego duchowego procesu tworzy teza, której autor nigdzie *ex professo* nie udowadnia, ale między wierzącymi z ogromną siłą uzasadnia, że szkoła „świecka“, wykluczająca z nauczania religijny pierwiastek, jest niemożliwością i zgubą prawdziwego wychowania.

Książka ta, która w krótkim czasie doczekała się we Francji ośmiu wydań, zasługuje w pełni na to, by była, przynajmniej w skróceniu lub przeróbce, przyswojona językowi polskiemu. Każdy czytelnik ogrzałby się przy niej ciepłym łaski, która obecnie tak potężnie pulsuje w odrodzonym katolicyzmie francuskim, a nauczycielstwo nasze znalazłoby w niej drogowskaz, wskazujący wymownie, bo na żywych przykładach, jasne krainy wychowawczych i katolickich ideałów.

J. R.

Mgr. D'Hulst: *Pages choisies*. Avec introduction par E. Roupain S.J. Paris. J. de Gigord. Str. 36 i 380.

Z dwudziestu kilku tomów, w których mieści się spuścizna literacka wielkiego konferencjonisty, apologety, myśliciela i działacza podaje niniejsza książka wybitniejsze karty, ugrupowane według treści w trzy główne działy: apologetyczny, moralno-socjologiczny i dogmatyczno-asceetyczny. Wydanie tych wyimków jest prawdziwą zasługą, bo umożliwia szerszemu kołom zapoznanie się z myślą, w której niewiadomo, co bardziej podziwiać, siłę argumentacji, czy świeżość inwencji, wytworność stylu, czy głęboką pobożność i czystość katolickich zasad. Kaznodzieje, rekolekcyjniści i wogóle katolicycy pisarze znajdą w tym tomie dużo materiału tak bogatego w treść, że nieraz jedno zdanie otwiera jakby źródła pouczających rozważań i nadaje się do szerokiego rozwinięcia. Orientację w tej antologii ułatwia dobry spis rzeczy, a krótka przedmowa zaznajamia z życiem, działalnością i fizjognomią duchową człowieka, którego słusznie zaliczono do najwybitniejszych kapłanów ubiegłego wieku, nie tylko Francji, lecz świata.

J. R.

Ks. Dr. Kazimierz Wais: *Dziwy hipnotyzmu*. Wyd. 2. Lwów, nakł. Tow. „Biblioteka Religijna“ 1925. Str. 352.

Hipnotyzm — zjawisko oddawna znane, choć do dziś dnia naukowo nie wytłumaczone — nabiera obecnie coraz większego znaczenia, badany przez psychologów i lekarzy, to znowu uprawiany na estradzie jako zabawka dla ciekawych, a wreszcie związany nierozdzielnie z szerzącym się wszędzie spirytyzmem i innymi okultystycznymi sztukami. Zaznajomienie się więc, jeżeli nie z istotą, bo tej dotychczas nie znamy, to przynajmniej

ze zjawiskami i zastosowaniami hipnotyzmu, jest dziś rzeczą niezmiernie ważną, zwłaszcza wobec licznych książek, zaścielających niektóre wystawy księgarskie, książek służących raczej do podniecenia niezdrowej ciekawości i szkodliwych w następstwach doświadczeń, niż wiedzy i korzyści czytelnika.

Toteż z prawdziwą wdzięcznością powitać należy niniejszą książkę, która po dłuższej przerwie ukazała się obecnie w drugim wydaniu, a której autor, znany ze swych prac naukowych na polu psychologii, nie tylko jest czytany w odnośnej literaturze, polskiej i zagranicznej, ale daje też rękomię. ścisłości w przedstawieniu rzeczy i zdrowej oceny. Zaletą książki jest takie podanie kwestji hipnotyzmu, że po przeczytaniu jej, każdy może zapoznać się z nim dostatecznie, a o ile jest obeznany z naukami przyrodniczymi i psychologią, nawet wcale dokładnie. Jest to moment wielkiej wagi dla tych wszystkich — a takich jest znaczna większość — którzy nie mając czasu na zgłębianie tej dziedziny wiedzy, chcą jednak zaznajomić się z nią należycie. Autor przechodzi bowiem kolejno prawie wszystko, co w tym zakresie można poruszyć: historję hipnotyzmu i jego praktykę, stopnie hipnozy, jej zjawiska, hipotezy postawione w celu ich wytłumaczenia oraz ich krytykę, w końcu zastosowanie hipnozy do celów leczniczych, stosunek jej do moralności i kwestji cudów.

Jest to więc praca, która powinna się znaleźć w ręku każdego wychowawcy i księdza, czy to zatrudnionego w duszpasterstwie czy w szkole. Owszem należałoby sobie życzyć, by korzystał z niej ogół inteligencji (młodzież raczej nie, ponieważ zbyt jest pochopną do doświadczeń); znikłoby wtedy wiele przesądów, rozwiązał się przesadny urok, otaczający różne zjawiska spirytystyczne, ustało niejedno błędne rozumowanie na temat cudów; zmniejszyłaby się tak częsta dziś gotowość do hipnotyzowania się, ale zarazem znikłyby fałszywe uprzedzenia, ilekroć zabieg taki byłby wskazany, a przeprowadzenie jego spoczęło w rękach sumiennego lekarza.

St. Podoleński.

Rudolf Borch: *Bilderatlas zur Geschichte der Pädagogik*
Herder, Freiburg i Br. In 4^o, str. VIII + 124.

Połączyć rzecz miłą z pożyteczną, było celem wydawcy tego atlasu, celem, który w wielkiej mierze osiągnął. Bo jeśli ilustracje — a jest ich wiele, dobranych i wykonanych starannie — stanowią rzeczywistą ozdobę wydawnictwa, to tekst w swej zwięzłej treściwości zawiera sporo materiału i może służyć do ogólnego zapoznania się z dziejami pedagogji, a dla znającego je jako krótkie repetitorium i wskaźnik bibliograficzny.

Z trzech części składa się całość. Pierwsza z nich, najobszerniejsza, podaje 60 portretów mężów, zasłużonych w dziejach pedagogji, z krótkim życiorysem i wymienieniem najważniejszych ich dzieł, a nadto sporo interesujących ilustracyj, w pokażnej liczbie 79, przedstawiających sceny szkolne z różnych miejsc i czasów, autogramy, tytułowe strony dawnych książek, miejscowości i budynki historyczne. O tę, artystyczno-literacką część chodziło przedewszystkiem autorowi, który też zapowiada rozszerzenie

jej w następnych wydaniach. Druga część, bardzo cenna, to „przegląd chronologiczny”; w grupach, zestawionych równocześnie rzeczowo i chronologicznie, podaje autor nie tylko osobistości, mające jakiegokolwiek znaczenie na polu pedagogji, z najważniejszymi danymi, dotyczącymi ich życia i dzieł, ale także wypadki historyczne, które wywarły znaczniejszy wpływ w dziedzinie wychowawczej. Wreszcie trzecia i ostatnia część podaje wcale obfitą bibliografję, rozklasyfikowaną według pojedynczych problemów i autorów.

Jak z powyższego objaśnienia widać, książka ta, przy niewielkich stosunkowo rozmiarach, spełnia wielokrotne zadanie, służy równocześnie jako podręcznik do dziejów wychowania i jako poradnik na polu odnośnej literatury. Dzięki tym zaletom treści i przejrzystego układu, oraz gustownego zewnętrznego wyglądu, znajdzie zapewne wielu i chętnych nabywców.

St. Podoleński.

Dr. med. Stanisław Kopczyński: *Szkice higieniczno-wychowawcze*, tom II. Lwów-Warszawa, Książnica Tow. Nauczycieli szkół wyższych; 1923; 8°; str. 168.

Podczas gdy pierwszy tom „Szkiców”, wydany 12 lat temu, obraca się wyłącznie koło tematów ścisłej higieny, obecny posiada charakter bardziej urozmaicony i porusza niektóre aktualne kwestje naszego szkolnictwa. Oczywiście w książce, będącej luźnym zbiorem szkiców, z natury rzeczy zachodzić musi wielka nierówność, obok krótkich, popularnych artykułów dziennikarskich znajdują się poważniejsze rozprawy, zamieszczane w pismach fachowych i referaty, wygłaszane na zjazdach. Całość przedstawia się wszakże zajmująco i pouczająco, zwłaszcza że autor, długoletni praktyk na stanowisku lekarza szkolnego, miał sposobność bliższego zapoznania się z tą dziedziną.

Z pośród rozpraw wyróżniają się rozmiarami i gruntownością ustępy o nerwowości u dzieci i wieku dojrzewania u młodzieży obojga płci; aktualne są tematy w sprawie budynków szkolnych, alkoholizmu wśród młodzieży, przeciążenia pracą szkolną, matury, zbyt małej pracy na uniwersytetach; cenne są wskazówki co do wyboru stanu ze względu na zdrowie.

Naturalnie nie na wszystko można się godzić, tam zwłaszcza, gdzie autor opuszcza swój właściwy teren. Podzielając np. jego przekonania w sprawie zniesienia matury, nie możemy uznać innego zdania, wypowiedzianego z okazji egzaminów przejściowych z klasy do klasy. Autor pisze (str. 59): „Czyż nie wydaje sobie bardzo niekorzystnego świadectwa nauczyciel, który nie był w stanie w ciągu roku dostatecznie zbadać przygotowania chłopca lub dziewczynki i ucieka się do dorywczych pytań w specjalnych warunkach, jakie przedstawiają egzamina?” — Zdanie to byłoby najzupełniej słuszne, gdyby nauczyciel miał dostateczną liczbę godzin, małą ilość uczniów i gdyby ci uczniowie uczęszczali regularnie na naukę. Tymczasem każdy z nas, kto uczył w szkole, wie dobrze, że zwykle ani jeden z tych warunków się nie spełnia; niektóre przedmioty mają za mało godzin, uczniowie a zwłaszcza uczennice opuszczają często

naukę, a przepełnienie w klasach jest niemal rzeczą normalną. W tych warunkach nauczyciel nie jest czasem w stanie zdać sobie sprawy ze „stanu wiedzy” ucznia i zmuszony jest klasyfikować według jednej, drugiej odpowiedzi. Nadto egzamin jest niekiedy jedyną pobudką do sumienniejszej pracy u uczniów leniwych, dziś tak częstych. Przyznajemy najzupełniej autorowi słuszność ze stanowiska higieny, lecz sądzimy, że czasem można ją poświęcić częściowo dla ważniejszych względów, a w każdym razie, że sąd ujemny o nauczycielu nie zawsze będzie miał zastosowanie.

Jest to zresztą temat podlegający dyskusji i nie ujmający w niczem książce, która zarówno dla celów informacyjnych jak praktycznych zasługuje na szczere polecenie.

St. Podoleński.

Don Bosco, nach Filippo Crispolti bearbeitet von Fr. Ritter von Lama. Herder, Freiburg i. Br. 1922, str. VIII + 332.

Jedna z najpiękniejszych postaci ostatnich czasów, Don Bosco, człowiek, o którym słusznie tu powiedziano, że „znacznie więcej przyczynił się do prawdziwego podniesienia niższych warstw ludzkości i do wyrównania różnic klasowych wśród społeczeństwa, niż większość socjologów razem wziętych”, staje w tej książce wyraziście przed oczyma czytelnika. Autor, margrabia Crispolti, znał osobiście księdza Bosco, a nadto opierał się na obszernym dwutomowym jego żywocie, napisanym przez Don Lemoine na podstawie źródeł archiwalnych. Potrafił on ująć doskonale rysy świątobliwego założyciela Zgromadzenia OO. Salezjanów, tak że po przeczytaniu tej pracy ma się dokładny obraz zarówno osoby jak jej wszechstronnej działalności. Rzecz jest napisana z życiem, czyta się ją do końca z niezmiennem zainteresowaniem. Byłoby też bardzo do życzenia, żeby książka Crispolti'ego ukazała się w języku polskim, a uzupełniona obrazem działalności zakładów salezjańskich w naszym kraju, mogła zaznajomić społeczeństwo polskie z tak pożyteczną instytucją i przyczynić się do jej rozwoju.

P.

„Młody Robotnik”, ilustrowany miesięcznik młodych Polaków. Rok II. Warszawa.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy jest dobre redagowanie pisma dla młodzieży katolickiej, zwłaszcza robotniczej, któreby łączyło w sobie pierwiastek zajmujący, pouczający i wychowawczy, nie odstępowało charakterem moralizatorskim, a jednak podnosiło ducha. Redakcja „Młodego Robotnika” (Warszawa, ul. Zielna 42 m. 3) spróbowała rozwiązać ten problem i stworzyła organ, który — jak na dzisiejsze stosunki — przedstawia się okazale pod względem zewnętrznym (format folio, 20—30 stron), jest stosunkowo tani, zawiera urozmaiconą treść i sporo nieraz ilustracji. Pragniemy szczerze, aby pismo takie utrzymało się i zdołało rozpowszechnić w całej Polsce, lecz właśnie dlatego chcielibyśmy podać parę uwag, których uwzględnienie przyczyniłoby się do osiągnięcia tego celu. Przedewszystkiem zdaje nam się, że pismo jest utrzymane na zbyt wysokim

poziomie, niedostępnym dla znacznej części młodzieży robotniczej. Nadto charakter jego jest zbyt lokalny — warszawski, z powodu recenzji teatralnych, które wogóle zajmują czasem za wiele miejsca. Sądzymy również, iż należałoby dobierać ilustracje bardziej pożyteczne dla młodzieży; niektóre były niewłaściwe. Dział sprawozdawczy z życia stowarzyszeń i skrzynkę zapytań wypadłoby może rozszerzyć; podczas gdy ta poucza i budzi zainteresowanie, tamten staje się przykładem i zachętą dla wszystkich kół młodzieży. Zamieszczając te parę uwag, dyktowanych chęcią poparcia tak pięknej inicjatywy, łączymy życzenia dla Redakcji, aby dzieło swe zdołała dalej prowadzić szczęśliwie dla dobra wielkiej sprawy.

Sł. Podoleński.

Herold H. Mac Gregor: *Amerikanin o Polsce i Ameryce*, wrażenia porównawcze. Gebethner i Wolff. 12^o str. 153.

Autor walczył podczas światowej wojny naprzód jako major artylerji w armji amerykańskiej: następnie po zawarciu pokoju, wiedziony szczerą sympatją do Polski, stanął w r. 1919 nad Wisłą i tu przed „cudem nad Wisłą” wstąpił do armji polskiej. O tej czynnej sympatji dla nas wspomina sam autor; jest ona poniekąd legitymacją dla niego, by pod adresem Polski wypowiedzieć spostrzeżenia nie zawsze dla nas pochlebne, wogóle jednak trafne i słuszne.

Warto się z niemi zapoznać i zobaczyć, co życzliwego nam Amerykanina w życiu naszym indywidualnem, społecznem i państwowem cieszysz, a co go razi, coby pragnął zmienić na sposób amerykański. Badawcze oko jego zawadziło o bardzo wiele dziedzin: mówi więc o wychowaniu dzieci, o młodzieży żeńskiej i męskiej, o moralnej kulturze kobiet i mężczyzn, zwłaszcza w środowiskach wielkomiejskich, o życiu religijnem w Polsce i Ameryce, o alkoholizmie, o socjalizmie polskim i amerykańskim, jaki interes mają żydzi w osłabieniu państwa polskiego, o wojску polskiem i konieczności strategji obronnej dla Polski i t. d. Potocznemu i obyczajowemu życiu Polski przeciwstawia ciągle autor stosunki amerykańskie.

Możnaby się tu i ówdzie nie godzić z autorem, każdy jednak z pożytkiem przeczyta jego książkę, która prócz trafnej obserwacji, odznacza się wcale wysokim poziomem etycznym.

J. Andrasz.

Henryk Korab Kucharski: *R. S. F. R. Wrażenia z podróży naokoło Rosji sowieckiej*. Gebethner i Wolff, 1923. 12^o, str. 170.

„O Rosji, pisze autor, wiemy właściwie mniej, niż o morzach polarnych, zapadłych wioskach chińskich, lub puszcach podzwrotnikowych. Podróżnicy wracają z nad Newy, z nad Wołgi, z nad Dniepru z teorjami politycznemi, wracają jako prorocy, kaznodzieje, lub miotający klątwy męczennicy. Dość mamy tego. Chcemy zobaczyć tę Rosję, poprostu, jak na kinematograficznym ekranie”.

I pojechał p. Kucharski w ten kraj egzotyczny dla nas i życie w sowietach rzucił na ekran nie filmowy, ale swej książki. W szeregu

barwnych, prawdziwie kinematograficznych obrazów zilustrował stosunki rosyjskie, stosunki tak odmienne od reszty kulturalnego świata, jak odmienną jest psychika żyda od psychiki reszty narodów. Ten żyd chwyciwszy w swoje sępie ręce władzę nad stumiljonowym narodem, trzyma ją kurczowo i daje światu całemu widowisko, co potrafi. Mocny jest w zniszczeniu cywilizacji chrześcijańskiej i wyrosłego na jej gruncie dobrobytu, mocny w grabieniu i kradzieży cudzego dobra, a nieudolny w najwyższym stopniu, by stworzyć coś nowego na miejscu gruzów materialnych i moralnych. Bolszewicy, sami przerażeni swoją zbrodnią, próbują odbudowy, ta odbudowa zrobiła na autorze wrażenie, jakby kto chciał trupa szminkować. — Każdy myślący wyciągnie sobie z książki p. Kucharskiego ten wniosek: socjalizm, produkt żyda Marxa, wprowadzony konsekwentnie w życie, a tej konsekwencji nikt bolszewikom zaprzeczyć nie może, jest siłą tylko rozkładową, gnijącą i zarażającą swoją niemocą wszystko, czego się tknie, jedynie kultura chrześcijańska jest prawdziwie twórczą.

J. Andrasz

Prócz tego nadesłano do Redakcji:

Z Książnicy Polskiej T-wa Nauczycieli Szkół
Wyższych, Warszawa 1923:

Dr. med. Zd. Szczepański: Podręcznik badań chemicznych, drobnowidowych i bakterjologicznych przy łóżku chorego dla studentów i lekarzy. 8° str. 136.

Janina Siwakowa: Wypisy geograficzne. 8° str. 160.

Konst. Wojciechowski: Wielcy pisarze polscy. 8° str. 173.

Gebethner i Wolff:

Wł. St. Reymont: Pisma t. 8. Na zagonie, Nowele, 8° str. 249.

Wł. St. Reymont: Osądzona. Dwie powieści, 8 str. 240.

Ferdynand Goetel: Kar-Chat. Powieść, 8° str. 196.

J. Żyznowski: Krwawy strzęp, Wspomnienia Bajończyka. 8 str. 138.

Prof. Dr. A. F. Ossendowski: Przez kraj ludzi, zwierząt i Bogów (konno przez Azję centralną). 8° str. 348.

J. German: Twarz z za kurtyny. Powieść. 8° str. 257.

Pamiętniki Jana Chryzostoma z Gosławic Paska, opracował Jan Czubek. Nakładem Zakł. narodowego im. Ossolińskich. Lwów — Warszawa — Kraków, str. XXIV i 460.

Z Wydawnictw Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

R. H. Benson: Paradoksy katolicyzmu. str. 176.

— : Pan świata. Powieść. Wyd. 2, str. 512.

Pius X papież. Motu proprio o muzyce kościelnej. Przełożył Ks. J. Surzyński. Wyd. 2, str. 20.

Arcybiskup Teodorowicz: Na przełomie. Przemówienia i kazania narodowe. str. 344 in 8° mai.

Ks. A. Szlagowski: Mowy synodalne. Str. 24.

Z wydawnictw Herdera we Fryburgu:

Gustaw Mey: Messbüchlein für fromme Kinder, 38 Auflage mit Bildern von L. Glötzle.

- Karl Schwarz: Ich in Ihm, Ein Betrachtungsbuch auf alle Tage des Jahres, erster Teil: Januar bis April 1913.
- Christian Pesch S. J.: Die Selige Jungfrau Maria die Vermittlerin aller Gnaden, eine theologische Untersuchung 1923.
- Odilo Wolf O. S. B.: Beuron, Bilder u. Erinnerungen aus dem Mönchsleben der Gegenwart. sechste, erweiterte Auflage, mit 4 Tafeln u. 14 Textbildern 1923.
- Joseph Kühnel: Von Gott und von uns, religiöse Betrachtungen 1923.
- Karl Mosterts: Jünglingsseelsorge, Ziel u. Aufgaben einer planmässigen Seelsorge für die herangewachsene männliche Jugend (praca zbiorowa) zweite bis vierte, vermehrte u. verbesserte Auflage 1923.
- Dr. Przemysław Dąbkowski: Szkice z życia szlachty sanockiej w XV stuleciu. Lwów 1923. in fol. str. 49.
- Bartnictwo w dawnej Polsce, szkice gospodarczo-prawne. Lwów 1923. 8 str. 41.
- X. Wal. Adamski: Jak zakładać stowarzyszenia młodzieży. Wyd 3. Poznań 1923. Spółka Zjednoczenia, Poczta 15. 12^o str. 28.
-

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Alokucja Piusa XI i orędzie papieskie do kardynała Gaspari. — Anarchja w cerkwi na Ukrainie i niebezpieczeństwo przeszczerpienia jej wśród Uniów. — Upadek patriarchy Tichona i lekcja stąd dla nas płynąca.

Dnia 23 maja 1923 r. odbył się w Rzymie tajny konsystorz, na którym Ojciec św. Pius XI wypowiedział w alokucji swoje radości i smutki. Alokucja ta zasługuje na szczególne poznanie, zwłaszcza u nas, z powodu ustępu, jaki poświęcił w niej Papież moskiewskim męczennikom i wyznawcom.

Do radosnych faktów w Kościele zalicza Ojciec święty najpierw podjęcie w różnych krajach kongresów eucharystycznych, które odpowiadając tradycji Kościoła, pielęgnującego cześć Najśw. Sakramentu, są najwybitniejszymi aktami wiary i środkami rozbudzenia i utrzymania pobożności katolickiej. Cieszy się następnie Ojciec św. z przyjęcia, jakiego doznała w całym katolickim świecie jego pierwsza encyklika i z akcji katolickiej, jaka w duchu wskazań papieskich rozwija się w różnych krajach. Wielką pociechą również dla papieża i zapowiedzią wielkich korzyści duchownych dla Kościoła są przygotowania do powszechnej wystawy misyjnej w Rzymie podczas jubileuszu roku 1925. Wystawa ta ma zebrać i oczom zwiedzających okazać wszystko, co się odnosi do tego wielkiego i boskiego dzieła, szerzenia królestwa Chrystusowego na ziemi, co też niezawodnie wpłynie na większą gorliwość w popieraniu dzieł misyjnych i na obudzenie powołań do niesienia światła Ewangelji w dalekie kraje.

Przechodząc do smutków, jakie napełniają serce papieża, wymienia Ojciec św. na pierwszym miejscu ten chaos polityczny, jaki panuje na Bliskim Wschodzie, przyprawiając o ruinę instytucje religijne, zarówno jak i całą kulturę i wtrącając niezliczone masy ludności w ostateczną nędzę. Zaznacza tu Ojciec św., że Stolica święta czyni wszystko, co jest w jej siłach, by obronić prawa katolików do miejsc świętych w Palestynie, jak również, aby ulżyć niedoli tych niezliczonych ofiar wojny, sierot i wygnańców, jakie schroniły się pod opiekę Ojca chrześcijaństwa. Boleje także Ojciec święty nad nieszczęściami, jakich widownią jest Europa. „Na stałym lądzie i na wyspach, kwitnące niegdyś narody, ogniska, skąd

promieniowała cywilizacja, wyniszczając się w bratobójczych walkach, przyczyniając sobie wzajemnie nie dające się obliczyć straty i zagrażając ściągnięciem jeszcze większych niebezpieczeństw na całą Europę, a w konsekwencji i na całą ludzkość. Te walki są tem boleśniejsze dla Ojca św., że On, jako wspólny Ojciec wszystkich, obejmuje też wszystkie walczące strony jednakowem uczuciem miłości. Są to zarówno Jego dzieci, czy pochodzą z „Wyspy Świętych“, czy z „Wyspy Aniołów“, czy z narodu, który nosi miano „Pierworodnej córki Kościoła“ czy wreszcie z tych katolickich Niemiec, „które swą wielką gorliwością i swą organizacją gruntowną a mądrą życia chrześcijańskiego, nawet wśród okropności wojny wynagradzały i podczas obecnego kryzysu wynagradzają opłakane odstępstwo, jakiego ten kraj dopuścił się cztery wieki temu, odłączając się do Kościoła rzymskiego“. Ojciec św. nie zaniecha żadnej próby, dopóki będzie jaśniała choć mała nadzieja powodzenia, by doprowadzić walczące strony do zgody, głosząc pokój tym, co się wzajemnie zabijają i błagając Boga pokoju, aby serca wszystkich natchnął uczuciami sprawiedliwości i miłości.

„O wiele smutniejsze jeszcze i bardziej bolesne są wypadki w Rosji“. Znanie są wszystkim i Ojciec św. nie uważa za potrzebne wyliczać je szczegółowo. Lecz jednego z nich nie może pominąć milczeniem. Pomimo, że Stolica św. uczyniła wszystko, co było w jej mocy, aby ratować Rosję od klęski głodowej, pomimo, że poruszyła w tym celu serca katolików wszystkich krajów do ofiarności na rzecz dotkniętych tą klęską i sama wysłała misję ratowniczą, — Rosja odpowiedziała uwięzieniem czcigodnych katolickich prałatów i innych członków kleru, skazaniem na długie i ciężkie więzienie, a jednego z nich na śmierć okrutną. „Aby ich uczcić — powiedział Ojciec święty — chcemy przytoczyć tutaj ich nazwiska: Jan Chrzyciel Cieplak, arcybiskup Acridy i towarzysze jego kapłani: Leonidas Fiodorow, Konstanty Budkiewicz, Stanisław Eismont, Edward Juniewicz, Lucjan Hwiećko, Paweł Chodniewicz, Antoni Wasilewski, Piotr Janukiewicz, Teofil Matulanis, Jan Trojgo, Dominik Iwanow, Franciszek Rutkowski, Augustyn Pronskietis, Antoni Malecki, wreszcie pobożny młodzieniec Jakób Szarnas“. Ojciec św. zaznacza wyraźnie, że wypadki rozgrywać się počęły najpierw bez wiedzy Stolicy świętej, a kiedy Ojciec św., dowiedziawszy się o nich, zażądał, aby duchownych pozostawiono jego sądowi, przyrzekając rozpatrzyć ich sprawę według wszelkiej sprawiedliwości, odpowiedziano na to zupełnem milczeniem. Co gorsza, „ci słudzy religii, która tyle dobrego uczyniła dla narodu rosyjskiego, zostali skazani na więzienie i na śmierć wśród oznak nienawiści i pogardy wyraźnej dla tej świętej, boskiej

religii, której skazani byli z urzędu swego obrońcami, pragnąc zachować jej przykazania i stać na straży jej praw". W tej boleści, jaką papieżowi sprawiają cierpienia skazanych, a przede wszystkim los ks. Budkiewicza, który padł od kuli zabójczej, pociechą jest „z jednej strony chwała, którą w tem męczeństwie okrywa się nasza religja i jaką odbiera sam Bóg, z drugiej — pewna nadzieja... że te wyroki, okrucieństwa i krew staną się posiewem licznych wybitnych katolików, jak w zaraniu Kościoła były posiewem chrześcijan". Miłością swoją i współczuciem ogarnia Ojciec św. tych, co chociaż nie należą do Kościoła katolickiego, cierpią za swoje przekonania religijne; i dla nich, zarówno jak dla katolików, domaga się ulg, o jakie wołają wszystkie narody cywilizowane. Kończy Ojciec św. ten ustęp zapewnieniem, że pomimo tych wszystkich niegodziwości, nie zaprzestanie świadczyć dzieł miłosierdzia w Rosji, dopóki tylko będzie tego potrzeba i dopóki będzie posiadał po temu środki, pomny słów Apostoła: „Nie daj się zwyciężyć złemu, lecz zwyciężaj zło przez dobro“.

Alokucja kończy się zapewnieniem ze strony papieża, że Stolica święta pragnie zachować pokój ze wszystkimi i w zakresie stosunków kościelnych gotowa jest do wszelkich ustępstw, jakie tylko dadzą się pogodzić z prawami uciśnionych i konstytucją Kościoła katolickiego. Pragnienia swoje i pokojowe plany oddaje Ojciec św. pod opiekę tych czcigodnych sług Bożych, których świeżo sam policzył w poczet błogosławionych.

Jakby spełnieniem zapowiedzi alokucyjnej, że Ojciec św. nie przestanie nawoływać walczące strony do pokoju, dopóki choć jakakolwiek nadzieja skuteczności jego nawoływań istnieć będzie, jest pismo papieskie do kardynała Gaspariego, datowane 27 czerwca, które narobiło niemało wrzawy w prasie i zasepiło w ostatnim tygodniu horyzont tak dobrze układających się stosunków między Francją a Stolicą Apostolską.

Wystąpienia Watykanu w sprawach ogólnoświatowych spotyka zwykle ten los, że są przez kogoś namiętnie zwalczane, zwłaszcza w pierwszej chwili, kiedy nie zostały jeszcze dosyć poznane; zaś po bliższem zbadaniu ich tenoru i intencji Stolicy Apostolskiej zwykle okazuje się bezzasadność zarzutów i niezadowoleń. Tak było i w obecnym wypadku. Pius XI zabrał głos „bezinteresowny, bezstronny i dla wszystkich życzliwy“ w sprawie tak drażliwej dla Francji (i Belgji), jaką jest sprawa reparacyj wojennych i związanej z niemi okupacji zagłębia Ruhry. Ojciec św. zaklina strony interesowane, aby zbadały różne niezłaławione sprawy i w szczególności sprawę reparacyj „w owym duchu chrze-

ścijańskim, co to wymagań sprawiedliwości nie odłącza od wymagań miłości społecznej, na której opiera się doskonałość pożycia narodów". Zwraca uwagę Ojciec św., że jeźliby dłużnik dał dowody rzeczywistej dobrej woli, by dojść do ostatecznego i słusznego porozumienia, żądając bezstronnego sądu co do swojej wypłacalności i poddając się kontroli ścisłej takich sędziów, to nie tylko sprawiedliwość i miłość społeczna, ale sam nawet interes wierzycieli i innych narodów, zmęczonych walką i stęsknionych za pokojem, zdają się wymagać, aby nie żądano od niego, czego dać nie może bez kompletnego wyczerpania swych zasobów i swej zdolności produkcyjnej ze szkodą samych wierzycieli, nie mówiąc o niebezpieczeństwie zaburzeń społecznych, zarodków ruiny Europy i nowych konflagracji. Uważa dalej Ojciec św. za rzecz słuszną, aby wierzyciele uzyskali rękojmię, proporcjonalne do swych wierzytelności, lecz pozostawia im samym zbadanie, czy taką rękojmią jest tylko jedynie okupacja terytorjum dłużnika, czy nie byłoby lepiej zamienić ją, przynajmniej stopniowo, na inne formy gwarancyj nie mniej skutecznych, a pewno mniej przykrych.

Jak z powyższego streszczenia wynika, propozycje papieskie zmierzają do rozwiązania najdrażliwszej dziś w Europie sprawy za pośrednictwem jakiejś bezstronnej międzynarodowej komisji, to jest do tego samego, co proponował już prez. Harding i parokrotnie podsuwał rząd angielski. Francja, jak dotąd, nie chce słyszeć o żadnych komisjach i sądach, przekonana, że ma za sobą powagę traktatu wersalskiego i słuszne swoje prawo. Stąd niezadowolenie z pisma papieskiego, jako rozchodzącego się z polityką francuską, stąd zapewnienia nawet katolików francuskich, że się z tą polityką solidaryzują, a wskazówki papieża, jako odnoszące się do kwestji nie religijnej, lecz politycznej, uważają za nieobowiązujące.

Rząd francuski przez swojego ambasadora Jonnarta zażądał od Watykanu bliższych wyjaśnień co do intencji Ojca św. w ostatniem *démarche*. Po otrzymaniu takich wyjaśnień, jak ostatnie wiadomości donoszą, cały incydent można uważać za wyczerpany i załatwiony. Nie od rzeczy wszakże będzie podkreślenie tych momentów pisma papieskiego, które powinny były odrazu przeszkodzić krzywdzącym Stolicę św. sądom i niepotrzebnemu rozgoryczeniu. Wysokość stanowiska, z jakiej przemawia do rządów i narodów Głowa chrześcijaństwa, zwalnia papieża z obowiązku dogodzenia wszystkim. Łatwo zresztą zrozumieć, że przy takiej sprzeczności interesów, jaka zachodzi między narodami, jest to wręcz niemożliwe. Ałoli krzywdzącym jest dla papieża zarzut, jakoby w ostatnim liście przechylił się widocznie na

stronę Niemiec. Dość uważnie przeczytać, co mówi o „rzeczywistej dobrej woli“, o koniecznych i skutecznych gwarancjach, by zrozumieć, że lekcja udzielona została nie tylko Francji, ale niemniej i rządowi i narodowi niemieckiemu. Potwierdza to również ostatnie niedwuznaczne potępienie przez papieża uprawianego przez Niemcy sabotażu.

Następnie trzeba zwrócić uwagę na zasady, na które Ojciec św. powołuje się w swoim liście. We Francji dużo się mówi i pisze w ostatnich czasach o świętym obowiązku Niemiec zadośćuczynienia pogwałconej przez nie sprawiedliwości. Pojawiały się nawet uczone teologiczne rozprawy o godziwości zastosowanych wobec niesumiennego dłużnika represyj. I sądzymy, że tym rozprawom nie można nic zarzucić — jeśli się stoi na stanowisku zasady: *redde quod debes*. Owszem, nawet odszkodowania, przyznane przez traktat wersalski, nie wyrównują tych szkód i zniszczeń, jakie wojna spowodowała niesprawiedliwie i przeważnie wprost złośliwie we Francji i Belgii. Ale chodzi o to, czy zasada przytoczona jest najwyższą w hierarchii zasad, jakie powinny rządzić wzajemnymi stosunkami narodów, czy przynajmniej niekiedy nie wysuwa się na czoło zasada inna, która wymagać będzie złagodzenia surowej sprawiedliwości.

Otóż papież przypomina taką zasadę, a jest nią z jednej strony miłość społeczna, z drugiej interes powszechnego pokoju. Ojcu św. nie mogło o nic innego chodzić, jak o to, aby ten kruchy pokój, jaki panuje jeszcze po ostatniej rzezi narodów, nie został na nowo zakłócony i zerwany, a Europa, może i cała ludzkość, nie została na nowo wciągnięta w wir krwawej rozprawy, tak zabójczej, jak doświadczenie świeże nauczyło, dla moralnego i kulturalnego stanu ludzkości.

Zapewne, że nawet po wyjaśnieniach, udzielonych w Watykanie Jonnartowi, znajdują się żywioły, które z wystąpienia papieża zechcą kuć broń do walki z religią. Musiała to chyba przewidzieć przewidująca wogóle polityka Watykanu; mogła się obawiać nawet pewnego obniżenia popularności papieża we Francji. Jeśli mimo to Pius XI zdecydował się odezwać tak gromko do „pierworodnej córki Kościoła“, to zaiste poważna musiała go do tego skłonić przyczyna: jest nią głęboka troska o pokój i poczucie odpowiedzialności wobec dziejowej chwili najwyższego stróża moralnego porządku świata i namiestnika Tego, który nazwany jest Królem Pokoju. A chyba świat nie uczynił jeszcze wszystkiego, by pokój zapewnić i utrwalić. I dlatego z większą życzliwością winien się wsłuchać w głos papieża, wczuć w jego myśli i uczucia.

Notowaliśmy już kiedyś na tem miejscu, że chaos, w jaki pod panowaniem sowietów wpadła cerkiew rosyjska, jest na

Ukrainie o tyle większy, że obok dawnej cerkwi synodalnej, a potem patriarszej, obok nowej cerkwi „żywej“, popieranej przez rząd sowiecki, wreszcie obok rozlicznych sekt o protestanckim charakterze, jakie już dawniej szerzyły się na południu Rosji, powstaje tam jeszcze jedna nowa formacja cerkiewna o zabarwieniu nacjonalistycznym, t. zw. autokefaliczna cerkiew ukraińska.

Do roku 1687 prawosławna cerkiew na całej Ukrainie podlegała patriarsze konstantynopolikańskiemu i dopiero w tym roku Ukrainę, odstąpioną Moskwie, poddano także pod kościelną zwierzchność patriarchatu moskiewskiego. Spadkobierca patriarchatu, utworzony przez Piotra Wielkiego Synod petersburski, zniszczył wszelkie ślady odrębności w zarządzie cerkiewnym i obrzędach, jakie jeszcze dały się zauważyć na Ukrainie, a w celu zupełnego zrusyfikowania ukraińskiej cerkwi począł nasyłać do niej na metropolitów i biskupów rdzennych Rosjan. Wynik tej polityki był taki, że episkopat, jak również klasztory i duża część duchowieństwa na lepszych stanowiskach, stały się najsilniejszą ostoją na Ukrainie caryzmu, biurokratycznej centralizacji i rusyfikacji. Z upadkiem caratu poruszyły się i przyszyły do głosu te elementy, które dotąd musiały milczeć i głęboko ukrywać swoje separatystyczne tendencje. Zaraz też pewien odłam prawosławnego kleru, wspomagany przez uświadomionych Ukraińców świeckich, rozpoczął agitację o utworzenie autokefalicznej cerkwi ukraińskiej. Już osadzony w Kijowie przez Niemców hetman Skoropadski zwołał w r. 1918 sobór cerkiewny, który po długich targach między zwolennikami jedności z Moskwą a separatystami powziął uchwałę pośrednią, wprowadzającą nie autokefalię jeszcze, ale pewną autonomję cerkwi ukraińskiej, pozostawiając ją wszakże w zależności od moskiewskiego patriarchatu. Zwolennicy ukrainizacji cerkwi uczuli się zawiedzionymi w swoich nadziejach, zwłaszcza kiedy na metropolitę wyznaczono im z Moskwy słynnego Antonjusza Chrapowickiego, dawnego arcybiskupa Wołynia, a potem Charkowa, zagorzałego monarchistę i nacjonalistę rosyjskiego. Po upadku hetmana musiał uchodzić z Kijowa Antonjusz i wtedy narodowcy ukraińscy ogłosili niepodległość cerkwi ukraińskiej.

Chociaż rządy w Kijowie zmieniały się co chwila z różnem dla nich szczęściem, ruch separatystyczny w cerkwi istniał i wzrastał się dalej i 5 maja 1920, a więc w parę dni po zajęciu Kijowa przez wojska polskie, utworzyła się „Rada Kościoła całej Ukrainy“, ogłaszając autokefalię ukraińskiej cerkwi. Rząd Petlury oczywiście popierał ten ruch; dla kształcenia kleru w tym duchu utworzono nawet fakultet teologiczny przy nowozałożonym uniwersytecie w Kamieńcu

Podolskim. Ponieważ patriarcha Tichon nie uznał ukraińskiej autokefalji, przeto poczęto zbierać podpisy pod petycją do patriarchy w Carogrodzie o „błogosławieństwo“ dla nowego niezależnego kościoła. Takiego błogosławieństwa jednak cerkiew ukraińska nigdy się nie doczekała, z początku może tylko z powodu długiego opróżnienia tronu patriarchalnego, a potem zapewne i z powodu radykalnych zmian, jakie w niej zaszły.

Gdyby separatystom ukraińskim chodziło jedynie o uznanie cerkwi na Ukrainie jako niezależnej kościelnej jednostki, byłiby oni w zupełnym prawie, tworzenie bowiem takich niezależnych kościołów w obrębie prawosławia dokonywa się przy każdym politycznym przewrocie i każdym przesunięciu państwowych granic. Formalnie rzecz biorąc, nawet fikcja odrębnej sowieckiej republiki ukraińskiej wystarczyłaby powinna do zgłoszenia pretensji o autokefalię cerkiewną. Ale narodowcy ukraińscy nie zadowolnili się walką o samą tylko odrębność administracyjną swojego kościoła. Raz wypowiedziawszy posłuszeństwo dotychczasowej władzy kościelnej, stacząc się poczęli po śliskiej płaszczyźnie radykalnego reformowania swojej cerkwi, aż stoczyli się w przepaść zupełnej anarchii, tracąc najistotniejsze cechy ustroju cerkiewnego.

Istnej rewolucji cerkiewnej dokonano na „wszechukraińskim synodzie prawosławnym“, który się odbył w Kijowie od 14 do 30 października 1921 i którego akta zostały świeżo ogłoszone w wydawnictwie Papieskiego Instytutu Wschodniego „Orientalia Christiana“ (Nr 3, czerwiec 1923). Jak widać z aktów rzeczonoego „synodu“, w którym, nawiasem mówiąc, nie brał udziału żaden z biskupów prawosławnych, tylko niższy kler i świeccy, ukraińska cerkiew, stwierdziwszy swą niezależność od jakiegokolwiek innego kościoła i piętnując wszelką zależność jako niezgodną z nauką Chrystusa, zrywa właściwie z ustrojem hierarchicznym Kościoła i opiera cały swój ustrój na jak najdalej idącej demokratyzacji. Zachowując tytuły biskupów i metropolitów, czyni z nich właściwie tylko funkcjonariuszy liturgicznych i prezesów odnośnych rad, w których właściwa władza spoczywa w rękach niższego kleru i świeckich. W rewolucyjnym zapale nie oszczędzono nawet zasady apostołskiego następstwa biskupów przez postaranie się o ważne święcenia dla swoich elektów. Ponieważ separatyści nie posiadali w swoich szeregach ani jednego biskupa, gdyż cały episkopat pozostał wierny patriarchasze, przeto wybrałszy sobie nowego metropolitę w osobie popa Wasyla Lipkowskiego, udzielili mu „święceń“ biskupich przez wkładanie rąk prostych duchownych i ludu. Tak „wyświęcony“ metropolita pokonsekrował następnie

dwudziestu nowych biskupów, a ci poczęli „święcić“ nowych narodowych księży. W przeciągu półtora roku „hierarchja“ ta liczyła już około 3000 duchownych, którzy zdołali opanować kilka tysięcy parafij. Z innych reform ukraińskiej cerkwi trzeba wymienić następujące: wprowadzono w całej rozciągłości liturgję w języku ukraińskim na miejsce języka starosłowiańskiego, zniesiono obowiązek celibatu dla biskupów, pozwolono na nowe związki małżeńskie duchownym wdowcom, ostrzyżono popom długie brody i warkocz, zezwolono na noszenie świeckiego ubioru i t. p.

Twórcy ukraińskiej cerkwi wyprowadzają wszelką władzę, nawet duchowną, od ludu i przyjmują zasadę „oddzielenia Kościoła od państwa“, jak ją rozumie rząd komunistyczny. To winno było zjednać im względy sowieckich władz Ukrainy. Jakoż z początku bolszewickie władze zachowywały przynajmniej neutralność wobec tego ruchu; był on bowiem o tyle pożądanym, o ile rozbijał organizację prawosławnej cerkwi. Niebawem wszakże skończyła się ta neutralność: niezależność Ukrainy sowieckiej jest przecież tylko fikcją, a prawdziwy rząd, moskiewski, w ruchu cerkiewno-ukraińskim dopatrywał się niebezpieczeństwa dla swojego w gruncie rzeczy centralistycznego systemu. Wasyl Lipkowski przed kilku miesiącami został uwięziony, dzieląc tym sposobem los swoich antagonistów, archijerejów wiernych patriarchatowi moskiewskiemu.

Jakkolwiek się ułoży dalszy stosunek ukraińskiej cerkwi do rządu bolszewickiego i do dawnego prawosławia, pierwiastki rozkładu, zaszczerpięte w organizm cerkiewny, będą dalej toczyły jego strukturę. Nie będzie łatwo stłumić tego ducha anarchji, jaki siłą rzeczy rodzi się z zasady ludowładztwa w Kościele; nie będzie łatwo przywrócić poszanowanie prawa kościelnego, skoro się rewolucyjnie obaliło tyle kanonów ustanowionych na soborach powszechnych i mających za sobą powagę wieków. Najgorsza, że przez „samowyświęcenie“ nowej hierarchji zerwane zostało apostołskie pochodzenie biskupów, a zatem zniknie ważność kapłaństwa, a z niem ważność Eucharystji i innych sakramentów. Powtarza się to, co się stało z Kościołem angielskim w 16 stuleciu, który również został pozbawiony ważnego kapłaństwa, zachowując jego pozory. Tym sposobem narodowa ukraińska cerkiew przestaje właściwie być cerkwią prawosławną, a staje się jednym więcej odłamem protestantyzmu z zewnętrzną szatą liturgji wschodniej.

Rewolucja, jaka dokonywuje się w cerkwi ukraińskiej nie jest obojętną i dla nas. I nie tylko dlatego, że dzięki jej ten odłam wschodniej schizmy staje się jeszcze bardziej daleki i obcy Kościołowi, niż był dotąd, a więc i perspektywy

powrotu do jedności kościelnej nie tylko nie przybliży, ale nieskończenie ją oddala i unę utrudnia, ale i dlatego, że przedstawia niebezpieczeństwo zarażenia wywrotowymi tendencjami unickiego Kościoła. Zrewoltowana cerkiew ukraińska pretenduje do roli jedynego narodowego wyznania w narodzie ukraińskim. Czy ten jej charakter „narodowy” w połączeniu z uludowieniem liturgji i zdemokratyzowaniem ustroju hierarchicznego nie stanie się silną pokusą dla radykalniejszych żywiołów wśród Rusinów-unitów, nie wszędzie dość uświadomionych w swoim katolicyzmie i często traktujących religję jako środek swoich nacjonalistycznych dążeń? Niebezpieczeństwo to staje się tem prawdopodobniejsze, że jeden z ośrodków, skąd się rozwija praca nad „ukrainizacją” cerkwi, znajduje się właśnie w Polsce. Jednym z najgorliwszych działaczy na tem polu jest Iwan Ohienko, były rektor krótkotrwałego uniwersytetu ukraińskiego w Kamieńcu, który po upadku Petlury znalazł schronienie u nas. Z niestrudzoną energją wydaje on mnóstwo broszur, w których propaguje ideę „ukraińskiej autokefalnej cerkwi”, tłumaczy na język ludowy księgi święte i liturgiczne. Działalność jego znajduje, zdaje się, uznanie u Dionizego, do niedawna biskupa krzemienieckiego, a obecnie warszawskiego metropolity. Gdyby poprzestawał na żądaniu niezależności cerkwi ukraińskiej od Moskwy, to — powtarzamy — byłby w formalnem prawie i przysłużyłby się swemu narodowi. Niestety, wydaje się nam, że zbyt wiele sympatyzuje on i z temi zmianami w cerkwi, które — jak widzieliśmy — łatwo prowadzą do zaniku tych resztek z ustroju Chrystusowego, jakie dotąd zachowywało wschodnie prawosławie. Zdradzają to sympatje, jakie w swych broszurach okazuje prof. Ohienko dla wszelkich „narodowych” tendencyj w kościele, jak np. dla czeskiego husytyzmu i naszych hodurowców, które wszystkie, narówni z ukrainizacją, podciąga pod jeden mianownik „światowego ruchu w kierunku utworzenia żywego ludowego narodowego Kościoła”¹⁾.

Wobec sąsiedztwa z rewolucyjnym ruchem w cerkwi na Ukrainie i niebezpieczeństwa przeszczepienia go wśród Unitów w imię solidarności narodowej, Kościół unicki w Polsce obowiązany jest podwójnie do wyteżonej pracy nad pogłębieniem uświadomienia katolickiego wśród ludu i reformy kleru w kierunku ściślejszego zjednoczenia go z życiem całego Kościoła. Może niedawno odbyta wizytacja unickich diecezyj przez apostolskiego wizytatora, O. Genocchi, przyczyni się do ściślejszego zjednoczenia tych diecezyj ze Sto-

¹⁾ Taki tytuł nosi jego broszura, wydana w Tarnowie r. 1921, w drukarni J. Pisza.

licą Piotrową. Daj Boże, aby jubileusz 300-to letni śmierci męczeńskiej św. Józafata, jaki w jesieni tego roku obchodzić będzie zarówno Kościół unicki, jak i łaciński w Polsce, zbliżyły wzajemnie do siebie te dwa obrządki, zespalając je w jednej wierze i w jednakowym przywiązaniu do następcy św. Piotra. Tylko katolicyzm jest zarówno nauczycielem ładu społecznego, jak stróżem prawdziwych tradycji chrześcijańskich. On też bardziej dobroczynny wpływ wywrze na wychowanie narodu ukraińskiego, niż wszelkie anarchistyczne i bolszewizujące reformy byłej synodalnej cerkwi.

Moralną niemoc wszelkich narodowych kościołów, odrwanych od centrum jedności katolickiej, doskonale choć smutno ilustruje ostatni krok patriarchy moskiewskiego Tichona. Ten najwyższy dostojnik cerkwi rosyjskiej miał kilka chwil pięknych w swoim pasterskim urzędowaniu, mianowicie kiedy wystąpił z potępieniem stanowiska sowietów wobec cerkwi, a potem z obroną mienia cerkiewnego przed świętokradzką grabieżą. Usunięty przemocą od swojej owczarni, uwięziony przez ateistyczny rząd sowiecki, zdawało się, że podzieli los katolickich męczenników i wyznawców, znoszących mężnie tortury więzienia i przelewających swą krew za wolność religii i Kościoła. Niestety, na dłuższą metę zabrakło mu tego chrześcijańskiego męstwa, które daje niezłomne przekonanie o słuszności swej sprawy, tak odznaczające katolickich wyznawców. Bolszewicka prasa urzędowa skwapliwie ogłosiła tekst jego supliki do sądu najwyższego, przed którym miał stanąć, a przed którym teraz w pokorze najgłębszej wyznaje, że nie miał słuszności w zwalczaniu sowietów, że żałuje tego i przyrzeka najszczerzą poprawę. Łatwo przypuścić, że ta spowiedź nie przyszła mu lekko i nie wypłynęła z głębokiego przekonania o własnej winie; sam styl pisma i wyrażenia w nim użyte dowodzą, że podsunięto mu do podpisu gotowy papier. Złamany cierpieniami i groźbą śmierci starzec uległ i podpisał... Niemniej jednak jakież to smutny upadek, jak na najwyższego pasterza cerkwi! Jakież triumf dla bezbożnej kliki żydowskich panów Rosji! A zarazem jak niepożyteczną musi okazać się ta spowiedź dla cerkwi, a nawet dla samego penitenta! Wątpić należy, by przez swój krok pogodził ze sobą i pociągnął z powrotem pod swą władzę te żywioły, które zsolidaryzowały się już dawniej z bolszewickim systemem i ekskomunikowały samego patriarchę. Jeśli po ich stronie była słuszność i prawda, a nie po jego, jak to on sam teraz wyznaje, czy zasługuje na to, aby rządzić cerkwią, którą bez niego i wbrew niemu inni na „właściwsze“ wprowadzili tory? Czy pociągnie za sobą swą spowiedzią tych, którzy mu dotąd

wierzyli i za męczennika słusznej sprawy uważali? Czy posłuchają go ci zwolennicy starego porządku i wrogowie sowieckich rządów w Rosji, biskupi i metropolici na emigracji, na których obiecuje wyrzucić cały wpływ, jaki daje mu jego godność? Zdaje się, że i sowietom o to nie chodzi. Po łatwym triumfie nad słabym i upadłym starcem, pozostawia go własnemu losowi — jako obywatela Wasyla Bieławina, jako narzędzie nieużyteczne, tembardziej, że ich celem nie żadna konsolidacja ustroju cerkiewnego, ale zupełny jego rozkład, jako droga do ostatecznego odchrześcijanienia kraju. Na stosunku komunistycznego rządu do katolicyzmu upadek Tichona odbije się także zapewne fatalnie. W jego oświadczeniu będą czerpali ci zaprzysięgli wrogowie wszelkiej religii dowód, że religja w republice sowieckiej cieszy się zupełną swobodą i wszelki opór zarządzeniom rządu ze strony kleru katolickiego ma tylko polityczny kontrrewolucyjny charakter. Mamy wszakże nadzieję, że ta palinodja prawosławnego patriarchy nie wpłynie nic na stanowisko katolickiego duchowieństwa, i jeśli spowoduje dlań większe jeszcze cierpienia, to otoczy tem świetniejszą aureolą jego męstwo.

Historja ostatnich lat cerkwi rosyjskiej aż do upadku Tichona włącznie przyczyni się też do wyjaśnienia, dlaczego wszelkie próby „unaradawiania” Kościoła, w rodzaju naszej hodurowskiej schizmy i różnych awantur Faronów i Husznów, spotykają się z taką protekcją naszych socjalistycznych i ludowcowych radykałów, którzy nie wierząc ani w Boga ani w diabła, będąc zwolennikami przeróżnych międzynarodówek, stają się tak gorliwymi apostołami schizm, maskujących się patriotyzmem. Oto w takich „narodowych” kościołach, zepchniętych ze skały Piotrowej niezachwianej wiary i tradycyjnej karności, zyskują czynnik społecznego rozkładu i przewrotu i powolne narzędzie do uświęcania i pochwalania wszelkich niegodziwości rewolucji. „Żywa cerkiew” polska — oto ideał naszych Hołówków, Putków i Czapińskich. Te ich sympatje dla kościelnych wichrzycieli winny otworzyć oczy zdrowszej części narodu na prawdziwą wartość i cel ich roboty. Jeśli do budowy „Polski odrodzonej” zabiera się spółka, złożona z masońskich niedowiarków, chłopów uciekających przed ciężarami kościelnymi, zbuntowanych księży, pseudomistycznych i zidjociałych czcicieli „mateczki” Kozłowskiej, demagogów miejskich i wiejskich, wreszcie jurgielników Trockiego, — to chyba sam dobór tego towarzystwa wystarcza, aby od jego roboty odwróciła się ze zgrozą... Polska.

Ks. Jan Urban.

Konkurs na Żywoty Świętych polskich.

Uniwersytet Lubelski ogłasza Konkurs na żywot jednego ze świętych polskich. Warunki Konkursu są następujące:

1. Przedmiotem pracy konkursowej mogą być tylko żywoty Świętych polskich, tj. takich, którzy byli Polakami, lub też żyli i pracowali na ziemiach polskich. Mogą nimi być zarówno osoby kanonizowane, lub beatyfikowane jak i takie, które tego nie dostały, ale których sprawy są w toku, lub które posiadają pewien kult tak, że uzyskanie ich beatyfikacji nie jest wykluczone.

2. Prace konkursowe winny całkowicie odpowiadać wymaganiom współczesnej krytyki hagiograficznej, t. zn. opierać się na bardzo gruntownych badaniach historycznych i na tem tle historycznem przedstawić rozwój duchowy opracowanej postaci w tej mierze, w jakiej źródła na to pozwalają.

3. Rozmiary pracy nie powinny być mniejsze niż 10 a większe niż 15 arkuszy druku zwykłej 16-ki.

4. Na nagrodę przeznaczona jest suma równoważna wartości 100 m³. pszenicy. Suma ta będzie podzielona na 2 nagrody w stosunku 2/3 i 1/3. Przysługuje jednak prawo Sądowi Konkursowemu większością głosów przyznać całą sumę autorowi najlepszej pracy, lub też podzielić ją na trzy w stosunku 3/6, 2/6 i 1/6.

5. Termin nadesłania prac upływa dnia 1-go stycznia 1925 r. Sąd konkursowy ma prawo termin ten przedłużyć wedle uznania.

6. Prace konkursowe winny być zaopatrzone w godło. Do pracy winna być dołączona zamknięta koperta, zaopatrzona w to samo godło i zawierająca nazwisko autora.

7. W skład Sądu Konkursowego wchodzi:

1. O. J. Woroniecki, Rektor Uniwersytetu Lubelskiego jako przewodniczący.
2. J. E. Ks. Biskup Godlewski Michał.
3. Prof. Dr. Stanisław Smolka.
4. Ks. Prof. Władysław Szczeciński.
5. Prof. Dr. Władysław Abraham.
6. Ks. Prałat Stanisław Okoniewski.
7. Prof. Dr. Tadeusz Grabowski.
8. Dyr. Dr. Fryderyk Papée.

Do osądzenia nadesłanych prac wolno sądowi wyznaczyć ze swego grona ściślejszą komisję, złożoną z trzech do pięciu osób.

8. Prace konkursowe winny być przepisane na maszynie,

9. Adres do nadsyłania prac konkursowych: Lublin, Uniwersytet, Konkurs hagiograficzny.

REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

Druk ukoficzo 6 lipca 1923 r.

Spór o początki Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek.

Komu dziś w Polsce nieznana jest nazwa lichej, a jednak głośnej na kraj cały kresowej miejsciny, której miano Jazłowiec? O czyje uszy nie obilo się to drugie, z tamtem nierozzerwalnie związane, imię Matki Darowskiej? Kto nie słyszał o zakonnem Zgromadzeniu Sióstr Niepokalanek, które powstawszy w Rzymie w szóstym dziesiątku lat zeszłego wieku, wkrótce potem przeniosło się na wschodnie kresy do Polski, i tu, w uroczem ustroniu nad rzeką Strypą, w odnowionych murach starego pałacu Poniatowskich, rozpoczęło zbożne dzieło wychowywania dziewcząt na zasadach wiary i w duchu narodowym? Przez lat kilkadziesiąt patrzyło społeczeństwo na błogie owoce podjętej pracy, widziało niemałe zasługi oddane krajowi przez nowopowstały zakon, lecz widziało też silną i doświadczoną rękę tej, która przez lat 50 jako generalna przełożona kierowała całym zgromadzeniem, zrazu w samym tylko Jazłowcu, a następnie, w miarę jak przybywały nowe domy zakonne z internatami, także i w Jarosławiu, Niżniowie, Nowym Sączu, Słonimie i Szymanowie. Toteż imię tej powszechną czią otoczonej, świątobliwej i wysoce uzdolnionej Matki, Marceliny z Kotowiczów Darowskiej, tak się jakoś w jedną całość zlało z powstającymi kolejno fundacjami, iż poczęto ją uważać również za założycielkę zgromadzenia, a blask jej czynów przyćmił niejako zasługi i pamięć innych osób, których imiona związane są również z początkami tej stosunkowo jeszcze świeżej, a tak już zasłużonej duchowej rodziny.

Lecz oto, w roku 1916, pojawia się na półkach księgarskich przez długie lata w rękopisie leżące, a teraz drukiem ogłoszone dzieło O. Hieronima Kaysiewicza ze Zgromadzenia XX. Zmartwychwstańców, p. t. „Żywot Matki Józefy Karskiej“, wydane u G. Gebethnera i S-ki w Krakowie, nakładem p. Michała Karskiego z Włostowa. Jest to spory tom o czterystu kilkudziesięciu stronicach, ozdobiony portretem „pierwszej Siostry i Przełożonej Zgromadzenia SS. Niepokalanego Poczęcia Najśw. M. Panny“, a składają się na jego całość w znacznej części listy przez M. Karską i do niej pisane, tak iż sam tekst O. Kaysiewicza niewiele stosunkowo miejsca zajmuje. Czytając to dzieło i zapoznając się bliżej z osobą M. Józefy, jej życiem i czynami, nie trudno odnieść wrażenie, a nawet dojść do wniosku, iż pomimo zasług położonych w utworzeniu się nowego Zgromadzenia przez Marcelinę Darowską, nie jej wszakże, lecz Józefie Karskiej powinien przysługiwać zaszczytny tytuł Założycielki. W lat kilka później pojawia się w druku inna praca: jest to niewielka broszurka p. Szymona Karskiego p. t. „Kto założył Zgromadzenie S. S. Niepokalanek“, wydana w drukarni św. Wojciecha w Poznaniu. Ta ma już jasno wytknięty cel wykazania czarno na białem, że nie kto inny, tylko M. Józefa Karska nazwaną być może fundatorką zakonu. Autor, co prawda, niezbyt fortunny pracy swej nadał tytuł, ujmując go w formę zapytania, już bowiem na odwrotnej stronie tytułowej, pod znanym nam z poprzedniego wydawnictwa portretem umieścił napis: „Założycielka Zgromadzenia SS. Niepokalanek“, dając tem samem odrazu odpowiedź na pytanie w tytule zawarte. Co więcej, rozprawka p. Karskiego poprzedza przydługa w stosunku do całości broszury przedmowa ks. dra Al. Tr-skiego, która informuje czytelnika o pochodzeniu i zasługach rodziny Karskich, z podaniem kilku szczegółów z życia M. Józefy; słowem, sprawa już ustalona, zanim jeszcze autor głos zabrał, by na postawione pytanie udzielić odpowiedzi.

Zapoznawszy się z treścią obu pomienionych wydawnictw, łatwo dojrzeć to, co zresztą i skądinąd nie jest tajemnicą, iż co do tego, kto mianowicie założył Zgromadzenie Niepokalanek, istnieje pewna rozbieżność poglądów

i zdania są podzielone. Powszechna opinia, przyznająca Marcelinie Darowskiej tytuł fundatorki, ma swoich przeciwników, a stąd pewien antagonizm nie od dziś nurtujący wśród osób do sprawy tej zbliżonych. To też słusznie twierdzi p. Karski, że wyjaśnienie tego sporu każdego zainteresować powinno, tembardziej że ma podobno być wszczęty proces beatyfikacyjny M. Józefy. Do słów tych dodam jeszcze, że także i myśl o beatyfikacji M. Marceliny jest nieobcą jej duchownym córkom. Teraz zaś, opierając się na dokumentach, któremi rozporządzam¹⁾, staraniem mojem będzie zajrzeć raz jeszcze prawdzie w oczy, streszczając fakta tak jak się na mocy tychże dokumentów przedstawiają, i prostując błędy tu i ówdzie napotkane. Dalej zaś wypadnie mi zapoznać się z opinią osób najbardziej zainteresowanych i najbliżej Zgromadzenia — zwłaszcza początków jego — stojących; wreszcie postaram się dojść sam do jakiegoś konkretnego wniosku, któryby kwestję sporną na tle założenia Zgromadzenia SS. Niepokalanek wynikłą, pozwoilił uznać za ostatecznie wyjaśnioną i zakończoną.

A więc naprzód garść faktów.

Dnia 11 listopada 1850 roku przybywa z Polski do Rzymu panna Józefa Karska, osoba wysokiej pobożności, i tu oddaje się pod duchowne kierownictwo O. Hieronima Kaysiewicza, będącego podówczas Generalnym Przełożonym XX. Zmartwychwstańców. Gdy jeszcze bawiła w Warszawie, w r. 1849, pewnego razu na modlitwie w kościele OO. Bernardynów stanęła jej na myśli potrzeba założenia żeńskiego Zgromadzenia zakonnego, któreby zaradzić mogło brakowi

¹⁾ Oprócz dwóch wyżej wymienionych wydawnictw, miałem jeszcze między innemi do dyspozycji następujące rękopisy: Życiorys matki Józefy Karskiej napisany przez O. Hieronima Kaysiewicza, ofiarowany przez autora Zgromadzeniu, jak również drugi życiorys, skrócony, z roku 1872, tegoż autora, także darowany Niepokalanom. — *La Mère Marceline Darowska et les Origines de la Société des Soeurs de l'Immaculée Conception de la Très-Sainte Vierge. I-e Partie.* — Odpis aktu z I-ej Kapituły (1875 r.) — Odpis testamentu M. Darowskiej pisanego w Boryniczach 1884 r., w drugiej połowie czerwca, odczytanego i poprawionego w Zaleszczykach we wrześniu 1904 r. Dwa Dekrety Kongr. Biskupów i Zakonników: „pochwalny” z 22 V. 1863, i zatwierdzający Instytut z 29. VII. 1874.

znajomości praw Bożych w społeczeństwie. Teraz, wkrótce po przybyciu do wiecznego miasta, zwierza się duchownemu kierownikowi z tą myślą, która znalazła była uznanie u trzech warszawskich spowiedników; O. Kaysiewicz jednak na razie udziela jej rady, by wstąpiła raczej do jakiegoś istniejącego już zakonu, zajmującego się wychowaniem, i następnie przeniosła go do kraju. W roku następnym (1851) Józefa widzi we śnie Matkę Najświętszą wyciągającą ku niej dłoń, a po niedługim czasie słyszy na modlitwie głos wewnętrzny Zbawiciela, wołający na nią: „Bądź moją, bądź moją“. Rezultatem tego na razie było, iż złożyła ślub czystości, oraz ślub posłuszeństwa swemu spowiednikowi, z zastrzeżeniem tego ostatniego, iż będzie mógł każdej chwili od obowiązku posłuszeństwa ją zwolnić. W lecie tegoż roku, gdy bawiła poza Rzymem, namawiano ją, by została zakonnicą we Włoszech; myśl ta zrazu uśmiechnęła się Józefie, lecz spowiednik, snąc inne widząc względem niej zamiary Boże, odwołuje ją od podobnej chęci, pragnąc pobudzić ją do czynu. „Do pracy — pisze do niej — moja Panno, do pracy nie do gotowego. Nie tam się zapisywać do pułku, gdzie koszary pełne żołnierzy Chrystusowych, ale gdzie mury stoją puste i nagie“. To wezwanie do życia czynnego wyraźniej jeszcze przed Karską rozwinął O. Kaysiewicz, gdy po dwóch latach uznał za stosowne uwagę jej skierować na konieczność wzięcia się do pracy w celu spełnienia woli Bożej. Józefa oddana życiu kontemplacyjnemu i modlitwie wewnętrznej, w których zaznawała niezmiernych duchowych radości, zrazu wstętu uczuła do życia czynnego, wszakże posłuszna spowiednikowi, pisze niezwłocznie do jednej znajomej, o której sądziła, iż mogłaby się nadać na towarzyszkę w nowym życiu zakonnym.

W połowie roku 1854, jak widać z listu p. Karskiej do O. Kaysiewicza, sprawa założenia nowego Zgromadzenia wciąż jeszcze obraca się w sferach projektu; opowiada bowiem, jak na rozmowie ze znajomą wspominała jej o ciągu swym najsilniejszym formowania dusz zupełnie poświęconych Bogu, słowem doskonałych zakonnic, a jednak widzi też potrzebę zajęcia się „wychowaniem dzieci klasy wyższej“, i sama nie wie, jak te dwa cele połączyć. W paż-

dzienniku 1855 roku, podczas rekolekcji odbytych w Braciano pod Rzymem, Józefa zastanawia się nad tem, iż trzeba wyrzec się samej siebie i obrać sobie to specjalne powołanie, w którym najwięcej można będzie przynieść pożytku. „Na samo wspomnienie — pisze — czynnego życia i wszystkiego co za niem idzie, chcę mówić, gdzie każda sekunda męczeństwem, łązy rozpaczliwe z ocz mi trysnęły pomimo-wolnie“. Jeszcze się waha z rozpoczęciem wielkiego dzieła, gdyż „nad wszystkie inne wewnętrzne i zewnętrzne przyjemności, miłszy mi zupełnie spokój“. Poczucie jednak obowiązku podtrzymuje ją w pracy; widzi też swe braki, postanawia mieć na nie pilnie zwróconą uwagę i ostatecznie zdaje się zupełnie na wolę Bożą, gotowa spełnić ją we wszystkim.

Niebawem zgłaszają się do panny Karskiej dwie towarzyszk (Emilja Steinert i Natalja de Reuill), zgromadzenie poczyną stopniowo przybierać jakieś widome kształty, i Józefa z woli O. Kaysiewicza obejmuje nad niem przełożęństwo. Wszakże zwykłe wyjazdy jej do wód, a nawet chwilowy powrót do kraju w roku 1857, w celu odnowienia paszportu i w sprawach majątkowych, przerywały normalny bieg zajęć, tak iż, zdaniem O. Kaysiewicza, dopiero rok 1858 uważać należy za pierwszy ich wspólnego zakonnego życia.

Ale już na lat kilka przedtem, na horyzoncie tworzącego się zgromadzenia pojawiła się była postać tej, która w następstwie tak ważną w niem odegrać miała rolę: była to młoda wdowa, Marcelina z Kotowiczów Darowska, rodem z Kijowszczyzny, która w ciężkim po śmierci męża i synka pogrążona smutku, przybywszy do Paryża i odprawivszy tam rekolekcje pod kierunkiem O. Aleksandra Jełowickiego, postanowiła odbyć pielgrzymkę do Rzymu. Nie ulega wątpliwości, iż duszy jej, po stracie ukochanych osób potrzeba było pokrzepienia i zahartowania w duchu chrześcijańskiej rezygnacji, niemniej jednak przesadą tchną słowa p. Karskiego, który we wspomnianej broszurze swej pisze, iż „dopiero w Paryżu zwraca się do Boga“. Wszak ona, jak wiadać z opisu O. Kaysiewicza, na pensji jeszcze będąc, „z bezpośredniego wyraźnie natchnienia Pana Boga pragnęła Mu się poświęcić w Zakonie“, a gdy ją spowiednik od tego odwiódł, uważając pragnienie to za mrzonkę, i Kotowiczówna

za mąż wyszła, „w ciągu kilkoletniego tylko z mężem życia potrafiła go do Pana Boga i szczerzej praktyki religijnej pociągnąć“. Niedługo trwał ten pierwszy pobyt w Rzymie pani Darowskiej, bo tylko od Świąt Wielkanocnych do końca sierpnia roku 1854. W tym jednak krótkim, kilkomiesięcznym zaledwie przeciągu czasu zawiązała się pomiędzy nią a Józefą Karską nie tylko dobra znajomość, lecz i ścisła dożygonna przyjaźń.

Podobnie jak panna Karska na lat kilka przedtem w Warszawie, tak w Rzymie obecnie pani Darowska doznaje wewnętrznego oświecenia o mającem powstać Zgromadzeniu, którego celem ma być praca w Polsce nad wychowaniem panienek oraz dziatwy z ludu. Zwierza się z tem przed O. Kaysiewiczem, ten zaś każe jej spisać to, co w duszy poznała, i do notatek jej zarówno on, jak i M. Józefa, wielką przywiązują wagę. P. Karska w lat kilka później mówiła nawet pannie Cyfrowiczównie (późniejszej zakonnicy), iż Bóg zamiary swe co do celu i ducha Zgromadzenia objawił Marcelinie, ona zaś (p. Karska) żadnych świateł zgóry w tym względzie nie otrzymała. A kiedy M. Józefa, zapytana w tym czasie przez Marcelinę o system wychowania w przyszłym Zgromadzeniu, nie dawała odpowiedzi, wyjaśnił to Marcelinie O. Kaysiewicz mówiąc, iż Józefa wskazówek dać nie mogła, gdyż sama nic nie wiedziała.

Pani Darowska, jak wspominałem, po kilku miesiącach Rzym opuściła, złożywszy uprzednio w dniu 12 maja 1854 r. śluby czystości i posłuszeństwa w ręce O. Kaysiewicza. Wtedy to zaczęła się pomiędzy nią, M. Józefą i O. Kaysiewiczem długa i ożywiona korespondencja. W listach obu przyjaciółek wyraźnie zarysowuje się wzajemny ich poza ścisłą przyjaźnią stosunek: Józefa, pisząc do duchownej córki, udziela jej rad, wskazówek, owianych ogromną serdecznością, ma dla niej „matczyne serce“; Marcelina natomiast zwraca się do Józefy jak do starszej, przełożonej, zdaje jej sprawę ze swego stanu wewnętrznego i oświadcza się zawsze ze swem przywiązaniem do powstającego Zgromadzenia, do którego „była już postanowieniem przystała“. Pewnego razu dopytuje się o bardziej szczegółowe sformułowanie celu i ducha Zgromadzenia, lecz był to czas, gdy M. Józefa,

jak twierdzi O. Kaysiewicz, przez taki stan wewnętrzny przechodziła, iż nie pojmowała już nawet chwilami przyszłości zakonnej i do udzielania szczegółów najmniej korzystnie była usposobiona. Nie mogąc jednak pozostawić pytania bez odpowiedzi, przesyła Marcelinie dość obszerny memorjalik, w którym streszczony jest cel Zgromadzenia i sposób zamierzonego wychowania młodego pokolenia. Był to — powiada O. Kaysiewicz — „zaród reguły” zakonnej. Lecz niebawem przebijając się też zaczyna z korespondencji przyjaciółek moralny wpływ młodszej na starszą. W jednym z listów swych już i Marcelina pisze do Przełożonej o cechach, któreimi odznaczać się powinno Zgromadzenie, i pewnych co do niego wskazówek przyjaciółce swej udziela.

Zmuszony jestem zatrzymać się cokolwiek dłużej nad listem M. Józefy z 31 maja 1856 roku, stał się on bowiem przedmiotem wielkiego nieporozumienia z powodu drobnego na pozór błędu, jaki się wkrađł do tekstu. W wydaniu drukowanym „Żywota M. Karskiej” znajduje się między innemi taki ustęp: „Zmierz przed Bogiem Twe siły, przekonaj się, czy istotnie przebudził się w niej duch zmartwychwstania... Pomóż jej rozpoznać jasno wolę Bożą względem niej... Zwróć raczej jej wyobraźnię na trudy i ciężkości życia zakonnego... dobrzeby było, żeby tej jesieni połączyła się z nami. O Tobie, siostró moja ukochana, nie śmiem marzyć i spodziewać się Ciebie. Spuściłam na Pana naszego najmiłszego, chwilę połączenia naszego”. Z tych kilku urywków łatwo poznać, iż mowa w nich o jakiejś osobie trzeciej, a ponieważ nie znajdujemy o niej żadnej wzmianki uprzednio, więc rzecz cała stała się niezrozumiałą i nie klei się z pierwszym zdaniem: „Zmierz... Twe siły”. Ale p. Karski w broszurze swej widocznie tego nie dopatrył, wszystko ryczałtem do Marceliny odnosi, i wnioskuje stąd, iż M. Józefa długą nieobecnością Marceliny „śnać zaniepokojona, poczyną mieć wątpliwości co do jej powołania i powrotu do Zgromadzenia”. Tymczasem rzecz przedstawia się całkiem inaczej. Oto bowiem pierwsze zdanie w rękopisie O. Kaysiewicza brzmi tak: „Zmierz przed Bogiem siły NN...”, i tak wszystko, od początku do końca dotyczy owej osoby NN., nie wymienionej ze względów cenzuralnych, lecz znanej Marcelinie (była

to jej bratowa, pani Rozalja Darowska), która również objawiła życzenie wstąpienia do nowego Zgromadzenia. Chodzi więc poprostu o zbadanie jej powołania; przyjazdu jej do Rzymu spodziewa się M. Józefa w jesieni, a co do Marceliny, wiedząc o sprawach, które ją w kraju zatrzymują, dodaje, że o jej przybyciu marzyć nie śmie, zdając się na Boga co do chwili, w której ją ujrzy ponownie.

I nadeszła ta chwila w roku następnym. Jak bowiem mylnemi okazały się wnioski p. Karskiego co do wątpliwości powstałych w duszy M. Józefy, tak również omylił się twierdząc, iż pani Darowska wyjechała „na lat cztery z powrotem na Ukrainę“, i że „nie dane jej było więcej z Józefą pracować“. Wiadomo bowiem, iż zimę i wiosnę 1857—1858 roku Marcelina spędziła ponownie w Rzymie, o czym wspomina zresztą i O. Kaysiewicz w liście pisanym z Paryża do M. Józefy (4 października 1857), dodając w *postscriptum*, iż Marcelina przyjechała i za dni parę do Rzymu wyjeżdża.

Z powtórnem przybyciem pani Darowskiej do Wiecznego Miasta łączą się przenosiny Zgromadzenia do nowego mieszkania przy via Paolina. Od 25 marca 1858, na mocy pozwolenia udzielonego przez Piusa IX, poczęto w domowej kapliczce przechowywać Przenajświętszy Sakrament, i odtąd też zaczęły już Siostry zachowywać klauzurę, żyły zaś w wielkiem, prawdziwie zakonnem ubóstwie. Marcelina oficjalnie jeszcze do zgromadzenia nie należała, nie brak było jednak współpracy jej w dalszym procesie jego tworzenia. I tak, gdy szło o nadanie mu nazwy, której jeszcze nie posiadało, polecił O. Kaysiewicz Marcelinie, by się modliła o światło z nieba w celu powzięcia decyzji. Marcelina spełnia dane jej zlecenie, i po jakimś czasie oznajmia, iż wolą jest Matki Bożej, by zgromadzenie przyjęło nazwę Jej Niepokalanego Poczęcia. Odpowiedź ta była po myśli O. Kaysiewicza, i tak upadły pierwotne przypuszczenia, iż zakon od Zmartwychwstania Pańskiego swą nazwę poczerpnie, co na wypadek osiedlenia się Zakonu w Polsce, mogło być niepożądanem ze względu na rząd rosyjski, który w „Zmartwychwstaniu“ łatwo mógł dopatrzeć się ukrytej myśli politycznej.

Z nastaniem upałów Józefa i Marcelina wspólnie Rzym opuściły. Choroba piersiowa M. Karskiej od lat kilku coraz

większe czyniła postępy; zaniepokojona jej stanem, wierna przyjaciółka życie swe za chorą ofiarowała, lecz Bóg tej ofiary nie przyjął. Józefa udała się na kurację do Ischl, Marcelina ze względu na zdrowie córeczki — do Szczawnicy. Tu przybyli też sędziwi jej rodzice. Pan Kotowicz, widząc że córka zamierza poświęcić się zupełnie służbie Bożej, a nie rozumiejąc, by taką była względem niej wola Boska, wszystkimi siłami starał się odwieść ją od powziętego zamiaru, lecz na próżno. Po wspólnym jeszcze pobycie w Krakowie, pp. Kotowiczowie powrócili na Ukrainę, pani Darowska zaś z chorą wciąż córką udała się na zimowy pobyt do Nizzy. Tu poznała przybyłego chwilowo O. Piotra Semenenkę, z którym, podobnie jak z O. Kaysiewiczem, obszernie o stanie swej duszy mówiła.

Czytamy w życiorysie Marceliny Darowskiej, iż w roku tym otrzymała wewnętrzne oświecenia co do reguły, której wówczas jeszcze nie знаła, co do szczegółowych obowiązków, celu, posłannictwa i ducha Zgromadzenia. Później znów otrzymuje światła dotyczące M. Józefy, O. Kaysiewicza i Zgromadzenia, dostrzega pewne błędy i odbiera wskazówki dla swych przełożonych; to też z niechęcią i odrazą zabiera się do ich spisywania. Wreszcie, 19 marca 1859, w poczuciu iż spełnia rozkaz Boży, przesyła swe sprawozdanie O. Kaysiewiczowi, zdając się całkiem na sąd jego, gdyby to co napisała, należało uważać za szaleństwo jej wyobraźni lub dzieło złego ducha, — ona jednego tylko pragnie: spełnienia woli Bożej. O. Semenenko, zapoznawszy się także z treścią tego sprawozdania, utwierdził Marcelinę w tem, że to rzeczywiście głos Boży przez nią przemawia. Innym razem, już później, w serdecznym liście pisanym do M. Józefy, donosi Marcelina przyjaciółce, iż na modlitwie widzi stan jej duszy, ostrzega ją, iż Bóg wiele od niej wymaga, prosi, by nie lekceważyła swych niedoskonałości, i otwarcie udziela jej nauk. Przeprasza, jeśli w słowach tych przebrała miarę, oświadcza się z całą szczerością jej służebnicą, pisze jeszcze, że pojęła posłannictwo zgromadzenia, a taką ku niemu pałą miłością, że gotowa krew swą przelać za przywilej należenia do niego. Tak więc Marcelina, choć uległa spowiednikowi i przełożonej, gdy jednak ci się do niej po światło zwracali,

była, wedle tego co znajdujemy w jej życiorysie, duszą kierownictwa w nowopowstającym zgromadzeniu. Nie znaczy to jednak, by M. Karska nie miała żadnego udziału w jego organizacji. Owszem, czytamy u O. Kaysiewicza, iż ten, zapoznawszy się z myślą ogólną Józefy co do Zgromadzenia, sam wprowadził dla niego ułożył regułę, lecz wszystkie punkta wspólnie z nią rozważał i z uwag jej, na piśmie złożonych, korzystał. Działo się to w zimie 1858—1859 roku.

Opuściwszy Nizzę, pani Darowska powróciła do kraju, dokąd wołały ją już to sprawy rodzinne wymagające bytności jej w domu rodziców w Szulakach na Ukrainie, już to sprawy majątkowe, dla których przebywała we własnym majątku, w Żerdziu pod Kamieńcem Podolskim. W tym samym czasie, w Rzymie, organizacja nowego Zgromadzenia posuwała się o krok naprzód. Dnia 8 grudnia 1859 r. na mocy pozwolenia Stolicy Apostolskiej, uzyskanego staraniem O. Kaysiewicza, M. Józefa wraz z Siostrą Marią (Emilią Steinert) i Siostrą Bronisławą (Natalią de Ruilly) przywdziały białoniebieskie zakonne habity, dotychczas bowiem nosiły skromne szare suknie (a nie habity, jak pisze p. Karski). Dwie pierwsze z pomienionych złożyły zakonne śluby, trzecia w następnym dopiero roku wstąpić mogła w ich ślady. Odtąd też zaczęły Siostry wspólnie odmawiać małe Oficjum o N. M. P. Matka Józefa jednak w tych ćwiczeniach już udziału przyjmować nie mogła, zdrowie jej bowiem słabło coraz bardziej i zaraz po uroczystości 8 grudnia położyć się musiała do łóżka. „Czując uchodzące coraz więcej życie ciała—pisze O. Kaysiewicz—miała pociechę widzieć przynajmniej pierwszy zawiązek Zgromadzenia, które było jedynem zadaniem całego jej życia“. W tym czasie pisała do Marceliny: „Ach! kiedyż mi będzie dano Ciebie i Karolcię (córkę p. Darowskiej) błękitnym sznurem opasać!“ Marcelina atoli z oddalenia tylko udział brać mogła w pięknej uroczystości, sercem jednak z Siostrami złączona, pisała prosząc o modlitwy, aby, oczyszczona, co rychlej do grona ich przyjętą być mogła.

Tymczasem koniec życia Matki Józefy zbliżał się szybkim krokiem. Wyjechawszy z końcem maja 1860 r. do Frascati, chora z wielkim tylko wysiłkiem z powodu ciężkiej

już niemocy do ulubionego domku klasztornego w Rzymie powrócić zdołała. Pisze O. Kaysiewicz, iż na dni parę przed śmiercią, „przywołując z kolei siostry, każdej z pożegnaniem i błogosławieństwem dawała nauki i rady, odpowiednie każdej z nich“. Wszakże jedna z ówczesnych nowicjuszek, późniejsza Siostra Emilja (Cyfrowiczówna), temu szczegółowi zaprzecza, jak również podanej przez O. Kaysiewicza wiadomości, iż w czasie tym Siostry kształciły się w naukach potrzebnych dla przyszłych mistrzyń, gdyż było ich podówczas tylko dwie, zajętych prowadzeniem domu. Powodem zmartwienia dla konającej była nieobecność ukochanej przyjaciółki, cieszyła ją tylko wiadomość, iż chce i może przyjechać. W chorobie swej mówiła Siostrze Bronisławie, iż chciałaby oddać się pod kierownictwo Marceliny, a myśl o niej, jak pisał O. Semenko kilka miesięcy przedtem do pani Darowskiej, napełniała ją radością i błogosławiła Panu. Z wielką rezygnacją znosząc ciężkie i długotrwałe cierpienia, coraz bardziej jednocząc się z Bogiem na ziemi, dnia 11 października 1860 r. Matka Józefa Karska schodzi z tego świata, aby się z Bogiem połączyć w wieczności.

W kilka dni po pogrzebie swej Matki, Siostry zakonne odprawiły rekolekcje, i O. Kaysiewicz wyznaczył im nową przełożoną w osobie Siostry Marji, jedynej podówczas profeski. Pani Darowska, wezwana telegraficznie do Rzymu, nie mogła już zdążyć przed śmiercią swej przyjaciółki. Ale chwila była stanowcza, to też pomimo trudności ze strony ojca, który nie chciał słyszeć o wstąpieniu jej do zakonu, zbierała się do wyjazdu. Nowa trudność stanęła jej też na drodze ze strony rządu: wskutek bowiem jakiegoś donosu, Generał Gubernator odmówił wydania jej paszportu. Przypadek zrządził, iż po jakimś czasie paszport przez omyłkę podpisany został i Marcelina w grudniu 1860 r. mogła nareszcie stanąć w Rzymie. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia odbywa rekolekcje; usposobienie jej zrazu oschłe: dom klasztorny po śmierci M. Józefy sprawia jej wrażenie ciała bez duszy; myśl o objęciu przełożęństwa budzi w niej odrazę. O. Semenenko oznajmia jej, iż ma teraz złożyć ślub ubóstwa; w pierwszej chwili czuje co do tego obawę ze względu na małoletnią córkę, wszakże 3 stycznia 1861 roku,

po odnowieniu ślubów czystości i posłuszeństwa, składa też w ręce O. Kaysiewicza ten trzeci ślub zakonny. Po skończonem nabożeństwie oznajmia O. Kaysiewicz Siostrze, iż odtąd Marcelina będzie ich Matką; ponieważ jednak miała jeszcze do kraju powrócić dla ostatecznego załatwienia spraw majątkowych, więc rzecz na razie pozostaje w tajemnicy i nawet habitu zakonnego M. Marcelina nie przywdziewa. Przed wyjazdem wszakże rozpoczęła już wykładać Siostrze regułę zakonną ku wielkiemu ich zbudowaniu.

Dowiadujemy się z życiorysu M. Darowskiej, iż w podróży swej do kraju otrzymała wewnętrzne oświecenie o nadjeściu chwili przeniesienia Zgromadzenia do ojczyzny. Nie tracąc więc czasu, w drodze na Ukrainę, zatrzymuje się w Przemyśle i tu z biskupem Jasińskim konferuje o założeniu domu w jego diecezji. Myśl ta znalazła życzliwe przyjęcie u biskupa, wszakże do wykonania jej na razie nie przyszło. Przybywszy w strony rodzinne, Marcelina oddaje ostatnią posługę rodzicom, którzy oboje w przeciągu kilku miesięcy pobożnie i bogobojnie zeszli z tego świata. Po śmierci ich przenosi się do Żerdzia i wkrótce potem, na zaproszenie biskupa Felińskiego, udaje się do Warszawy, aby i z nim z kolei pomówić o osiedleniu się Zgromadzenia w jego archidiecezji. Pomimo jednak dogodnych warunków, jakie proponował arcybiskup, M. Marcelina prośbie jego wręcz odmówiła, nie widząc w tem woli Bożej, by się tam osiedlić. Nastąpiły próby osiedleń się w okolicach Krakowa i Lwowa, które również nie doszły do skutku. Na krótką chwilę powróciła M. Marcelina do Żerdzia, gdzie zostawiła swą córkę; przedostawszy się w powrotnej drodze po kryjomu przez granicę, poczęła znów rozglądać się po Galicji w celu wybrania miejscowości na stały pobyt dla swego Zgromadzenia. Była w Niżniowie, ale bezskutecznie; wreszcie udała się do Jazłowca. Zanim jednak ostateczną powzięła decyzję, pospieszyła jeszcze do Rzymu, gdzie stanęła w końcu października 1862 roku. W dzień Wszystkich Świętych przywdziewa nareszcie habit zakonny, wnosi podanie o uzyskanie od Stolicy Apostolskiej „dekretu pochwalnego“ dla młodego Zgromadzenia, i w drugiej połowie grudnia opuszcza ostatecznie wieczne miasto. Na audjencji uzyskanej przed

wyjazdem, Pius IX udzielając jej błogosławieństwa, wyraził życzenie, aby Zgromadzenie pracowało dla Polski, lecz z czasem i w samym Rzymie dom swój osiąść mogło. Te słowa Papieża w sferach kościelnych rzymskich uznano za dowód wielkiej łaskawości ze strony Najwyższego Pasterza.

Marcelina przybyła do Lwowa. Arcybiskup Wierchleyski już po raz drugi przyjął ją jak najżyczliwiej, i pomimo trudności stawianych przez rząd austriacki, zachęcał do osiedlenia się w Jazłowcu. Decyzja zapadła. Baron Błażowski, właściciel starego zrujnowanego pałacu Poniatowskich, oddał go Zgromadzeniu z warunkiem, by jedna osoba z jego wyboru mogła stale w mającym powstać internacie otrzymywać wychowanie. Osiadłszy chwilowo w Rakowcu, w domu krewnej, M. Marcelina stamtąd doglądała robót restauracyjnych w pałacu jazłowieckim, i dnia 25 marca 1863 roku objęła go w posiadanie. Niebawem sprowadza z Rzymu pierwsze Siostry, które stają w Jazłowcu w czerwcu; pozostałe przyjeżdżają w jesieni. Dom w Rzymie przy via Paolina opustoszał. Po przewyciężeniu przeróżnych trudności, z końcem października otwarty został pensjonat, a 4 listopada 1863 roku, w dzień św. Karola Boromeusza, odbyło się poświęcenie klasztoru i zakładu. Pan Jezus w Przenajświętszym Sakramencie utajony zamieszkał w murach domu. Siostry Niepokalanki rozpoczęły swą pracę w Polsce. Po uzyskaniu w roku 1863 „dekretu pochwalnego“, Zgromadzenie w roku 1874 otrzymało ostateczną aprobatę, reguła zaś zatwierdzona została po raz pierwszy w r. 1986 i ostatecznie w r. 1899. Skończyła się jurysdykcja XX. Zmartwychwstańców nad Zgromadzeniem, które rozpoczęło żywot samodzielny w zależności tylko od Stolicy Apostolskiej i miejscowego ordynariusza. W klasztorze rządy sprawowała M. Marcelina i przez lat 50 stała na czele swej duchownej rodziny. Powstały z czasem nowe fundacje, dalsze jednak dzieje Zgromadzenia nie wchodzą już w ramy tego szkicu, którego celem było zestawienie samych tylko faktów mających łączność z początkami zakonu.

Z kolei wypada nam zastanowić się nad kwestją sporną, dotyczącą pierwocin Zgromadzenia SS. Niepokalanek, tj.

nad pytaniem, komu mianowicie należy przyznać zaszczyt ufundowania tego zakonu? Postaram się więc wyświecić, co o tem sądziły osoby najbliższe początków zgromadzenia stojące i najbardziej w sprawie tej zainteresowane, a na-przód, jakie było co do tego zdanie M. Karskiej? czy uważała się za założycielkę duchownej rodziny Niepokalanek? Serdeczny ton jej listów do przyjaciółki, którą nazywa swoim dzieckiem, swoją córką, wobec której czuje się duchowną jej matką, sam przez się niczego jeszcze nie dowodzi, tak bowiem pisaćby mogła każda przełożona do podwładnej zakonnicy, a że M. Józefa była rzeczywiście pierwszą przełożoną Zgromadzenia, któżby temu mógł przeczyć? Także i powołanie się p. Karskiego we wzmiankowanej jego broszurze na list M. Józefy z grudnia 1858, w którym użyła zwrotu takiego, iż „ona, a nie kto inny Zgromadzenie zakłada“, za dowód służyć nie może; z kontekstu bowiem łatwo poznać, iż chodzi tu nie o założenie Zgromadzenia, które podówczas już chyba istniało, lecz o otwarcie nowego domu zakonnego w Warszawie. Sądzę, że za daleko bardziej miarodajną uważać należy ową pierwotną myśl która zawitała jej jeszcze w roku 1849; gdy bowiem zwierzyła się z niej przed ojcem duchownym, ten po jakimś czasie począł ją naglić do jej urzeczywistnienia. Rozmowy Józefy z O. Kaysiewiczem o celu Zgromadzenia, o regule zakonnej, a może i jej stosunek do postulantek, które do zakonu przyjęła — to raczej oznaki tego, iż M. Józefa rzeczywiście za fundatorkę się uważała.

Wszakże praca nad zakładaniem fundamentów niesporo jej przychodziła. Z natury skłonna do kontemplacji, mało, zdaje się, energiczna, przytem ciężką trawiona chorobą płucną, wzdrygała się na myśl życia czynnego, owszem, wstręt odczuwała do rozpoczęcia dzieła; to też ciągłego jej trzeba było bodźca, by nie ustała w drodze. Podtrzymywał ją ślub posłuszeństwa, lecz działając, była raczej tylko narzędziem w obcem ręku. A kiedy w ostatniej chorobie stanąć już miała na czele swej gromadki, rodzi się w niej wątpliwość co do przyszłości powstającej instytucji, tak dalece, iż obudziła się w niej chęć wstąpienia do Karmelu, którego też została tercjarką 14 maja 1858 r. Znamienne jest także

świadomość co do roli, jaką w Zgromadzeniu odegrać miała wierna przyjaciółka: „Mam przeczucie — tak mówiła do Siostry Bronisławy, która jej towarzyszyła na kurację do Ischl, iż kiedyś zniknę ze Zgromadzenia jakbym nigdy nie była istniała; założycielką Zgromadzenia będzie Marcelina“. Niedługo zaś przed śmiercią, martwiąc się jej nieobecnością, tak się odezwała: „O gdyby tu była moja Marcelina, byłabym całkiem spokojna, bo jak mi dał Pan pojąć Zgromadzenie, tak ona wszystko doskonale wykona“. Tu zaznaczyć muszę, iż w drukowanym życiorysie M. Karskiej, słowa te brzmią cokolwiek inaczej, mianowicie: „...jak mi dał Pan założyć Zgromadzenie, tak ona wszystko doskonale poprowadzi“. Skąd się wzięła ta różnica, powiedzieć nie umiem, to tylko stwierdzić mogę, iż zarówno we własnoręcznym rękopisie O. Kaysiewiczza, opisującym ostatnie chwile M. Karskiej, jak również w obszernym życiorysie w którym znajdują się własnoręczne poprawki autora, i którego bruljon ogłoszony został drukiem, jak wreszcie w skróconym życiorysie, także przez autora poprawionym — wszędzie znajdują się słowa M. Józefy w tej redakcji, w jakiej podałem je na pierwszym miejscu. Do tego dodajmy jeszcze, iż w chorobie swej Józefa, mówiąc o Marcelinie, nazywała siebie tylko jej „parawanem“, a tak, zebrawszy w jedno te wszystkie jej odezwania się, dojdziemy do wniosku, że ona, choć czuła się założycielką Zgromadzenia co do czasu i co do litery prawa, w pokorze swej jednak pierwszeństwo co do ducha oddawała Marcelinie.

Przypatrzmy się z kolei matce Darowskiej. Jest to jakby kontrast poprzedniej; i dlatego to właśnie może tak się te dwie natury uzupełniały i taka obie te Bogu poświęcone istoty głęboka łączyła przyjaźń. Pełna życia, zdrowia, energii, przedsiębiorczości, mająca umysł wybitnie praktyczny i organizatorski, Marcelina, choć tylko dwa razy w życiu po kilka miesięcy w towarzystwie Józefy spędziła, niebawem jednak pomimo młodszego wieku i stosunku swego do niej jako podwładnej do przełożonej, poczęła wywierać na nią ogromny wpływ. Wszakże, obok odrębnych cech charakteru, łączyła obie przyjaciółki także i cecha wspólna, mianowicie życie kontemplacyjne. Gdy się przegląda liczne

zapiski Matki Darowskiej, zdumienie wprost ogarnia czytającego, który co chwila słyszy od niej, jak widziała (oczywiście) to Chrystusa Pana, to Matkę Najświętszą, to Aniołów Bożych: ciągle z nimi przestaje, ciągle otrzymuje wewnętrzne światła i wskazówki. Można — rzecz jasna — do tych wewnętrznych objawień odnosić się sceptycznie, znaczenia prawd dogmatycznych nikt przecie im przypisywać nie będzie. Praktyczny jednak umysł Marceliny daje pewnego rodzaju rękojmię, że ogół tych rewelacji, to nie fantastyczny wytwór chorobliwej wyobraźni, chociażby nawet niejednokrotnie jakieś subiektywne urojenie do nich się przyplątało. W rzeczy samej; zarzucają Matce Darowskiej, iż będąc zresztą wysoce uduchowioną, zbyt pochopnie jednak wszelką myśl, która jej zaświtała, przyjmowała za bezpośrednie od Boga pochodzące natchnienie. Nie jestem powołany do wydawania sądu o rzeczywistej wartości jej zapisek, osobiście do łatwowiernych się nie zaliczam i kopij w obronie prawdziwości jej natchnień kruszyć nie zamierzam. Niepodobna wszakże przemilczeć, iż M. Marcelina te wewnętrzne światła zwykła była poddawać pod sąd spowiedników, i ci ją stale utwierdzali w przekonaniu o rzetelnej ich wartości, jako rzeczywiście od Boga pochodzących. To też, kiedy po wielu latach, O. Semenenko, zmieniawszy zdanie o M. Darowskiej, począł zarzucać jej, iż zbyt ufą swym wewnętrznym oświeceniom, nie dopuszczając żadnej co do nich wątpliwości, Arcybiskup Feliński w liście datowanym z Jazłowca 7 sierpnia 1883 roku, w serdecznej lecz niemniej stanowczej formie czyni mu z tego powodu wymówki, przypominając, iż on sam zapewniał ją o tem, że jej światła od Pana Jezusa pochodzą. Dlaczego więc teraz ma uchodzić za wizjonerkę?... Ale, przypuśćmy nawet, że wszystko to, co Matce Darowskiej zdawało się światłem z nieba, było od początku do końca ułudą, jeszczeby nie godziło się zapoznawać tej niezmiernie dla nas ważnej okoliczności, że na tej „ułudzie“ wznosić się poczęła budowa bardzo realna, to mianowicie Zgromadzenie, na którego pracę i rozwój patrzyło przez długie lata i dziś jeszcze patrzy społeczeństwo.

Wpływ M. Marceliny na początki Zgromadzenia był,

jakeśmy to widzieli, bardzo wybitny, i dlatego też, choć nie od samego początku zaliczała się do Sióstr zakonnych, z tej jednak okoliczności niepodobna jeszcze wyciągać wniosku, iż nie była założycielką Zgromadzenia. I tu znów sprostować muszę pogląd p. Karskiego, który w pracy swej wypowiada zdanie, że skoro pani Darowska z czasem dopiero do Zgromadzenia przystała, więc tem samem założycielką jego być nie mogła. Argument to całkiem chybiony. Wszak można być fundatorem zakonu, a do niego nie należeć, chociażby w tych oczywistych wypadkach, gdy mężczyzna zakłada zakon żeński, np. św. Franciszek Salezy Wizytki, lub nasz O. Honorat — Felicjanki. Ale tenże O. Honorat założył jeszcze kilka innych Zgromadzeń, między innemi Zgromadzenie męskie Dolorozystów, a przecie sam był i pozostał do końca życia — Kapucynem! Ale wróćmy do Matki Marceliny. Nie mogła ona chyba nie widzieć roli, jaką odgrywała w tworzącem się Zgromadzeniu, ale — rzecz jasna — po tytuł fundatorki nie sięgnęła. Od samego już początku słyszeć się dawały głosy przyznające jej tę zaszczytną godność prawdziwej założycielki i matki Zgromadzenia, lecz ona, jak czytamy w jej zapiskach, uświadomiła sobie w duszy, że głosy te nie sprawiały jej ani cienia zadowolenia. Kiedy zaś w roku 1862 wszczęła staranie o uzyskanie „dekretu pochwalnego“, na zapytanie Biskupów i Zakonników, kto jest założycielem Zgromadzenia, podała imię Matki Józefy Karskiej, co też stwierdza w testamencie swym, napisanym w roku 1884, odczytanym i poprawionym w roku 1904. Stąd też zarówno we wspomnianym Dekrecie, jak i w późniejszym, z roku 1874, zatwierdzającym Instytut, znajdujemy wzmianki o M. Józefie, jako o tej, która Zgromadzenie założyła (*initium dedit — fundamenta iecit*).

Warto dla lepszego poznania poglądów Matki Darowskiej na sprawę Zgromadzenia, zwłaszcza po czterdziestu zgórą latami jego istnienia, przytoczyć tu parę urywków z pomienionego jej testamentu. Powiada tam między innemi, iż obowiązkiem jej jest „dokonać sprawy reguły naszej, tj. postawić ją niezachwianie otrzymaniem zatwierdzenia Stolicy Apostolskiej i dopełnić komentarzami“. I pisze znów dalej o myśli Bożej w Zgromadzeniu, o jego celu i zadaniu. I do-

daje jeszcze: „Zawiązało się ono, jak wiecie drogie Siostry moje, w Rzymie pod opieką czcigodnego Ojca Hieronima Kaysiewicza, męża prawdziwie Bożego, pełnego cnót i zasługi. Najpierwsze lata początków jego były niejasne, niewyraźne, bo przełożona jego obłożnie była chorą. Pan przez te lata przygotowywał ziarno; zebrawszy je w serce, po śmierci śp. Matki Józefy Karskiej, z którąśmy, jak wiecie, połączone były węzłami przyjaźni i jednych dążeń, poszłam siał do Polski. I zeszło“. Dalej znów: „W chwili zawiązku naszego w Rzymie, O. Kaysiewicz dał nam regułkę Zgromadzenia swego. Po latach próby, gdy nam Pan wykazał jej niedostateczność, my myśl Jego w inną objęłyśmy ramę, jaśniej ją postawiły“. Pozatem znajdują się w testamencie liczne bardzo rady i wskazówki dla Sióstr zakonnych. Tych kilka wyjątków wystarczy może dla wyjaśnienia stosunku M. Darowskiej do pierwocin Zgromadzenia i poznania jej własnych poglądów w tym przedmiocie.

A teraz posłuchajmy, co o sprawie fundacji mówi osoba najbardziej może kompetentna, duchowny kierownik Józefy i Marceliny, O. Hieronim Kaysiewicz. Wiemy już, jak swego czasu naglił pierwszą z nich, by się zabierała do dzieła, jak się zwracał do drugiej po wskazówki, które — jak się spodziewał — otrzymać miała na modlitwie. Matkę Józefę uważał on za kamień węgielny Zgromadzenia, i jej też solennie nakazał, by się za kamień węgielny uważała. Innym razem — jak pisze O. Smolikowski w życiorysie O. Kaysiewicza, użył podobnego zwrotu, mówiąc: „Bóg, który na Józefie Karskiej zbudował Siostry Niepokalanki“... Ale już znowu rozpocząć muszę polemikę z p. Karskim, dla którego te wyrażenia są dowodem, iż O. Kaysiewicz uważa Matkę Józefę za fundatorkę Zgromadzenia. Widocznie p. Karski pomieszał dwa odrębne pojęcia: „być kamieniem węgielnym“, i „położyć kamień węgielny“, a przecież nie są to pojęcia równoznaczne, pierwsze bowiem oznacza stan bierny, drugie — stan czynny. Czy nie nazwał Chrystus Pan Szymona Piotra opoką, na której zbuduje Kościół swój? To też Piotr w rzeczy samej stał się kamieniem węgielnym Chrystusowej budowy, lecz nie on Kościół założył, ale Boski Mistrz Jego. Kiedy po śmierci M. Karskiej odezwała się M. Marcelina

w te słowa: „Mamy plan gmachu i kilka kamieni nieszczęlnie jeszcze przystających do siebie“, odrzekł jej O. Kaysiewicz: „Prawda, buduj teraz w Imię Pańskie“. W tym samym mniej więcej czasie, w liście pisanym z Paryża do Siostry Bronisławy, zapewnia on Siostry zakonne, że błogosławieństwo Boże nad Zgromadzeniem przywiązane jest do M. Marceliny. Do niej zaś pisał 22 maja 1867 roku. „Wdrażałem córki Twoje od początku, by Ciebie za *Matkę* i założycielkę uważały, i tak do obcych mówię“. Wreszcie dwa ustępy z życiorysu M. Karskiej: „Co do Zgromadzenia Niepokalanek — powiada O. Kaysiewicz — śp. M. Józefa wskutek podobnego usposobienia wewnętrznego i ciągłej obłożnej choroby ciała, rzecz prosta, że nie mogła wiele uczynić“. I na zakończenie słowa, od których rozpoczyna się skrócony życiorys, własnoręcznie przez O. Kaysiewicza w rękopisie poprawiony: „Jak pierwszym bratem Zgromadzenia Zmartwychwstańców, choć nie założycielem jego, był ś. p. Bohdan Jański; tak pierwszą Siostrą, choć nie fundatorką Zgromadzenia Niepokalanego Poczęcia była z woli Bożej ś. p. Józefa Karska“. Wobec tak kategorycznie — mniejsza o to, słusznie czy niesłusznie — wypowiedzianej opinii O. Kaysiewicza, interpretacja p. Karskiego co do innych użytych przez niego zwrotów nie na wiele już przydać się może.

Kiedy zważymy, że M. Karska w młodym jeszcze wieku zesłała z tego świata, że w chwili jej śmierci Zgromadzenie nie było jeszcze skrystalizowane i na silnych podstawach nie stało, że wreszcie dzieło wychowania, dla którego zostało założone, jeszcze się nawet nie było rozpoczęło — zrozumimy, dlaczego pamięć jej po jakimś czasie do pewnego stopnia się zatarła, a wpływ jej osobisty odczuwać się nie dawał. Z drugiej zaś strony długoletnie rządy Matki Darowskiej, jej praca i poświęcenie dla zakonu, musiały zwrócić ku niej serca podwładnych Sióstr i do niej je przywiązać, zespalając jej imię z dziejami Zgromadzenia. To też, chcąc dać wyraz swym uczuciom, a niezawodnie też pod wpływem nurtującej już podówczas spornej kwestji co do osoby założycielki, na pierwszej kapitule odbytej w Jazłowie w 1875 roku, taki podpisany został dokument:

„My, wszystkie Siostry starsze Zgromadzenia Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny, świadki zawiazania i całego rozwoju onego, na tej pierwszej Kapitułe Zgromadzenia zebrane, wobec Boga i Matki Niepokalanej, z głębi serca i sumienia, w całej uroczystości tej przeważnej chwili, wyznajemy niniejszem, że cokolwiek od początku do dnia dzisiejszego Bóg dawał dla Zgromadzenia: duch, zasady, konstytucje, organizacja, rozwój zewnętrzny, słowem wszystko jedynie przyszło nam przez Matkę Marję Marcelinę od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marji Panny (Darowską), którą też w całej pełni uważamy za naszą Założycielkę. — Jak dla nas naocznych świadków, dowodem tego świętym całej Jej życie i czyny, tak dla następnych w Zgromadzeniu pokoleń, po wszystkie czasy trwania jego, niechaj zostanie wiecznym świadectwem prawdy niniejsze zeznanie, które z głębi przekonania i z potrzeby serca, jako dzieci Zgromadzenia wszystko Jej zawdzięczające, jednomyślnie podpisujemy“.

Następują podpisy Sióstr, oraz świadka „szczerości i prawdziwości tego aktu i podpisów“ — ks. Leona Zbyszewskiego, kapelana ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Jest to, jak widzimy, dokument cenny i ważny, rzucający światło na poglądy w owym czasie panujące w Zgromadzeniu. Inna rzecz, czy poza kwestją słuszności lub niesłuszności wyrażonej w nim opinii, zredagowanie i podpisanie takiego aktu, dokonane zresztą bez wiedzy Matki Darowskiej, ale za jej życia, z pominięciem wszelkiej wzmianki o Matce Karskiej, było krokiem taktownym i rozsądnym. Ale działa tu może pośrednio wpływ O. Kaysiewicza, który, jak to widzieliśmy wyżej, „wdrażał Siostry zakonne do tego, by M. Marcelinę za swą założycielkę uważały“.

Wprost na przeciwnym biegunie zdają się stać w zajmującym nas sporze przedstawiciele rodziny Karskich. Że sama już świetlana postać bliskiej krewnej i samo już prawdopodobieństwo wszczęcia jej procesu beatyfikacyjnego może i powinno szlachetną dumą napełniać serca tych, którzy się do jej rodu zaliczają, to rzecz jasna i zrozumiała. Szkoda tylko, że w druku pracy O. Kaysiewicza, dokonany bez udziału Sióstr Niepokalanek, których własnością był rękopis, wkradły się niedokładności, choć z drugiej strony podnieść muszę z uznaniem, iż Matka Józefa na karcie tytułowej nazwaną została „pierwszą Siostrą“, a nie „założycielką“ Zgromadzenia, co by ze względu na istniejące antagonizmy, uchodzić mogło za chęć dokuczenia stronie przeciwnej.

W lat kilka później pojawiła się znana już nam broszura p. Szymona Karskiego z portretem już nie „pierwszej Siostry“, lecz „Założycielki“ Zgromadzenia, Matki Józefy. Wydawca, kierując się, jak twierdzi, „jedynie względami sprawiedliwości, a bynajmniej nie jakiejś rodowej zawiści“, postawił sobie za zadanie, by wykazać niezbicie, że nie M. Marcelina, ale M. Józefa fundowała Niepokalanki. Z tego jednak cośmy zauważyć mogli w toku naszych roztrząsań, p. Karski celu swego nie dopiął, wysuwane bowiem przez niego argumenta zbyt są słabe, a przeto i tezy jego za udowodnione uważać nie podobna.

Ale czas już zbilansować zestawione powyżej fakta i opinie, i wydobyć z nich jakiś ostateczny, konkretny rezultat. Co tedy na zakończenie mam powiedzieć od siebie? Sądzę, iż kardynalnym błędem tych, którzy jużto jednej, jużto drugiej Matce Przełożonej chcieliby nadać zaszczytny tytuł fundatorki zakonnego Zgromadzenia, był ten właśnie, że stali na stanowisku przyznania jednej tylko, jedynej osobie tego zaszczytnego miana. Chcąc pozostać przy tym punkcie widzenia, przyszyłoby prawdziwie zadać sobie pytanie, czy nie należałoby może, z pominięciem tak jednej jak drugiej, uważać za fundatora... O. Hieronima Kaysiewicza? Ale, czyż nie wiemy, iż właśnie w dziele powstawania nowych Zgromadzeń zakonnych posługiwał się Bóg niejednokrotnie wspólną pracą kilku jednostek? Weźmy do ręki krótkie, ale autentyczne, bo powagą Kościoła zatwierdzone żywoty Świętych, które nam podaje brewjarz: Co czytamy np. o świętych: Feliksie de Valois i Janie de Matha? iż obaj wspólnie udali się do Rzymu, celem uzyskania reguły dla powstającego zakonu Trynitarzy. Co czytamy o św. Franciszku Salezym? iż ustanowił (*instituit*) zakon Wizytek, a jednocześnie powiedziano o św. Joannie Franciszce de Chantal, iż ona tegoż zakonu założyła podwaliny (*fundamenta iecit*) A w dniu 12 lutego czyż nie czcimy pamięci aż siedmiu naraz Fundatorów zakonu Serwitów? A oto wreszcie przykład z najświeższej doby: W dekrete beatyfikacyjnym Ludwika de Marillac (*wdowy Le Gras*) z 9 maja 1920 roku czytamy między innemi o zakonach żeńskich, że podobnie jak Bene-

dyktyнки, Klaryski, Wizytki, prócz założycieli swych: Benedykta, Franciszka z Asyżu i Franciszka Salezego, chlubią się współzałożycielkami (*confundatrices*): Scholastyką, Klarą i Joanną Franciszką, tak podobnie dwóch założycieli posiada Zgromadzenie SS. Miłosierdzia: Wicentego a Paulo, i wspomnianą Ludwikę. Dodajmy, że wspólna ich praca nikomu ani zasług nie ujęła, ani świętości życia, ani też nie stanęła na przeszkodzie wyniesieniu ich na ołtarze.

To też pozostawmy raczej na boku drobiazgowy antagonizmy i ambicjki i subtelne spory. Nie wyprowadzajmy na scenę przykrych i niepożądanych rozdzźwięków, chociażby przez pamięć samą tych osób, które za życia wspólnie jednej sprawie służąc, dziś, gdy już przeszły do innego świata, tem bardziej zjednoczone są w Bogu związką miłości i zgody. Dlatego bardziej, owszem, całkowicie do przekonania mi trafia treść bezimiennej kartki, która wyszła z pod pióra jednej z żyjących obecnie Sióstr zakonnych i chlubnie świadczy o pewnym zwrocie, który nastąpił w poglądach Zgromadzenia! Czytamy tam co następuje: „Gdy wyjdzie kiedyś historia pierwszych lat Zgromadzenia SS. Niepokalanek, staną obok siebie 3 postacie: Matki Józefy Karskiej, Matki Marceliny Darowskiej i spowiednika i kierownika obu, O. Hieronima Kaysiewicza. Udział każdej z nich w dziele Bożem przyczyni się do podniesienia drugich, do wykazania co Bóg przez każdą uczynił. Wywyższać jedną kosztem drugich, jest tylko krzywdzeniem wszystkich“. I w rzeczy samej: Coby się było stało ze Zgromadzeniem, gdyby którejkolwiek z tych trzech osób zabrakło? Godzi się przypuszczać, że M. Józefa, nie otrzymując bodźca ze strony O. Kaysiewicza, nigdy nie byłaby się zdecydowała na krok stanowczy rozpoczęcia dzieła fundacji, a gdyby nie udział M. Marceliny we wspólnej pracy, jest rzeczą prawdopodobną, że nowe Zgromadzenie, nieustalone, bezkształtne, byłoby wraz z Józefą zakończyło krótki swój żywot. Co do M. Darowskiej, znając jej czynny i energiczny charakter, oraz biorąc pod uwagę długie lata życia, które jej Bóg przeznaczał, trudno wnioskować, jakieby ją były czekały życiowe koleje. Ale, czy nie jest rzeczą prawdopodobną, że gdyby nie rekolekcje odbyte pod kierunkiem O. Jełowickiego, i następnie O. Kay-

siewicza, i gdyby nie znajomość i przyjaźń z M. Karską, byłaby może została w świecie i życie jej inny przyjąłoby obrót? A wreszcie O. Kaysiewicz: choć przesiąknięty jeszcze tą atmosferą, którą od czasu powstania 1830 r. owiana była emigracja w Paryżu i w Rzymie, i choć sam pełen zapалу i gorliwości, niewieleby zdziałał w sprawie swego zakonu, nie mając pod ręką tak podatnych narzędzi, jakimi byli Józefa i Marcelina.

Spory w rodzaju tego, który się stał przedmiotem niniejszej pracy, nie obce były w Kościele od samego zarania jego dziejów. Przypominają mi się słowa św. Pawła z pierwszego Listu do Koryntjan, w których tak gromi nowonawróconych chrześcijan: „Donieśli mi o was, bracia moi, że niesnaski są między wami. A zmierzam do tego, iż każdy z was mówi: Jam jest Pawłów, a ja Apollów, a ja Kefy, a ja Chrystusów. Czyż Chrystus rozdzielon jest? Czy Paweł dał się ukrzyżować za was? Albo, czy w imię Pawła jesteście ochrzczeni?... Cóż tedy jest Apollo? albo co Paweł? Słudzy tego, w któregoście wy uwierzyli, i jako każdemu dał Pan. Ja sadziłem, Apollo polewał: ale Bóg dał wzrost... A ten co, sadzi, i ten, co polewa, jedno są”. — (I Kor. 1, 11-13. 3, 4-6, 8).

Tak, jedno są! I my więc bez wahania złączmy w jedno te trzy imiona Hieronima, Józefa i Marceliny, jako wspólnych założycieli tak zasłużonego w Ojczyźnie naszej Zgromadzenia, dziękując Bogu, iż obrać ich raczył za narzędzie swe w dziele, które do życia powołał, i pomnąc, iż wszelką stąd powstałą chwałę Bożą do Boga jako do pierwszej przyczyny odnieść należy, bo: „ani ten, kto sadzi, jest czemś, ani kto polewa, ale Bóg, który wzrost daje” (I Kor. 3, 7).

Biskup kamieniecki, Piotr Mańkowski

Epopeja w Polsce.

Zastanawiającem jest, dlaczego w Polsce, gdzie tyle było męskiej rycerskości z jednej strony, zaś odczucia poezji — z drugiej, zupełnie nie było epopeji aż do „Pana Tadeusza”. A nie było wcale tego organicznego, wyrosłego z natury eposu, który miała Rosja w swych „bylinach”, lub Serbja w „Pieśni o Kosowem polu” i legendach o królewiczu Marku.

Co było nieepicznego w naszym charakterze? Jakie warunki późniejsze stworzyły we Włoszech „Jerozolimę wyzwoloną” i „Rolanda szalonego”, u nas zaś zaledwie — próby powieści poetyckiej Kochanowskiego?

Czy wogóle istnieje w dzieciństwie narodu twórczość zbiorowa? Zdaniem Herdera, poezja jest darem narodowym, kosmicznym, lecz nie dziedzictwem prywatnem niektórych wolnych wykształconych ludzi. Epopeja jest ściśle związana z pierwiastkiem ludowym, jest darem natury, nie sztuczną rośliną cieplarnianą. Jakób Grimm twierdzi, że wielkie epos musi być napisane nie przez jakiegoś poetę, powstać samo przez się, jako część przyrody. Na to Goethe odpowiada, że to, co wydaje osobistość wybitna, jest również przyrodą.

Wszelkich teoryj o epopei dowodzono zawsze na dwóch epopejach klasycznych: Iljademie i Odysei. Przeciw indywidualnemu pochodzeniu epopei — przemawiał fakt istnienia interpolacyj i warjantów tych samych pieśni. Dotyczy to nie tylko Homera, ale i fińskiego eposu „Kalenala” i „Pieśni o Rolandzie”. Obok pieśni pojedynczych, połączonych w epos, istnieją te same epizody, jako samodzielne utwory. Düntzer dowodził, że pieśni Iljady od trzeciej do siódmej stanowią po-

zmat samodzielny. Köchly rozłożył *Iljadę* na poszczególne poematy, które jakoby z weszły w jej skład. A. Jacob uwydatnił sprzeczności *Iljady*. Bonitz uważał, że *Iljada* i *Odyseja* są to redakcje oddzielnych utworów, czego dowodzą sprzeczności i powtarzania i równorzędne epizody, niespojone dramatycznie z całością, np. podróż *Telemaka*.

Czy przyjmujemy teorię organicznego, ludowego, czy też indywidualnego powstania epopei, możemy kwestję sprowadzić tylko do indywidualności. Osobne epizody mogły być dokończonowane, napisana pieśń zmieniała się w ustach śpiewaków, ale zawsze pracowało nad nią kilku, jeżeli nie jeden, wybitnych poetów. Pierwowzory zmieniał lud, ale wyszły one od twórców. Może bardziej zbiorowy nastrój narodu sprzyja rozrastaniu się epopei przez częstsze komunikowanie się i współzycie. Epopeję mają właśnie Serbowie i Rosjanie, którzy przechowali stare narodowo-społeczne, zbiorowe formy obszczyzny i zadrugi.

Jakież są jednak warunki powstania epopei?

Erhardt (*Die Entstehung der Homerischen Gedichte*) uważa, że dla powstania epopei w pewnym narodzie potrzebny jest: 1) starodawny bogaty rozwój podań ludowych, 2) wzlot duchowy, natężenie sił narodowych w momencie przełomowym dla historii i kultury narodu, rozwijający uczucia narodowe, 3) zwrócenie się narodu ku jakiemuś ulubionemu przedmiotowi, z którego czerpie poetyczne bogactwo przeszłości.

Epopeja pierwotna, organiczna, bo związana z przeciętnym poziomem całego narodu i wyrażająca treść jego istotną ma w sobie ten sam pierwiastek, co mif: walkę światła z mrokiem. Walka bohatera z wrogimi siłami jest upostaciowanym mitem słonecznym. W *Nibelungach* jaskrawiej, niż gdziekolwiek uwydatnia się ten pierwiastek mityczny. *Zygfryd* walczy i ginie, pokonany przez złe i uroczne moce. *Balder* walczący z *Lockim* w *Eddach* tak samo jest symbolem słońca. W *Iljadzie* walczy *Achilles*, w *Odysei* — *Odyseusz* zabija strzałami zalotników *Penelopy*. *Roland* walczy z Maurami pod *Roncevalles*. Czy to u *Tassa*, czy *Kamsênsa*, czy u *Klopstocka* lub *Milтона* — wszędzie znajdujemy w głębi mif słoneczny, utajony, jako walka jasnych i ciemnych sił.

Nie należy zanadto ulegać hipnozie Maxa Müllera, jednakże walka ta jest cechą wszelkiej wielkiej epopei.

Czy były w Polsce mity podobne, z których mogła wyrósć epopeja? Zostały nam okrucy klechd i baśni, podania o śpiącym wojsku i in. Pomimo wszelkich uczonych dowodzeń przeciwnych, musieli jednak brać kronikarze podania o Wandzie i Rytygerze, o Leszkach i Popielach, o Krakusie, o Lechu i o Piascie, o dalekim morskim Wyzymirze z pieśni rapsodów ludowych. Były one napewno, lecz utonęły w scholastycznej łacinie.

Gdybyśmy jednak mieli dużą epopeję, śpiewaną tak wśród całego narodu, jak *Iliada* lub *Pieśń o Kosowym polu*, nie zaginęłaby za nic w świecie. Przechowałby się chociażby okruc, chociaż ułamek, zanotowany po łacinie, przez ciekawego mnicha o duszy wrażliwej na poezję.

Nie było więc u nas epopei wcale. Nie wykołysały jej ani wichry polne Tatr, ani fale Bałtyku na Pomorzu. Może zanadto przeważał żywioł liryczny w Polsce, dotąd tak przeważny w poezji naszej?

Jeżeli nie było dość bogatego tła podań ludowych, aby na niem rozwinęła się epopeja, to czyż nie istniał drugi warunek powstania epopei podług Erhardta — nateżenie sił narodu w przełomowym momencie? Nateżenie to istniało, gdyż całe istnienie historyczne Polski było szeregiem katastrof, szeregiem momentów przełomowych. Może nawet nadmiar bohaterów i nadmiar zdarzeń i czynów wytworzył zgiełk życia, w których utonęła pieśń. Ale nateżenie sił narodowych osłabiały bardzo czysto-polskie przyczyny: odśrodkowe dążenia polskie, zbyt wybuchały, przerostny indywidualizm, brak wspólnego dla całego narodu poczucia celu dziejowego, różne jego *orientacje*, że użyjemy osławionego w najnowszej historii polskiej, wyrazu. Np. za Kazimierza Jagiellończyka część polityków chciała skierować ekspansję kulturalną i państwową Polski na wschód, druga zaś część — na zachód. Ten sam brak uśrodkowania duchowego u całego narodu dostrzegamy za najazdu szwedzkiego, za Sasa i Lasa, podczas rokoszu Zebrzydowskiego, w epoce rozbiorów, gdy jedność narodu paraliżują orientacje rosyjska i pruska. Decentralizację Polską wzmacnia rozwinięte poczucie dzielnicowości.

Jeszcze w okresie romantyzmu Mickiewicz swój wszechnarodowy poemat rozpoczyna apostrofą: Litwo, Ojczyzno moja! Bohdan Zaleski w „Potrzebie Zbaraskiej” podnosi autonomiczne dążenia ukraińskie, stojąc zarazem ściśle na gruncie łączności z Polską.

Dopiero „Pan Balcer w Brazylii” Konopnickiej jest tym przełomowym poematem, w którym zostaje w literaturze przewyciężona dzielnicowość. Jest tu i chłop z Polesia i unita z Podlasia i Mazur itd., a wszyscy łączą się w jednym poczuciu Ojczyzny i dążeniu do niej.

Prawdziwa epopeja, prócz tkwiącego w niej pierwiastka mitu kosmicznego łączyć powinna szerokie dążenia narodowe z historią pojedynczego bohatera, który je symbolizuje. Tymczasem w polskich próbach epicznych od XVI w. widzimy albo historję indywidualną, albo dążenia narodowe. W pierwszym wypadku (u Kochanowskiego w Wandzie, Pamiętce po Janie Tęczyńskim, Zuzannie, Szachach) mamy precedens powieści poetyckiej, w drugim (u poetów w. XVII) mamy kronikę wierszowaną. Za Kochanowskiego natężenie sił narodowych, z którego mogłaby wyłonić się epopeja, rozbijał podział na katolików i różnowierców i rozrost samolubnego indywidualizmu klasowego u szlachty. W w. XVII ani „Wojna Potockiego”, ani „Przeważna legacja” i in. poematy Twardowskiego nie mają owego stopienia się losów indywidualnych z ogólnymi, które w najwyższym stopniu podkreślił Mickiewicz, które jest i u Tassa, lub nawet w starych epopejach. Jest tu czysto polska dezagregacja, pomimo gorącego patryjotyzmu — niespojenie jednostki z ogółem. „Wojnie Chocimskiej” brak indywidualnego bohatera i pierwiastka miłości.

W racjonalistycznym, naśladowczym, powleczoneym z lekka wolterowskim pokostem sceptycyzmie w. XVIII nie było miejsca na epopeję. Najwyżej na żartobliwe „Monachomachje”, „Myszeidy”, „Belony”, „Organy”. Krasickiego „Wojna Chocimska” pomimo kilku ładnych ustępów nie dorasta nawet do Potockiego.

Dopiero straszliwa klęska narodowa i miazdzący ból, który odjął zdrowie duszy niejednemu na wieki, wykrzesał z narodu wielkość i monumentalność. Powstaje „Pan Tade-

usz", arcydzieło przedstawienia wypadków zewnętrznych, obiektywnego ich malowania.

Z romantyzmu polskiego rodzi się również po raz pierwszy w Europie nowy rodzaj epopei: dziejącej się w głębiach ducha. Jest nią „Król-Duch” Słowackiego. To już nie opis świata zewnętrznego i jego zdarzeń. To historia tego, co dzieje się w głębinach ducha, co się częstokroć tylko symbolami nazewnątrż tłómaczy.

Nie kalejdoskop wydarzeń, lecz ewolucja przeżyć głębinnych, walk i zmagañ się, upadków i podniesień się ducha. Nie natarcie mieczów, nie wymiana strzałów armatnich jest zwycięstwem. Zwycięża nieraz zamordowany Swityn. Zwycięstwo rostrzyga się w sferze ducha.

Tej nowej, dla wielu jedynie ważnej epopei dotąd nie uforowano drogi. Jeszcze się nie czuje dostatecznie jej potrzeby. Wielu z nas nie rozumie, jak dostateczną i śmiałą, a przytem udaną próbą był „Król-Duch”. Próbą jedyną w Europie.

Może my, nie dawszy epopei w tych wiekach, gdy już dawały ją inne narody, powołani jesteśmy do dania właśnie czegoś wyjątkowego i jedyne go, czego nie dał dotąd żaden naród.

Anna Zahorska.

O mistycyzmie cesarza Aleksandra I.

(Ciąg dalszy.)

Parę godzin konferował z nim Car i przed wyjazdem otrzymał od Stillinga w upominku jego „mistyczne“ romanse oraz pierwsze tomy jego „mistycznej“ autobiografji. Wreszcie z całym tym bagażem duchowym, pełen najgorętrzych chęci pracy nad sobą i ofiar dla „Boga Zbawcy“ pospieszył Aleksander do swojej stolicy, aby poddać się tam wpływowi dwóch swoich przyjaciół, a zarazem najgorliwszych podówców mistyków rosyjskich: R. A. Koszelewa i A. N. Golicyna. Z uniesieniem i radością po długiej nieobecności witano w Petersburgu powracającego „Agamemnona królów“, okrytego laurem zwycięstw, dawcę pokoju, a „ubóstwianego monarchę“. „Nareszcie, mówił Golicyn¹⁾, cesarz jest pośród nas. Oddawna myślami zrywałem się na jego spotkanie; wielkie było moje wyglądanie i moje nadzieje, ale mnie one nie zawiodły. Nie mogłem się napatrzeć na mego drogiego Aleksandra: był przejęty do głębi duchem pokory i zaparcia się siebie. Zapał narodu, w jakim się nurzał, przenosił na Pana Wszechsiły, Jemu jedynie zwycięstwo przypisując“.

W licznej plejadzie przyjaciół i doradców, otaczających cesarza Aleksandra: Strogonówów, Koczubijów, Czartoryskich, Wołkońskich, Czernyszenów i t. d. szczególne miejsce wyznaczyć należy Rodionowi Aleksandrowiczowi Koszele-

¹⁾ Ob. Razkazy Kniazia Aleksandra Nikołajewicza Golicyna, zapisanyje Jurjem Nikiticzem Bartieniewym. Russkij Archiw. 1886. Kniha II W. Ks. Mikołaj Michajłowicz w swoim dziele o Aleksandrze I. zaczerpnął wiele szczegółów z książki Bartieniewa.

wowi. Historia dotychczas mało o nim pisała; nie liczono się z nim, gdyż stał na uboczu i w wielkich sprawach wewnętrznej i zewnętrznej polityki państwowej nie brał nigdy głośnego udziału. A jednak ten ślepiec, mason i illuminat, zamodlony w ciemnej swojej sypialni zimowego pałacu i strojący od ludzi, był postacią wyjątkową u dworu. Jak widać z ostatnich dopiero badań historycznych nad życiem Aleksandra, stosunek najserdeczniejszej przyjaźni łączył cesarza z Koszelewem. Uważał go Car za swego męża zaufania, za najdroższego mentora. Czuł potrzebę obcowania z nim, zwierzał mu się z najtajniejszych myśli, radził się go w drobnych nawet rzeczach i z pietyzmem przyjmował jego rady. Był to wpływ cichy, tajemny, powiemy zakulisowy ze strony Koszelewa, ale trwały i daleko idący. Karjerę swoją rozpoczął Koszelew jeszcze za czasów Katarzyny od służby wojskowej w gwardji, jak było w zwyczaju u młodzieży z lepszych rodzin szlacheckich, szukającej faworów dworskich. Został Koszelew porucznikiem konnej gwardji, kapitanem, wcisnął się na pokoje cesarskie i przy Pawle I. w godności szambelana J. C. M. wyjechał posłować do Kopenhagi. Ale debiut na dyplomatycznej drodze się nie udał. Ośmieszył się niebawem na swoim stanowisku i, co gorsza, skompromitował rząd¹⁾. Otrzymał dymisję, wyruszył dalej na zachód Europy i przez parę lat w celach niby naukowych tułał się po Anglii, Niemczech, Francji i Szwajcarji. Zagranicą niewiele zaczerpnął wiedzy, bo nauki nie chciały się go trzymać. Wszedł natomiast w bliskie stosunki z W. Wschodem londyńskim i zaraził się niemieckim mistycyzmem, który przez długie lata popierał później gorliwie i szczerze na ojczystej glebie i któremu niezaprzeczenie wielkie oddał usługi przez swoje wpływy u Cesarza.

W 1811 r. pomimo nieszczęśliwych antecedensów stał się znów dyplomata, ale tym razem jego akcja nosiła odmienny charakter. Poleciał mu Aleksander poufnie poza plecami starego i niedołężnego kanclerza Rumiancewa prowadzić rokowania z pełnomocnikiem austriackim w Petersburgu, hr. Saint-Julienem i jednocześnie przez swego przy-

¹⁾ Ob. De Gabriac. Rapport sur la situation des affaires de la religion en Russie. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz. L'Empereur Alexandre I. t. II

jaciela, hr. Stackelberga, posła rosyjskiego w Wiedniu, gorliwego masona, badać zřęcznie ówczesne nastroje wiedeńskie. Od tej chwili wszedł Koszelew w bliski kontakt z Carem¹⁾. Ani rozumem, ani głębką wiedzą, ani powabami swojej osoby, gdyż ich nie posiadał, ale, jak słuszenie twierdzili dyplomaci francuscy, przyglądający się pilnie otoczeniu cesarskiemu, pociągał Koszelew Aleksandra swoją niezwykłą, chorobliwą egzaltacją. Zazwyczaj skupiony, mało mówny, enigmatyczny i tajemniczy, gdy poruszono przypadkiem kwestję, które go bliżej obchodziły, jak „rzeczy Boże”, zmieniał się w oczach; stawał się wymowny i zapalał się w mowie, a od zapału do „zachwyćów” nie wiele mu brakowało. Gdy wpadał w zachwyć, majaczył, jak w gorączce, że widzi światło niebieskie nad sobą, a w nim Boga Zbawiciela, Jego Matkę i Świętych Pańskich; że czuje, jak łaska boska spływa na niego i przemawia przez niego słowami prawdy. I tym właśnie wyskokowym mistycyzmem działał na wyobraźnię Aleksandra i przykuwał go, rzecz można, do siebie. Początkowo widywał Car swego przyjaciela zwykle wieczorami w soboty. W miarę jednak, jak rozwijał się w nim nastrój mistyczny, pogadanki z Koszelewem stawały się coraz częstsze. Nie mógł się obejść Aleksander bez jego „natchnionej mowy”; zasypywał go czułymi bilecikami, i doszło do tego, że Rodion Aleksandrowicz codzień prawie oglądał Cesarza u siebie.

Na owych sympozjach duchowych z Koszelewem, zaciągających się niekiedy do późna w nocy, poruszano różne kwestje; przeważnie jednak, jak tego pragnął Aleksander, miały one za przedmiot: Stwórcę, człowieka, łaskę, Królestwo Boże etc. etc. Szeroko i ogólnie prawil Cesarzowi stary ślepiec o miłości „Trójjedynego”¹⁾ dla upadłego człowieka, o wpływie łaski na transformacje duszy, o prawdziwym szczęściu, które nastąpić musi na padole płaczu, gdy ludzie zrozumieją głos Boga w Ewangelji i zleją się w jedną wielką rodzinę. Tłumaczył mu z naciskiem, że Trójjedyny wszystkich woła do siebie, wszystkich bez różnicy: wielkich

¹⁾ Wkrótce po wojnach napoleońskich utracił R. A. Koszelew wzrok. Zrzekł się wówczas wszelkich dostojęństw, któremi go obsypał Aleksander i oddał się wyłącznie mistycznym praktykom.

¹⁾ „Le Tri — Un“.

i małych, światłych i ciemnych; że nikomu „swego Ducha“ nie odmawia; ale człowiek powinien zasłużyć na tę łaskę szukaniem dróg pańskich według Biblii, bezgranicznem poddaniem się woli Bożej, — słowem, „budowaniem świątyni w sobie“. Wówczas dopiero odżyje duch w człowieku, zbliży się do Trójjedynego, do Najwyższego Budowniczego, Prawodawcy, pozna jego wolę i będzie w stanie szerzyć i umacniać prawdę wśród ludzi. Takie duchy, są duchy wybrane, a z ich pracy i wysiłków powstaje nowe życie w świecie, nowe porządki, powstaje Królestwo Słowa Bożego na ziemi. — On, Cesarz, mający już łaskę w sobie, jako pomazaniec Boży, jeżeli pójdzie drogą „ducha i prawdy“, więcej od innych dokonać może, byleby umiał wytrwać do końca.

Aleksander wychodził zawsze z tych pogadań pod silnem wrażeniem słów, które słyszał z ust Koszelewa. Zastanawiając się nad nimi w długich rozmowach z Golicynem, powtarzał mu często, że byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł osiągnąć cel, jaki mu wskazywał Koszelew; że Koszelew w jego oczach był duchem natchnionym, wzorem chrześcijanina; że „ich serca były jednakowo“. W 1815 r. 13 grudnia, pisał Car do Koszelewa: „Z wielkiem wzruszeniem otrzymałem twój list i niezwłocznie wyrażam ci moją wdzięczność za słowa w nim zawarte. Jestem ci wiele obowiązany; wpłynąłeś bowiem skutecznie, żem obrał drogę, po której idę obecnie z własnego przekonania i, dzięki której mogłem jedynie wywiązać się z ciężkiego zadania, jakie mi Najwyższy przeznaczył“. W parę lat później, jeszcze wymowniej podkreślał mu Car swój afekt dla niego: „Nie mogę ci wypowiedzieć, oświadczać listownie, o ile silniejszem stało się uczucie gorącej przyjaźni, jakie żywię dla Ciebie i, jak się ono coraz bardziej zacieśnia, w chwilach zwłaszcza, gdy staję u stóp Boskiego Mistrza... Proś Zbawiciela naszego, abym przy jego pomocy z każdym dniem mógł godniej Mu służyć z tem oddaniem i zaparciem się, które pragnę osiąść... Twój całem sercem i duszą... w Jego Imię, dla Jego sprawy... Twój na zawsze¹⁾...

Wpływ Koszelewa na Cara ujawnił się szczególnie w pierwszych latach ery pokongresowej. Jeżeli w tym czasie

¹⁾ List Aleksandra do Koszelewa z Warszawy 19 marca 1818 r.

będzie Aleksander popierał gorliwie sekciarzy u siebie i hojnie obsypie ich łaskami; jeżeli zbliży się do rosyjskich organizacyj wolnomularskich i wejdzie nawet do znanych łóż masonskich: „Astrei“, „Trzech Cnót“, „Przyjaciół Północy“ i t. d., jeżeli stanie się ich opiekunem, aby uzyskać ich poparcie dla swoich mrzonek reformatorskich w Cesarstwie i nawiąże jednocześnie stosunki z tajemnymi stowarzyszeniami na zachodzie; jeżeli wreszcie zapali się do biblijno-oświatowej akcji w swoim państwie, mającej być uwieńczeniem w jego pojęciu „wielkiej sprawy“ (La Grande Oeuvre), podjętej dla chwały Najwyższego, to bez wątpienia należy w tem wszystkiem w znacznej mierze dopatrywać się ukrytej ręki Rodiona Aleksandrowicza. Po zjazdach w Opatowie, i Lublanie, gdy wyrzeknie się Car liberalizmu, pewne ochłodzenie da się spostrzec pomiędzy nim a ślepym jego mentorem. Chłód wszakże minie szybko. Powrócą serdeczne stosunki między nimi, choć już nie tak bliskie, jak były uprzednio.

Narówni z Koszelewym na rozwój mistycyzmu w Aleksandrze wpływał jeszcze drugi głośny mistyk rosyjski, Książę Aleksander syn Mikołaja Golicyn, niezmordowany wykonawca wszelkich mistycznych zachcianek Cara, ale po swojemu je rozumiejący, człowiek miernych zdolności, bez głębszego wykształcenia, napozór wielkiej zachodniej kultury i ogłady, w rzeczy samej, gbur-czynownik, dla podwładnych bezwzględny, wobec pana służalec, głowa ciasna, uparta, niezrównoważona, wszetecznik i bigot sentymentalny, marzyciel, frazeolog, a przede wszystkim sprytny karjerowicz. Dzięki swym stosunkom rodzinnym od młodości obracał się na dworze. Był towarzyszem dzieciennych lat Aleksandra, potem kolegą w gwardji, pierwszym szambelanem cesarzewicza i współnikiem jego lubieżnych zabaw. Uchodził jak powszechnie twierdzono, za mistrza w urządzaniu miłosnych schadzek dla następcy tronu: wynajdywał mu najsmaczniejsze kęski, które sam zrecznie dogryzał, gdy przez Jego Cesarską wysokość były już napoczęte. Po śmierci Pawła, wbrew wszelkim oczekiwaniom i ku zdziwieniu wszystkich, trzydziestoletni Golicyn, wolterjanin, cynik i donżuan, niemający nic wspólnego ze sprawami prawosławnej cerkwi,

zostaje oberprokuratorem świątobliwego Synodu. Wówczas jak się sam przyznawał, po raz pierwszy wziął do rąk księgę Ewangelji i zaczął myśleć o poprawie życia, które pod względem moralnym tyle pozostawiało do życzenia. Nawrócenie było podobno szczere. Z wolterjanina stał się wierzącym, a z wierzącego pod wpływem Koszelewa, do którego się zbliżył¹⁾ w przeddzień wojny Napoleona z Rosją, — pietystą fanatykiem. Znając usposobienie Aleksandra i widząc w niem zmianę, dostraja się do niej i niebawem zaimponuje Cesarzowi swoją gorliwością dla „sprawy Bożej“ w Rosji oraz sprężystem spejnianiem carskich myśli. Powierzy mu Aleksander ministerjum oświaty, zarząd obcych wyznań, da mu „carte blanche“ dla jego nieszczęśliwej gospodarki wyznaniowej i przez szereg lat będzie jej błogosławił.

Różnemi drogami starał się Golicyn podsycać marzyielskie porywy w Aleksandrze, w szczególności zaś — obszerną korespondencją, którą systematycznie z nim prowadził, a czego Koszelew dla słabego wzroku nie mógł dokonać. Gdy się przegląda tę korespondencję, dziwnem doprawdy się wydaje, żeby człowiek tak inteligentny, jak Aleksander, mógł w listach Golicyna smakować. Niema tam ani ujmującej formy, ani głębszej treści, — tylko czcze wałkowanie oklepanych frazesów o pokucie i skrusze serca, wykrzykniki o miłości Bożej, nieskończone cytaty z Pisma Świętego i kabalistyczne do nich komentarze, oraz ciemna, a raczej niedorzeczna i rozwlekła analiza czynów i uczuć piszącego. A jednak trafiały do duszy Aleksandra te płytkie elukubracje: wczytywał się w nie, rozbierał szczegółowo niektóre ustępy z listów przyjaciela, dziękował mu za „czyste myśli“ i wielbił szczerego chrześcijanina, miłośnika prawdy, „którego serce już oddawna należało do Pana“. Rok 1820, w którym Golicyn wypędza Jezuitów z Rosji, jest chwilą kulminacyjną jego wpływów na Cesarza. Po powrocie Ale-

¹⁾ W 1811 r. A. Golicyn na posiedzeniu rady państwa, której był członkiem, w odpowiedzi Sperańskiemu wygłosił wielką mowę w obronie Chrystjanizmu i prawosławia. Obecny Koszelew był nią zachwycony i po sesji rzekł do Golicyna: „Mości Książę, broniłeś tak znakomicie praw chrześcijaństwa i przejawiałeś uczucie tak czystej i głębokiej gorliwości, że byłoby mi niewymownie miło bliżej Cię poznać; powiedziałbym nawet że byłbym szczęśliwy zasłużyć sobie na twoją przyjaźń“.

ksandra z Lublany następuje reakcja. Blednie gwiazda wielkiego ministra. Wzamian za tekę kultów i oświaty otrzymuje zarząd poczt cesarskich i dyrektorstwo teatrów; musi się patrzeć z bólem w duszy, jak gmach przez niego wzniesiony w niwecz się obraca i ostatecznie wyjeżdża do Krymu, aby w ciszy klasztornej modlić się do „Krüdenenki“, „słodkiej prorokini“ i umrzeć w zapomnieniu¹⁾.

II

Kongres Wiedeński. Baronowa Julanna Krüdenerowa.

Roksana Sturda. Heibronn. Rozmowy heidelberskie.

Powtórny pobyt Cesarza Aleksandra I w Paryżu.

Hotel Monhenu. Akt Świętego Przymierza.

Niedługo zabawił Aleksander nad Newą po powrocie ze swojej pielgrzymki na Zachodzie. Już zaczynała w nim wówczas kielkować owa potrzeba przenoszenia się z miejsca na miejsce, która z biegiem lat miała się przerodzić w prawdziwą manję. 13 września ze sztabem nieodstępnych adiutantów: P. M. Wołkońskiego, Uwarowa, Czernyszewa, Jominięgo i t. d. wyruszył do Puław, stamtąd zaś pospieszył do Wiednia na Kongres, dokąd spieszyli inni również wielcy tego świata, aby budować nową Europę.

Wiemy, co się działo wtedy w naddunajskiej stolicy. Mówiono: „que le congrès danse, mais ne marche pas“ i miano raczej. Tańcowali monarchowie i książęta, tańcowali ministrowie, a w „intermezzach“ od zabaw i fajerwerków dzielili się skwapliwie szatami zwyciężonego. Ale apetyty u wszystkich były zbyt zaostrome, więc układy szły opornie. Dochodziło do burzliwych scen na naradach, nawet do scysji wśród wyfrakowanych dyplomatów; mówiono o nowej wojnie w łonie świeżej Koalicji, ale do wojny nie przyszło, bo, jak złośliwie spostrzegał największy krętacz na Kongresie:²⁾ „brakowało im męstwa, aby się prawdziwie pokłócić i zdrowego rozsądku, aby się pogodzić“. W uroczystościach Kongresu i jego pracach przyjmował Aleksander bardzo

¹⁾ Ob. N. Stielleckij: Książę Golicyn i jego religioznaja polityka. Kiew. 1901 r.

²⁾ Talleyrand.

żywy udział. W obszernych listach, pisanych do Golicyna i Koszelewa w listopadzie 1814 r., utyskuje, że się stał światowcem, że się bawi, że jest rozrywany i skarży się zarazem, że ma ciężki orzech do zgryzienia z zachodnią dyplomacją: z tym cynikiem Talleyrandem, z nadętym Metternichem, z twardym Castlereaghem, którzy lekceważą zasługi Rosji w dziele pokoju i chcą podstępnie wydrzeć jej to, co się jej z prawa należy. Ale broni się skutecznie i od swego nie odstąpi. Rozrywki i wir zajęć nie przeszkadzają mu wszakże troszczyć się o własną duszę. Pamięta ciągle o celu, do jakiego powinien zdążać. W późniejszych listach (z dnia 26 stycznia, 5, 7 lutego i t. d.) między innymi donosi Golicynowi, że sprawy rosyjskie zostały szczęśliwie załatwione. „Najwyższy krzepił go we wszystkich ciężkich chwilach, które przechodził“. Jest niewymownie obowiązany księciu za dziełko Scupolego: „Le combat spirituel“. Już wchłonął w siebie tę złotą książeczkę i ma nadzieję, że należycie potrafi z niej skorzystać. Rodiona Aleksandrowicza (Koszelewa) upewnia, że nie zaniedbuje jego cennych rad. Czyta Ewangelje, — listy św. Pawła, pracuje nad sobą i praca owoc przynosi. Myśli teraz poważnie o dokonaniu takiego czynu, który byłby dobrodziejstwem dla ludzkości i zarazem „rzeczą miłą“ dla Pana Zastępów. Ma różne w tym względzie plany i zamiary i ufa, że wkrótce Bóg Prawdy pozwoli mu je uskutecznić. „Oddał się całkowicie Bogu Zbawicielowi, a z jego pomocą wszystko da się osiągnąć“. Często bardzo w chaosie wiedeńskim zwraca się myślami do drogiego przyjaciela, ... brak mu jego ciepłych słów, światła i opieki duchowej...¹⁾

Koszelewa nie ujrzał w Wiedniu, ale niebawem pozyskał zagranicą nowego pocieszyciela, mentora i opiekuna, — opiekuna w spódnicy, który miał odegrać w jego życiu i polityce głośną, historyczną rolę. — W towarzystwie cesarzowej Elżbiety Teodorówny bawiła podówczas w Wiedniu frejlina rosyjskiego dworu Roksana Sturdza, znana, jak wi emy

¹⁾ W 1916 r. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz odnalazł wiele cennych listów Cesarza Aleksandra I do Golicyna i Koszelewa oraz nieznane dotąd listy Ks. Golicyna, które zamierzał pomieścić w nowym wydaniu swojej ciekawej monografii o Aleksandrze I.

wielbicielka pietystów niemieckich, którą chwilowo bliższe stosunki wiązały z Aleksandrem I. Żywo zajmowała się romansowa panna mistycznymi nastrojami drogiego jej Cara. Już w Bruchsalu latem 1814 r. sprowadziła mu Braci Morawskich i zaprzyjaźniła go z Jung Stillingiem; obecnie postanowiła inną jeszcze ułatwić mu znajomość: zbliżyć go z Apostołą Prawdy Chrystusowej, z „prorokinią będącą przybytkiem Ducha Świętego“, z Mistrzynią pobożnego życia, nawracającą grzeszników i pocieszającą utrapionych, dla której pietyści mieli szczególne nabożeństwo, — z baronową Julanną Krüdenerową. Sądziła panna Sturdza, że dogodzi Carowi, że będzie jej wdzięczny za tę usługę, i nie omyliła się w swoich rachubach.

Baronowa Julanna Krüdenerowa z domu Wietinghoff dobiegała wówczas lat pięćdziesięciu. Już długi szmat życia leżał poza nią. Mimo to czuła się jednak ciągle młodą na duszy i na ciele i chciała być młodą. Jak twierdzą współcześni, mogła wtedy jeszcze urokiem swojej osoby: ogniem wielkich czarnych oczów, żywością młodzieńczych ruchów, osobliwym czarem porywającej mowy łątwa jednać sobie adeptów i pociągać serca. Pełne fluktuacji było życie głosnej „prorokini“¹⁾.

Urodzona w Rydze, wychowana starannie w Paryżu przez kochających rodziców, uzdolniona, powabna, ale zbyt młodo wydana za człowieka o wiele od niej starszego, unieszczęśliwiła męża i sama zesłała na manowce. Jej bogata, lecz wybuchowa, ekscentryczna, zmienna i kochliwa dusza nie mogła się nagiąć do małżonka flegmatyka, lubiącego fotel i pantofle. Łaknęła wrażeń, ideałów, przedewszystkiem miłości, „będącej pokarmem serc“, i zaczęła jej szukać poza sakramentem. Porzuciwszy starego męża, rosyjskiego dyplomata, posługującego w Kopenhadze, później zaś w Wenecji, związała się niebawem z młodym Francuzem, kapitanem dragonów, margrabią de Frégevill, z którym osiadła w Montpellier, gdzie w cieniu jaworów i blaskach południowego słońca kosztowała jasnych, idyllicznych chwil rozkoszy. Po dragonie przyszła kolej na innych bohaterów, a gdy grosza

¹⁾ Ob. Eynard. *Vie de Madame de Krüdener*. Paris 1849. 2 vol. Ob. Pypin. *Gospoża Kridienier*. *Wiestnik Jewropy*. 1869 r. t. V. 222 str.

zabrakło na miłość, wzięła Juljanna pióro do ręki i zaczęła pisać z zapalem ulepkowate powieści, mające znaczne powodzenie u egzaltowanych czytelników¹⁾. W 1806 r. widzimy ją w Berlinie na dworze królowej Ludwiki pruskiej. Lgnie tam namiętnie do mistyków pietystów, do Braci Morawskich, zwłaszcza do Herrnhutów. Przejmuje się ich „chrześcijańskim życiem“ i pod ich wpływem wpada w inną ostateczność. Poznaje z przerażeniem, że żyła w brudzie, że „tętnęła moralnie“. Więc gwałtownie odtrąca własną przeszłość od siebie, wije się w szlochach u stóp Krzyża, jak „ongi Magdalena u stóp Chrystusowych“, jęczy nad swoją sprośnością, pokutuje, umartwia ciało i ducha. A, gdy zedrze z siebie „grzeszną Adamową skórę“; gdy poczuje, że Bóg jej wybaczył, że odrodziła się w łasce, pospieszy z „braćmi apostołskimi“ służyć już nie sobie, nie przewrotnemu światu, ale jedynie Bogu miłosierdzia, Chrystusowi Ukrzyżowanemu Jego Królestwu na ziemi.

Nawiedza szpitale, więzienia, ochronki, zbiera grosz dla ubogich, miewa płomienne kazania o grzechu, o pokucie, o dobrych uczynkach i dziełach Ducha Świętego, ale najczęściej prawi do ludu o potrzebie gorącej wiary. W jej przekonaniu zło, na jakie się patrzy: oschłość w ludziach dla Boga i religii, djabełski upór w duszach, plugastwa, zbrodnie, — z jednego pochodzą źródła, — z braku wiary. Każdy, komu chodzi o los błądzących braci, kto chce wydobyć ich z upadku, winien niezwłocznie całym sercem oddać się apostołskiej pracy: uczyć, oświecać, wstrząsać i rozgrzewać dusze, — słowem, pociągać je do świętej wiary, lecz tylko do dawnej apostołskiej, katolickiej wiary. Ta dawna, czysta wiara „nie obamałuca głowy dogmatami“, nie przygniata ducha, nie stawia tamy pomiędzy Stwórcą a stwórczeniem; — przeciwnie, „dając człowiekowi zupełną wolność“, zbliża go do Boga i wiąże go z Nim.

Jest prosta i łatwa. Niech człowiek kocha Chrystusa Zbawcę; niech wierzy silnie w Jego dzieło Odkupienia, najwyraźniej zapowiedziane w Świętych Księgach, i niech ko-

¹⁾ Jej romans p. t. „Valeri, czyli listy Gustawa Linara do Ernesta G.“ został przetłumaczony na język polski przez Wandę Małecką. Warszawa 1822 r. 2 tomy.

niecznie pokutuje za grzechy! Pokuta szczerą, w pokorze i łzach poczęta, jest początkiem nowego życia. Aby się umocnić w tych prawdach, niech wierni czytają Biblię i wyłącznie Biblię. W Biblii znajdą „potwierdzenie swojej wiary”, znajdą światło i pomoce duchowe, a w nich rękojmię odrodzenia w Duchu Prawdy i Miłości ¹⁾...

Takie było „Credo” w głównych zarysach naszej „apostołki”.

¹⁾ Ob. M. le comte de Gabriac. Rapport sur la situation des affaires de la religion en Russie. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz. L'empereur Alexandre I. t. II. Annexes.

(C. d. n.)

Biskup Michał Godlewski.

Prorocstwo Izajasza o Emmanuelu.

(Dokończenie).

B. 'Almah.

Tę, której przypadnie z woli Boga zaszczyt porodzenia Emmanuela, prorok nazywa *ha-'alma*. Znaczenie tego wyrazu hebrajskiego, choć dużo o nim pisano (Condamin, str. 67), nie jest dotychczas zupełnie wyjaśnione i określone. Przyznać jednak trzeba, że właściwe wyjaśnienie jego dałoby nam dokładne pojęcie i zrozumienie zapowiedzi o charakterze matki, a zarazem o samem poczęciu i narodzeniu Emmanuela.

Etymologicznie dawniej (św. Hieronim) wyprowadzano ten wyraz od słowa *'alam*, co znaczy – ukrywać, i twierdzono, że oznacza on nie tylko pannę wogóle albo dziewczę, ale raczej dziewczę ukrywaną starannie przez rodziców przed wzrokiem mężczyzn. Tak nazywano młode panny hebrajskie, które nie ukazywały się publicznie, ale ukrywały się wewnątrz domu. W czasach nowszych przeważa naogół zdanie, że wyraz pochodzi od *'elam* — młodzieniec, specjalnie w tym okresie życia, kiedy mu się ukazują pierwsze włosy na brodzie. W arabskim, syryjskim, aramejskim wyraz ten oznacza człowieka mocnego, dochodzącego do wieku, dojrzałego. Etymologiczne więc znaczenie wyrazu *'almah* jest młoda panienka, która doszła do wieku dojrzałości, aby mogła wyjść za mąż (*puella nubilis*). W użyciu codziennym wyraz ten musiał posiadać takie same znaczenie. W Piśmie św. wyraz ten spotykamy jeszcze sześć razy. W dwóch ustępach Rodz. XXIV, 43, Wyj. II, 8, oznacza on napewno młodą panią niezamężną i dziewczę. W Ps. 68, 26 jest mowa o *'alamoth* (liczba mnoga), grających na bębenkach przed arką; mu-

siały przeto być one pannami, gdyż zameżne nie byłyby dopuszczone do czynności religijnych. Takie same znaczenie *'alamoth* jest w Pieśni n. Pieśn. I, 3, 8, gdyż są przeciwstawione mężatkom i nałożnicom. Natomiast w Przysł. XXX, 19 znaczenie tego wyrazu jest niejasne i niepewne. Wielu rozumiało to wyrażenie (drogi mężowej z *almah*) o stosunku niemoralnym mężczyzny z uwiedzioną panną, która utraciła swe dziewictwo, a nie była zameżna. (Por. v. Hoonacker, w Rév. Bibl. 1904, 221n; J. Calès, Le sens de *almah*, w Recherches de science relig. 1910, 168). Jednakże kontekst jako prawdopodobniejsze wykazuje, że dla autora niezrozumiałe jest powstanie uczucia miłości w sercu mężczyzny do panny, zbliżenie się do niej i powstanie stąd nowego życia (por. Knabenbauer, Comm. in Prov. str. 234: E. Tobac, Les prophètes d'Israel. Malines 1921, 55nn). *'Almah* przeto w tym ustępie oznacza młodą pannę, która zdolna jest wzbudzić w sercu mężczyzny uczucie miłości i pragnienie połączenia się z nią. Zrozumiałem jest przytem, że musi ona być dotychczas panną.

Z tego widać, że w użyciu codziennem wyraz *'almah* oznacza pannę w wieku dojrzałym lub dojrzewającym, zdolną do zamążpójścia i będącą zarazem dziewicą, a przynajmniej za takową ogólnie uważaną. Pojęcie dziewictwa nie jest z nim związane jak z wyrazem *bethulah*, który wyraźnie oznacza młodą pannę-dziewicę,¹⁾ jednak i wyraz *'Almah* stan dziewictwa każe przypuszczać.

W tekście naszym wyraz *'Almah* oznacza nie tylko pannę niezameżną, ale i dziewicę. Prorok mówi, że młoda panna niezameżna i dziewica — niema racji, aby przypuszczać, że była ona zgwałcona — pocznie i porodzi Emmanuela. Na okoliczność, że panna będzie jego matką, jest nawet pewien nacisk położony, bo w przekonaniu proroka miało to być czemś nadzwyczajnem. Gdyby ta młoda panna miała zostać matką w sposób zwykły, tj. po zamążpójściu, to szczegóły

¹⁾ N. Schlögl (Die heil. Schrift des A. T. Jesaja. Wien, 1915, 4.) zwraca uwagę na Rodz. XXIV, 16, 43. w których autor ks. Rodz. mówiąc o Racheli, używa wyrazów *bethulah* i *'almah*, jednak do wyrazu pierwszego dodaje „której mąż nie znał“, co byłoby dowodem, że sam wyraz *'almah* dostatecznie określał stan dziewiczy Racheli.

ten nie posiadałby wielkiego znaczenia i prorok nie podkreślałby, że ona była dotychczas dziewicą; byłoby to bowiem zwykłe zjawisko dla młodych panien przed zamążpójściem i narodzeniem pierwszego dziecka. Jeżeli natomiast Izajasz zaznacza i podkreśla, że młoda panna pocznie i porodzi syna, to był on przekonany, iż poczęcie i narodzenie tego syna musi być nie według praw zwykłych, ale w sposób nadzwyczajny i tajemniczy (por. E. Tobac dz. przyt. str. 58). Matka przyszłego Emmanuela w proroctwie Izajasza miała być dziewicą, a zarazem po poczęciu i porodzeniu jego miała pozostać dziewicą.¹⁾

Potwierdzenie tego wykładu mamy w dawnych przekładach: greckim *parthenos*, syryjskim *alimto*, łacińskim *virgo*; rozumiały więc ten wyraz o dziewictwie w ścisłym znaczeniu, i zarazem są świadectwem, jak rozumiano ten wyraz od czasów najdawniejszych. Przytoczenie zaś słów Izajasza przez św. Mateusza świadczy, że zarówno autor natchniony, jak Żydzi w czasach Chrystusowych, takie same znaczenie wyrazowi temu nadawali. W pismach Filona, a tak samo w pismach rabinistycznych są liczne wzmianki, które świadczą, że Żydzi oczekiwali i byli przekonani, iż przyjście Mesjasza będzie połączone z cudownem Jego narodzeniem (Condamin, cyt. dz. str. 68).²⁾

¹⁾ A. Condamin kładzie na to zdanie wielki nacisk. „Nie jest to konieczne twierdzić, że ta, która porodzi, pozostanie dziewicą w poczęciu i porodzeniu. Corluy widział w tem bardzo poważny zarzut. „*Praescindendo a testimonio Novi Testamenti, vaticinii nudus conceptus non dicit clare Emmanuelem nasciturum e Virgine in sensu composito. Nam sicut in sensu diviso optime dicitur: caeci vident, claudi ambulant, ita diceretur congrue: virgo concipiet*“. Odpowiadamy na to: Gdyby tu mowa była o młodej pannie wówczas żyjącej i znanej przez wszystkich, prorok, wskazując ją, mógłby powiedzieć in sensu diviso: ta dziewica porodzi, tj. ta młoda panna dziewica dotychczas i jako taka przez was znana, stanie się matką, jak inne matki. Ale tu mowa jest o pannie, którą Izajasz tylko w widzeniu ogląda, — i to w chwili, kiedy wydaje na świat Mesjasza. Gdyby miała ona stać się matką według praw zwykłych, wielkość jej polegałaby tylko na tem, że byłaby Matką Mesjasza; ale wówczas co za cel mówić o jej dotychczasowym stanie dziewiczym, o którym nikt nie myślał i któryby nie miał wielkiego znaczenia”? (Le livre d'Isaie, str. 69).

²⁾ R. Sal. Jarchi stwierdził: niektórzy wykładają, że słowa Izajasza miały ten znak, iż Panna ta będzie niezdolna do rodzenia, gdyż była

Późniejsi tłumacze Akwila, Symmachus i Teodocjon przekładali wyraz *'almah* przez *neanis* — młoda panna, niezamężna (bez względu na jej stan dziewictwa), ale, według zdania św. Justyna (Dial. c. Tryph. VI. 644, 673) uczynili to rozmyślnie, aby osłabić dowód, jaki chrześcijanie z tych słów Izajasza wyprowadzali przeciwko Żydom o prawdziwości Mesjasza. Tradycja chrześcijańska, opierając się na wykładzie św. Mateusza (I. 22, 23), była zawsze jednoznaczna w twierdzeniu, że Izajasz mówiąc o pannie, która pocznie i porodzi Emmanuela, miał przedewszystkiem na myśli jej stan dziewiczy, a jednocześnie cudowne poczęcie i narodzenie przyszłego Emmanuela tj. Mesjasza. Protestanczy teologowie dawniej tak samo nauczali, a i dzisiaj wielu z nich broni jeszcze tego rozumienia i wykładu.¹⁾

Że panną tą, która miała w sposób dziewiczy począć i porodzić Emmanuela, miała być matka Mesjasza, tj. Najświętsza Marja Panna, nie ulega wątpliwości. Emmanuel, jak widzieliśmy, to Mesjasz — Jezus Chrystus, panną przeto, która Go zrodzi, mogła być tylko N. Marja Panna. Na Niej też jednej spełniło się to proroctwo w znaczeniu dosłownem, gdyż według zapewnienia zwiastującego Anioła, Duch Św. miał zstąpić na Nią i moc Najwyższego miała Ją jak obłok ogarnąć, a święta istota, która się z niej miała narodzić, będzie Synem Bożym (Łuk. I, 35. Przekład ks. Szczepańskiego).

Zapowiedź Izajasza o pannie, mającej począć i narodzić Emmanuela, uważamy za proroctwo o cudownem poczęciu i narodzeniu Mesjasza z przeczystej Dziewicy Marii. Jako proroctwo, zapowiedź ta jest pochodzenia nadprzyrodzonego, tj. obraz dziewicy, rodzącej Emmanuela, musiał

małoletnia, nie w wieku zameężcia". R. Kimchi: „Narodzi się (tj. Mesjasz) z Dziewicy, która mocą Bożą pocznie i porodzi sine ulla viri actione, sine ullo virili semine, co mogą potwierdzić świadectwami samych żydów" cyt. Raym. Martini, Pugio fidei str. 125.

¹⁾ „Później," powiada v. Orelli, widziano w zapowiedzi Iz. VII, 14 o narodzeniu Emmanuela cud podobny do Mat. I, 22. n. i słusznie, gdyż nie jest to bez motywów wewnętrznych i zewnętrznych. Choć bowiem wyraz *'alma* nie zawiera ściśle pojęcia dziewicy, chociaż nie powiedziano, iż po poczęciu zostanie ona dziewicą, wyrażenie samo jest tajemnicze i niewyjaśnione" (Der Prophet Iesaja. München. 1904, 40).

być Izajaszowi przez Boga w widzeniu ukazany. Być może, iż szczegółów i czasów wypełniania prorok nie rozumiał dokładnie z powodu braku historycznej perspektywy w prorockich widzeniach, jednakże ogólne znaczenie obrazu widzianego musiał on pojmować. Idea bowiem „syna czy potomka niewiasty“, jako przyszłego Zbawiciela, była od dawna znana u Hebreów, a początkami swemi sięga ona początków ludzkości tj. pierwszej zapowiedzi Bożej o mającym przyjść Odkupicielu (Rodz. III, 15 nn.). Ta tzw. protoewangelja była niewątpliwie podstawą i źródłem pojęć i wyobrażeń u licznych ludów pogańskich o Dziewicy, rodzącej Zbawiciela. Takie wyobrażenia istniały u Babilończyków, Egipcjan, Rzymian, Celtów (kamień ołtarzowy, na którym dedykacja: „Dziewicy, która ma narodzić“ ob. Schlögl, dz. przyt. str. 4). U innych ludów pojęcie to zostało pomieszané i przysłonięte rozmaitemi mitologicznymi motywami, tymczasem w tradycji narodu hebrajskiego było ono w czystości przechowane.

W mitologiach wschodnich dziewicę-matkę utożsamiono z boginiami (Hathor, Isztar), narodzenie zbawcy uważano za fakt dokonany, czego dowodem są odnalezione liczne wyobrażenia bogiń z dzieciątkiem na ręku (zob. A. Jeremias, *Das Alte Test. im Lichte des Orients*, Lp. 1916, 594 nn; w mitologii babilońskiej opowiadania o Isztar są pełne sprzeczności), tymczasem w tradycji narodu hebrajskiego przekonanie o narodzeniu Zbawcy odnosiło się do czasów przyszłych, a charakter Matki-Dziewicy, jak również jej Dziecięcia był osłonięty pewną tajemnicą.

Zapowiedź Izajasza uważają niektórzy krytycy (Schlögl, Ehrlich) za krótką cytate ze starego proroctwa, ale prawdopodobniejsze wydaje się zdanie, że jest ono dokładniejszym, w świetle nowego objawienia Bożego, udzielonego prorokowi, określeniem starej zapowiedzi Bożej (Rodz. III, 15). W protoewangelji Pan Bóg mówił w sposób ogólnikowy o niewieście i jej nasieniu, potomstwie (potomku); w proroctwie Izajasza był dorzucony nowy rys, który dokładniej i ściślej określał charakter niewiasty jako Matki Dziewicy, a potomstwo, jako Syna, przez którego a raczej w którym „z nami Bóg“ będzie.

C. Stosunek zapowiedzi mesjańskiej do kontekstu.

Pogodzenie słów Izajasza, rozumianych jako zapowiedź o przyszłym Mesjaszu, z kontekstem napotyka na pewne trudności. W oczach niektórych krytyków są one do tego stopnia wielkie, że utrzymują, jakoby tekst dzisiejszy zapowiedzi nie był podany in extenso ze wszystkimi okolicznościami, jak był wypowiedziany bezpośrednim słuchaczom (ob. J. Calès, *Recherches de science relig.* 1910, 167).

Jaki charakter ma zapowiedź Izajasza?

Już w VII, 9 prorok dawał pogroźkę Achazowi i całemu domowi Dawidowemu: „Jeśli wiary dać nie chcecie, utrzymać się nie możecie”. W 13 w. a tembardziej w 14 w. („przeło”) groźba proroka jest wyraźniejsza. Odmowa Achaza i jego niedowiarstwo wywołały oburzenie proroka i zmieniły usposobienie i postanowienia poprzednie ww. 4—7. Achaz i dom Dawidowy zasłużyli na karę. I dlatego w dalszym ciągu swej mowy (w. 17n.) Izajasz zapowiada klęski, jakie spadną na cały kraj: przyjdą Assyryjczycy, których Achaz prosił o pomoc, i Egipcjanie, którzy zniszczą kraj cały; winnice będą spustoszone, rola uprawna zamieniona na stępy i pastwiska dla trzody, nieliczni mieszkańcy skazani będą na głód, pożywienie ich będzie stanowiło mleko i miód, ziemia cała zarośnie cierniem (w. 17—25). Narodzony Emmanuel będzie zmuszony podobne życie ubogie prowadzić (w. 15), pozbawiony będzie wszelkich wygod i rozkoszy.

Taka jest myśl przewodnia mowy Izajasza VII, 14—25; brzmi w niej przedewszystkiem nuta kary dla Achaza i całego domu Dawidowego. W uznaniu takiego charakteru mowy proroka zgodni są naogół wszyscy egzegeci. W. 16 zdaje się być sprzecznym z takim wykładem, czytamy bowiem: „Zanim jednak dziecię się nauczy złe odrzucać i wybierać dobro, opuszczona będzie ziemia, której dwu (LXX) królów się lękaś”... Sądzić można, iż prorok zapowiada tu opuszczenie (przez ludność) tj. spustoszenie królestwa izraelskiego i syryjskiego (dwaj królowie Facee i Rezyn) i to w niedługim czasie, tj. gdy Emmanuel-Mesjasz dojdzie do wieku rozumu—12 lat, albo według zdania innych, do wieku

dojrzałego. Zapowiedź kary dla królów izraelskiego i syryjskiego wydaje się w tej mowie proroka niewłaściwa, bo znak miał być dany dla Achaza i domu Dawidowego, a i 17 w. mówi o karze Judy. Uznają to wszyscy egzegeci, i dlatego tekst usiłują przekładać w ten sposób, że kara zapowiadana ma dotknąć królestwo judzkie. V. Hoonacker tak przekłada: „zanim dziecię... kraj będzie opuszczony. Ponieważ (hebr. aszer?) uląkłeś się przed dwoma królami, Jahwe przywiedzie na ciebie“. A. Condamin; „...opuszczona będzie ziemia, o którą się lękasz dwu królów“. Jednakże według słusznej uwagi J. Lagrange'a (Rév. bibl. 1905, 279) takie przekłady nie są zgodne z brzmieniem tekstu hebrajskiego. Prawdopodobne jest, że tekst w. 16 uległ pewnej zmianie przez późniejsze dodanie zdania „której dwu (LXX) królów się lękasz“, jak to w uwagach do przekładu wyżej zaznaczyliśmy.¹⁾ Po usunięciu tego wtętu sens wiersza jest zupełnie jasny, a związek z kontekstem logiczny. Wiersz 16 nie przerywa toku myśli proroka zapowiedzią spustoszenia Izraela i Syrii, ale jest dalszym ciągiem gróźb dla Achaza i kraju judzkiego.²⁾

Otóż teraz można postawić pytanie, jaki jest stosunek zapowiedzi o zbawieniu, które będzie dokonane przez Emmanuela, z groźbami proroka dla Achaza i domu Dawidowego? Poglądy egzegetów są rozmaite. Niektórzy bibliści (por. Knabenbauer Comm. in Is. I, 174 n; S. Perret, La prophétie d'Emmanuel, w Rév. prat. d'apol t. XI, 91 nn.) tłumaczyli, że w. 14 jest znakiem, który sam Bóg dał Achazowi, gdy ten nie chciał domagać się znaku, — a mianowicie cudowne narodzenie Emmanuela miało być rękojmią jego uwolnienia od królów izraelskiego i syryjskiego, zapowiedzianego przez proroka w 4 w. Jednakże jest to sprzeczne z tekstem. Po odmowie bowiem Achaza niema mowy aż do końca rozdziału o uwolnieniu od tych wrogów.

¹⁾ W rozdziale VII jest kilka zdań w ten sposób dodanych, jak np. w. 1 „ale nie mogli go podbić“; w 4 w. „wobec zapalczego gniewu Rezyra i Syrii i syna Remaljasza“; w 8 w. „a w sześćdziesiąt pięć lat jeszcze Efraim przestanie być narodem“ w 17, 20 „król Assyrii“ — przeto nic dziwnego, że 16 mógł być dodany późniejszą ręką — dla wyjaśnienia.

²⁾ Sens jest również jasny w przekładach v. Hoonacker'a i Condamin'a; myśl w nich jest taka sama, ale dochodzi się do tego przez niewłaściwy przekład tekstu hebrajskiego.

Wielu egzegetów jest zdania, że narodzenie Emmanuela miało być znakiem uwolnienia Judy od najścia assyryjskiego, które prorok poprzednio (w 11 w.) zapowiadał. Wprawdzie prorok mówi, że Emmanuel wybawi kraj od Assyryjczyków (VIII, 8—10: X, 24—34), ale czy mógł prorok zapowiadać narodzenie Emmanuela jako znak tego uwolnienia?

W tym wypadku Emmanuel powinien był się narodzić wcześniej, tj. przed nadejściem Assyryjczyków, inaczej nie byłby on znakiem i rękojmą wybawienia. A wówczas wobec niespełnienia się zapowiedzi o narodzeniu Emmanuela, można byłoby wnioskować, że prorok błędnie zapowiadał i w błąd wprowadzał innych, zapowiadając rychłe narodzenie Emmanuela, a zarazem, że utożsamienie Emmanuela z Mesjaszem jest nieuzasadnione. Tak też sądzą egzegeci radykalni, ale wobec nadprzyrodzonego posłannictwa proroków jest to niedopuszczalne.

Inni egzegeci zwracają uwagę, że znak w. 14. nie powinien być tłumaczony w takim ścisłym znaczeniu, co w. 11, ale w szerszym i ogólnym, jako potwierdzenie spełnionej zapowiedzi, jak to mamy np. Wyj. III, 2, i Iz. XXXVII, 30. Jednakże takie rozumienie znaku wymagałoby przy wypełnieniu zapowiedzi obecności tych, co byli jej świadkami, bo oni tylko mogliby zaświadczyć o jej prawdziwości. W tym wypadku wobec narodzenia Emmanuela po wielu wiekach znak dany przez proroka nie miałby mocy dowodowej dla współczesnych.

Bardziej ogólne znaczenie nadają temu wyrazowi inni egzegeci, co uważają go za przedmiot wiary. „Znak jest tego rodzaju, powiada Knabenbauer (str. 176), że potrzebna była wiara, aby znaczenie jego było zrozumiane“. Narodzenie dane przez Boga jako znak, musiało być najpierw przedmiotem wiary, ażeby następnie mogło być rękojmą obietnic o uwolnieniu, danych w 4 w. — Jednakże znak, jako przedmiot wiary, który miał się ziścić dopiero po fakcie, którego był rękojmą, nie mógł być uważany za znak, ale tylko za zwykłą obietnicę. Zdanie to jednak ma pewne cechy słuszności. Uznaje ono bowiem, że zbawienie mesjańskie jest rękojmą wybawienia obecnego: naród z którego narodzi się Mesjasz i który będzie wybawiony przez Niego, nie

może zginąć, wiara więc w przyszłego Mesjasza miała być dla Izraelitów podstawą nadziei w ówczesnych zamieszanach (por. E. Tobac, dz. przyt. t. II—III str. 65). Uznaje ono ponadto, że narodzenie Emmanuela nie mogło być znakiem danym przez Boga.

Zbliżone do niego jest zdanie nowszych biblistów, którzy utrzymują, że znak, dany przez Boga był groźbą i zapowiedzią kary dla Achaza. W. 14 miał właśnie na celu zapowiedź rychłej kary. Jahwe ukarze Achaza. To jest rzeczą tak pewną, że gdyby „dziewica zapowiedziana teraz poczęła i porodziła, to Emmanuel, jej syn, w którym dom Dawida pokłada swą nadzieję, nie doszedłby wieku rozróżniania dobra i zła, a zapowiedź byłaby wykonana. Jak wszyscy tak i Emmanuel byłby zmuszony karmić się mlekiem i miodem dzikim, jedynymi pokarmami, które będzie można znaleźć po najściu nieprzyjaciół“ (Durand cyt. Condamin, str. 72). I temu zdaniu nie można odmówić pewnej słuszności, zwłaszcza w określeniu charakteru znaku, nie wykazuje ono jednak dostatecznie, czego znakiem mają być kary, a znak przecież musi coś oznaczać. Przytem tłumaczenie wyrazu hebrajskiego *hinneh* warunkowo przez „gdyby“ jest bezpodstawne.

Pogląd V. Hoonacker'a¹⁾ nie wiele odbiega od powyższego. Przyznajemy mu jednak słuszność. Według V. Hoonacker'a znakiem, który Bóg daje Achazowi i domowi Dawidowemu nie jest narodzenie Emmanuela, ale kara najścia assyryjskiego. Klęski, jakie w krótkim czasie Achaz i naród cały znosić będą ze strony Assyryjczyków, których Achaz wzywał na pomoc, będą, podobnie jak znak ofiarowany mu poprzednio, znakiem, że Jahwe chce i ma mocne postanowienie zbawić naród sam bez pomocy obcych armij. I dlatego, zanim ten nowy znak będzie dany, Jahwe powtarza jeszcze raz w sposób uroczysty przez usta proroka zapewnienie zbawienia: „oto panna poczyrna i rodzi Syna i nazwie imię jego Emmanuel (tj. Bóg z nami)“. Wiersz przeto 14 wyraża zapewnienie zbawienia ze strony Boga: samo imię Em-

¹⁾ La Prophétie de la naissance d'Immanu — El, w Rev. bibl. 1904, 213 — 227.

manuela ma być tego dowodem i wskazówką; a następnie w dalszym ciągu przemówienia Emmanuel występuje w roli króla-zbawcy; wreszcie zawiera ono zapewnienie, że zbawienia dokona Sam Bóg, nie tylko bez pomocy obcych armij, ale nawet bez pomocy domu Dawidowego, albowiem Emmanuel narodzi się z Dziewicy bez współudziału męża.

Kłęski przeto wyrządzone krajowi przez Assyryjczyków będą znakiem, że taka jest wola Jahwy i takie postanowienie, aby zbawić naród. Achaz wprawdzie odmówił żądania znaku, ale postanowienie Boże nie zostało cofnięte, uległo ono tylko pewnej odwołce. Nie będzie to jednak wybawienie od najścia Syro-efraimskiego, tego dokonają Assyryjczycy; to wybawienie będzie nawet karą dla króla niewiernego, wybawiciel bowiem będzie zarazem karą dla narodu przez kłęski spowodowane najściem jego na kraj. Dom Dawidowy wówczas powinien poznać i utwierdzić się w przekonaniu, że sam tylko Jahwe może wybawić naród i rzeczywiście wybawi go przez swego Emmanuela-Mesjasza.

To pogodzenie zapowiedzi Izajasza, rozumianej w znaczeniu mesjańskim, z kontekstem uważamy za najtrafniejsze. Narzuca się tu tylko jedno pytanie: jak mógł Izajasz zapowiadać to wybawienie wraz z wybawieniem od najścia assyryjskiego? W przemówieniu bowiem proroka działalność zbawcza Emmanuela łączy się z tem wybawieniem: w VIII, 8 nn. Emmanuel przedstawiony jest jako odpierający fale najścia assyryjskiego; w XI r. Emmanuel — latorośl wychodząca z pnia Jessego — przedstawiony jest jako księżę, który założy i utwierdzi królestwo pokoju po najściach assyryjskich, o których mowa w X r.; także okres dzieciństwa Emmanuela wypadnie właśnie na czasy najścia assyryjskiego; w IX, 5, prorok, pełen entuzjazmu i radości woła: „Dzieciątko nam się narodziło, Syn jest dany nam”. Czy Izajasz wierzył, że Mesjasz przyjdzie na świat w niedługim czasie? A jeśli nie wierzył, dlaczego mówił o tym fakcie, jako mającym wkrótce nastąpić? — Kto zna mowę proroków, nie będzie widział w tem żadnej trudności, ani posądzał proroka o błędne zapowiedzi. Już św. Augustyn twierdził: „In prophetia bene miscentur futura praeteritis” (Enarrat. in ps. III). Szczególnie w prorocत्वach mesjańskich zjawisko to

łatwo jest stwierdzić. Przyjście Mesjasza w zapowiedziach proroków zwykle było łączone z wypadkami współczesnymi, bez zaznaczenia nawet różnicy czasu. Pomijając, że do przedstawienia czasów mesjańskich prorocy musieli z konieczności używać obrazów, zapożyczanych z ówczesnych warunków politycznych, społecznych, religijnych, ale w istocie rzeczy prorocy łączyli czasy mesjańskie i wybawienie, jakie Mesjasz miał sprawić z czasami ówczesnymi. Zbawienie mesjańskie, słusznie Hoonacker powiada, z powodu gwarancji dla ostatecznego triumfu narodu, w przekonaniu Izraela i w przepowiedniach, które są tylko jego echem, często się łączy ze zwycięstwem nad współczesnymi wrogami, z zakończeniem doświadczeń, jakie naród trażyły. (Rev. bibl. 1904, 223). Co więcej, o rzeczach przyszłych prorocy mówili niekiedy jako o faktach już dokonanych. Oglądali je bowiem oczyma duszy w widzeniach albo słyszeli zapowiedzi Boże, — i to uważali już za pewne, za dokonane. Co Bóg zapowiadał, było pewne. Wreszcie, w widzeniach przyszłości prorocy nie rozróżniali żadnej perspektywy czasów, bliższe i dalsze wypadki przedstawiały im się jakoby na jednej płaszczyźnie, pomieszane z sobą.

Znajomość psychologii i mowy proroków uchroni nas od posądzania proroków o fałszywe zapowiedzi, od przypuszczania, że Izajasz w danym wypadku pomylił się w swej zapowiedzi co do przyjścia na świat Emmanuela. Z objawienia Bożego on wiedział napewno, że Emmanuel się narodzi z Dziewicy, co się zaś tyczy czasu, kiedy on na świat przyjdzie, prorok łączył go z wybawieniem od najścia assyryjskiego. W wyobraźni Izajasza armia assyryjska przedstawiała wrogów narodu, potęgą pogańską, z którą Emmanuel miał walczyć i zwyciężyć. A ponieważ najście assyryjskie groziło w niedługim czasie, przyjście przeto Emmanuela wybawiciela, wydawało się również Izajaszowi rychłe, jeszcze przed tą klęską.

Tęgo rodzaju mowa prorocka nikogo w błąd nie wprowadzała. Izajasz nie zapowiadał biegu wypadków przyszłych, nie kreślił historii przyszłości, nie określał ściśle czasu narodzenia Emmanuela.

To ogólne jego mówienie leżało także w planach opa-

trżności Bożej. Gdyby Izajasz zapowiadał, że Mesjasz się narodzi dopiero po VII wiekach, zapowiedź jego nie byłaby pociechą i podtrzymaniem wiary dla współczesnych. Tymczasem właśnie według planów Bożych wiara w przeznaczenie mesjańskie powinna była podtrzymywać Izraela w krytycznych momentach jego dziejów, a z drugiej strony uwolnienie z tych krytycznych momentów powinno było umacniać jego wiarę w sprawie roli mesjańskiej, którą z woli Boga miał ten naród wypełnić.

Ks. J. Archutowski.

Filozoficzna jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych.

(Dokończenie).

Jakkolwiek dziwne i wprost zdumiewające nieraz są fakty, które nauka najnowsza wykryła w związku z gruczołami bezprzewodowemi, a które opowiedzieliśmy w poprzednich artykułach, to jednak maleją one wobec oddziaływań na organizm innej jeszcze grupy gruczołów inkretowych, mianowicie gruczołów płciowych, u osobników męskich zwanych „jądrami“ — *testes*, u żeńskich „jajnikami“ — *ovaria*. Jedne i drugie są same przez się właściwie gruczołami przewodowemi; mają one za zadanie bezpośrednie i główne wytwarzanie komórek płciowych. Gruczoły osobników męskich produkują, jak wiadomo, komórki zarodkowe męskie, zwane plemnikami czyli spermą, podobnie gruczoły osobników żeńskich produkują komórki rozrodcze żeńskie, tak zwane komórki jajowe. Do wytwarzania tych komórek istnieją, zarówno w jądrze jak i w jajniku, osobne grupy komórek, tak zwane komórki rozrodcze, a cały proces niesłychanie skomplikowanego tworzenia się i dojrzewania plemników i jaja jest jednym z najjaskrawszych dowodów celowości w organizmie zwierzęcym i ludzkim.

Gruczoł płciowy męski składa się z około 300 stożkowatych zrazików. Każdy taki zrazik, zwrócony podstawą do powierzchni jądra, a końcem ku jego wnętrzu, utworzony jest z kanalików, u ujścia, to jest ku wierzchołkowi stożka prostych, a ku podstawie czyli wnętrzu stożka poskręcanych

i ta właśnie część poskręcana jest wytwórnią plemników. Mianowicie kanalik poskręcany (*tubulus contortus*) jest to rurczka około ćwierć milimetra mająca w przekroju, utworzona z tkanki łącznej, której wewnątrz wyściela nabłonek utkany z dwójakiego rodzaju komórek. Jedne z nich tak zwane komórki Sertoli'ego, są wielkie, cylindryczne, przechodzą przez całą grubość nabłonka i opatrzone są jasnym, dużym jądrem. Drugiego rodzaju znowu komórki są okrągłe, znacznie mniejsze, tak, że w nabłonku kilka ich warstw na sobie leży i to są właśnie komórki rozrodcze, z których przez liczne przemiany tworzą się plemniki. Pojedyncze kanaliki znowu oddzielone są od siebie tkanką łączną, wśród której dostrzec można gromadki lub sznurki komórek dużych, owalnych lub wielobocznych, z których każda ma jedno lub nawet kilka jąder, położonych ekscentrycznie. Protoplasma tych komórek ma budowę siatkową i zawiera często w sobie rozmaite drobne twory, jak kropelki tłuszczu, dalej opisane przez Rankego większe lub mniejsze krystaloidy, jakby kryształki, utworzone z białkowej substancji, wreszcie tak zwane mitochondrje, owe w najnowszych czasach histologów tak wiele zajmujące sobą twory, zdaniem Arnolda jakby osobne organy komórki, które tu występując w postaci kuleczek lub delikatnych nittek, a którym w komórce przypisuje Meves wogóle czynność gromadzenia ze krwi potrzebnych dla życia komórki substancji i przerabiania tychże odpowiednio do każdorazowych potrzeb komórki. Mitochondrje byłyby to więc maleńkie, bo jakie tysięczne części milimetra przekroju mające laboratoria chemiczne, które jednak doskonałością swą i sprawnością przewyższają wszystko, co dziś wogóle chemja nasza, tak zresztą potężna, zdziałać jest zdolna. Otóż te komórki, noszące nazwę komórek Leydiga, których znaczenia do niedawna zupełnie nie rozumiano, są dla organizmu niesłychanie ważne. Stanowią one mianowicie gruczoły bezprzewodowe, których wytwory, wlewane wprost do krwi, wywierają na cały organizm, jego budowę i właściwości zarówno fizjologiczne, jak nawet i psychiczne wpływ zasadniczy. Pamiętać trzeba, że te komórki Leydiga leżą poza woreczkami, wytwarzającymi plemniki, dodać jednak należy, że niektórzy

autorowie przypisują własność wytwarzania inkretów także i komórkom Sartoli'ego, znajdującym się we wnętrzu rurki.

Gruczoł płciowy żeński, *ovarium*, organ również parzysty jak gruczoł męski, utworzony jest z tkanki łącznej, pomiędzy którą wchodzi sznury komórek, pochodzących z komórek nabłonka zarodkowego, a zróżniczkowanych dwójako. Jedne z nich mianowicie pozostały komórkami nabłonkowymi, a inne przeszły w wielkie komórki o wybitnym jądrze i te stanowią tak zwane „prajaja“. Po jakimś czasie, gdy komórek przez podział przybywa coraz to więcej, sznury te, zwane węzami Pflügera, rozpadają się na grupy komórek, przyczem na każdą grupę składa się jedno prajajo i otaczające je komórki nabłonkowe. Grupka taka zwie się pęcherzykiem pierwotnym i z niego przez dalszy rozwój powstaje później tak zwany pęcherzyk Graafa, wewnątrz którego jajo pierwotne dojrzewa i skąd po pęknięciu pęcherzyka wydziela się. Jaja pierwotne powstają z nabłonka zarodkowego tylko w samym początku życia dziecka, a przy końcu pierwszego roku życia już proces ten ustaje, tak, że ilość wszystkich pęcherzyków pierwotnych, a więc i prajajowych, wynosi od 35.000 do 72.000, z nich jednak dojrzewa tylko około 400, a reszta ginie przez degenerację. Tymczasem męskie plemniki wytwarzają się bez ograniczeń aż do późnej starości organizmu. W jajniku dokonywują się tedy dwojakiego rodzaju procesy; jedne pęcherzyki i zawarte w nich komórki jajowe rozwijają się w takim tempie, że od wieku dojrzewania płciowego aż do roku mniej więcej 45-go życia osobnika co 28 dni jeden pęcherzyk Graafa pęka i oddaje jajo na zewnątrz, gdy tymczasem inne pęcherzyki, daleko liczniejsze, ulegają zwyrodnieniu. Po pęknięciu pęcherzyka dojrzałego powstaje w jajniku blizna i mała narośl, tak zwane ciało żółte, *corpus luteum*. Gdy zaś pęcherzyk zmarnieje, nie dojrzewając, co się dzieje przez to, że wewnątrz jego wypełnia się zdegenerowanym nabłonkiem, powstaje tak zwane ciało żółte fałszywe, *corpus luteum spurium*. Otóż te właśnie ciała żółte są, zdaniem autorów, gruczołami inkretowymi, których działanie, niezmiernie ważne i wybitne, rozciąga się na cały organizm żeński. Pierwszem bezpośredniem zadaniem inkretu pochodzącego z prawdzi-

wego ciała żółtego, jest stworzenie pewnych warunków dlażywionego płodu. Prócz tych ciałek żółtych uważają niektórzy za gruczoły inkretowe inne jeszcze komórki, które także grupkami znachodzą się w tkance łącznej jajnika, lecz nie są związane z pęcherzami Graafa, tak zwane komórki interstycjalne.

Jak bezwzględne, pierwszorzędne i wszechstronne znaczenie dla organizmu mają inkrety i hormony tych bezprzewodowych gruczołów płciowych, przekonywuje o tem choćby ta niezmierna, wprost nie dająca się objąć ilość prac zarówno doświadczalnych jak i teoretycznych, które temu przedmiotowi się poświęca od lat zwłaszcza dziesiątych bieżącego stulecia, a które zapoczątkował na wielką skalę i do nich zapalił, znany już chyba dzisiaj wszystkim choćby z pism codziennych, prof. Steinach¹⁾ swemi pracami nad sztuczną, oczywiście częściową, przemianą płci i nad odmłodzeniem organizmów. Dla nauki ścisłej za najważniejszy i zupełnie nowy a epokowy rezultat uważać należy wykrycie i udowodnienie faktu, że tak zwane drugorzędne cechy płciowe organizmu powstają wyłącznie lub prawie wyłącznie nie pod wpływem komórek płciowych, jak dotychczas powszechnie mniemano, lecz pod działaniem hormonów czy inkretów, które są wytwarzane przez owe komórki interstycjalne gruczołów płciowych.

Istnienie różnicy płci u wyższych organizmów żywych, poczynawszy już od wyższych roślin — bo o niższych organizmach pod tym względem bardzo niewiele wiemy — jest nam dane w sposób oczywisty przez przyrodę. Od dawna niepokoiły jednak umysły ludzkie te dwa zasadnicze pytania: najpierw na czem polega właściwie różnica płci, a powtóre kiedy i przez jakie czynniki ta różnica w organizmach młodych się zapoczątkowuje. Te różnice są dwojakie. Jedne, istotne, i niemi są wyłącznie same gruczoły rozrodcze, produkujące komórki płciowe, a więc wedle tego zdania istotną cechą osobnika męskiego jest jądro męskie, zaś żeńskiego jajnik. Wszystko zaś inne, nawet przewody organów rozrod-

¹⁾ Porówn.: Dr P. Schmidt: Theorie und Praxis der Steinach'schen Operation. Wiedeń—Lipsk 1922.

czych, są to już cechy drugorzędne. Cech zaś tych drugorzędnych jest bardzo wiele i wchodzą one głęboko w organizm i jego funkcje, jak gdyby dając poznać przez to, jak wielką wagę przyroda przykładu do różnicy płci, która ma przecież służyć do zachowania całego gatunku. Więc prócz zewnętrznych organów rozrodczych należy tu różnica wzrostu, który u kobiet o kilkanaście centymetrów średnio jest mniejszy, niż u mężczyzn, dalej głos, który u męskiego osobnika zniża się o oktawę, czyli, jak mówimy, mutuje, właśnie w okresie pokwitania, następnie porost i rozmieszczenie włosów na powierzchni ciała, pojemność czaszki, wielkość mózgu, skład krwi — u kobiety jest milion ciałek czerwonych mniej w milimetrze sześciennym, niż u mężczyzny —, nawet temperatura ciała i ilość wytwarzanego ciepła, które u kobiety są również mniejsze, niż u męskich osobników. Otóż sądzono dawniej, aż do czasów najnowszych, że wszystkie te cechy płciowe są najściślej związane z tkankami bezpośrednio produkującymi komórki płciowe, jaja i plemniki, a do tego wniosku dochodzono przez zbyt powierzchowne tłumaczenie zjawisk, napotykanych u kastratów obu płci. Temu właśnie pogładowi położyły koniec prace Steinacha i innych, które dowodnie wykazały, że przyczyn powstawania drugorzędnych cech płciowych należy szukać wyłącznie w hormonach i inkretach, produkowanych nie przez komórki rozrodcze płciowe, lecz przez znachodzące się obok nich owe komórki interstycyjne. Przeoczono mianowicie dotychczas ten fakt dlatego, bo nie obserwowano dosyć ostrożnie i nie zwracano uwagi na to, że usuwając gruczoł płciowy, wydalało wraz z nim i owe komórki hormonowe, które widziano wprawdzie, ale ich znaczenia w organizmie nie rozumiano i nie przeczuwano.

Niepodobna tu, a nawet zbyteczną byłoby rzeczą streszczać wszystkie dotyczące prace doświadczalne Steinacha; wystarczy wskazać na zasadnicze, stanowiące podstawę i punkt wyjścia dla następnych. Prace te zaś polegają przede wszystkim na przeszczepianiu zwierzętom kastrowanym, a więc właściwie bezpłciowym, gruczołów płciowych innych osobników tego samego gatunku, przyczem występowały na jaw zjawiska niezmiernie charakterystyczne i pouczające.

Pokazywało się mianowicie, że tak przeszczepiane organa przyjmowały się w nowym gospodarzu, lecz ulegały wkrótce znacznym przemianom wewnętrznym, mianowicie ich komórki płciowe, a więc owe komórki wyścielające rurki jądra u męskich organów, a u żeńskich pęcherzyki Graafa, ulegały wkrótce zanikowi, a natomiast komórki interstycyjne rozrastały się bardzo bujnie. Że zaś przytem osobnik kastrowany po takim wszczepieniu nabierał cech drugorzędnych płciowych tego osobnika, czyli tej płci, którego organa weń wszczepiono, więc wniosek jasny i oczywisty, że te cechy powstają pod wpływem wydzielin hormonów, produkowanych przez te komórki interstycyjne, same zaś komórki płciowe, które tu przecież zanikły, na powstawanie tych cech i ich trwanie żadnego wpływu bezpośredniego nie wywierają.

Oto przykład takich zarodniczych doświadczeń Steinacha. Rodzina morskich świnek, składająca się z trzech siostr i brata. Dwom siostronom wyjął Steinach jajniki i następnie jednej z nich wszczepił jądra męskie morskiej świnki. U tak zoperowanej samicy już po 14 dniach zaczęły objawiać się dziwne przemiany. Otrzymała ona sierść męską, poczęła szybciej rósć, a nawet nabrała „psychicznych” cech męskich i to wszystko w takim stopniu, że przewyższyła nawet swego brata: stała się „nadsamcem”. Gdy np. normalna samica morskiej świnki waży średnio 845 gr., a samiec 1002 gr., to ta „nadsamiec” ważyła 1200 gr.; odległość uszu u samicy wynosi średnio 22 mm., u samca 31 mm., zaś u nadsamca była 33 mm.; długość głowy samicy jest średnio 74 mm. u samca 81 mm., u nadsamca 87. Gdy zaś u nadsamca tego wyjęto następnie wszczepiony gruczoł płciowy męski i badano go histologicznie, pokazało się, że komórki płciowe zanikły, a natomiast bardzo bujnie rozmnożyły się i rozwinęły komórki interstycyjne Leydiga.

Podobne doświadczenie wykonał Steinach na drugim pomocie, złożonym z trzech samców i jednej samicy, tylko tu skastrował samców, a jednemu z nich wszczepił następnie jajniki żeńskie. Rezultat był analogiczny do poprzedniego, samiec tak zoperowany przybrał wkrótce wszystkie cechy swej siostry i znowu stał się nawet „nadsamicą”, gdyż ją w tem przewyższył, tak, że nawet rozwinęły mu się gruczoły

piersiowe, wydające mleko. Waga normalnego samca wynosiła w tym doświadczeniu 980 gr., normalnej samicy 808 gr., zaś samca zfeminizowanego tylko 516 gr. W licznych dalszych doświadczeniach pokazało się, że to oddziaływanie wszczepionych gruczołów rozrodczych nie trwało stale, lecz po jakimś czasie przemienione płciowo zwierzęta powracały do typów swej płci normalnych, przyczem oddziaływanie gruczołów żeńskich na kastrata męskiego było trwalsze, bo można je było śledzić przez trzy i pół roku, podczas gdy wpływ inkretów gruczoła męskiego na samicę trwał znacznie krócej.

Daremne były też usiłowania dążące do tego, by przyjęły się jaja męskie wszczepione w samicę nieczyszczoną; natomiast udało się w niektórych wypadkach wszczepić zwierzęciu kastrowanemu podskórnie kawałki gruczołów płci obu, które, gdy leżały blisko siebie, zrastały się razem i przenikały, tak, że można było następnie na preparatach obserwować, że płciowe komórki zdegenerowane jednej płci poprzeraślały się z gromadkami takich komórek płci drugiej. Śmielej i w skutkach szczęśliwiej poczynął sobie Sand, który wszczepiał wprost w jajniki zwierząt samic, np. świnek morskich lub szczurów, jądra samców, z czego powstawały tak zwane *ovotestes*, organa dwupłciowe, które bynajmniej nie degenerowały się, lecz zachowywały zdolność produkowania jednych i drugich komórek rozrodczych, zaś osobniki takim organem opatrzone, stawały się typowymi hermafrodytami, to jest zachowywały i rozwijały w sobie cechy płci obu. Tak na przykład młodemu szczurowi w pierwszym miesiącu jego życia wszczepił Sard dwa jajniki w oba jądra. Szczur począł się rozwijać jako hermafrodyta, w czwartym miesiącu życia rozwinął się organ rozrodczy męski całkiem wybitnie i prawidłowo, a — jądra wydzielały prawidłowo plemniki, lecz rozwinęły się także gruczoły karmienia. Takie same, chociaż w inny sposób, doświadczenia robi czasem i kapryśna przyroda, nawet i u ludzi, a Neugebauer zebrał mierzalnie z rozmaitych źródeł literackich, kronik i zapisków, do roku 1906 wiadomości o 1632 wypadkach hermafrodytyzmu u ludzi, u których *ovotestes* z natury już się znachodzą, a prócz tego sam obserwował znaczną liczbę takich

przypadków. Doświadczenia powyższe Sanda i niezliczone prace wielu innych badaczy nasuwają odpowiedź na drugie pytanie, odnoszące się do kwestji płci, mianowicie kiedy i pod wpływem jakich czynników powstaje zróżnicowanie płci, czy mianowicie płeć zdeterminowana już jest w jaju, lub czy też dopiero występuje później, przy połączeniu się jaja z plemnikiem lub w dalszym biegu embrjonalnego rozwoju. Otóż pod tym względem panują między biologami dwa przeciwne sobie poglądy. Jedni, idąc za Halbanem, powiadają, że płeć jest zdeterminowana już w komórkach płciowych, zaś inkrety gruczołów rozrodczych służą tylko jako „podnięty ochronne“, by dozwolić się prawidłowo rozwinąć tym organom płciowym, które się już od początku zawiązały. Inni natomiast, opierając się na powyżej opisanych badaniach nad hormonami gruczołów płciowych, dochodzą do wniosku zupełnie odmiennego. Mianowicie sądzą, że można gruczoły rozrodcze dowolnej płci zaszczerpić z pomyślnym wynikiem osobnikom kastrowanym, że dalej można tworzyć sztucznie osobniki o płci jakgdyby mieszanej, u których da się nawet przez odpowiednie ustosunkowanie ilości obu inkretów regulować występowanie wybitniejsze cechy płciowych bardziej męskich, to znów przeważnie żeńskich, że wreszcie znachodzą się *ovotestes*, to znaczy gruczoły płciowe, wydające komórki rozrodcze płci obu w przyrodzie, w sposób naturalny. To wszystko, zdaniem Weila i innych badaczy, doprowadzić musi koniecznie do wniosku, że w jaju żeńskim znajdują się w potencji oba rodzaje gruczołów płciowych, a dopiero odpowiednio do tego, czy plemnik, który jajo zapłodnił, posiada nieparzystą, czy parzystą ilość chromosomów, rozwijają się w tworzącym się osobniku zarodki komórki rozrodcze męskie lub żeńskie i odpowiednio płeć męska, lub żeńska. Płeć bowiem, jak mówią, jest tylko tam, gdzie są gruczoły płciowe. Drugorzędne jednak cechy płciowe, tworzą się i rozwijają w osobniku wyłącznie pod wpływem inkretów, wytwarzanych przez komórki interstycjalne gruczołów płciowych. Wobec takich wyników najnowszych badań naukowych, tak często roztrząsana i raz po raz wznowiana przez różnych fachowych i niefachowych, sprawa sztucznego, dowolnego wpływania na tworzenie się płci u za-

rodka, musi być uważaną znowu za rozstrzygniętą w kierunku negatywnym, że mianowicie nie można wymyśleć sposobu, by wedle woli determinować płeć nowo powstającego organizmu czy to zwierzęcego, czy tem bardziej ludzkiego.

Ale doświadczenia prof. Steinacha nad inkretami płciowymi dały pod innym względem podstawę i początek zabiegom operacyjnym, które teraz czyni się na wielką skalę po klinikach większych i które sprawę hormonów spopularyzowały. Zabiegi te mają za cel tak zwane odmłodzenie organizmu. Jak wielokrotnie miano sposobność stwierdzić w licznych doświadczeniach, czynionych na zwierzętach, inkrety gruczołów płciowych wywierają wpływ na cały organizm, tak, że nie tylko pobudzają go w kierunku płciowym, lecz nadto podnoszą sprawność w pracy, odświeżając elastyczność i wydatność mięśni, podnoszą ochotę do życia i do działania, wpływają nawet na porost włosów i świeżość cery. Zpóśród niezliczonego mnóstwa takich zabiegów, robionych przez rozmaitych badaczy i lekarzy, wystarczy przytoczyć dla przykładu parę. Harms np. opisuje zabieg operacyjny, uczyniony na śwince morskiej, mającej cztery lata. Zwierzę to za młodu wesołe i żywe, popadać teraz zaczęło w uwiąd starczy, straciło popęd płciowy, osłabły i zwiędły jego mięśnie, zmatowanemi oczyma patrzyło obojętnie na swe otoczenie. Harms przeszczepił w nie kawałek jądra z młodego samca świnki, potomka tego starego samca, i już po ośmiu dniach dostrzec można było pomyslnie skutki operacji. Zwierzę stało się żywe i energiczne, napadało gwałtownie na inne samce, znajdujące się w tym samym kojcu, oczy jego nabrały blasku, wróciła skłonność płciowa, a z nią i tworzenie się nowych plemników. Trwało to wszystko około dwóch miesięcy, poczem zaczęło słabnąć, aż wreszcie po pół roku starość powróciła. Podobne zjawiska obserwowano i u starych suk, którym wszczepiano jajniki młodych zwierząt; suki odmładniały zupełnie a nawet jedna z nich zaszła w ciążę, przyczem przerzedzona poprzednio sierść jej odświeżyła się i uzupełniła. Steinach w doświadczeniach swoich postępował w inny jeszcze sposób, mianowicie nie przeszczepiał gruczołów rozrodczych z innych zwierząt, lecz wynalazł metodę, która zmuszała

zwierzę do wydzielania obfitego inkretów płciowych. Jak widzieliśmy, plemniki tworzą się w jądrze, z którego wydostają się przez przewód, tak zwany *vas deferens*, nasieniowód. Otóż Steinach w swych doświadczeniach przewiązywał *vas deferens*, tak że plemniki przedostać się przezeń już nie mogły. To powodowało zanik komórek rozrodczych w kanalikach poskręcanych, tak, że gruczoł przestał produkować plemniki. Natomiast rozwinęły się w nim bardzo bujnie komórki Leydiga i wlewały obficie w organizm swoje inkrety. Skutek był ten sam, jak przy wszczepianiu jąder zwierząt młodych: odmłodzenie organizmu i odnowienie. Gdy zaś podwiązano *vas deferens* tylko u jednego jądra, drugie wykazywało odnowienie i wzmocnienie produkcji plemników.

Nic dziwnego, że po dokonaniu szczęśliwym takich operacyj na bardzo licznych zwierzętach, pokuszono się i o zastosowanie ich do ludzi. Wynik, jak się spodziewać należało, okazał się pod każdym względem pomyślnym, a dziś operacje te należą do zupełnie zwykłych i częstych. Steinach opisuje szczegółowo zmiany, jakie zaszły w trzech operowanych przez niego wypadkach, w których podwiązał on nasieniowód trzem ludziom starym; obserwacje rozciągają się na r. 1918 do 1920. Przedewszystkiem zauważyć tedy można było zmiany znaczne w przemianach materji, a choć odżywianie pacjentów nie było zawsze dostateczne, to jednak waga ich znacznie się podniosła, bo aż do 12 kilo. Z twarzy zniknęły zmarszczki i bruzdy, wzmogła się siła mięśni i czynność serca, nawet paznokcie i włosy rosły szybciej i bujniej. Ustały też zjawiska spowodowane zmianami chorobliwymi naczyń krwionośnych, więc napady zawrotów głowy, utrudniony oddech, miazdżycowe bóle kończyn, a także trzęsienie rąk, pochodzące od systemu nerwowego centralnego. Równocześnie poprawiło się i psychiczne usposobienie operowanych, ustąpiło zniechęcenie i poczucie słabości, wróciła chęć i zdolność do zawodowej pracy, także i zdolność płciowa. Zauważyć przytem trzeba, że nie mogło być mowy o działaniu sugestji w tych wypadkach, gdyż równocześnie z przewiązywaniem przewodu nasiennego robiono pacjentowi dla zaretuszowania inną lokalną operację,

tak, że o rodzaju i możliwym działaniu właściwego zabiegu nie miał on jasnego pojęcia. Jeden z najwybitniejszych pracowników na tem polu, dr. Lichtenstern, opisał w odczycie wygłoszonym na kongresie niemieckich przyrodników w Nauheim szereg przypadków przez siebie operowanych, z których dla przykładu podaję jeden za Schmidtem. Chory ma lat 71, i od lat pięciu występują na jaw silne objawy uwiadu starczego, jako to utrudniony oddech, szybkie męczenie się przy schodzeniu i przy wstępowaniu po schodach, niezdolność do intensywniej pracy, częste, przeciągłe bóle głowy, pamięć słaba, słaba muskulatura, zupełny brak zębów, egzema, skóra sucha, zwieńdła, chropowata, włosy na głowie i brodzie rzadkie i siwe, głuche tony serca z lekką arytmją, puls 120, napięty, arytmiczny, trudności z pęcherzem i inne z jądrem, stąd gorączki aż do 40° i dreszcze częste, a stan ogólny bardzo lichy. Przy operacji, dokonanej 10-go lutego 1919 roku, jedno jądro trzeba było wyjąć, gdyż pokazało się, że jest całe poprzetykane abscesami, a u drugiego dokonano vasoligatury czyli przewiązania nasieniowodu. Po operacji w ciągu 24 godzin gorączka ustąpiła, wyzdrowienie przychodziło szybko, po czterech tygodniach chory wyszedł z domu leczniczego, nie wiedząc jednak nic o vasoligaturze, którą mu zrobiono. Przychodził on do sił i zdrowia od wielu lat niedoznanawanego coraz szybciej, przybyło go na wadze 8 kg., nabrał muszkułów, tuszy i doskonałego wyglądu, skóra stała się naprężoną i świeżą, włosy głowy brody i ciała rosły szybko tak, że łysina zniknęła, rosły też szybko również paznokcie, które się już nie łupały, jak dawniej, poprawiła się znacznie pamięć i mógł nietylko intensywnie pracować, ale nadto wykonywał forsowne marsze i wstępował po schodach bez zmęczenia. Puls miał normalny, tylko 92 uderzeń na minutę, ciśnienie krwi 170 mm. tony serca czyste, egzema zniknęła zupełnie. Zdolność płciowa wróciła do stanu z przed wielu laty. Taki stan był jeszcze 13 sierpnia 1920, więc w półtora roku po operacji.

Schmidt, który w ciągu półtora zdaje się roku, bo od października 1920, wykonał operację wazoligatury na 30 pacjentach, w wieku 24 do 71 lat (robi się bowiem tę operację z dobrym skutkiem także w wypadkach przedwczesnej sta-

rości lub impotencji płciowej), tak streszcza pozytywne jej wyniki: co do zmian cielesnych skonstatował przyrost wagi ciała, naprężenie obwisłej przedtem skóry, zmiany w poroście włosów, mianowicie na przedtem przerzedzonej lub całkowitej łysinie porost włosów młodych, szybszy wogóle i gęściejszy wzrost włosów, przyczem włosy nowe są miększe i elastyczniejsze, a nie szorstkowate i sztywne, jak włosy dawne, następnie wzmożenie, nieraz bardzo znaczne, siły fizycznej mięśni, obniżenie ciśnienia krwi, poprawa funkcji wazomotorycznych, a przez to lepszy dopływ krwi do kończyn, polepszenie znaczne siły wzroku, przyczem niejednokrotnie zmieniał się ich wyraz, przybierając blask jakgdyby po wstrzyknięciu atropiny, wzmożone utlenianie w organizmie i wzrost znaczny apetytu, znaczne polepszenie i ulga w cierpieniach pochodzących z arterjosclerozy czyli miażdżycy, jako to cierpienie i mrówki kończyn, uciski w okolicy serca i bicie serca, trudność oddechu, swąd starczy, trzęsienie rąk. To są korzyści co do ciała, niemniejsze, albo raczej jeszcze wybitniejsze są zmiany psychiczne. Więc przede wszystkim wzrost energii i elastyczności psychicznej, inicjatywy i pamięci, wzmożenie chęci do pracy i zdolności twórczej, ufności w swe siły, radości z życia i ochoty do życia, przywrócenie lub wzmożenie popędu seksualnego. Jeżeli przewiązano *vas deferens* tylko jednego jądra, to w drugim zauważyć można było odnowienie lub wzmożenie plemników. Ten ostatni skutek operacji kto wie, czy nie może nasunąć pewnych trudności i wątpliwości w praktykowanym dotychczas postępowaniu dowodowem przy uznaniu za nieważne małżeństwo z powodu impotencji, w obecnem określeniu tejże.

Ale pomijając tę kazuistykę prawniczą, przy rozpatrywaniu oddziaływań inkretów płciowych natrafiamy i na inną kwestję, drażliwą, lecz niesłychanie ważną, z którą zapoznać się i gruntownie ją rozważyć winni zarówno moralisci i wychowawcy, jak sędziowie i obrońcy trybunałów karnych. Chodzi tu mianowicie o sprawę tak zwanego homoseksualizmu, nienaturalnej skłonności do osobników tej samej płci. Jedni, jak Schrenck-Notzing, Kraepelin, uważają, że skłonność ta jest nabytą, mianowicie przez skierowanie przez

zewnątrzne Okoliczności, budzącego się w epoce pokwitania pociągu płciowego, który zdaniem ich jest jeszcze z początku obojętny, na niewłaściwe tory; inni natomiast za Ulrichsem, Krafft-Ebingiem, Hieschfeldem utrzymują, że to zboczenie popędu jest wrodzone, przyczem wedle dawnej teorii, która wszystkie czynności i właściwości psychiczne łączy jedynie z mózgiem, tłumaczyli je przez to, że obciążony osobnik posiada rzekomo jakoby dwózpłciowy mózg. Jest jeszcze inna grupa moralistów i psychjatrów i ta zdaje się najwięcej ma słuszności. Stronnicy jej utrzymują, że homeksualizm może być nabyty przez złą wolę i okoliczności, i ten jest czasowy, może jednak także być i wrodzony i ten jest pociągami trwałym, niezależnym od wpływów zewnętrznych. Wobec tych różności zdań i poglądów rzeczą będzie pierwszorzędnej wagi pytanie, czy i jakie odpowiedzi, oparte nie na przypuszczeniach, lecz na materiale faktycznym, doświadczalnym, mogą nam dać prace nad inkretami.

Otóż rzeczywiście istnieje pod tym względem cały szereg prac i badań o rezultatach niesłychanie ciekawych i pouczających. Zaczęto oczywiście od zwierząt, gdzie nieraz zauważyć można taki homoseksualizm, zwłaszcza u kóz. Steinach zbadał histologicznie jajnik kozy, która chociaż miała żeńskie organa płciowe zupełnie prawidłowo rozwinięte, jak również i somatyczne, zewnętrzne cechy samice, jednak stale unikała obcowania z kozłem, a natomiast zwracała się popędliwie do kóz. Wynik badania był bardzo ciekawy, pokazało się mianowicie, że jajnik tej kozy był mieszaniną tkanki jądrowej i jajowej, z przewagą komórek interstycjalnych inkretowych. Następnie zwrócił się Steinach do badań nad homoseksualizmem u ludzi i zbadał jądra pięciu tak obciążonych osobników męskich. U wszystkich skonstatował mniejszy lub większy zanik kanalików wytwarzających plemniki, lecz co ciekawe, także i komórki Leydiga były w zaniku, a natomiast znalazł Steinach w jądrze męskim tych ludzi nowe komórki, bardzo wielkie, bo od komórek Leydiga trzy razy większe, o wielkim jądrze, a czasem o dwu i trzech jądrach, słabo się barwiące. Steinach uważa je za komórki żeńskie i nazywa je też F-komórkami, Feminine Zellen, i przypuszcza, że komórki te w miarę tego, czy bezpo-

średnio wpływają na organa płciowe, czy też hamują działanie inkretów komórek Leydiga, mogą wywołać rozmaite typy zfeminizowania osobnika męskiego. Opierając się na tych badaniach, zaszczepiano homoseksualnym osobnikom męskim jądra męskie i rzeczywiście w ten sposób osiągnięto usunięcie skażonego popędu płciowego i skierowanie go na właściwe tory. Doświadczenia te i badania wskazują, że istnieją wypadki homoseksualizmu wrodzonego, opartego na zboczeniach anatomicznej i fizjologicznej natury, i że zapomocą opisanych powyżej zabiegów operacyjnych można te zboczenia usunąć. Wobec tego nieraz przestępcę zamiast do więzienia należałoby może posłać na stół operacyjny.

Doświadczenia powyższe nad odmłodzeniem organizmu i przywróceniem mu sił niezwykłych w danym wieku życia i sprawności psychicznej, rzucają wreszcie światło jasne, nawet jaskrawe, na jedną jeszcze sprawę pierwszorzędnej doniosłości, mianowicie na sprawę tak zwanej ogólnie wstrzemięźliwości płciowej, czyli moralnej czystości ciała i ducha. Widzimy, jak łatwym zabiegiem operacyjnym spowodować można zanik produkcji i nawet istnienia komórek, wytwarzających plemniki, i że to działa niesłychanie korzystnie na cały organizm, odmładza go o lat wiele, przysparza sił tak ciała jak i ducha, z nieużytką czyni dzielnego, pełnego sił, i tem wartościowszego człowieka, że do nabytego z wiekiem doświadczenia dołącza niebywałą ochotę i zdolność do pracy. Otóż należy sobie uprzytomnić, że takiej „wazoligatury“ dokonuje na sobie właściwie każdy, kto mocą silnej woli, wspomaganej i kierowanej wyższymi pobudkami, zachowuje czystość cielesną i duchową. U takiego bowiem, jak obserwacje wielokrotnie pokazały, także ustaje produkcja komórek płciowych, a więc tem samem komórki Leydiga wzmacniają się i z wiekową intensywnością produkują i wlewają do organizmu odżywcze inkrety. Toteż wiadomo powszechnie, że ludzie, żyjący w czystości, jak kapłani i zakonnicy, pomimo nieraz niezmiernie wyężdżających prac i trudnych, czasami wprost niekorzystnych warunków bytowania i braków codziennych potrzeb, dochodzą w czerstwym stosunkowo zdrowiu do późnej starości. Ludzie, sądzący zdala i powierzchownie, przypisują to rzekomej beztrósce i regu-

larności zajęć codziennych, tymczasem myślą się w tem nieraz gruntownie. Jak stare doświadczenie życiowe i najnowsze badania powyższe nad hormonami pokazują, głównego powodu trzeba szukać właśnie w tej moralnej autowazoligaturze, w tem stłumieniu produkcji komórek płciowych silną wolą i mężną, chociaż ciężką nieraz walką. Oczywiście analogiczne działanie wywiera także czystość i na organizmy żeńskie. Skutki zbawienne czystości, są więc teraz jak widzimy, naukowo tak teoretycznie jak i doświadczalnie stwierdzone, a ważny to argument także i dla wychowawców, bo jeżeli gdzie, to na pierwszym miejscu w młodym organizmie rozpusta najcięższe czyni spustoszenia, a czystość, ujarzmienie cielesnych popędów najpiękniejsze dla całego życia zbawienne wydaje owoce. Dzisiaj też żaden nie tylko sumienny, ale jako tako naukowo uświadomiony lekarz nie pchnie nikogo do rozpusty, wiedząc, że najskuteczniejszym środkiem do utrzymania sił organizmu, a więc i uspokojenia rozstrojonego systemu nerwowego jest właśnie wstrzemięźliwość i to nie tylko ciała, ale i unikanie podrażnień nawet tylko w myśli i pragnieniu.

Zbierając więc to, cośmy powiedzieli, widzimy, że inkrety gruczołów płciowych mają niezmiernie ważny wpływ na ukształtowanie się i czynności wewnętrzne organizmu, gdyż one wytwarzają drugorzędne cechy płciowe, i wobec tego wszystko, co do tych cech się zalicza, a więc wzrost i kształt zarówno całego ciała, jak i pojedynczych jego organów, głos, system mięśniowy, tusza, porost włosów, psychika nawet, o ile ona jest w jakikolwiek sposób uwarunkowana czynnikami somatycznymi i fizjologicznymi, wszystko to stoi pod rozkazami i wpływem tych inkretów, gruczołów płciowych, które znowu pozostają w ścisłym związku funkcyjnym z innymi gruczołami inkretowymi, zwłaszcza gruczołem tarczycowym, grasicą i przysadką.

Oto jest krótki, miejscami z konieczności wprost pobieżny tylko, przegląd tych prac i badań przełomowych, jakie w ostatnim lat dziesiątku wykonano nad gruczołami bezprzewodowymi. Wyniki tych prac można słusznie, jak widzimy, nazwać przełomowymi, epokowymi. System ner-

wowy zdetronizowany, albo przynajmniej poddany pod silną kuratelę, a zamiast tkanek, nitek i włókien nerwowych, które miały tworzyć samą istotę organizmu żywego, prym i władzę w organizmie oddajemy jakimś tajemniczym płynem, czyli że wracamy znowu do tych tak dotąd wyśmiewanych „humorów“, którym dawni filozofowie od Arystotelesa i Galena, aż do ośmnastego stulecia tak decydujący na zdrowie i choroby organizmu, na wszelaką jego niemoc i zdolności i na wszelkiego wogóle rodzaju popędy jakoteż przejawy życiowe przypisywali. Medycyna wyciąga już z tego wnioszek, i jak dawniej leczono sercem tygrysiem lub zajęczym tłuszczem, tak dzisiaj podają chorym, bądź do spożycia, bądź sposobem chirurgicznym gruczoły bezprzewodowe lub zgoła ekstrakty z nich poczynione, jak to w powyższym sprawozdaniu widzieliśmy niejednokrotnie.

Ze stanowiska czysto fizjologicznego nasuwałoby się tu mnóstwo pytań i pomysłów, jak na przykład: czy słusznie wyśmiewają się lekarze i fizjolodzy z tej powszechnie przyjętej tradycji, że myśli i wrażenia matki ciężarnej odbić się mogły na ustroju poczętego w łonie dziecka. Ze stanowiska inkretów nie byłoby to takim absurdem, bo przecież wrażenia oddziałują na system nerwowy, a ten znowu, jak widzieliśmy na gruczoły bezprzewodowe, które następnie swojemi wydzielinami wpływać mogą na kształty i właściwości nowopowstającego organizmu, tak jak wpływają na samą matkę. Podobnie i wiele tajemnic do dziedziczenia cech lub skłonności do dziedziczenia po rodzicach, z którymi łączy dziecko właściwie tylko jedna mikrokosmowych rozmiarów komórka, może mieć uzasadnienie bądź w oddziaływaniu hormonów matki na dziecko w jej łonie, bądź nawet w jakichś minimalnych dawkach inkretowych, ukrytych w plazmie lub chromosomach plemnika czy jaja.

Ale to są domysły tylko i przypuszczenia; realniejsze stoją przed nami pytania, postawione na początku artykułu, jak mianowicie wobec tych zupełnie nowych i nieprzewidywanych odkryć, dokonanych w łonie naszego organizmu, zapatrywać się na jedność tego organizmu, czy odkrycia te nie kierują myśli ku atomizmowi materialistycznemu lub przynajmniej monadom Leibniza, to znaczy czy organizm jest

zlepkiem cząstek autonomicznych, czy też trzeba go uważać za ścisłą całość, jako jedno bytujące i jako jedno działające, tak, jak to utrzymywał Platon i Arystoteles, a za nimi tylu najgłówniejszych filozofów. Po przypatrzeniu się uważnem i bezstronnem całej sprawie i argumentom za i przeciw jednej lub drugiej teorii, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nauka ścisła, bezstronna, jak zawsze, tak i w tych wspinałych najnowszych postępach i odkryciach potwierdziła znowu i tym razem, że gienjusz Stagiryty i Tomasza z Akwinu się nie mylił. Zarówno najświeższe rezultaty i badania histologiczne i anatomiczne, jak to wyżej widzieliśmy, jak i cała sprawa inkretów wykazuje, że każdy organizm zwierzęcy i ludzki jest czemś bezwzględnie i najściślej jednym, opanowaniem przez jeden jedyny pierwiastek życiowy, swoisty i odrębny dla każdego organizmu, a wszystko, co w tem organizmie się znajduje i co w niem działa, wszystko stoi pod rozkazami tej jednej, na wskrós celowej formy organizmu. — Dowodem tego jaskrawym jest tyle razy wspomniany wyżej związek bądź sympatyczny bądź, antypatyczny, jaki istnieje między gruczołami inkretowemi i ich oddziaływaniem na organizm, jakoteż między temi gruczołami z systemem nerwowym. Sprawa inkretów prócz znaczenia teoretycznego ma jeszcze bardzo doniosłe znaczenie praktyczne. Inkrety przecież mają moc niesamowitą i mogą dużo. Potrafią one zrobić z człowieka olbrzyma lub karła, silnego fizycznie albo też niedorozwiniętego, podnieć lub zniszczyć porost włosów, dadzą wygląd zewnętrzny zdrowy czy marny, blask i siłę oczu lub ich zmatowienie, a nawet wdzierają się niejako w dziedzinę ducha i mogą uczynić z człowieka maćko, lub gienjusza, pełnego zapału i inicjatywy bojownika i pracownika ducha, lub zblazowanego, zniechęconego do życia przedwcześnie starca, tracącego pamięć, zgorzkniałego, chciwego niedołęgę. I gdyby człowiekowi udało się opanować i zbadać system inkretowy tak, by mógł jego działanościami kierować dowoli, wtedy doszedłby on do szczytu doskonałości — lub przewrotności, zależnie od tego, do czego by sił zaklętych w swym organizmie używał. Narazie od tego jesteśmy bardzo a bardzo jeszcze daleko i pewnie nigdy się to nam nie uda całkowicie. Jak wiele właściwości

organizmu, tak i zjawiska inkretowe odbywają się w nas bez naszej świadomej wiedzy i możemy też z nich korzystać, nie wiedząc o ich istnieniu, byleśmy tylko żyli wedle wymagań natury i kierowali się zdrowym rozsądkiem i instynktem, który, co prawda, przez sposób życia przeciwny przyrodzie po wielkiej części zatraciliśmy.

Jak widzimy odkrycia zjawisk inkretowych otwarły zarówno przed przyrodnikiem i medykiem, jak i przed filozofem zupełnie nowe i nieprzeczuwane horyzonty i pozwalają wnikać znacznie głębiej nie tylko w funkcje samego organizmu zwierzęcego, lecz i w tę największą z największych zagadek, którą stanowi sprawa wzajemnego stosunku i oddziaływania duszy na ciało i ciała na duszę. Dotychczas sądziliśmy, że szczytem i końcem zjawisk fizjologicznych i ogniwem bezpośrednim między psyche a ciałem jest system nerwowy i wszystkie bardziej zawiłe zjawiska życiowe, a zwłaszcza te, których nie rozumieliśmy istoty, przypisywaliśmy systemowi nerwowemu. Dziś widzimy, że jest w nas coś jeszcze więcej skomplikowanego i głębiej może w istotę życia sięgającego ponad system nerwowy. Mendeleizm, witaminy i inkrety — oto trzy etapy i grupy odkryć, które gruntośnie wstrząsnęły panującymi dotychczas — teorjami materialistycznymi. Nastąpiło zupełne przewartościowanie poglądów. Gruczoły bezprzewodowe z tworów wzgardzonych, nazwanych szczątkowymi i uważanych prawie za bez znaczenia dla organizmu, stają nagle na pierwszym jego miejscu, obejmują rolę bodaj czy nie najważniejszą, toteż sensacyjnością swoją przewyższają nawet odkrycia Mendla i tak głośnie od niedawna witaminy. Czy i jak długo na tem stanowisku się utrzymają i czy spełnią choć w części nadzieje do nich przywiązane, o tem trudno dziś już coś orzec. Już dziś mają one przeciwników i jeszcze wielu ich się wstydzi, w ukryciu trzyma prace na tem polu dokonywane, chociaż w duszy im sprzyjają. Jakiegokolwiek jednak będą losy teorii, już te fakta, które z jej mocą dotychczas zdobyliśmy, wskazują, że nikt, kto pragnie bezstronnie przypatrywać się i badać przyrodę, z jakiegokolwiek to czyni strony i dla jakichkolwiek pobudek, nie może pominąć sprawy inkretów i teorii ich lekceważyć.

Ks. Feliks Hortyński T. J.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

L. Desnoyers: *Histoire du peuple hébreu*. T. I. La période des Juges. Paris 1922, str. XVI + 431.

F. Vigouroux zapowiadał w swoim czasie wydanie Historji narodu hebrajskiego, ale brak czasu nie pozwolił mu jej napisać. Faktem więc jest, że od czasów E. Renana nie ogłoszono we Francji pracy, poświęconej temu tematowi, gdy tymczasem w Niemczech jedna „Historja“ po drugiej ukazywała się w ostatnich latach. Dopiero dzisiaj wypełnia tę dotkliwą lukę L. Desnoyers, prof. Instytutu katol. w Tuluzie, który rozpoczął wydawać Historję narodu hebrajskiego, zakrojoną na cztery tomy, a obejmującą od okresu Sędziów do niewoli babilońskiej.

Pierwszy tom jest poświęcony tylko okresowi Sędziów, z konieczności jednak w początkowych rozdziałach musiały być omówione poprzednie dzieje tj. pobytu Hebreów na pustyni, wejścia ich do Chanaanu i pierwsze chwile ich gospodarowania. Czasy Sędziów wydają się zawiłkane i niejasne, wiadomości nasze opierają się na dwóch księgach biblijnych tj. Jozuego i Sędziów, jednak Autor potrafił w swej pracy tyle światła rzucić na nie, że po jej przeczytaniu można sobie wyrobić o nich jasny sąd i dokładne pojęcie. Wiadomości Autor czerpał nie tylko z dokumentów biblijnych i napisowych, ale i z wykopalisk, które na czasy przedewszystkiem chananejskie dużo światła rzuciły. Ponieważ w okresie Sędziów nastąpiła wielka zmiana w stanie Hebreów tj. z narodu napół koczowniczego przemienił się on w naród osiadły, a zmiana dokonała się w warunkach nadzwyczaj nieprzyjaznych, ciekawą było zawsze rzeczą, czy i jaki wpływ wywarła dotychczasowa ludność w Chanaanie na Hebreów. To jest temat w dziele prof. D. najważniejszy, dla jego wszechstronnego wyjaśnienia Autor nie mało poświęcił pracy, i trzeba przyznać, wywiązał się ze swego zadania nader chlubnie.

W Chanaanie mieszkała różnorodna ludność, pod względem kulturalnym stała ona oddawna wysoko, jak to stwierdzają listy Amarnańskie z XIV w., w kraju kwitło rolnictwo, ogrodnictwo, a handel międzynarodowy przyczyniał się znacznie do dobrobytu. Politycznie kraj należał do Egiptu, rządzony był przez książąt miejscowych, którzy z sobą stale rywalizowali. Do takiego właśnie kraju wtargnęli pod wodzą Jozuego Hebreowie, podzieleni na kilka grup (pokoleń), niektóre z nich pozostały

poza Jordanem. Jako czas wtargnięcia Hebreów Autor przyjmuje początek XIV w., a to przedewszystkiem ze względu na potrzebę dłuższego czasu dla rządu Sędziów, ale zdanie to dzisiaj nie znajduje wielu zwolenników. Wchodzący do Chanaanu Hebreowie byli napół koczownikami, do zdobycia kraju pomagała im dzielnie niezgoda wśród ludności, jednak nie obyło się bez walki. Przez długi czas Hebreowie zajmowali tylko miejscowości górzyste, w dolinach ludność miejscowa mogła dłużej się bronić. Całkowicie nigdy nie zajęto kraju, bo ludność dotychczasowa dalej mieszkiała, a przytem wkrótce na południowym wybrzeżu morza Śródziemnego usadowili się Filistyni, którzy w XII w. przyszli z północy. Przez długi czas Hebreowie mieszkali razem z ludnością Chananejską, nawiązując z nią coraz ściślejsze związki i powoli przyjmując od niej kulturę materialną. Z wpływami kultury materialnej łączyły się wpływy religijne. Znaczna część Hebreów uległa wpływom religijnym Chananejczyków, przyjmując od nich zarówno wierzenia jak i kult, ku czemu nie mało przyczyniało się ówczesne mniemanie, że kraj jest własnością czczonego na miejscu Bóstwa, — albo też, utrzymując kult Jahwy, przenosiła nań pojęcia i przymioty bóstwa Baala. Od samego przeto początku w narodzie hebrajskim nastąpił rozłam pod względem religijnym, który będzie istniał aż do niewoli babilońskiej. Część narodu pozostała wierna swej religji, ogłoszonej przez Mojżesza i wiernie służyła Bogu, podtrzymywana w tem przez lewitów, kapłanów i mężów, wyróżniających się swą gorliwością religijną, ale znaczna część, pozostająca zdala od ogniska religijnego, odpadła całkowicie albo też czciła Jahwę na wzór Baala. Religją królestwa izraelskiego od czasów Jeroboama była właśnie ta religja t. zw. ludowa. Stwierdzenie istnienia religji ludowej już w czasach Sędziów wyjaśnia nam niejeden fakt z późniejszej historii Izraela, jak niemniej wystąpienie proroków od IX w. Z drugiej zaś strony dla monoteizmu izraelskiego jest to b. doniosłe świadectwo, albowiem wykazuje dowodnie, że był on i utrzymał się w Izraelu dzięki Opatrzności Bożej, która przez wzbudzanie mężów (Mojżesz, Jozue, Sędziowie, prorocy) podtrzymywała w narodzie wiarę w jednego Boga i przechowała do czasów późniejszych. Gdyby tych przez Boga natchnionych mężów nie było w narodzie, gdyby Bóg nie prowadził go w sposób nadprzyrodzony, to Hebreowie, pozostawieni sami sobie, ulegliby bez wątpienia wpływom otoczenia; byłiby bałwochwalcami, jak wiele innych ludów. W wykazaniu tej Opatrznościowej ręki Bożej nad narodem hebrajskim należy upatrywać wielką wartość książki prof. D., bo przedstawił on ją i wykazał b. jasno i mocno.

Praca prof. D. może niejednemu się nie podobać ze względu na odstępianie od tradycyjnych poglądów o kulturalnym i religijnym stanie, o rozciągłości prawodawstwa Mojżeszowego w okresie Sędziów, jednak nie należy Autora za to potępiać. To bowiem, co on mówi o układzie samej księgi Sędziów, jak również o miejscach kultu, ofiarach ich, ma swoje oparcie i potwierdzenie. Pracę prof. D. należy uważać za pierwszą pracę katolicką, która, uwzględniając pewne wyniki badań dzisiejszych nawet radykalnych egzegetów, zachowuje i broni jednocześnie powagi

i prawdziwości ksiąg św., i wreszcie mocno wykazuje Opatrznościową rękę Boga w dziejach Izraela.

Książka napisana jest przytem b. jasno i prosto, powinna więc znaleźć czytelników, szczególnie wśród tych, co dawniej czytali „Historję” E. Renana. Pracę bowiem prof. D. można uważać za odpowiedź i przeciwstawienie pracy Renana. A trzeba przyznać, że odpowiedź wypadła znakomita.

Ks. J. Archutowski.

Franz X. Kugler S. J.: *Von Moses bis Paulus. Forschungen zur Geschichte Israels.* Münster, 1922, str. XVII + 534.

Fr. Kuglera znaliśmy dotychczas jako astronoma i assyryjologa. Praca jego „*Sternkunde und Sterndienst in Babel*” zjednała mu wielki rozgłos w całej Europie. Wobec tego wielką ciekawość budziła ostatnia jego praca, poświęcona badaniu historii Izraela: co w tej sprawie powie ten wielkiej miary astronom i assyryjolog.

Podtytuł pracy, „*Badania*” do historii Izraela ostrzega, że to nie jest historia Izraela w ścisłym znaczeniu. Istotnie, praca ta składa się z dziesięciu rozpraw, omawiających następujące zagadnienia: Kalendarz u Izraelitów, wiek społecznych i kultowych przepisów w Pięcioksięgu, chronologia królów, wiarogodność ks. kronik, historia i chronologia czasów syryjskich na podstawie dokumentów klinowych, historyczny i chronologiczny związek ksiąg Machabejskich, czas zdobycia Jerozolimy przez Pompejusza, Heroda i Sozjusza, podróż św. Pawła z Filipi i jego uwięzienie, chronologia „wojny żydowskiej” Flawjusza Józefa. — Autor sam w przedmowie wyznaje, że nie miał zamiaru pisać historii Izraela, bo nie zajmował się temi sprawami, został on pociągnięty do napisania tych rozpraw przypadkowo i powoli. W 1914 r. Autor odnalazł fragment tablicy astronomicznej z 141 r. przed Chr. z notatką o najściu Medji przez Demetriusza II Nikanora, — notatka ta potwierdzała opowiadanie I Mach. 14, 1—3. To dało mu pochop do przestudjowania ksiąg Machabejskich, a specjalnie ich wskazówek chronologicznych, czego rezultatem były szósta i siódma rozprawa. Wyjaśnienie zaś trudności chronologicznych w tych księgach pociągnęło go w dalszym ciągu do rozwiązania innych trudności chronologicznych z czasów królów izraelskich, judzkich i perskich. W ten sposób praca jego rosła i obejmowała coraz szerszy zakres, sięgnęła w końcu do chronologicznego ustalenia przepisów prawnych Pięcioksięgu. Ta ostatnia rozprawa skierowana jest głównie przeciwko poglądom Wellhausena o późnem powstaniu kodeksu Deuteronomistycznego i kapłańskiego, inne mają charakter pozytywny.

Nie wszystkie rozprawy posiadają jednakową wartość. Tam, gdzie Autor występuje, jako tylko egzegeta, np. w drugiej rozprawie o wieku przepisów, dotyczących się ofiar i świąt, — znać, że nie jest on au courant dzisiejszych tłumaczeń, nawet wśród katolickich egzegetów. Autor występuje w tej rozprawie przeciwko Wellhausenowi, który stwierdza sprzeczności w przepisach o świątach i miejscu składania ofiar, i tłumaczy je powstaniem przepisów w różnych czasach. Fr. Kugler usiłuje wykazać, że

niema żadnych sprzeczności w przepisach, że całkowicie one harmonizują, pod względem warunków wymagają tego samego czasu tj. Mojżeszowego. Oryginalne jest twierdzenie Autora, że prawo Ex. 20, 24—26 nakazywało składanie ofiar na jednym tylko miejscu. Według tekstu hebr. dozwolone było składać ofiary na każdym miejscu, które Bóg obierze. Jedni egzegeci przyjmowali to wyrażenie dosłownie i mówili, że taki przepis był początkowy, później zaś został skasowany, — inni mówili, że przepis ten dotyczył prywatnych ofiar na każdym miejscu. Kugler zaś tłumaczy o jednym miejscu, ale dodaje, że na tem jednym miejscu (tj. całej przestrzeni, obranej przez Boga) można było stawiać więcej ołtarzy. Nie wydaje się to jednak prawdopodobne, bo w późniejszej historii nigdzie nie mamy potwierdzenia, aby np. w Jerozolimskiej świątyni były liczne ołtarze. W okresie też Sędziów ofiary składano nie w jednym, ale w wielu miejscach.

Inne zaś rozprawy, mające przeważnie charakter chronologiczny, w czym Kugler jest specjalistą, są bez wątpienia b. poważne i ciekawe. Chronologja królów izraelskich i judzkich, nad czem oddawna niemało pracowano, zdaje się, będzie odtąd ustalona. Wprawdzie w ostatnim czasie Kleber i Hontheim dali poważne w tej sprawie wytyczne wskazówki (bez naruszenia przytem tekstu), ale Kuglera praca dzięki jego astronomicznym wyliczaniom przy uwzględnieniu współczesnych wydarzeń assyryjskich posiada większe prawdopodobieństwo. Podobnie w sprawie działalności Ezdrasza i Nehemjasza twierdzenie Kuglera, że działalność Ezdrasza wypada w 458 r. tj. za czasów Artakserksesa I, a więc przed przyjściem Nehemjasza, dzięki astronomicznym obliczeniom dni i miesięcy, podanych w ks. Ezdrasza, zyskała wielkie prawdopodobieństwo, choć niektóre historyczne dane temu się sprzeciwiają. Najbardziej zaś cenne rozprawy — o wiarygodności ks. Kronik i chronologii ks. Machabejskich. Ks. Kronik przez radykalnych egzegetów była ostro krytykowana ze względu na niby sprzeczne i nie ściśle historyczne opowiadania natchnionego Autora. Kugler wykazał, że autor ks. Kronik w swem opowiadaniu podawał ściśle dane chronologiczne, a więc zasługuje na wiarę. Podobnie rzecz się ma z księgami Machabejskimi.

Praca Fr. Kuglera jest b. poważnym przyczynkiem do egzegezy biblijnej, na wiele kwestyj, szczególnie historycznych i chronologicznych, rzucił on nowe światło, którego dzisiejszy biblista nie może nie znać. Okazuje się, że i astronomja może oddać wielkie usługi księgom świętym, i potwierdzić ich wiarygodność.

Ks. J. Archutowski.

Anonim t. zw. Gall „Kronika Polska“. Przełożył i opracował Roman Grodecki (Biblioteka narodowa serja V Nr. 59). Krakowska Spółka wydawnicza.

Bardzo wielką zasługę ma autor przez spolszczenie najstarszej kroniki polskiej, uprzystępniając ją w ten sposób dla szerszych warstw społeczeństwa. Tłumaczenie bardzo sumienne i dokładne, pod względem ję-

zykowym też poprawne, uwzględnia wszystkie teksty kroniki. O wydaniach łacińskich możnaby powiedzieć, że tekst Bielowskiego o tyle lepszy od innych, iż wydany na podstawie wszystkich znanych nam rękopisów. Autor przekładu w uwagach pilnie uwzględnia różnice tekstów i poprawia go tam gdzie sens tego wymaga. Bardzo zajmujący i pouczający jest wstęp. Czyni ten wstęp tem bardziej wartościowym i ważnym ta okoliczność, raczej ten rys charakterystyczny autora, iż bardzo trzeźwo zapatruje się na historję średniowieczną i nie jest skłonny do robienia bezpodstawnych hipotez. Za to jego twierdzenia i zapatrywania są zawsze bardzo gruntownie wykazane i uzasadnione.

Średnie wieki należą do tych czasów, z których doszło do nas bardzo mało stosunkowo wiadomości. Niektórzy historycy są skłonni do wyciągania bardzo daleko idących wniosków z pewnych, nieraz nader szczupłych wiadomości i szczątkowych źródeł. Zdarza się, że czasem tego rodzaju hipotezy mogą i do pewniejszych doprowadzić rezultatów. W największej jednak liczbie wypadków okazują się jednak później niewystarczająco uzasadnione. Autor przeciwnie ma tę ważną zaletę, iż na jego twierdzenia w zupełności spuścić się można. Obok bardzo wielkiej znajomości tych czasów posiada właśnie ten zmysł odróżnienia tego, co prawdziwe, od fantastycznych niewystarczająco uzasadnionych hipotez.

Z literatury podanej na str. 56 bodaj czy nie największe znaczenie miała praca, tak mała co do rozmiarów, a tak ważna co do treści, prof. St. Krzyżanowskiego, wydawcy dyplomów polskich średniowiecznych „Na marginesie Galla”. On bowiem pierwszy zajął się zbadaniem najstarszych rękopisów Galla w sprawie, która tak wielką wywołała dyskusję na łamach *Przeglądu Powszechnego*. Rezultat jego badań odrazu położył koniec długoletniej polemice.

W zajmujący sposób przedstawia autor we wstępie zapatrywania religijne, etyczne i narodowe Galla. — Niektóre szczegóły żywo przypominają obecne nasze stosunki, tak np. poglądy Galla na naród czeski (na str. 45). Jest to tak charakteryczne, tak samo dziś jak i za czasów Galla, iż często zupełnie inną miarę przykłada się do postępowania obcych narodów względem nas, a zupełnie inną, jeśli chodzi o osądzenie postępowania własnego względem innych. Może to nawet być czasem mimowolne. Tem się tłumaczy, iż Gall np. bynajmniej nie potępia wiarołomstwa rycerstwa polskiego względem Pomorzan (str. 48 i 138). Autor bardzo trafnie zestawia pojedyncze te momenta i rysy charakteryzujące poglądy Galla.

Poznanie tej pierwszej Kroniki polskiej będzie nadzwyczaj pożyteczne dla oceny ówczesnych zapatrywań i stosunków. Pod tym względem wielką ma zasługę autor, wprowadzając przez umiejętnie ujętą charakterystykę Galla i jego czasów czytelnika w zrozumienie tego źródła tak ważnego dla historii, którego znajomość powinna się rozceść w najszerszych warstwach społeczeństwa.

Ks. M. Skibniewski.

Ostatnie wydawnictwa „Książnicy Polskiej Towarzystwa Nauczycieli Szkół Wyższych” (uwagi sprawozdawczo-krytyczne).

Jedną z bardzo poważnych i ruchliwych instytucyj wydawniczych jest „Książnica Polska”. Powstała przy małopolskiem Towarzystwie Nauczycieli Szkół Wyższych, po rozpadnięciu się kordonów razem z Towarzystwem rozciągnęła swą działalność na całą Polskę. Jeżeli się ogłędniemy za analogją, to słusznie, chociaż tylko pod pewnymi względami, możemy w niej widzieć wskrzeszone „Towarzystwo Ksiąg Elementarnych”. Cele obu instytucyj częściowo podobne i zasługi na polu oświaty również wielkie.

Działalność wydawnicza „Książnicy” idzie w trzech kierunkach. Ilościowo najpokaźniej przedstawia się *Dział podręczników*. Wydano ich już sporą paczkę, wśród nich niejeden pierwszorzędnej wartości metodycznej i pedagogicznej. Najważniejszą ich zaletą, to jasny rozkład treści, poglądowe jej przedstawienie i wielka różnorodność. Przeglądniemy je przynajmniej pobieżnie. Jeszcze kilkanaście lat temu działkę ze szkół powszechnych, wydziałowych i najniższych średnich zamęczano suchemi podręcznikami do geografji, historii, nauk przyrodniczych. Było to po większej części skróty obszerniejszych podręczników, mające wiele danych po temu, aby dziecko zaraz z początku roku zniechęcić do nauki i obrzydzić mu najciekawszy nawet przedmiot. Dobrze, jeśli przynajmniej nauczyciel barwnym wykładem, pokazywaniem obrazów, doświadczeniami itd. uzupełniał te braki! Dziś pedagogika dąży do tego, aby same podręczniki były dla dziecka przedmiotem miłości, a nie nienawiści.

Takim podręcznikiem są *Wypisy Geograficzne*, zebrane z 35 wybitnych pisarzy i podróżników przez *J. Siwakową*. Już same nazwiska, z których wyjątki czerpano: jak Sienkiewicz, Rostafiński, Sieroszewski, E. Romer, Siedlecki, Kennan, Nansen, bardzo dużo obiecują. Wartość Wypisów powiększa świetny dobór wyjątków; Autorka nie uwzględniła w nich jednak wcale Europy, każe nam się przeto spodziewać, że uzupełni w drugiej części ten dotkliwy brak. Podręcznik *Geografji Europy* dla klas wyższych szkół średnich napisali *Dr. E. Fuchs* i *T. Radliński*. Uwzględnia on już ostatnie traktaty polityczne i statystyki. Wielką jego zaletą jest treściwość, znaczna ilość poglądowych tablic i rysunków, a przedewszystkiem podzielenie całego materiału na 78 lekcyj wcale nie za obszernych. Do każdej prawie lekcji dołączone są pytania, które zmuszają ucznia do samodzielnej pracy i doskonałego obeznania się z mapą. Na końcu książki dodano małe album geograficzne, zawierające 32 doskonale odbitych rycin.

Długie lata w gimnazjach małopolskich młodzież uczyła się historii powszechnej ze świętego, ale trudnego podręcznika prof. Zakrzewskiego. Nieraz w ciągu tego okręgu robiono próby, aby go nowym zastąpić. Wyśiłki te jednak pozostały jak dotąd tylko próbami. Czy szczęśliwszym będzie pod tym względem podręcznik *Czesława Nankego (Historja Średniowieczna)* trudno przewidzieć, zwłaszcza, że w powodzeniu podręczników nie zawsze decyduje ich wartość. Niemalą zaletą Historji Nankego jest przystępność i jasność w rozkładzie treści. Dzieli średniowiecze na

3 okresy: powstanie średniowiecznego społeczeństwa, okres wojen krzyżowych, czyli największego rozkwitu średniowiecza i okres przemiany na społeczeństwo nowożytne. Drugą zaletą jest szerokie uwzględnianie średniowiecznej historii Polski. Brak mu jednak głębokości i solidności sądów i charakterystyk; są one dość płytkie, powierzchowne. Autor używa ogólnych pojęć historycznych w rodzaju: społeczeństwo średniowieczne, nowożytne, a nie wyjaśnia dostatecznie cech, składających się na te pojęcia. Naiwną i przestarzałą trzeba nazwać charakterystykę scholastyki, a już całkiem błędnymi informacje o istocie sporu nominalistów i realistów. Według autora realiści scholastyczni byli wyznawcami skrajnego platonizmu, a istotę scholastyki upatruje w „opieraniu się zawsze o jakiś autorytet, tj. o księgę dawniej pisaną, w której zawarte zdania, uważano za niewzruszone pewniki”. Rozumie się, że p. Nanke nie potrafił się powściągnąć, aby za przykładem pewnego autora historii literatury polskiej nie uraczyć młodzieży, która będzie się uczyć o średniowieczu z jego książki, genialnie naiwnymi i płytkimi rewelacjami o scholastyce, że zajmowała się zagadnieniami w rodzaju takich: czy P. Bóg może wiedzieć więcej niż wie, lub czy gołąb, pod którego postacią objawił się Duch św., był rzeczywistym ptakiem. Szkoda, że p. Nanke za owym historykiem literatury nie umieścił także znanych sensacji o igle, aniołach i osle, byłby już zupełnie ośmieszył w oczach bezkrytycznej młodzieży jeden z najwspanialszych twórców myśli ludzkiej, jaką jest scholastyka. Takie pojmowanie rzeczy zbyt wymownie świadczy o tem, że autor nie zadał sobie trudu, aby zapoznać się bliżej ze scholastyką, ale czerpie z przestarzałych, stronniczych źródeł i nie wie zapewne wcale, że dziś myśl ludzka po daremnych błąkaniach się po wszystkich, przez autora przeciwstawianych scholastyce i uwielbianych, empiryzmach filozoficznych wraca napowrót do owej „philosophia perennis”.

Oryginalnie ujęty jest podręcznik do nauki języka niemieckiego *pp. J. Jakóbca i St. Leonharda p. t. Deutschland u. die Deutschen*. Sam pomysł układu książki zasługuje ze wszech miar na uznanie i naśladowanie. Autorzy, przechodząc po kolei poszczególne prowincje Niemiec, przez rozmowy profesora z uczniem, opowiadania, opisy, wiersze, ryciny, a nawet piosenki (bo i nuty mamy w tym podręczniku), zaznajamiają uczniów z wyglądem kraju, jego bogactwami, osobliwościami, zwyczajami, literaturą i sztuką. Przy Szwarcwaldzie np. znajdzie uczeń nie tylko ogólną charakterystykę kraju i życia jego mieszkańców, ale zapozna się i ze sławnym zegarem szwarcwalskim i Heidelbergiem i z młodą Schillera, pochodzącego z Marbach, przy Bawarii znów oprócz innych rzeczy, dowie się o sławnych przedstawieniach pasyjnych w Oberammergau, przy Frankonii z racji Norymbergi usłyszy coś o Dürerze, pozna ładną, sentymentalną typowo-niemiecką piosenkę Mendelsohna do słów Heinego: „Leise zieht” itd. itd. Na takim podręczniku nie można się nie uczyć niemieckiego.

Z elementarnymi pojęciami i zagadnieniami muzyki ma zaznajamiać starszych uczniów szkół średnich niewielki, ale treściwy i jasny podręcznik *Dr. J. Reissa p. t. Zagadnienia muzyczne*. Nie tylko jednak o szkołach ogólnie-kształcących pamięta w swoich wydawnictwach „Książnica”, nie

zapomina również i o szkołach praktycznych. Dla handlówek wydała półdwojny, jeden trzytomowy, obszerny i wyczerpujący, a drugi bardzo zwięzły *Podręcznik księgowości W. Góry*.

Drugi dział wydawnictw „Książnicy” stanowią publikacje, nie będące podręcznikami szkolnymi, i to albo ściśle naukowe, albo o poziomie naukowo-popularnym. Do tych ostatnich zaliczamy dotychczasowe numery „Biblioteki Przyrody i Techniki” (miesięcznik wydawany przez „Książnicę” patrz wyżej). Wychodzą w formie niewielkich broszur. Mamy przed sobą trzy: *J. Łomnicki* na podstawie prac Ks. Wasmanna sławnego myrmekologa przedstawia niezmiernie ciekawe społeczne życie mrówek (*Z życia mrówek*). *Z. Fuchs* referuje najnowsze odkrycia, badania i poglądy na budowę materji (*Budowa materji*), a *T. Malarski* wyklada zasady radiotelegrafji (*O radiotelegrafji*).

Charakter ściśle naukowy ma przedewszystkiem część pierwsza większego dzieła znakomitego pedagoga *L. Zarzeckiego* z zakresu metodyki matematyki początkowej (*Nauczanie matematyki początkowej*). Jaka jej wartość, najlepiej dowodzi fakt, że w dziesięciu latach wyszło już w czterech wydaniach.

W całkiem inną dziedzinę wprowadza nas duża praca inżyniera *W. Borowskiego* z zakresu budownictwa p. t. *Projektowanie budynków mieszkalnych*. Tekst objaśniają liczne ilustracje i plany. Praca ta, o zakroju ściśle praktycznym, a nie puszczająca się na fale utopijnych, niemożliwych do zrealizowania w naszych warunkach pomysłów, odda napewno wielkie usługi przy odbudowie, przebudowie, a przedewszystkiem — oby jak najszybciej — rozbudowie naszych osiedliśk mieszkalnych.

Aby słuchaczom medycyny dostarczyć polskich, a pod względem wartości, możliwie najlepszych podręczników, zainicjowała „Książnica” publikację *Wydawnictw Lekarskich*. Na redaktora - kierownika powołano dr. *S. Sterling-Okuniewskiego*. Prace wychodzić będą w miarę ich dostarczania przez autorów w czterech serjach: podręczników klinicznych, podręczników techniki nauk pomocniczych medycyny, monografij lekarskich i książek o znaczeniu ogólnie lekarskiem. Z serii pierwszej podręczników klinicznych wydano ósmy zeszyt na wielką skalę obmyślanego *Podręcznika chorób zakaźnych* (str. 304). Jak całe dzieło, tak i zeszyt 8 jest pracą zbiorową. Zajmuje się chorobami zakaźnymi skóry, narządów płciowych i innych organów ludzkiego ciała. Sąd o wartości pracy zostawiamy fachowcom; zaznaczamy jednak, że niektóre rady autorów, zalecane jako środki ochronne przed zarażeniem chorobami wenerycznymi, etyka katolicka uznaje za niemoralne i niedozwolone.

Z dziedziny historii kultury i literatury Książnica wydała w ostatnim roku dwie poważne prace: *prof. Łempickiego, Renesans — Oświecenie — Romantyzm* i *B. Wydzgi, Mickiewiczowskie 44*. Książką Łempickiego zajmujemy się na innem miejscu, tutaj pragniemy przynajmniej kilka słów powiedzieć o monografji Wydzgi. Dzisiaj dokoła zagadnienia: kim jest mąż, oznaczony przez Mickiewicza liczbą 44, wytworzyła się tego rodzaju atmosfera, że ludzie poważnie myślący i poważnie zajmujący się literaturą, ujrzawszy w tytule książki czy artykułu zapowiedź nowego „rozwią-

zania" zagadki, mają ogromną pokusę książki tej i artykułu wcale nie czytać. Powodem tego uprzedzenia i niechęci są wszelkiego rodzaju kabaliści i pretorjanie różnych niedoszłych mężów „opatrznosciowych“, którzy bezgraniczną głupotą, najgenialniejszy utwór ducha polskiego, a jeden z kilku największych wogóle beczeszczą przez niesmaczne odkrycia, że np. mężem 44 jest Mikołaj Mikołajewicz, Wilhelm II, Franciszek Józef I a ostatnio J. Piłsudski. — Ujrzawszy więc po raz pierwszy książkę p. Wydźgi, mieliśmy i my ochotę wcale jej nie otwierać. Dopiero podpis na dole: „Książnica Polska“, przemógł naszą niechęć, która w miarę czytania, przemieniła się w zainteresowanie. Pracę p. Wydźgi należy uznać za wcale poważny krok ku ostatecznemu rozwiązaniu (o ile ono jest możliwe) wielkiej zagadki mickiewiczowskiej. Wywody autora może nie wszystkich przekonają o prawdziwości jego interpretacji, ale zażorzali zwolennik przeciwnej hipotezy musi przyznać, że rozwiązanie autora jest jednym z najprawdopodobniejszych. Wśród dotychczasowych rozwiązań wysuwają się na czoło cztery najpoważniejsze. Jedni sądzili, że całe proctwo mickiewiczowskie nie potrzebuje wcale interpretacji, ponieważ jest sobie takim niewinnym dodatkiem „aby trudniej było zgadnąć“, jak w owej zagadce o śledziu, wybrykiem halucynacji i rozstroju, czy wreszcie licencją poetycką... dla rymu. Druga grupa historyków literatury przez „męża 44“ rozumie jednostkę zbiorową, np. lud polski, Polskę, Słowiańszczyznę, Litwę, itd. Inni, dość liczni i bardzo poważni, widzą w mężu opatrznosciowym samego poetę. Wreszcie czwarta grupa, nawiązując do wielkiego kultu, jaki miał Mickiewicz dla Napoleona, interpretuje widzenie Ks. Piotra w duchu idei napoleońskiej, którą zdaniem twórcy „Dziadów“ miał urzeczywistnić Ludwik Napoleon, późniejszy Napoleon III. Tej hipotezy broni bardzo przekonująco p. Wydźga, zbijając trafnie, żywo a skutecznie inne koncepcje. Rozumie się, że jeśliby ktoś przy podobnych zagadnieniach żądał dowodów sprecyzowanych z matematyczną oczywistością, temu niektóre szczegóły interpretacji p. W. wydadzą się dowolne, będzie pytał: dlaczego koniecznie tak ma być, a nie inaczej, ale jeśli się na sprawę będzie patrzył ze stanowiska psychologii Mickiewicza z okresu tworzenia „Dziadów“, to musimy hipotezę p. W. uznać jeśli nie jeszcze za całkiem udowodnioną, to w każdym razie za najbliższą prawdy.

Trzeci wreszcie dział wydawnictw Książnicy, to *pisma periodyczne*. Jest ich trzy. Najpierw *Muzeum*, najlepszy kwartalnik pedagogiczny polski, zbyt stary i zbyt wybitny, aby potrzebował zdawkowych pochwał i reklam, chociaż ze stanowiska pedagogiki katolickiej ten lub ów artykuł drukowany w „Muzeum“, należałoby czasem bardzo poważnie zakwestjonować; nie można jednak winić za to Redakcji, chce być bezstronną i lojalną, przeto dla dobra sprawy wychowania szpalty swego pisma otwiera przedstawicielom różnych kierunków i poglądów. Również miesięcznikiem, wychodzącym dopiero drugi rok, jest *Przyroda i Technika*. Sama nazwa wskazuje, że treścią jego są nauki przyrodnicze i ich zastosowanie, a więc zakres bardzo obszerny, stąd rozmaitość artykułów i drobniejszych notatek wielka. Poziom prac nie jest za wysoki, a przeto dostępny nie tylko specjalistom. Charakter bardziej specjalny ma *Polski Przegląd Kartogra-*

ficzny. Jest to kwartalnik, poświęcony zagadnieniom kartograficznym. Numer ostatni, drugi obok dwu niewielkich artykułów zawiera same recenzje i notatki sprawozdawcze z ostatnich polskich i obcych wydawnictw kartograficznych. O wydawnictwach „Książnicy” informuje wydawany co miesiąc *Przegląd Wydawnictw*. Zawiera recenzje, zapowiedzi mających się w najbliższym czasie ukazać książek, głosy prasy o wydawnictwach „Książnicy”, ogłoszenia i inne drobne wiadomości bibliograficzno-wydawnicze.

S. B.

Prócz tego nadesłano do Redakcji:

Z Książnicy Polskiej Tow. Nauczycieli Szkół Wyższych:

O obowiązku szkolnym — ustawy, rozporządzenia i instrukcje — zebrał i objaśnił Kazimierz Juszczański (jako 6 numer Biblioteczki Ustaw Szkolnych). Lwów — Warszawa 1923, str. 87, 16^o.

St. Szober: Gramatyka języka polskiego, wyd. II, zeszyt trzeci 1923, str. od 161 do 312, 8^o.

Z Polskiego T-wa Wydawniczego „Zjednoczenie”:

Lew Tołstoj: Ojciec Sergjusz, powieść. Warszawa 1923, str. 68, 8^o.

Francesco Nitti: Europa bez pokoju, wyd. II, przełożył z włoskiego Dracone, Warszawa 1923 str. 152 8^o.

G. Hoornaert S. J.: Le combat de la Pureté (A ceux qui ont vingt ans) Préface par le R. P. Vermeersch S. J. — Bruxelles, Action Catholique, druk. Giraudon Paris. 1923 str. 370, 8^o.

Fr. Klimke S. J.: Institutiones historiae Philosophiae t. I. str. 388; t. II str. 452 Romae, sumptibus. Universit. Gregorianae, druk: Herder Friburg Brisg. 1923 8^o.

Ks. J. Archutowski, prof. Uniw. Jag.: Sługa Jahwy w Księdze Izajasza Proroka, wydano z zasłukiem Wydź. nauki Min. W. R. i O. P. Kraków 1923, str. 227, duża ósemka.

— Sprawa Dr. Skrudlika. Poznań, Wielkopolska Księgarnia Nakładowa, 1923, str. 100, 8^o.

E Elter S. J.: Un ouvrage inconnu de Hervé Nédellec, Roma, Università Gregoriana, 8^o str. 32.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Meksyk: wydalenie Delegata Apostolskiego i prześladowanie Kościoła;
położenie obecne i widoki na przyszłość.

Podczas gdy w Europie bezbożny rząd sowiecki sroży się nad wyznawcami Kościoła katolickiego, na drugiej półkuli podaje mu bratnią rękę do tego samego dzieła inny kraj, który nie posuwa się wprawdzie do takiego barbarzyństwa w postępowaniu, ale za to jest oddawna widowiskiem wybuchających co pewien czas prześladowań. Pisaliśmy już w *Przeglądzie* (1920, sierpień—wrzesień, str. 186) o sytuacji religijnej w Meksyku; nadzieje polepszenia, wyrażone wtedy, zawiodły, a znany wszystkim z dzienników fakt wydalenia Delegata Apostolskiego, Mgra Filippi, był uwieńczeniem tych paru lat dalszego ucisku Kościoła.

Rdzennia katolicka i gorąco przywiązana do wiary ludność meksykańska nie chciała pozostać w tyle za przykładem południowej Ameryki i postanowiła również poświęcić swój kraj Sercu Jezusowemu; widowym tego znakiem miał być olbrzymi pomnik na szczycie góry Cerro del Cubilete, wznoszącej się w Stanie Guanajuato, w miejscowości Aguas-buenas. Już w maju ubiegłego roku rozpoczęto prace przygotowawcze; nie szczędzono pieniędzy, ani trudów. A były one niemałe. Trzeba było ściąć stożkowaty wierzchołek góry, wyciąć w skale drogę dla pojazdów, doprowadzić wodę i światło elektryczne do szczytu.

W czwartek, 11 stycznia b. r., odbyła się główna uroczystość. Dwóch arcybiskupów i jedenastu biskupów, setki duchowieństwa i kilkadziesiąt tysięcy przybyszów obozowało w znacznej części na polu, ponieważ miasteczko Silao nie było w stanie pomieścić wszystkich gości. Delegacje „Ryccrzy Kolumba”¹⁾, katolickich Związków kobiet i młodzieży,

¹⁾ Organizacja katolików, założona w Meksyku na wzór Stanów Zjednoczonych (por. *Przegl. Powsz.* XI 1921, str. 310).

bractw i różnych organizacyj, między niemi pięknie się rozwijającej robotniczej „Narodowej katolickiej konfederacji pracy“, wzięły udział ze sztandarami.

W nocy z 10-go na 11-go, przerywanej nieustannie wystrzałami z moździerzy i oświecanej blaskiem rakiet, urządzono adorację Najśw. Sakramentu w prowizorycznej kaplicy u stóp góry, od północy zaś odprawiano bez przerwy msze św. O godzinie 5 rano wyruszyła wielka procesja pod przewodnictwem arcybiskupa z Michoacán, w celu założenia olbrzymiej Drogi krzyżowej na przestrzeni 8 km, a za nią niedługo druga procesja z Najśw. Sakramentem; prowadził ją biskup diecezjalny Valverde Tellez, który trzymał monstrancję, siedząc na wspaniałym białym koniu, okrytym aksamitnym szkarłatnym czaprakiem, haftowanym złotem. Kulminacyjny jednak punkt uroczystości stanowiło poświęcenie kamienia węgielnego pod przyszły pomnik. Dokonał go, zaproszony specjalnie w tym celu, Delegat Apostolski Mgr Filippi, a wygłoszony przy tem akt poświęcenia całego kraju Sercu Jezusowemu został w tejże godzinie powtórzony we wszystkich kościołach Meksyku.

Nazajutrz, po „jednym z najpiękniejszych — jak się wyraził — dni swego życia“ Mgr Filippi wyjechał do miasta León, a w niedzielę rano stanął w stolicy. Tu wszyscy już wiedzieli o dekreście prezydenta państwa, Obregón'a, nakazującym przedstawicielowi Stolicy Apostolskiej „opuścić w trzech dniach terytorjum Rzeczypospolitej“, z powodu pogwałcenia 24 art. Konstytucji.

Co to było za przestępstwo? Wspomniany artykuł zakazuje „publicznego“ odprawiania obrzędów kościelnych poza świątynią lub prywatną posiadłością. Katolicy wiedzieli o tem dobrze i przygotowali wszystko zgodnie z prawem. To też czyn prezydenta był tylko lichy zamaskowaną złą wolą rządu; wykazali mu to natychmiast, acz bezskutecznie, najlepsi prawnicy, a zachowanie się całego ciała dyplomatycznego było jednym manifestacyjnem potępieniem niegodziwego rozporządzenia. Przedstawiciele Francji, Niemiec, Brazylii i innych państw przybyli zaraz, ofiarując swe usługi, pełnomocnik Stanów Zjednoczonych zaprosił Mgra Filippi w imieniu prezydenta Hardinga na jego terytorjum, przedstawiciel Chile ofiarował mu nawet do dyspozycji okręt wojenny, który miał go zawieść, dokądkolwiek zechce.

Próbowano też interwencji, lecz daremnie. Na uprzejmy telegram kard. Gasparri, z prośbą o zawieszenie wyroku, rząd meksykański odpowiedział krótko odmownie, motywuując nagłość wydalenia tem, że pod pokrywką Delegatury Ap. w Meksyku organizowała się agitacja klerykalna, wroga prawom państwowym a nawet chrześcijańskim(!).

Sprawa ta odbiła się głębokiem echem w całym kraju, a odjazd Mgra Filippi był równocześnie chwilą jego triumfu i ogólnej żałoby. Gdy nadeszła jego godzina, nagle w całej stolicy ukazały się w oknach chorągwie o barwach papieskich, okryte kirem, którego wstęgi powiewały na bramach domów; było to dzieło organizacyj katolickich. W autobusu ambasadora włoskiego przejechał Mgr. Filippi miasto, poczem pociągami przyjechał do granicy Stanów Zjednoczonych; tu czekali już na niego Rycerze Kolumba i w triumfie wprowadzili go do Laredo (Teksas). Stąd udał się do New York i powrócił do Rzymu.

A tymczasem w kraju burza rozpętała się na dobre.

Dziwne to zaiste państwo, ów Meksyk. Ogół ludności katolicki i to szczerze religijny, pozwala się gnębić mniejszości masonskiej, prowadzącej za pośrednictwem rządu żartą walkę z Kościołem. Niestety bowiem mniejszość owa jest doskonale zorganizowana i to jej nadaje przewagę nad pozostałą masą, pozbawioną jedności i organizacji, a przytem i w wielkiej części (80%) złożoną z analfabetów. Toteż rząd korzysta na każdym kroku ze swej supremacji, popartej karabinami sześćdziesięciu tysięcy najmitów z indyjskiego plemienia Yaquis, chociaż zawsze pod szyldem „kultury i wolności“.

Wystarczy parę przykładów. Zarząd naczelny pojedynczych Stanów, na jakie podzielony jest cały kraj, ma prawo określania liczby duchownych każdego wyznania, uprawnionego na swem terytorjum; otóż w Stanie Durango, liczącym 250 kapłanów katolickich, uznano ich tylko 25-ciu, a kiedy parotysięczny tłum zademonstrował w tej sprawie, wyprowadzono przeciw niemu wojsko i skończyło się na zabitych i rannych. Duchowny każdego wyznania musi według ustawy być rodowitym Meksykańczykiem, aby móc spełniać funkcje swego urzędu; lecz przepis ten stosuje się ściśle tylko do księży katolickich, wydała ich z kraju lub zamyka kościoły, podczas gdy protestanci i inni sekciarze amerykańscy cieszą się zupełną swobodą, bez względu na pochodzenie. Dobra kościelne katolickie konfiskuje się miejscami co pewien czas. Od prawa głosowania, czynnego i biernego, wykluczone są osoby duchowne katolickie. Wolność prasy, stowarzyszeń i przemawiania jest zupełna dla masonów, ale kościoły katolickie znajdują się pod kontrolą, a Rycerze Kolumba są niemal prześladowani; niedawno przecież wydano dekret, by z urzędów państwowych i przy kolei żelaznej usunięto wszystkich, należących do tej ostatniej organizacji.

Na tle takich stosunków, do których ze strony politycznej należy dodać nieustanne zaburzenia i rewolucje,

okradanie skarbu państwowego przez urzędników, zabójstwa dokonywane przez posłów, bunty wśród wojska — zrozumie się łatwo wydalenie Delegata Apostolskiego. Mgr. Filippi, starający się rozbudzić ducha wiary wśród ludu meksykańskiego, otwierający jego oczy na zgubną a podstępną działalność masonów na polu szkolnictwa i społecznem, był dla nich zbyt niebezpiecznym, musieli się go pozbyć. Wielka Loża ryfu meksykańskiego wydała też po jego odjeździe manifest z uznaniem dla energii rządu, który śmiał zaprotestować czynnie przeciw „zdradzieckiej partji klerykalnej“.

Czy i kiedy stosunki w Meksyku się zmienią, trudno dziś przepowiedzieć. W lipcu 1924 r. odbędą się wybory nowego prezydenta, od ich wyniku zawisła głównie przyszłość. Widoki obecne są jednak nie najlepsze; bardziej umiarkowany z pośród dzisiejszych kandydatów, Adolfo de la Huerta, ma mniejsze szanse powodzenia, drugi zaś, P. Calles, zapowiada się gorzej jeszcze od obecnego prezydenta, Obregón'a, którego żona, nawiasem mówiąc, znana jest w całym kraju jako gorąca katoliczka.

Wmieszanie się zagranicy mogłoby zmienić stan rzeczy na lepszy, nie łatwo jednak przyjdzie jej to uczynić, choć ma żywotne do tego powody, głównie natury ekonomicznej; podobne do bolszewickich stosunki na tem polu są przecież przyczyną, dlaczego Stany Zjednoczone do dziś dnia nie uznały rządu Obregón'a. Niemale nadzieje budzi również miejscowy faszyzm, założony w listopadzie ubiegłego roku w Stanie Vera-Cruz przez inżyniera Jalapa, jako reakcja przeciw bolszewizmowi, szerzącemu się jawnie pod okiem obecnego rządu. Spotkał on się ze sympatją mnóstwa niezadowolonych i rozwija się jako partja „biała“ przeciw „czerwonej“. Nie jest on bynajmniej dziełem katolików, owszem w łonie jego znajdują się również zawzięci wrogowie Kościoła. Katolicy meksykańscy, których prześladowania skupiają coraz silniej, liczą jednakże na możliwość porozumienia; zjednoczone wysiłki katolików i faszystów zdołają może przeprowadzić pomyślnie nową kampanję wyborczą, która przyniosłaby upragniony pokój społeczeństwu i wolność Kościołowi.

Ks. P.

Sprawozdanie z Kursu etnologiczno-religjoznawczego w Mödling, 17—21 lipca 1923 r.

Zachęcone powodzeniem zeszłorocznego Kongresu Katolickiego dla etnologii i porównawczej nauki religij odbytym w Tilburgu, postanowiło prezydum urządzić tego roku podobny zjazd dla tych uczestników Europy środkowej, którzy, głównie dla trudności finansowych, nie mogli wziąć udziału w kursach holenderskich. Widocznie odczuwano potrzebę orjentacji, co nauka katolicka zdziałała na polu etnologii porównawczej, tej najmłodszej gałęzi ludoznawstwa, skoro blisko 200 uczestników świeckich i duchownych z Austrii, Czech, Jugosławii, Niemiec, Polski i Węgier zjechało się 17 lipca w uroczem Mödling pod Wiedniem, siedzibie Misjonarzy Słowa Bożego, aby przez 4 dni wysłuchać 20 wykładów, streszczających ostateczne wyniki dotychczasowych badań w tej dziedzinie.

Po wotywie o Duchu św. odprawionej przez Kard. Piffila, zesłaliśmy się na inaugurację kursów. Pierwszy przemówił od prezydum O. W. Schmidt S. V. D. nawiązując do znanych słów św. Pawła o „szukaniu Boga” przez pogan (Dz. Ap. 17, 27) i tych drugich o ich smutnych zboczeniach religijnych (Rzym. 1, 23), wskazał na tło i zasadnicze rysy obrazu, mającego się odświeżać w toku następnych wykładów. Potem Kard. Piffil podkreślił wielkie znaczenie kursu dla katolików, posiadających w rzetelnej nauce etnologii przednią broń do odparcia zwietrzałych teorii ewolucyjnych. Następnie kanclerz austriacki, Dr. Seipel, wspominając dawne swe upodobania naukowe i obecne obowiązki społeczne, zauważył pięknie, że dla katolika, a zwłaszcza kapłana niema nauki dla nauki, ale każda nauka w czyn, w pastorać się zamienia.

Po słowach powitania O. Pinard de la Boullaye S. J., znanego uczonego belgijskiego, przemówił jeszcze imieniem zaproszonych Dr. Ehrlich, prof. uniwersytetu w Lublanie i podniósł wielkie zasługi na polu etnologii Misjonarzy Słowa Bożego, którzy tak uprzejmie gościli nas w swym domu. Niestrudzeni ci pracownicy na niwie ewangelicznej są zarazem dzielnymi przodownikami w dziedzinie ludoznawstwa porównawczego. Rzucając jedną ręką siebę Słowa Bożego wśród plemion pogańskich, zbierają drugą plon swych badań naukowych nad rodzimą ich kulturą, aby z jego pomocą przeprowadzić w cywilizowanym społeczeństwie innego rodzaju misję, naukową i pasterską zarazem. Nie zadowolniając się dostarczaniem materiału etnograficznego, jak dotąd misjonarze czynili, przerabiają go sami w postaci monografii ściśle naukowych, oraz wydają czasopismo etnograficzne *Anthropos*, pełne cennego materiału ludoznawczego, czerpanego z pierwszej ręki i syntetycznych rozpraw, pisanych w różnych językach europejskich.

Ogólny program kursów był następujący: pierwsze dwa dni były poświęcone etnologii i religjoznawstwu wogóle, dzień trzeci naukom pomocniczym (psychologii, religii, prehistoryce i lingwistyce); w dniu ostatnim miano zastosować wyniki tych nauk do szeregu aktualnych zadań apologii i apologetyki chrześcijańskiej. Nadto codziennie jeden z misjonarzy dawał konkretny obraz życia religijnego plemion, wśród których

pracował. Wieczorne dyskusje na temat różnych problemów zamykały obfity program dzienny. Nieliczne wolne chwile spędzano na zwiedzaniu muzeum etnograficznego, biblioteki i zakładów Misjonarzy Ś. B.

Przystępujemy do szczegółów. W pierwszym dniu omawiano dzieje i metody etnologii religijnej. Najprzód wyłożył *O. Schmidt* znany autor pomnikowego dzieła „O początku idei religijnej” (*Der Ursprung der Gottesidee*, tom I. 1912, tom II. w przygotowaniu), *znaczenie religjoznawstwa*. Dotąd panowało w pewnych kołach przekonanie, że zadaniem tej nauki jest wykazać naturalny rozwój monoteizmu wogóle i chrześcijaństwa w szczególności najniższych form zabobonu i kultu, w myśl teorii ewolucji. Teorię tę rozciągano początkowo na wszystkie przejawy kultury ale zbiegiem czasu siłą faktów odstąpiono od niej w dziedzinie socjologii (zwłaszcza co do początku rodziny) i ekonomii społecznej. Obecnie dokonywa się też pewien zwrot na polu religjoznawstwa. Podczas gdy dotąd relacje misjonarzy o monoteizmie ludów pierwotnych spotykały się w kołach uczonych z lekceważeniem, teraz, po bezstronnem zbadaniu odnośnego materiału, zaczyna się dostosowywać teorie do faktów. Znaczącym też jest zeznanie jednego z najwybitniejszych semitologów, prof. Brockelmann, w poważnym czasopiśmie Towarzystwa Orientalnego (*Zschr. d. Morgenl. Gesellsch.*), że Allah był Bogiem pierwotnym Arabów i że podobnie wnosić należy o Jahwe żydowski. Ewolucjonizm w pełni utrzymuje się tylko w pewnej szkole francuskiej, zresztą reprezentowanej przez żydów, którzy opanowali odnośne katedry sorbońskie. — Stąd wniosek, że zadaniem religjoznawstwa jest metodą ściśle historyczną dochodzić początku religii, o ile to nam jest dostępne w wierzeniach dzisiejszych ludów pierwotnych.

Religii nie należy badać w oderwaniu od innych elementów kultury, ale w organicznej z nimi jedności. Religja, pojęta jako część całokształtu życia ludowego, dozna ze strony innych czynników kulturalnych wszechstronnego oświetlenia, owszem okaże się sama najważniejszym czynnikiem życia etycznego i społecznego oraz jedyną trwałą podstawą wszelkiej kultury, czerpie bowiem swą niespożytość z nieprzemijających wartości zaświatowych. — Dlatego najodpowiedniejszą metodą badań etnologii religijnej jest metoda historyczno kulturalna: zbieranie i zestawianie faktów etnologicznych i religijnych wedle ich związku historycznego i przyczynowego, celem uzyskania pełnego obrazu kulturalnego danej epoki i grupy kulturalnej. Metoda ta posługuje się dwojakim sprawdzianem współrzeczności danych etnograficznych: t. zw. sprawdzian formalny wykaże rzeczywiste podobieństwo poszczególnych danych, a stwierdzenie tego niezawsze jest rzeczą łatwą. Jeżeli nadto pewne dane etnograficzne powtarzać się będą w stałych związkach przedmiotów, nie mających zresztą nic wspólnego ze sobą, (np. kształt tarczy, a sposób zabudowywania się), wówczas uzyskamy t. zw. sprawdzian wielokrotny (*Quantitätskriterium*) przynależności danych przejawów kulturalnych (między innymi i form kultu) do pewnej grupy. — Może się zdarzyć że cechy charakterystyczne pewnej kultury powtarzać się będą w miejscu i czasie bardzo od siebie odległych. Wówczas będziemy mogli nieraz z kultury żyjących do-

tań szczepów danej grupy uzupełnić z pewnem prawdopodobieństwem brakujące człony kultury np. kopalnianej i uzyskać tym sposobem hipotetyczne związki kultur przedhistorycznych, bardzo pomocne do ich ugrupowania i ułatwiające drogę do nowych poszukiwań.

Między naukami pomocnicznymi etnologji pierwsze miejsce zajmuje prehistoryka, która wprawdzie podaje nam tylko ruiny kultury, o ile ta wyraziła się w przedmiotach materialnych, zniszczeniu niepodległych, ale zato uzupełnia ważny moment, etnologji często niedostępny, mianowicie chronologję, następstwo kultury. Niesłuchanie ważną dla nas jest rzeczą stwierdzić pierwszeństwo danej kultury przed inną, bo pierwszorzędnem zadaniem religjoznawstwa jest wykazać, która z form religijnych jest starszą. Jeżeli tedy znajdujemy wśród niektórych ludów żyjących, ze znamionami kultury najstarszej, rodzimą wiarę w jednego Boga, wówczas upada cała apriorystyczna teoria o równoległej z kulturą wogóle ewolucji monoteizmu z dawniejszych form zabobonu. Okaże się natomiast, że rozwój kultury materialnej nie zawsze idzie w parze z przejawami kultu religijnego, owszem, że te formy życia duchowego zazwyczaj nie bywają współmierne.

Psychologia religji, druga z nauk pomocniczych, nie może wprawdzie stwierdzić przedmiotowego następstwa form religijnych, do czego jej nieraz nadużywano, ale przecież oddaje ważne usługi w ocenie ich wartości, jako zjawisk życia duchowego. Znaczenie lingwistyki dla zrozumienia subtelnych nawet odcieni mowy, zwłaszcza religijnej, jest zrozumiałe samo przez się.

Umyślnie zdaliśmy nieco obszerniej sprawę z programowego wykładu, znakomitego etnologa, bo następne będą tylko rozprawadzeniem myśli w nim zawartych.

Z kolei O. Pinard de la Boullaye dał naprzód pogląd na historję religjoznawstwa porównawczego od połowy ubiegłego stulecia do chwili obecnej, a następnie wyłożył zasady metody porównawczej, któremi ta nauka posługiwać się winna. Streszczając pierwszy wykład musielibyśmy podać całą historję szkół, z licznymi odmianami i nazwisk, pomijamy go tedy, odsyłając do I tomu dzieła O. Pinarda p. t. *L'étude comparée des religions*. Paryż 1922, które starczy za całą bibliotekę i daje kompletny przegląd odnośnej literatury, systematycznie zestawionej. W drugim wykładzie, omówiwszy różnice metodologiczne różnych szkół, prelegent podał zasady krytyczne, które badacz religij stosować powinien. Ważny ten wykład stanowić będzie osobny rozdział II tomu wspomnianego dzieła (ukaze się w r. 1924), możemy więc poprzestać na tej wzmiance.

Wkońcu Dr. Gahs, docent uniw. w Zagrzebiu, zestawił dawną metodę ewolucyjną z obecną historyczno kulturalną. Dawszy na wstępie pojęcie etnologji jako nauki historycznej w przeciwstawieniu do antropologji, nauki przyrodniczej, i określiwszy bliżej jej przedmiot: badanie kultur prymitywnych, prelegent zwalczał w pierwszej części metodę ewolucjonistyczną. Zarzucał jej dwa błędy: naprzód ten, że nie liczy się z historycznym charakterem etnologji. Gdzie brak materiału dowodo-

wego, tam zadawalnia się ta metoda stanowieniem schematycznych stopni rozwoju od najniższych do wyższych, w myśl teorii o zwierzęcem pochodzeniu człowieka i fizycznie lub choćby moralnie koniecznym prawie ewolucji i bez skrupułu wstawia w miejsce brakujących członów danej kultury przejęte skądinąd, choćby do innej grupy należały. Drugim błędem ewolucjonistów jest, że za przedmiot badań obierają albo zbyt ciasny obszar kulturalny, i dlatego nie dostrzegają rzeczywistych związków historycznych i genetycznych z innymi kulturami, albo przeciwnie zestawiają bezkrytycznie dane etnograficzne z całego świata, przez co zacierają się różnice grup kulturalnych i indywidualne. Jeden i drugi błąd metodyczny ilustrował Dr. Gahs licznymi przykładami z zakresu etnologji.

W drugiej części wyłożył prelegent zasady obecnej metody historyczno-kulturalnej. Najprzedniejszem jej zadaniem jest stwierdzenie na podstawie materiału etnograficznego i przy pomocy kryterjów formalnych i wielokrotnych pewnych grup kulturalnych z ich zasadniczymi cechami a następnie oznaczenie ich względnej chronologii. Przy stanowieniu znamion pierwotnych i rodzimych należy wyeliminować wszystkie elementy pochodne przy zestawieniu podobnych form kulturalnych (sprawdzian formalny) zwrócić uwagę, czy to podobieństwo nie tłumaczy się z natury lub celu danego przedmiotu, wówczas bowiem dopiero można mówić o zależności genetycznej. Jeżeli n. p. znajdziemy budowę na polach w okolicach suchych lub na wyżynach, jeżeli znajdziemy charakterystyczny kształt topora, hębna lub wiosła lub sposób ornamentacji, nie tłumaczący się warunkami miejscowemi, a powtarzający się niemal identycznie w różnych obszarach, choćby najbardziej odległych, wówczas mamy podstawę do twierdzenia że ich początek był wspólny. Sprawdzian wielokrotny jest daleko ważniejszy. Jeżeli pewne zespoły przedmiotów n. p. wymienione powyżej, powtarzają się nieodmiennie i to w połączeniu z pewną formą ekonomiczną (n. p. niższym stopniem rolnictwa) i społeczną, dajmy na to matriarchatem, wtedy ich przynależność do danej grupy jest zapewniona i w tedy też z form kultu jednego szczepu (n. p. animizmu) można wnosić o wierzeniach innego do tejże grupy należącego i naodwrot. — Przy badaniach etnologicznych nie należy zatem żadnego elementu kulturalnego rozpatrywać z osobna i w oderwaniu od całości, i nie godzi się pomijać drobnych nawet szczegółów, bo te nieraz rozstrzygają o klasyfikacji kulturalnej danego plemienia. —

W dniu następnym zapoznali się uczestnicy kursu już z niektórymi wynikami uzyskanymi zapomocą metody historyczno-kulturalnej. O. W. Koppers S. V. D. dał przegląd następstwa grup kulturalnych wraz z odpowiadającą im ekonomją społeczną i socjologją. Zauważył na wstępie, że podział na grupy kulturalne nie jest bynajmniej dowolną konstrukcją ani teorią tylko, lecz nauką, opartą na rzeczywistych podstawach, której pewne zasady już poprzednio były znane i w prehistoryce i w etnologji. Ratzel był pierwszym, który zapomocą sprawdzianu formalnego (formy łuku) odkrył powinowactwo między kulturą zachodnio-afrykańską, a mefanezyjską. Uczeń jego, Frobenius potwierdził związek kulturalny tych obszarów, stosując sprawdzian wielokrotny. Fr. Gräbner po wielu

dociekaniach, oznaczył w r. 1904 i nast. 6 grup kulturalnych dla Australji i Oceanji, B. Ankermann pracował równocześnie nad podziałem kultury afrykańskiej, gdzie stwierdził 5 grup, wkońcu O. Schmidt podjął się klasyfikacji rodzimej kultury amerykańskiej. Daleko jeszcze do ostatecznego tych prac rezultatu, dalej jeszcze do ugrupowania kultur całego świata. Zwłaszcza badania nad t. zw. pierwotną kulturą arktyjską są dopiero w zaczątkach. Dotychczasowe jednak wyniki zdają się nie podlegać wątpliwości.

Rozróżnia się tedy trzy (albo cztery zależnie od przyszłych badań nad kulturą arktyjską) niezależne od siebie czyli pierwotne grupy kulturalne, które różnie nazwano, stosownie do tego, co obrano za główną ich cechę charakterystyczną. Przedstawiciele ich, wyparci przez ludność napływową do ostatecznych kończyn kontynentu i na wyspy przyległe, to pigmejczycy i pigmoidzi, Tasmańczycy i szczepy rozsiane po Australji, dokoła źródeł Nilu, w Indjach i Ameryce, które wogóle posługują się bronią zwaną bumerang. Te plemiona trudnią się myślistwem, żyją w monogamji egzogamicznej (poza stopniami pokrewieństwa), połączonej po części z totemizmem płciowym i wyznają monoteizm, względnie (w kulturze bumerangu) czczą najwyższą istotę, pojętą jako praojca danego plemienia, z przymieszką mitologii księżycowej. Następne 3 grupy kulturalne są pochodne i przedstawiają się jako oryginalne ewolucje kultur pierwotnych. Między innemi należą tu prehistoryczne ludy europejskie, Indogermanie i Semito-Chamici. Cechą gospodarczą tych grup jest myślistwo na wyższych stopniach, drobne rolnictwo i pasterstwo nomadyczne; cechą społeczną egzogamiczne klany totemistyczne, względnie dwuklasowość małżeńska oraz prawo ojcowskie albo matczyne (przyczem pojawiają się tajemne związki mężczyzn jako reakcja przeciwko przewadze kobiet), na stopniu zaś pasterskim patriarchat z prawem pierworodztwa. Kult najwyższej istoty sprzęga się w tych grupach z kultem astralnym (słońca, księżyca, nieba), kultem natury, czarami, animizmem i manizmem. Wkońcu rozróżniamy kultury mieszane z tych pochodnych, których opis dla braku miejsca tu pominąć musimy. Odsyłamy do licznych prac OO. Schmidta i Koppersa, z których wymieniamy tylko jedną Koppersa: „Die Anfänge des menschlichen Gemeinschaftslebens im Spiegel der neueren Völkerkunde, M-Gladbach 1921.

Prof. Dr. Ehrlich mówił następnie o pojęciu bóstwa w kulturach pierwotnych, zwłaszcza u plemion Australji poł-wsch., u pigmejczyków Azji i Afryki oraz u tubylców ziemi Ognistej, tj. tych właśnie ludów, którym ewolucjoniści od połowy 19-go wieku odmawiali wszelkiej religji. Religja jakkolwiek pojęta zawiera dwa pierwiastki: wiarę w osobową istotę nadziemską, niekoniecznie duchową, od której człowiek czuje się zależnym i tę zależność wyraża praktycznie przez zachowanie jakichś przykazań, ofiary i modlitwy. Otóż sumienne badania, których wynikiom dziś nikt rozumnie przeczyć nie może, wykazały, że taki kult religijny uprawiają zarówno pigmejczycy afrykańscy, jak to wykazał Le Roy, jako też wymierające szczepy azjatyckie Andamanczów, Semang (Malaka), Negrytów filipińskich oraz Jaganowie na południowym cyplu Ameryki. Wiara w jednego

Boga, przedwiecznego Twórcę wszechrzeczy, dobrego Ojca i Sędziego ludzi wyraża się u Australczyków w ich misterjach, które odbywają z każdym dorastającym członkiem plemienia. Wówczas pouczają go o najwyższej Istocie, o jej przykazaniach, w zasadzie identycznych z 5—8 przykazaniem dekalogu i poświęcają go uroczystie. Wogóle stosunek tych ludzi pierwotnych do Boga jest dziwnie bezpośredni i naiwny. Nie trzeba w nich szukać jakiejś wyrobionej dogmatyki, pojęcia ich religijne są bardzo konkretne, dziecinne. Z obcymi wogóle o Najwyższej Istocie nie mówią, uważają to za swą tajemnicę, lękają się nawet wymówić Jej Imienia. Ewolucjoniści późniejsi po części notowali pobieżnie te fakty, lecz ich nie tłumaczyli. W samej rzeczy nie jest to ani forma animizmu, bo o duchowości bóstwa pierwotni należytego pojęcia nie mają i obywają się bez panteonów właściwych animizmowi. Magja wprawdzie odgrywa u nich wielką rolę, ale sądzą, że ich czarownicy dostępują swej władzy od Istoty Najwyższej.

Z kolei O. Schmidt tłumaczył spácenie idei bóstwa w kulturach późniejszych. Trzeba zauważyć, że i dzisiejsi prymitywni nie są pełnymi przedstawicielami kultury pierwotnej. Są to obumarłe w zastoju resztki rdzennej ludności tubylczej, pod wielu względami zdegenerowane. Ich magja nie tworzy istotnego składnika religii, lecz jest raczej wyrazem usposobienia duchowego, wypływającego z ich poglądu na przyrodę, jest filozofią raczej niż teologią. Nadto już w pewnej klasie kultury prymitywnej (kulturze bumerangu) dostrzec można stopniowe zacieranie się różnicy pomiędzy praojcem plemienia a Istotą najwyższą, pod wpływem symbolicznej mitologii lunarnej. Z biegiem czasu przez napływową kulturę totemistyczną Bóg pierwotny wyparty został przez kult solarny, charakterystyczny dla tej grupy, odznaczającej się wogóle dużą ciężką materjalną, której mitologia jest dalekiem echem zwycięstw odniesionych nad ludnością tubylczą (i jej bóstwem). Miejscami rozwija się mitologia lunarna w innym kierunku, przybierając cechę przewagi pierwiastka kobiecego, w połączeniu z animizmem i kultem przodków. Jedynie w grupie nomadów, pasterstwu oddanych pozostał kult Najwyższej Istoty, pojętej jako Pan nieba (np. u pierwotnych Chińczyków, Indogermanów, Semito-Chamitów), którą dopiero później, w niektórych kulturach mieszanych, utożsamiono poprostu z niebem. Nie możemy tu podać szczegółów tych nadzwyczaj zajmujących wywodów, które można po części znaleźć w rozprawie autora, *Die Uroffenbarung* wyd. V, 1923.

Następnie opisywał O. Schebesta S. V. D. *religje Afryki połud.* Buszmani wierzą w życie pozagrobowe, czczą zmarłych. Wyznają, że Kaang jest panem nieba, życia i śmierci, dawcą dobra. Poznaje się go sercem. Ofiar mu nie składają. — Hottentoci, mieszkańcy Buszmanów i napływowych Nomadów, są dualistami. W ich mitologii lunarnej można jeszcze rozpoznać pokonanego przez Cuigoa, potężnego naczelnika i dobre bóstwo Hottentotów, Kaanga Buszmanów, któremu jednak z obawy składają ofiary. Plemiona Bantu uznają najwyższą Istotę pod różnymi mianami (Kalunga, Mulungu, Leza, Nzambe, Unkulunkulu, Muburu), której jednak właściwego

kultu nie składają, bo nikomu nie szkodzi i do rządów świata się nie wtrąca. Uprawiają kult zmarłych i duchów, z obawy, by im nie szkodzili.

Wieczorem *O. Koppers* zdał sprawę ze swej odbytej zeszłego roku wyprawy do wymierającego pierwotnego szczepu Jaganów (liczy jeszcze 70—80 członków) w ziemi Ognistej. Pozyskawszy zaufanie Jaganów, został po odbyciu inicjacji przyjęty do ich plemienia. Zajmujący opis tego zdarzenia, który mowca ilustrował obrazami świetlnymi i zdjęciami fonograficznymi, wzruszającą prostotę wiary tych biedaków w jednego Boga, Watauinewa, czyste ich obyczaje, przedłożymy w najbliższym zeszycie „Misyj katolickich“. W druku jest dziełko popularne z opisem tej podróży, przygotowuje się zaś obszerna naukowa monografia na ten temat. Wszak od czasów Darwina cytowano tubylców ziemi Ognistej jako klasyczny typ pierwotnego ludu pozbawionego wszelkiej religii.

Dzień trzeci, poświęcony naukom pomocniczym, zainaugurował *Dr. Wunderle*, prof. uniwersytecki w Würzburgu wykładem o dziejach i zadaniu *psychologii religii*. Dzieje te sięgają czasów, gdy Augustyn pisał swe wyznania. Zadaniem tej nauki nie jest stwierdzić prawdę danej religii, lecz tylko opisywać przeżycia religijne z empirycznego punktu widzenia. Uwaga niezmiernie ważna! Podmiotowe przeżycie nie może być sprawdzianem prawdy przedmiotowej. To byłoby czysto protestanckie. Prelegent słusznie ganił stosowanie metody eksperymentalnej (przez Girgensoną) w psychologii religii. Przeżycie religijne z natury swej wyklucza bezpośrednią obserwację naukową. Prelegent wydał pożyteczną książkę: *Einführung in d. moderne Religionspsychologie* (Sammlung Kösel 1923). *Dr. Menghin* prof. na uniwersytecie w Wiedniu wykazywał zgodność po części rzeczywistą po części hipotetyczną między periodami *prehistorycznej archeologii* kopalnianej z epoki kamiennej, a wynikami nauki o grupach kulturalnych. Pełno ciekawych spostrzeżeń.

Prof. Ehrlich mówił o *ideach religijnych w epoce kamiennej*. Ze sposobu grzebania zmarłych można wnosić o wierze w życie pozagrobowe. Sztuka prehistoryczna ma pewien charakter religijny (tajemniczy), zdradza idee totemistyczne i magistyczne. (Por. Mainage: *Les religions de la Préhistoire*, Paryż 1921). *O. Schumacher*, ze Zgromadzenia Ojców Białych wyłożył naprzód wielkie znaczenie *językoznawstwa* dla badacza religij, ilustrując hieratyczne, archaiczne i sztuczne sposoby wyrażania się na wsch.-afryk. języku Ruanda, a następnie opisywał religię tego mało znanego obszaru. Wyniki swych badań złożył po części w *Anthroposie*.

W dniu ostatnim *Dr. Klameth*, prof. uniwersytecki w Ołomuńcu zestawiał sumeryjsko-akkadyjskie parallele do opowiadań biblijnych o stworzeniu, raju i grzechu pierworodnym, potopie, patriarchach i budowie wieży Babel. Bezpośredniej zależności rzeczowej niema, podobieństwa tłumaczą się wspólnym podaniem. *Dr. Kmoskó*, prof. uniwersytecki w Budapeszcie, dowodził na podstawie starochrześcijańskich źródeł, że data Bożego Narodzenia jest niezależna od święta Mitry, obchodzonego w tymże dniu przez rzymską „masonerję“ wojskową. *Ks. K. Frank* wykazywał naoczne różnice i opozycje między soterjologią chrześcijańską a misterjami pogańskimi.

Ważny był ostatni wykład *O. Koppersa* p. t. chrześcijaństwo

a buddyzm. Buddyzm jest systemem, wyrosłym z kultury miejscowej. Jego dogmatyka, a raczej filozofja jest oparta na zasadach materialistycznej filozofji Sankhya. Buddyzm wogóle jest produktem dekadencji. Powodzenie jego w Indiach tłumaczy się wpływem osobistym Buddhy, a rozpowszechnienie po Azji nastąpiło, rzecz charakterystyczna, dopiero mocą heterogenicznego czynnika teologicznego: samego Buddhy. Chrześcijaństwo natomiast nie da się wytłumaczyć czynnikami naturalnymi, początek jego treść i dzieje są wyjątkowe, nadkulturalne, wogóle nadprzyrodzone.

O. Schmidt zakończył kurs głęboką i ciepłą przemową, wskazując na zadania przyszłości. Trzeba religjoznawstwu zapewnić miejsce w uczelniach katolickich. (Sposób omawiano w poprzednich swobodnych dyskusjach). Potrzeba nowych współpracowników (u nas na polu pierwotnej kultury i religji słowiańskiej). Przyszły kongres, na życzenie Ojca Św., odbędzie się w Medjolanie w r. 1925.

Nazajutrz oprowadzano nas po bogatym dziale prehistorycznym i etnologicznym Hofmuseum w Wiedniu, poczem grupa katolików wiedeńskich przyjmowała nas serdecznie wspólnym obiadem.

Na refleksje osobiste nie staje już miejsca. Kursu były utrzymane w tonie naukowym, ale podniosłym, ciepłym, prawdziwie katolickim razem. Wszyscy odnieśli przekonanie, że prawda powoli się przedziera i zwycięża i na polu etnologji. Dano nam też wejrzeć w duszę pierwotnego człowieka i dojrzeć tam tę iskierkę Bożą, zapaloną przez tę Świątość, która oświeca każdego na ten świat przychodzącego.

Wdzięczność należy się władzom polskim, czechosłowackim i austriackim, że opuszczając koszta paszportowe, ułatwiły uczestnikom jazdę do Wiednia.

Ks. M. Morawski.

Interesująca ankieta.

Na polu szkolnictwa średniego toczy się między pedagogami od szeregu lat żywa, prawie niepamiętna walka o charakter szkoły średniej. Przedmiotem ataków jest gimnazjum klasyczne, a częściowo także humanistyczne z łaciną. Walka to nie nowa, ale epizod kampanji, zaczętej jeszcze przez oświecenie XVIII, a u nas przez Komisję Edukacji Narodowej. Istota sporu polega na tem, czy szkoła średnia ma mieć charakter o g ó l n o kształcący, to znaczy, czy ma wyrabiać i wychowywać przede wszystkim udzi czy też ma mieć charakter u t i l i t a r n y, fachowy. Jeżeli przyjmujemy drugą możliwość, to już w szkole średniej wprowadzimy specjalizację, 13 letniemu chłopcu czy podlotkowi każemy robić wybór przyszłego zajęcia, albo jeśli uznamy go za niezdolnego do wyboru, to wbrew jego woli i zdolnościom przeznaczymy go zgóry do określonego zawodu: najwyższem kryterjum w układaniu programu i doborze środków będzie k o r z y ś ć, dlatego a l i m i n e odrzucimy grekę, łacinę zostawimy w jednym typie, jako przeżytek, przeznaczony na powolne wymarcie, a całą uwagę zwrócimy na naukę rzeczy, na zdobycie jaknajwiększej liczby wiadomości w danej, ga-

łęzi wiedzy praktycznej. Jeśli zaś oświadczymy się za szkołą średnią ogólnie kształcącą, nie zróżniczkowaną w typy, lecz jednolitą, to naszą troską — w myśl Arystotelesowej zasady: „czysto teoretyczne badanie jest cenniejsze niż wszystko, co bezpośrednio zdaje się być pożytecznem” — będzie jaknajpełniejsze wyrobienie i wychowanie ducha młodzieży, jego umysłu i serca. Tak pojęta szkoła nie będzie kłaść nacisku w programach swych na ilość i bezpośrednią praktyczność podawanej wiedzy, ale na wyrobienie umysłowe wychowanków, na przygotowanie ich do zdobycia wiedzy, czyli na wyćwiczenie zdolności myślenia, rozumienia myśli cudzych i wyrażania własnych; a powtóre na wychowanie charakteru. Zwolennicy tego systemu są przekonani, że chociaż młodzież w nim wychowana nie będzie posiadać bardzo wielu wiadomości, zwłaszcza z zakresu nauk przyrodniczych i praktycznych, to jednak, mając rozwinięty umysł i wychowany dobrze charakter, tem samem będzie najlepiej przygotowaną tak do dalszych studiów, jak do życia. — Dokola tych dwu zagadnień toczy się cały spór.

Nie mamy wcale zamiaru zabierać w nim głosu i bronić tej lub tamtej strony. Ograniczamy się do stanowiska sprawozdawczego, nie ukrywając jednak własnego poglądu. Jeślibyśmy chcieli określić obecny stan sporu, to z całego szeregu bardzo znamienitych objawów dochodzimy do wniosku, że po chwilowem zwycięstwie systemu utylitaryzmu budzi się coraz żywsza reakcja i rośnie niezadowolenie ze szkoły średniej, antyklasycznej, rozwiniętej w specjalne typy (interesujące szczegóły przynosi drugi numer „Muzeum” z b. r. na str. 168, w sprawozdaniu p. t. „Sprawa kształcenia humanistycznego u nas i zagranicą”). Jako jeden z objawów reakcji budzi się w narodach zachodnich żywy odruch przeciw utylitarystycznemu pojmowaniu życia wogóle, a szkoły w szczególności. Wychodzi on zarówno ze sfer katolickich, jak i protestanckich, zarówno świeckich (filologów, a nawet przyrodników) jak i duchownych. Przed kilku zaledwie dniami w parlamencie francuskim po bardzo gwałtownej opozycji lewicy (socjalistów i komunistów) przeszedł program rządowy, zmierzający do nadania szkołom średnim kierunku klasyczno-humanistycznego. Francja i tu przoduje swoim przykładem.

U nas, podobnie jak 150 lat temu utylitaryzm w szkolnictwie Komisji edukacyjnej zwyciężył szkolnictwo jezuickie, stojące zawsze za systemem ogólnie kształcącym, klasycznym, a zwyciężył (zresztą niezupełnie w tem wielki rozum twórców Komisji) częściowo dzięki pewnym niedomoganiom szkoły jezuickiej, częściowo dzięki sprzyjającej temu zwycięstwu kasacie zakonu, tak i po odzyskaniu niepodległości ten sam utylitaryzm wziął górę i w tym kierunku pchnął nasze szkolnictwo średnie. Dziwna rzecz, że ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego aż do ostatnich tygodni było w mniejszym lub większym stopniu pod wpływem i kierownictwem sympatyków socjalizmu (pierwszy min. Praus, ostatni Pomorski). Reformę narzucono zgóry, wśród licznych i energicznych protestów. Dziś, zaledwie po kilku latach próby, budzi się silna reakcja i niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy; program rządowy spotyka się z coraz bezwzględniejszą krytyką.

Wyrazem tego niezadowolenia jest ogłoszona w ostatnim numerze kwartalnika pedagogicznego, wydawanego przez Książnicę Polską Tow. N. S. W. „Muzeum” ankieta na temat: Przygotowanie do studiów uniwersyteckich. Odpowiedzi na nią z tego względu są bardzo interesujące, że w ogromnej większości głosów samorzutnie zamieniły się w krytykę obecnego systemu szkół średnich. Na dziesięciu profesorów — pedagogów — uczonych, aż 9 niezadowolonych z niego, 5 oświadcza się stanowczo za gimnazjum klasycznym, 4 nie zajmuje się tym problemem, ale też nie są przeciw gimn. klasycznemu, odpowiadają bezpośrednio na temat ankiety a jeden tylko jest za obecnym systemem szkolnym.

Jeżeli po sumiennem przestudjowaniu wszystkich odpowiedzi przeczytamy krótki, stronicowy zaledwie wstęp, to wprost ze zdumieniem dowiemy się, że wobec zbytniego zróżnicowania się współczesnego życia, które nie da się ująć w jedno łożysko, zabierający głos w ankiecie opowiedzieli się, konsekwentnie za zróżnicowaniem typów szkoły średniej, a więc wniosk ich poszły po linii dotychczasowych dążeń ministerstwa W. R. i O. P. Nie! wierzyć się nie chce! Przecież wynik ankiety jest wprost przeciwny! Nie ufamy jednak sobie, czytamy jeszcze raz wszystkie odpowiedzi, patrzymy kto jest redaktorem „Muzeum” i wreszcie rozwiązujemy zagadkę. Jedyną odpowiedzią, oświadczającą się za obecnym utilitarystycznym systemem typów jest opinia samego redaktora „Muzeum” p. L. Bykowskiego. Ponieważ reszta odpowiedzi zawiodła oczekiwanie redakcji i zbyt odbiegła od jej przewidywań, a p. Bykowski uczuł się znanym w sądzie swoim osobnym, wobec tego stara się wrażenie trochę zatrzeć i zmodyfikować.

Że mamy słuszność, pokaże bliższe zapoznanie się z poszczególnymi odpowiedziami. Najciekawszą ze wszystkich jest opinia prof. W. Lutosławskiego z Wilna. Czytając ją, zdumiewamy się poprostu i musimy jej w całej rozciągłości najszczerzej przyklasnąć. Gdyby z podobnym sądem wystąpił choćby nawet bardzo poważny kapłan-pedagog, toby napewno okrzyczano go za wstecznika i zacofańca, szanowanego profesora, nazwą ci sami... utopistą. Otóż zdaniem Lutosławskiego, celem szkoły średniej nie jest zdobycie jaknajwiększej sumy wiadomości pozytywnych, ale taki wyrobienie umysłu, aby był zdolny do dalszych uniwersyteckich studiów i do życia. Dla człowieka zupełnie jest obojętnym, czy w 15 roku życia czy też dopiero w 40 dowie się, że kwas solny rozpuszcza marmur lub usłyszy o tysiącu podobnych faktów, ale wcale dlań nie jest obojętnym, czy nauczy się przed 20 rokiem myśleć logicznie, rozumować, wyrażać się poprawnie itd. Tych wyników nie da się żadną miarą, zdaniem prof. L. osiągnąć w stopniu zadawalniającym przy obecnym systemie szkolnym. Powołując się na doświadczenie swoje i innych, stwierdza, że do studiów uniwersyteckich na wydziałach przyrodniczych najlepiej są przygotowani wychowankowie szkół klasyczno-humanistycznych, a nie typu przyrodniczego. Dlatego oświadcza się za gimnazjum klasycznym z łaciną i dwoma językami nowożytnymi (francuskim i angielskim), oprócz rozumie się ojczystego, za dużem uwzględnianiem historii i geografii, byleby nauka tych przedmiotów nie była bębnieniem na pamięć setek dat i nazw, a wreszcie za dużo szerszem uwzględnieniem, po macoszemu dziś traktowanych

nauk filozoficznych: logiki, psychologii, etyki i metafizyki. Drugiem zadaniem szkoły średniej ma być wychowanie człowieka, wyrobienie silnej woli i charakteru. Fundamentem, na którym to wyrobienie ma się oprzeć, jest religja. Co do nauki religji, prof. L. jest przeciwny uczeniu suchego katechizmu w niższych klasach, dopiero od 14 roku radzi zacząć jego naukę. Całe poprzednie nauczanie religji powinno przede wszystkim polegać na zapoznaniu młodzieży z życiem P. Jezusa, Apostołów.

Że Ks. Dr. A. Gerstmann, prof. teol. ze Lwowa jest za gimnazjum klasycznym, to było można zgóry przewidzieć. Za najlepsze przygotowanie do studiów teologicznych uważa 4-klasowe gimnazjum, a nie dzisiejsze 5-klasowe na fundamencie trzyklasowej szkoły niby średniej niby niższej. Pragnąłby jednak w tem gimnazjum widzieć w dużo szerszym zakresie uwzględnioną propedeutykę filozofji.

Dr. J. Makarewicz ze Lwowa, znany ekonomista, za cel szkole średniej przeznacza takie przygotowanie umysłu, aby był zdolnym potem bez trudności dalej samodzielnie pracować. Dla przyszłych słuchaczy prawa uważa za nieodzowną znajomość łaciny, historii powszechnej i ojczystej, pewnej wiedzy z zakresu t. zw. nauk obywatelskich, także propedeutyki filozoficznej.

Kwestją: szkoła średnia a medycyna, zajmuje się prof. uniwersytecki Dr. W. Sieradzki. Szkoła średnia wtedy, zdaniem jego, należycie przygotowuje do studjum medycznego, jeśli w przyszłym słuchaczu rozwinie należycie umysł i charakter. Dokonać tego może najlepiej tylko gimnazjum klasyczne. Najmniej nadaje się na przygotowanie do studjum medycyny (a więc nauki o charakterze przyrodniczym) typ szkoły średniej matematyczno-przyrodniczy. Naprawdę cenne wyznanie. Ponieważ zaś abiturjenci gimnazjum klasycznego nie będą posiadali dostatecznych wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych, przeto prof. S. jest raczej za wprowadzeniem na wzór francuski dodatkowego, wstępnego roku studjum, przed właściwą medycyną, niż za usuwaniem gimnazjum klasycznego.

O stosunku szkoły średniej do medycyny, a także do studjum leśniczego, mówi również prof. Dr. E. L. Niezabitowski z Poznania. Nie porusza on wprawdzie kwestji typów, kładzie nacisk na znajomość nauk przyrodniczych, żąda jednak także i nauki łaciny.

Przygotowaniem kandydata na wydział filozoficzny zajmuje się prof. J. Kleiner ze Lwowa, a więc pierwszorzędna pod tym względem powaga. Dzisiejsza szkoła średnia nie przygotowuje dostatecznie do studiów uniwersyteckich, dlatego że nie rozwija myśli i woli. Młodzież powinna przynosić na uniwersytet zdolność jasnego, logicznego myślenia i formułowania myśli, swobodnego operowania materiałem myślowym, szybkiego orjentowania się i należytego kombinowania, jak i umiejętność systematycznej pracy i poczucie obowiązku. Dla przyszłego kandydata na studjum humanistyczne stawia następujące wymagania: 1) poprawne władanie językiem polskim w mowie i piśmie, znajomość literatury polskiej i obcej przynajmniej w największych dziełach. 2) znajomość historii powszechnej a dokładna polskiej, znajomość geografji ze szczególnem uwzględnieniem ziem polskich. 3) znajomość łaciny, zdolność czytania prozy łatwiejszej

bez słownika, trudniejszej i wiersza ze słownikiem, ogólne orjentowanie się w kulturze klasycznej. 4) znajomość jednego przynajmniej języka nowożytnego, znajomość pojęć filozoficznych i zagadnień zasadniczych filozofii. 5) z nauk przyrodniczych pewną umiejętność obserwacji zjawisk i orjentowania się w klasyfikacji, umiejętność rozwiązywania prostych zagadnień matematycznych.

Jako przygotowanie dla studenta filozofii, pragnącego się poświęcić specjalnie studjom psychologii, W. Witwicki z Warszawy, uznaje tylko gimnazjum klasyczne. „Bez łaciny i greki lepiej nie zaczynać wogóle” — oto lapidarny wyrok fachowca w nauce, która bądź co bądź w dużym stopniu jest nauką pozytywną, eksperymentalną.

Jako kwalifikacje adepta studjów pedagogicznych, które — zaznaczamy wyraźnie — odbywają się dopiero po ukończeniu uniwersytetu, uważa p. P. Sosnowski z Warszawy kulturę naukową, pewne wyrobienie społeczne, kulturę estetyczną, obycie towarzyskie i poczucie potrzeby kultury ciała. Czy te wszystkie warunki dadzą się łatwiej osiągnąć w gimnazjum klasycznym humanistycznym, czy w przyrodniczo-matematycznym, sądzimy, że nie może być dwu zdań.

Stanowczym przeciwnikiem specjalizacji w gimnazjach jest prof. mat. na uniwersytecie w Krakowie St. Zaremba. Szkoła średnia ma wyrabiać umysł młode w logicznem myśleniu i rozumowaniu. Opierając się na długoletniem doświadczeniu, żąda, aby nauka w szkole średniej była jak najgruntowniejszą, aby na ilość zdobytych wiadomości mniejszą zwracano uwagę, przeto należy zakres przedmiotów i ich rozległość raczej zmniejszać, a nie rozszerzać, sam jest przeciwny wprowadzeniu do nauki matematyki w szkołach średnich rachunku różniczkowego, wolałby nawet, żeby obecny materiał został ograniczonym ściśle do tego kompleksu wiadomości, które nazywają się matematyką elementarną.

Tylko prof. L. Bykowski chce, aby szkoła średnia oprócz wykształcenia ogólnego przygotowywała przez typy do studjów specjalnych, dlatego znajomość filologii klasycznej dla ogółu uważa za zbyteczną, nie chce jednak do studjów przyrodniczych zamykać drogi wychowankom gimnazjum klasycznego, owszem sądzi, że dopuszczenie do studjów przyrodniczych jednostek o rozmaitem przygotowaniu ogólnem, może nawet korzystnie odbić się na całości studjów.

Tak się przedstawiają odpowiedzi na omawianą ankietę. Brak między niemi głosów przedstawicieli politechniki i akademii sztuk pięknych. Jakby się przedstawiała opinia tych ostatnich, nie można chyba powątpiewać. O poglądach profesorów politechniki trudno przesądzać, może i oni wypowiedzą się w tak ważnej sprawie. Bardzo interesującą uwagę robi prof. Lutosławski o stosunku szkolnictwa średniego do studjów politechnicznych, przyrodniczych i praktycznych. „Ilość szkół realnych rosła ustawicznie w ciągu lat ostatnich, czy ilość inżynierów, handlowców, rolników, którzy złożyli publicznie dowody swej twórczości umysłowej, jest proporcjonalna do ilości tych, co ukończyli szkoły realne, jeśli tę ilość porównać z ilością rozmaitych nauczycieli, lekarzy, prawników, księży, co ukończyli gimnazja klasyczne?” — Zapewne po latach kilkun-

stu, jeśli obecny system wychowania średniego nie ulegnie zmianie, będziemy mogli przeprowadzić bardzo ciekawą statystykę, ilu najwybitniejszych uczonych, działaczy, inżynierów, rolników, lekarzy, przemysłowców itd. wyszło ze szkół typu klasycznego, a ilu z matematyczno-przyrodniczego. Nie chcąc zgóry wyrokować o wyniku tej statystyki, chcielibyśmy zaznaczyć, że utilitaryzm, zwłaszcza w tak subtelnej dziedzinie, jak szkolnictwo i wychowanie, choćby pochodził ze szlachetnych pobudek, nie jest najlepszą drogą do celu i wcale nie przynosi tych korzyści, jakich od niego wyczekiwano. Jeżeli gdzie, to w wychowaniu trzeba trochę więcej idealizmu. A najbardziej idealnem jest właśnie wychowanie humanistyczne. Subtelne i głębokie jest hasło rzucone przez Fr. Nägelsbacha, prof. w Erlangen, którego cytuje autor wspomnianej przez nas notatki: „Sprawa wykształcenia humanistycznego...”: „Trwajcie silnie przy studiach klasycznych, gdyż w przeciwnym razie nastanie barbarzyństwo; trwajcie też silnie przy Ewangelji, gdyż w przeciwnym razie nie będziecie rozumieć starożytności i ogarnie was nowe pogaństwo”.

Ks. St. Bednarski T. J.



REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 1 sierpnia 1923 r.

Studjum św. Pawła.¹⁾

I.

Św. Augustyn opisuje w swych „Wyznaniach“ (8, 12), iż kiedy dusza jego targana była walką wewnętrzną, usłyszał głos: Tolle, lege — bierz i czytaj! Wziął tedy do ręki listy apostołskie i nagle wzruszył się tak myślami św. Pawła, iż postanowił zerwać z życiem pogańskim i stać się uczniem Chrystusowym. Charakterystyczna to scena! Z największym z Apostołów spotyka się tu najgłębszy wśród doktorów Kościoła myśliciel. Dwaj luminarze chrześcijaństwa zawierają, rzekłbym, przyjaźń nierozzerwalną; a mogli ją zawrzeć, bo były to dusze pokrewne. Cechuje ich równa głębokość umysłu, równa samodzielność intelektualna, równa nieugięta woli stanowczość i równo silne napięcie uczucia religijnego. Św. Augustyn potrafił zachwycać się św. Pawłem, bo jak mało kto rozumiał on trudne i zawiłe argumentacje rabбина z Tarsu i umiał się wczuwać w jego świat duchowy. Do tego dodajmy, że życie obydwu Świętych toczyło się podobnymi kolejami. Jeden i drugi był przed nawróceniem grzesznikiem, chociaż każdy na inny sposób, i tak jeden jak drugi poznał potęgę łaski Bożej — i stąd tłumaczy się, że studjum św. Pawła w życiu biskupa z Hippony dominującą odgrywało rolę.

Ażali postać wielkiego Apostoła Narodów już leży w tak dalekiej przeszłości, iż umysłem współczesnego pokolenia całkiem jest obcą i one jej najwyżej poświęcić mogą ulotne wspomnienie historyczne?

¹⁾ Wykład wygłoszony na zjeździe Księży w Poznaniu.
Prz. Pow. t. 159.

Ludzkość ma swoje metamorfozy. W każdym wieku podnoszą się nowe hasła i szerzą się nowe kierunki, podlegające powolnym zmianom i pewnemu procesowi doskonalenia się. Począwszy od rewolucji francuskiej, wysuwały się na pierwszy plan zagadnienia społeczne; spowodowały one odpowiednią koncentrację energii ludzkiej, ale równocześnie wpłynęły na historjozofję, która odtąd wszędzie w zjawiskach dziejowych kazała szukać wpływów socjalnych i działań masowych, a pracę jednostki i znaczenie osobistości odsuwała daleko w cień. Zrodziła się reakcja, zapoczątkowana już przez Nietzschego i Carlyle'a, by „ja“ człowieka znów postawić na należnym mu piedestale. Przekonano się, że indywidualności silne i umysły twórcze na wieki całe nadawały kierunek myślom ludzkim i że wogóle w ewolucji kultury stanowią faktora niepospolitej wartości. Zaczynają przeto historycy przy umiejętnem łączeniu faktów dziejowych wnikać w dusze ludzi, występujących na arenie światowej.

Z tych właśnie względów powinna historia nadprzyrodzonej instytucji Bożej t. j. Kościoła św., stosując się do metody bieżącej, więcej uwzględniać działalność poszczególnych mężów Bożych i starać się poznać ich indywidualność. Rzecz jasna, że w związku z tem o św. Pawle zapomnieć nie wolno.

Społeczeństwo dzisiejsze pragnie poznać bohaterów religij, jak wogóle pragnie powrotu do Boga. Wszędy słychać głosy, by kres położyć naturalizmowi Goethego i estetyzmowi Wagnera, by w miejsce Homera i Fausta postawić ewangelję i apostołikon, czyli Jezusa i Pawła. Lecz z drugiej strony nietrudno zauważyć, że prawdy chrześcijańskie, podawane w dawnej szacie katechizmowej, nieraz wywołują niesmak, że nie nasycają całkiem głodu duszy wątpiącej. Jednakże mylnie sądzonoby, że tu winę ponosi ewangelja, jakoby ona już nie wystarczała obecnej generacji, jakoby ją odświeżyć trzeba obcą krwią, chociażby wziętą z żył mędrców indyjskich Tagora lub Sundar Singha.

„Któż poznaje rozum Boży“ woła Izajasz (40, 13), Paweł dodaje: „O głębokości bogactwa i mądrości Bożej“. (Rzym. 11, 33), a słowa te nastrezczają wniosek, że misterja objawione są krynica niewyczerpaną, dostarczającą ludzkości napoju życia po wszystkie czasy; zmieńmy naczynie,

w którem wiernym podajemy wodę Chrystusową, spuścmy je głębiej aż do dna, a przybierze ów trunek świeżości orzeźwiającej. Obok momentów bowiem, wyzyskanych przez teologów i ujętych w system dogmatyczny, zawiera objawienie jeszcze inne składniki, któremi dusza może się pokrzepić i które właśnie przez genjuszów naszej religji zostały spostrzeżone i uwydatnione. Augustyn, Franciszek z Asyza, Ignacy z Lojoli, z nowszych Pascal i Newman — oto nazwiska kilku najwybitniejszych. W literaturze katolickiej spotyka się coraz częściej przekłady ich pism, aby ogień, trawiący ich dusze, rozpałił na nowo iskrę chrześcijańską, zaledwo tlejącą we wnętrzu człowieka współczesnego.

Czyż nie należy w szeregu tych autorów także postawić św. Pawła? Jego spuścizna literacka mieści się coprawda w ciasnych ramach, ale za to tem ciekawszą i głębszą zawiera treść.

W łączności z tem warto jeszcze podkreślić inny punkt. Wszakże więcej niż zimne rozumowanie, niż nauki abstrakcyjne kształci i wychowuje człowieka wpływ osobisty. Nie tylko treścią kazań, ale przedewszystkiem osobistością swoją przywiązał Chrystus Pan do siebie Apostołów, przygarnęli Apostołowie do siebie swych współpracowników. Oczywiście — żaden apóstolus redivivus nie może stanąć wśród nas, żaden z hagiografów Nowego Testamentu nie może nam nauk, złożonych na piśmie, powtórzyć i wytłumaczyć żywym słowem. Lecz obecność rzeczywistą pewnej osoby zastępują listy, bo w korespondencji prywatnej odbija się najwyraźniej właściwe oblicze człowieka. Porównywując poszczególne Księgi Nowego Testamentu, zauważymy, że prawie wszystkie mają charakter nieosobisty, t. j. że autorowie jedynie piszą o obiektywnych prawdach i zdarzeniach, a nie o sobie, chyba że przypadkowo wspomną o jakim szczególe ze swego życia. Listy Pawłowe przeciwnie mają koloryt osobisty. Apostoł nie umiał się taić a co miał w sercu, też napisał. Przechowała się tylko część jego korespondencji i to niewielka, ale mimo to jest on, jak powiedział Deissmann, tym człowiekiem świata antycznego, którego duszę najlepiej znamy. Dlatego też w wyobraźni swej możemy się łączyć z duchem Apostoła przez lekturę jego pism, a rozważając je, stoimy pod uro-

kiem jego osobistości, odczuwamy na sobie działanie promieni, otaczających głowę Mojżesza Nowego Zakonu — a przez to zbliżamy się więcej do naszego Boga i Pana.

II.

Więc psychika współczesnej ludzkości domaga się studjum św. Pawła. Nadto jest postać jego tak wspaniała, jego znaczenie dziejowe tak olbrzymie, jego działalność tak obfita w plon wiekopomny, że winno mu się poświęcić wyęzione badania.

W historii religii i teologii imię jego wciąż się powtarza, od początków chrześcijaństwa aż do dnia dzisiejszego. Już za życia Apostoła, kiedy w gminie korynckiej powstały partje i niektórzy chełpili się osobliwą łącznością z Chrystusem, powoływali się inni na Pawła, nazywając się z naciśkiem uczniami jego szkoły; wysuwali niejako Apostoła przeciw Chrystusowi, za co oczywiście doznali należytego skarcenia. Antytetyczne konfrontowanie Jezusa z Pawłem ma się i później powtarzać. Jakkolwiek to smutny fakt, świadczy on wymownie o powadze Apostoła Narodów.

W drugim wieku wykreśla Marcjon wszystkie prawie księgi z Kanonu oprócz 10 listów Pawłowych; uznawał on Jezusa, ale nie tego, co uczył i cierpiał wedle synoptyków i Jana, lecz tego, co według Pawła jest „Panem“, królującym po prawicy Ojca. Spadkobierczynią idei Marcjona staje się t. zw. reformacja, która się tem rozpoczęła, że mnich niemiecki, szukający płaszczyka dla swej zmysłowości, ogłosił jako wielką nowość powrót do nauki Pawłowej, zapoznanej rzekomo i sfałszowanej przez Kościół rzymski. Jezusa katolickiego chciał apostała wirtemberski zastąpić Chrystusem Pawłowym. Luteranizm nie ostał się na długo. Po trzech wiekach przekształcił się w neoprotestantyzm czyli liberalizm, wprowadzający kierunek przeciwny. Hasłem tych teologów jest powrót do Jezusa Ewangelicznego i odwrót od Pawła, który z Jezusa Mesjasza uczynił Chrystusa Pana i Boga. Uważają, jak np. Arnold Meyer i niedawno jeszcze filozof niemiecki Blüer, Pawła za założyciela chrześcijaństwa i równocześnie za deprawatora czystej religii Jezusowej, gdyż do niej wprowadził elementy pogańskie, hellenistyczne.

W ostatniej dobie znów następuje zmiana frontu. Co-raz częściej słyszy się dziś, że w badaniu istoty chrześcijaństwa pierwotnego zachodzi pewne zbliżenie się katolików i protestantów. Fakt ten polega na tem, że krytycy liberalni rozbili mur, którym sami oddzielali Pawła od Jezusa. Jako łącznik między Apostołem a jego Mistrzem wsunęli religię i naukę pierwszych gmin chrześcijańskich, tak aramejskich jak hellenistycznych (tak zw. christianisme antepaulinien). Skonstatowano takim sposobem, co egzeza katolicka już dawniej głosiła, że religja ucznia Gamaliela wyrosła z ziarna, sianego przez Syna Bożego, i soki żywotne czerpała z wizji pod Damaszkim. Pogański Tarsus zrodził jedynie żyda Szawła a nie chrześcijanina Pawła. Stwierdzili więc bibliści jednego i drugiego obozu, że Paweł jest bliskim Jezusa pod względem nauki, a dalekim od Niego pod względem autorytetu.

Paweł nie założył chrześcijaństwa, a tem mniej skaził on je. Jeżeli chcemy scharakteryzować jego dzieło, trzeba nam wybrać dla niego przydomek: organizatora chrystjanizmu. Podobną nazwę sam sobie przybrał, pisząc do Koryntjan: *ὁς σοφὸς ἀρχιτέκτων θεοῦ ἐστίν ἐθηξά* (1 Kor. 3, 10). Nad rozpowszechnieniem, wzmocnieniem i uświęceniem Kościoła Bożego i wielu innych pracowało, tak w pierwszym wieku jak i późniejszych czasach, ale słowa Pawła do Koryntjan (1 Kor. 15, 10): *abundantius illis omnibus laboravi*, zawierają prawdę bez najmniejszej przesady. Jest on — biorąc rzecz ściśle a nie panegirycznie — mężem największym wśród chrześcijan a równy jemu bodaj się znajdzie. W jego osobie trzeba najpierw i przede wszystkim podziwiać obfitość łaski, która nań spłynęła i go uczyniła owem „naczy-niem wybrania“, a potem także bogactwo darów przyrodzonych. Był on już przed swoim nawróceniem młodzieńcem niepospolitym, w szkole rabbinów wybił się wysoko ponad resztę uczniów, i w nim właśnie, mówi Kard. Newman, nie potrzebowała „łaska zastąpić natury“, jak w innych Świętych, lecz miała ją tylko oczyścić, uszlachetnić i spotęgować.

Ruchliwość, sprężystość i wytrwałość, wzgarda świata wraz z lekceważeniem wszelkich przeciwności — oto wybitne cechy jego charakteru, czyniące go zdolnym do pod-

jęcia misji tak trudnej, jaką naonczas było bezsprzecznie apostołowanie czyli zewnętrzne organizowanie Kościoła uniwersalnego. Był zdrowia słabego, ale siłą woli i pewną autosuggestją potrafił zrobić z siebie zahartowanego żołnierza. Jeżeli wiarę damy legendarnej tradycji (Acta Petri), to był on: „wzrostu niskiego, miał łysą głowę, krzywe nogi, zrosnięte brwi i wystający nos“, lecz dalej mówi autor apokryfu, że „niekiedy twarz jego jaśniała jakoby anioła“; a tu może zachował się pewien rys historyczny, mianowicie, że olbrzym-duch był panem wątlej ciała, że wzrok jego jak magnes działał na słuchaczy.

Wśród wszystkich innych misjonarzy wyróżnił się tem, że 1) obrał sobie pole najobszerniejsze, 2) że przeprowadził systematyczną misję wśród pogan, 3) że uwolnił chrześcijan od zakonu Mojżeszowego.

Codziennie niejako wbijały mu się w pamięć prorocze słowa Syna Amoca (54, 2): „Rozpostrzeń miejsce namiotu twego i rozciągnij okrycia przybytków twoich; nie folguj i uczynź długie powrózki twoje....“ i wciskały mu się na usta szepty: *amplius, amplius*. Roku 58 już może pisać o sobie (Rzym. 15,19): „Od Jerozolimy do Illyrii napełniłem ziemię ewangelją Chrystusową“, lecz zaraz kilka wierszy niżej dodaje: „Muszę pójść przez Rzym do Hiszpanji“. Gdyby dziś ktoś chciał pieszo przebiec jako siewca ziarna Bożego przestrzeń od Moskwy do Paryża, od fiordów norweskich do wybrzeży sycylijskich, zdawałoby się szaleństwem — a jednak dokonał tego przed 20 wiekami na innym terenie ubogi rzemieślnik żydowski. Otulony w zakurzone i przepocone himatjon greckie, z miechem podróżnym na plecach a wiarą w piersiach, kroczy jako zwycięzca po prowincjach cesarstwa rzymskiego. Wszędzie rozpowszechniony język grecki ułatwiał mu pracę, ale utrudniały mu ją setki bogów i bożków, cieszące się ogólną czcią, a którym przychodził wymierzać śmiertelne ciosy. Przytem nie kryje się ze swemi zamiarami, nie zachodzi do małych miasteczek i wiosek, lecz do wielkich miast i stolic prowincyj, nie w kółkach zamkniętych głosi swoją naukę, ale publicznie na nabożeństwach w bożnicach, na forum ateńskim, w auli szkoły Tyranna w Efezie. Stale napotykał na trudności, ale nie tyle ze strony

pogan, ile ze strony żydów i części żydo-chrześcijan, w których oczach zdawał się być zdrajcą i apostatą.

Dla rozumu żydowskiego było myślą niepojętą, by nieobrzezaniec miał mieć te same prawa w królestwie mesjańskim co potomek Abrahama. Dlatego też apostołowie zrazu nieśmiało zaczęli nawracać pogan, pomimo że mieli wyraźny rozkaz, by głosić ewangelję wszystkim narodom. Potrzeba było nawet osobnego znaku Bożego, by Piotr ochrzcił pierwszego poganina, setnika Korneliusza. Dopiero w kilka lat później odważyli się żydzi-helleniści z Cypru i Cyrenaiki na misję wśród pogan antiocheńskich. Paweł dzieło tychże śmiałych uczniów Ewangelji konsekwentnie i systematycznie przeprowadził, nie zważając na sprzeciwy chrześcijan palestyńskich i powołując się na zlecenie Pana, który doń rzekł (Dz 22. 21): „Idź bo do pogan daleko posyłam Cię!” Jest przeto walną jego zasługą, że ciasnemu partykularyzmowi żydowskiemu przeciwstawił ideę uniwersalności chrześcijaństwa.

Atoli inna kwestja nie była jeszcze rozstrzygnięta: Czy poganinowi wolno stać się bezpośrednio chrześcijaninem, nie zostawszy przedtem żydem t. j. nie przyjąwszy poprzednio obrzezania oraz zobowiązania na liczne przepisy starozakonne? Przyszło r. 49 do obrad w Jerozolimie, gdzie nasz Apostoł uzyskał przewagę ze swem zdaniem, że poganom przysługuje zupełna wolność od tory. Później jeszcze dalej idzie i wobec Piotra oświadcza bez ogródki, że żyd-chrześcijanin również już nie ma nad sobą zakonu, że przez przyjęcie chrztu uwolnił się od pęt Mojżeszowych. W liście do Rzymian zdanie swoje bliżej uzasadnia i w poczuciu wygranej woła głosem triumfującym: „Wyzwoleni jesteśmy z pod jarzma zakonu, umarliśmy dla dawnego ciemieńczy; jesteśmy odtąd sługami w duchu nowym, a nie wedle liter przestarzałych” (7, 6).

Przejdźmy następnie do organizacji wewnętrznej, dokonanej przez Apostoła, do jego pracy nad Credo pierwszej gminy.

Według własnego wyznania był Paweł nie tylko *κηρυξ* και *ἀπόστολος*, ale także *διδάσκαλος τῶν ἐθνῶν*, doctor gentium jak wulgata tłumaczy; stał się razem z innymi apostołami

stóżem świętego skarbu wiary, który mieli innym przekazywać, ale z drugiej strony także sami coraz dokładniej zgłębiać i poznawać. Chrystus zostawił uczniom ewangelję, a nie dogmatykę, ale na Kościół spadł obowiązek, by ewangelję rozwinąć w dogmatykę. Już w dzień Zielonych Świątek widzimy zapoczątkowanie tej pracy teologicznej, kiedy słyszymy Piotra w swem kazaniu zastosowującego do Pana Jezusa proroctwa Starego Zakonu. Dalsze dociekania zrazu tylko powoli naprowadzają na nowe myśli, dopóki nie sięgnął w głąb Ewangelji subtelny umysł ucznia faryzeuszów, który się staje nieomal pierwszym nad wszelki wyraz płodnym i twórczym teologiem. Przez następne cztery wieki snadź nie wypowiedziano tyle nowych myśli teologicznych, ile Paweł rozprowadził w przeciągu ćwierć wieku.

Paweł jest myślicielem. Słowo Pascala: *toute notre dignité consiste en la pensée* zdaje się w nim przybierać kształtów realnych. Nie zadowala go powtarzanie prawd, usłyszanych od starszych apostołów; on chce się niemi przejąć, je zgłębić, ze sobą połączyć i uzasadnić. Nie zawsze zgodzimy się na jego argumentację, np. gdy usprawiedliwienie przez wiarę udowadnia na podstawie przykładów ze Starego Testamentu, ale większa część jego myśli i dedukcyj utworzyła zrąb naszej dogmatyki, a według Grabmanna, najlepszego znawcy historii scholastyki, stało się egzegezwowanie listów św. Pawła właściwym początkiem wszelkiej spekulacji teologicznej i metody scholastycznej.

Apostoł przedstawia na swój sposób prawdy, znane skądinąd. By licznym poganom przechodzącym z mitraizmu do Kościoła jaśniej uwydatnić znaczenie Chrystusa, nazwał go „pośrednikiem” (*μεσίτης*), który to tytuł był Mitrze właściwy. Nie zmyślił tu jednak nowego dogmatu, boć już przedtem chrześcijanie wyznawali, że Jezus łączy człowieka z Bogiem, ale określił dosadniej tęże myśl i utworzył nowy wyraz techniczny. Gdy np. opisuje skutek chrztu św., nie pisze wprost, że chrzest gładzi grzechy, lecz że łączy najpierw człowieka wewnętrznie i mistycznie z Chrystusem pożywanym i zmartwychwstałym — na co wskazuje zanurzanie się w wodzie i wynurzanie się z niej — i że ta unio mystica dopiero powoduje oczyszczenie duszy. Drobną to

różnica w porównaniu do zwykłej naszej nauki. Ponieważ istoty rzeczy nie zmienia, dogmatyk jej nie poświęca baczniejszej uwagi, ale historyk ją podziwia dla jej oryginalności.

Prawda, że na wielkość Pawła jako teologa zwrócili dopiero uwagę ostatnie wieki, ale Kościół go w liturgii już zawsze czcił jako „nauczyciela narodów“ (Doctor gentium). Zawsze też wierni i teologowie — często wprawdzie nieświadomie — myśleli jego myślami i posługiwali się słowami i zwrotami, utworzonymi przez niego. Bo Pawłowi zawdzięczamy wielki zasób kościelnych wyrażen technicznych (np. odkupienie, usprawiedliwienie, Chrystus pośrednik, Kapłan Nowego Zakonu itd.), a któżby pomyślał, że formuły, tak często obijające się o uszy nasze, Dominus vobiscum—et cum spiritu tuo, lub zakończenie modlitw: per Dominum nostrum Jesum Christum są tworam Apostoła, w których oko znawcy spostrzega dokładne ślady jego indywidualności?

Wszakże warto badać szlaki paulinizmu!

III.

Naszkcikowałem główne zasługi św. Pawła, by wskazać na konieczność i pożyteczność studjum jego pracy i osobistości.

W średniowieczu żył jedynie duch Pawła, ale imię jego — od wieku IV stale połączone z imieniem św. Piotra z powodu tradycji o jednoczesnej ich śmierci — obok pierwszego papieża traciło swój blask, a Dante w swym paradiso ani wzmianki o nim nie umieścił. Niewątpliwą przyczyną tego częściowego zaniedbania była także trudność zrozumienia listów Pawłowych, na co już się skarży św. Piotr (2 Petri 2, 16). Rozkwit studjów filologicznych i historycznych w wieku XIX spowodował jasne określenie znaczenia św. Pawła, a odtąd na zawsze mu zapewnione jest jedno z najpocześniejszych miejsc w historii Kościoła.

Niedawno jeszcze zarzucano naszej egzegezie, i to z kół teologów katolickich, że za mało dotychczas opracowano świetną postać Apostoła i Nauczyciela Narodów. Z jednej strony zgadza się to, bo monografii wyczerpującej o nim nie posiadamy, ale dodaje, że jej narazie mieć nie możemy, bo

studja szczegółowe, czy to nad jego życiem czy nad formą i treścią listów, nie są ukończone, a porównawcza historia religii coraz to nowe wysuwa problematy.

Z drugiej strony może obecnie literatura katolicka poszczycić się wielu — częściowo znakomitemi — rozprawami, dotyczącymi Apostoła i jego teologii. Przez 300 prawie lat był Cornelius a Lapide dla egzegetów katolickich jedynym przewodnikiem przy studjowaniu listów apostoelskich; obok niego rozpowszechniano jedynie jeszcze komentarze św. Tomasza z Akwinu i homilje św. Jana Chryzostoma. Dopiero w roku 1864 ukazują się w Niemczech prace egzegetyczne prof. Bispinga, które wreszcie po kilkudziesięciu latach oczekiwały się uzupełnienia i poprawek w wydawnictwie ks. biskupa Schaefera. Przedtem był wydał Simar swą „teologję Pawłową“, która na owe czasy posiadała wielką wartość naukową. Albert Schweitzer w swej *Geschichte der paulinischen Forschung*, nie raczył wzmiankować tego dzieła, lecz jest to umyślna tendencja autora, by zignorować literaturę katolicką.

Od roku 1900 widzimy w warsztatach naszych biblistów ożywiony ruch. W wydawnictwie OO. Jezuitów: *Cursus Scripturae Sacrae* ogłaszają ks. ks. Cornely i Knabenbauer obszernie komentarze do listów Pawła, we Francji wychodzą prace OO. Dominikanów, Lagrange'a (listy do Rzymian i Galatów) i Vosté'a (listy do Efezów i Tesaloniczan), w Niemczech zaś publikują profesorowie fakultetów teologicznych i ich uczniowie poważne monografie o św. Pawle, bądź w *Biblische Studien*, bądź w *Neutestamentliche Abhandlungen*. Także w biblji Tillmanna są komentarze do listów wzorowo opracowane przez kilku wybitnych egzegetów. Wyżej wspomniane dzieło Simara dopominało się już oddawna nowego opracowania; dokonał tego po mistrzowsku profesor kolegjum jezuickiego w Enghien, O. Prat, w swej dwutomowej *Théologie de S. Paul*. Więcej o popularyzację chodziło temu samemu autorowi w książeczce p. t. *S. Paul* (Paris 1921). Do tegoż celu dążył także ks. Poelzl w swych znanych książkach: *Der Weltapostel Paulus*, i *Die Mitarbeiter des Weltapostels Paulus*.

Z polskich autorów wydał ks. Wrzoł w języku niemiec-

kim rozprawę o autentyczności 2 listu do Tesaloniczan, ks. Górski, popularne objaśnienia do wszystkich listów, a ks. arcybiskup Symon wydrukował (jako manuskrypt) nowy przekład pism Pawłowych. List do Rzymian wyszedł także osobno z licznymi uwagami za staraniem ks. Kanonika Nikła w Krakowie¹⁾. Nie wiele to wprawdzie, ale pocieszyć nam się wolno tem, że także w katolickiej Anglii, Hiszpanji i Włoszech tylko sporadycznie odpowiednie prace się ukazują. Jedynie Francja i Niemcy mogą się poszczycić bogatszą literaturą.

Wszystkie te prace i studja — to kwiaty wieńca czci i hołdu, który teologja nasza składa u stóp swego pierwszego i najwybitniejszego reprezentanta.

Czy Paweł sam kiedyś marzył o takiej chwale u potomnych? Nigdy zapewne — *praeterit figura huius mundi* (1 Kor 7, 34); tą myślą był nawskroś przejęty i tęsknił jedynie za połączeniem się z Chrystusem: *Cupio dissolvi et esse cum Christo* (Filip. 1, 23). Od jednego Chrystusa spodziewa się wieńca chwały, jak o tem pisze krótko przed śmiercią w liście do przyjaciela swego Tynoteusza (2 Tym. 3, 6). A gdyby go wtenczas zapytano, jakieby słowa umieścić mu na nagrobku, byłby zapewne wskazał na te właśnie wiersze:

W pięknych biegłem zapasach,
biegu w arenie dokonałem,
wierności zachowałem.

Przygotowany jest dla mnie sprawiedliwości wieniec,
który mi wręczy Pan....

Czyż nie tkwi w nich najwymowniejsze świadectwo o wielkości jego ducha i piękności jego duszy?

¹⁾ Na specjalną uwagę zasługują dzieła: *Benz*, die Ethik des Apostels Paulus (Freiburg 1912); *Bartmann*, Paulus (Paderbom 1914); *Scherer*, Der Völkerapostel Paulus und seine Bedeutung für die christliche Erziehung. (Regensburg 1917). Do szybkiej informacji może również służyć dzieło włoskie: *Arso*, La mente di San Paolo, (Milano 1893).

Ks. Aleksy Klawek.

O mistycyzmie cesarza Aleksandra I.

(Ciąg dalszy).

W 1808 r. w Wogezach, gdzie urzędowała swoje misje, „nowej łaski dostąpiła“ Juljanna od Boga. „Ręka Pańska stała się nad nią“, pisała później do Aleksandra ¹⁾. Duch Św. „miał wówczas zejść na nią, odsłonić jej tajemnice przyszłości i polecić jej, aby braciom otwierała oczy“. Odtąd apostołstwo baronowej staje się jeszcze głośniejsze, bo zaczyna „prorokować“. Przebiega wsie, miasteczka i prorokuje gawiedzi, maluczkim — w kościołach, w zajazdach, pod gołym niebem. Tłumaczy im, że Duch Św. przez nią przemawia — a Duch Św. wie wszystko, co ma nastąpić; grozi im prorokini, ostrzega lekkomyślnych, żąda bezwzględnej wiary dla siebie i zasłuchane tłumy elektryzuje swoją wysoką i namiętną elokwencją. Po większych miastach prorokuje mędrkom i starszyźnie. W Strassburgu naprzykład 1811 r. przepowiada obywatelom miasta „wielką wojnę Francji“, i wielka wojna w następnym roku rzeczywiście wybuchnie. W Genewie 1813 r. uprzedza mieszczan, że sprzymierzeńcy wtargną do miasta i po upływie trzech miesięcy, choć pobici pod Bautzen, staną jednak nad Lemanem. W 1814 r. upewnia królową Holandji, „że cesarz Napoleon powróci niebawem z wyspy Elby“, i błaga „jej brata księcia Eugenjusza“, aby nie brał udziału w tym powrocie. W czasie pierwszej re-

¹⁾ List Krüdenerowej do Aleksandra I z dnia 2 maja 1822. Św. Ma-
rja z pod Wybörgu.

stauracji, gdy bawiła w Paryżu, przez panią „de Bourbon” i panią „Descars” trafia do rodziny królewskiej i zaklina ją, „aby się przed Panem upokorzyła”, aby zarządzo 40-godzinne nabożeństwa i posty i wznowiono śluby Ludwika XIII. Prośby baronowej bez skutku nie pozostały, bo „Bóg miłosierdzia” odwrócił od Francji „klęskę rozbioru”.

„Spełniają” się więc proroctwa Juljanny i potęgują jej wpływy. „Nawróceni chrześcijanie”, pietyści, apostołscy bracia natarczywie domagają się od niej nowych rad i wskazówek, a nadewszystko nowych przepowiedni; chciwie je komentują i wielbią, gdzie mogą, święte posłannictwo natchnionej niewiasty. Należy przypuszczać, że Krüdenerowa w swojej egzaltacji wierzyła istotnie w posiadanie nadprzyrodzonych darów, oraz w misję szerzenia Królestwa Bożego na ziemi, jaką od Ducha Św. bezpośrednio miała otrzymać. Misji tej, jak widzimy, oddawała się z zapałem i poświęceniem, włączając się nieustannie po świecie i pociągając tłumy za sobą. Niemniej jednak stwierdzić musimy, że „świętobliwej prorokini-filantropce” chodziło nie tylko o los biednych i upadłych braci lub o chwałę Bożą, lecz i o własny interes.

Baronowa Juljanna lubiła zawsze grosz i oddawna potrzebowała grosza. Wśród „prac apostołskich” — nie zapominała o sobie: zadzierzgała stosunki w najwyższym świecie, jednała sobie bogatych przyjaciół, zwłaszcza możnych opiekunów i umiała dbać o nich ¹⁾.

Postać młodego cara, władcy najpotężniejszego imperjum w Europie, zwycięzcy, obrońcy ludów, marzyciela, który czytywał Biblię, który modlił się na placach i szukał towarzystwa mistyków, nie mogła nie zwrócić baczonej uwagi gorliwej apostołki. Aby dotrzeć do cesarza, postanawia Krüdenerowa zbliżyć się przedewszystkiem do jego otoczenia. Plany udają się w zupełności. Przez swych znajomych w Bruchsalu zaprzyjaźnia się z panną Sturdza i, nie tracąc czasu, nawiązuje z nią korespondencję, mającą trwać bez

¹⁾ Córkę swoją Julję wydała za mąż za barona Berkheima, którego brat był ministrem w Carlsruhe i cieszył się względami wielko-księżęcej rodziny. Przez niego wcisnęła się Juljanna na dwór badeński i przez parę lat zręczną prowadziła tam robotę dla siebie.

przerwy do wiosny 1815 r. W obszernych listach, obmyślanych na efekt w najdrobniejszym szczególe, wylewa baronowa zachwyty nad młodym „zwycięzcą”; unosi się nad jego kryształową duszą, nad jego „anielskiem”, miłującym prawdę i subtelnem sercem, a tak odmiennem od współczesnych mu serc; rachuje dni, kiedy będzie mogła go poznać i błaga Boga o tę łaskę jak najrychlej... Już nawet przeczuwa, że „Pan Niebios nie odmówi jej szczęścia ujrzenia cara, jeżeli tylko będzie żyła”... „Chwile te, pisze z zapałem do Roksany Sturdza, zaliczę do najjaśniejszych chwil mego życia. Wiele mam mu do powiedzenia, bom wiele wycierpiała dla niego... Jeden Bóg może przysposobić jego serce do przyjęcia moich słów... Nie trwożę się... Moim obowiązkiem jest być „sans peur et sans reproche”, jego zaś uchylić czoła przed Bogiem prawdy”.

Po wykrzyknicach i zachwytach nader umiejętnie wplata baronowa do swoich listów jakieś tajemnicze, przejmujące i niezwykle proroctwa. W jednym liście mówi „o wojnie, o morzu łez”; w innym „o krwawych kwiatach”; w innym znów o „nawałnicach, ciągnących na świat Boży”. „Zbliża się burza — brzmi jedno z tych proroctw — te lilje, które Odwieczny był dochował — symbol czystego i wiotkiego kwiecica — druzgoczące żelazne berło, gdyż Bóg tak postanowił..., te lilje, które winny były nawoływać do miłości Bożej i pokuty, pojawiły się, aby zniknąć... Nauka jest dana, a jednak ludzie bardziej zatwardziali niż kiedykolwiek, myślały tylko o zamieszaniu...” Po kwiatach i symbolach wyjeżdża na scenę w listach baronowej sam Beelzebub, książę ciemności! Beelzebub przeszkadza Juljannie rozmawiać z Aleksandrem o rzeczach Bożych, „ale Pan Zastępów — woła prorokini — jest silniejszy od diabła... Bóg, posługujący się nawet tymi, którzy w oczach świata są przedmiotem szyderstwa i pogardy, uczynił serce moje pokornem, nie szukajacem poklasku ludzi... Sama jestem nicością. — Bóg jest wszystkim i ziemski król drży przed Jego obliczem...”

Apokaliptyczne wynurzenia Krüdenerowej, oczywiście, przez pannę Sturdza trafiły do cesarza i żywo go zajęły. W szczególności zastanowiły go proroctwa o nowych wstrząśnieniach, mających niebawem nastąpić w Europie. Miał bo-

wiem dosyć walk i przelewu krwi. Straszne sceny, na które się napatrzył podczas ostatniej wojny, obudziły w nim odrazę do nowych krwawych zapasów. Pragnął gorąco pokoju i już od dłuższego czasu nosił się z zamiarem stworzenia jakiegoś związku, jakiejś federacji mocarstw, któraby mogła nieszczęśliwym ludom ów pożądany pokój zapewnić. Ale jaki miał być ten sojusz monarchów, początkowo nie здаwał sobie car dokładnie sprawy. W 1813 r. na polach bitew pod Lützen i Bautzen wspominał mu król pruski ¹⁾, największy jego przyjaciel, że, jeżeli Bóg pobłogosławi ich wysiłkom, „będą obowiązani wyznać przed światem, iż On jedynie był sprawcą zwycięstw“. Aleksander, jak wiemy, podzielał w zupełności te zapatrywania. Gdy więc wojna dla sprzymierzonych zakończyła się szczęśliwie, przyszedł car stopniowo do przekonania, że sojusz, o jakim marzył oddawna, winien być jednocześnie manifestacją uczuć religijnych ze strony panujących, pewnego rodzaju hołdem czci i wdzięczności, złożonym Bogu za wszystko, co im wyświadczył — słowem, przyszłe przymierze winno mieć koniecznie charakter religijny. Na dnie wszakże tych pomysłów Aleksandra tkwiła ciągle jedna główna myśl, jedno główne pragnienie, nie dające mu spokoju, pragnienie zadośćuczynienia Bogu, ekspiacji za swoją własną przeszłość... Chciał tą drogą, częściowo przynajmniej, płacić wielkie długi, które w sumieniu przed Bogiem zaciągnął...

Osobiście nie odezwał się cesarz do baronowej. Polecił jednak pannie Sturdza odpowiedzieć jej najserdeczniej, że chciałby się z nią widzieć i byłby „szczęśliwy, gdyby to mogło nastąpić“.

„Dla wielu powodów — pisał Golicyn ²⁾ — gorąco życzył sobie Aleksander znajomości z panią Krüdenerową. Z jednej strony wpływał na to jego silny pociąg do wrażeń religijnych oraz zupełne poddanie się woli Bożej; z drugiej zaś chęć ujrzenia kobiety, pod pewnym względem noszącej w sobie żywe słowo Boga, idącej jak Apostoł poprzez młode

¹⁾ Ob. Eylert o. c.

²⁾ Ob. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz: „L'Empereur Alexandre I.“, t. I, str. 167.

i nie wierzące pokolenia Europy — poprzedzanej i otoczonej głośną sławą...”

Tymczasem zaszedł wypadek, który niespodziewanie pokrzyżował plany Aleksandra i na jakiś czas je odroczył. Dnia 7 marca 1815 r., jak piorun z jasnego nieba, gruchnęła wieść w naddunajskiej stolicy, że Napoleon opuścił wyspę Elbę i popłynął do brzegów Francji. W zgromadzeniach targujących się i tańczących dyplomatów powstał popłoch i zamęt. Ale niebawem zrozumieli wszyscy, że na dłuższe targi i swary nie było już czasu; że trzeba było zgody i jedności koniecznej, aby skutecznie uderzyć na wspólnego wroga i zażęgnąć pożar, grożący pokojowi w Europie. Metternich, który całą akcję tworzenia nowej koalicji ujął w swoje ręce, z Franciszkiem I załatwił się nader szybko. Z Aleksandrem miał również mało kłopotu. „Nie zastanawialiśmy się długo — notuje Metternich w swoich pamiętnikach ¹⁾ — nad przyjęciem odpowiednich środków. Nastąpiła szybka kategoryczna decyzja”. Skorzystał wówczas Aleksander z bytności Metternicha u siebie, aby załatwić z nim dawne porachunki. Jeszcze na początku Kongresu ostro poróżnił się z nim o sprawy polskie, gdy książę wyniośle mu oświadczył, że ostatecznie i Austria mogła była dokonać wskrzeszenia Polski. Nie mógł mu cesarz darować „tych czelnych słów”, chciał z nim się pojedyńkować i odtąd ostentacyjnie unikał księcia. Teraz jednak rzekł do niego słodko: „Powinniśmy zakończyć pewne osobiste nieporozumienia. Jesteśmy obydwoj chrześcijanami. Nasz święty zakon nakazuje nam wybaczenie uraz. Uściskajmy się i niech wszystko, co było, pójdzie w zapomnienie”.

Wylądowanie Napoleona, jak łatwo można było przewidzieć, wkrótce skleiło rozklejające się przymierze monarchów. Wznowiono traktat z dnia 30 maja 1814 r.; byłego cesarza Francji ogłoszono wyjętym z pod prawa i gorączkowo zaczęto się gotować do nowej kampanji. Aleksander popierał gorliwie swoich sprzymierzeńców i był napozór zadowolony ze zgody, jaka zapanowała wśród wielkich mo-

¹⁾ Ob. Mémoires de Metternich, t. I. 1815 r.

carstw. Ale w rzeczywistości przeżywał znów chwile niepokoju i wewnętrznej rozterki.

Mniemał bowiem dotychczas, że jego antagonistą „Kor-sykanin“ w ostatnich latach swego panowania nie cieszył się już przywiązaniem i sympatjami mas we Francji, nękanych ciągłymi walkami; że lud francuski był rad z jego abdykacji i wyjazdu na wyspę Elbę. Ostatnie wszakże marcowe wypadki: błyskawiczny i triumfalny pochód Napoleona do Paryża, entuzjastyczne powitania cesarza w miastach, ucieczka króla, szybki, bez rozgłosu i współczucia upadek rządów burbońskich zachwiały to mniemanie w Aleksandrze. W jego wrażliwym sercu budziły się wątpliwości, czy nie popełnia błędu, czy postępuje właściwie, wyruszając po raz wtóry na Francję; czy po wszystkim, co zaszło na Kongresie, nie należało mu raczej innej obrać drogi, działać na własną rękę, niezależnie od sąsiadów, dbających wyłącznie o własne interesy?... Te myśli podsyczał w nim jeszcze stary Laharpe z Genewy w swych ognistych epistołach, w których dowodził Aleksandrowi, jak mógł najwymowniej, że nowy pochód krzyżowy na Francję był czynem „gwałtu i niesprawiedliwości“. Związkowi w opinii Laharpa nie mieli prawa zmuszać swobodny naród francuski do wyrzeczenia się ukochanego monarchy, a przyjęcia „takiego, który stał im się obcy, a co gorsza, powszechnie znienawidzony“.

Na interpelacje dawnego mentora tłumaczył się wprawdzie cesarz, że wobec powrotu Napoleona nie było innego wyjścia dla mocarstw, jak tylko walka do ostateczności z burzycielem spokoju. Napoleon był genjuszem zła, uosobieniem tyranji, która dla całego świata mogła się stać groźniejszą niż uprzednio, gdyby jej teraz koalicja nie obaliła¹⁾.

Ale w duszy Aleksandra mimo te oświadczenia pozostawał nadal niepokój i ferment, choć go po mistrzowsku, jak pisała jedna pilna obserwatorka cara, umiał ukryć przed okiem ludzkim.

Z tym fermentem i niepokojem 25 maja 1815 r. wyje-

¹⁾ „se plier au génie du mal c'est consolider sa puissance“... z listu Aleksandra do Laharpa. Gosudarstwiennyj Archiw. Razrjad V. Nr 190. Ob. Szylder o. c. t. III, str. 326.

chał Aleksander z Wiednia do swojej głównej kwatery. Po drodze odwiedził jeszcze dwory bawarski i wirtemberski, gdzie go przyjęto ze szczególnymi honorami i 4 czerwca wieczorem, zdenerwowany, przybity i szukający ciszy i odosobnienia jak ongi w Paryżu, stanął wreszcie w Heilbronn. „Odetchnąłem wtedy — zwierzał się w następstwie pannie Sturcza¹⁾. — Pierwszym moim ruchem było wzięcie do rąk książki, którą miałem zawsze przy sobie, ale otumaniony umysł nie rozumiał tego, co czyta. W głowie był chaos, na sercu czułem ciężar. Odrzuciłem książkę i pomyślałem sobie, jak wielkiem dla mnie ukojeniem byłaby obecność w tych właśnie chwilach człowieka, któryby mnie rozumiał! Przypomniała mi się pani i to, co mi pani mówiła o baronowej Krüdenerowej, o jej pragnieniu poznania mnie. Gdzie się teraz znajduje? pytałem się siebie. Czy się z nią spotkam kiedykolwiek? — Zapewne nigdy. Nie zdążyłem głębiej się nad tem zastanowić, gdy wtem zapukano do moich drzwi. Przy drzwiach stał książę Wołkoński... — Z wyrazem nudy i zniecierpliwienia rzekł mi, że o takiej późnej godzinie niepokoi mnie jedynie dlatego, aby się uwolnić od jakiejś kobiety, która natarczywie domagała się audjencji — że tą kobietą jest baronowa Krüdener. Łatwo może sobie Pani wyobrazić moje zdziwienie! Sądziłem, że to był sen. Tak szybka odpowiedź na moje myśli nie zdała mi się zwykłym trafem“.

Ta nocna i niespodziewana wizyta istotnie wstrząsnęła głęboko Aleksandrem. Przebiegła i wytworna niewiasta, „jakby czytając w jego duszy“, od pierwszej chwili spotkania się z nim potrafiła wszechwładnie nad nim zapanować. Widząc zamieszanie cesarza i wiedząc o różnych jego wątpliwościach i niepokojach, upewniła go na wstępie w gorących słowach, że wszelką trwogę, niepewność, przygnębienie winien daleko odrzucić od siebie. Mógł się nie obawiać... Wyruszając na Napoleona, spełniał „czyn dobry“... Objawił jej Duch Święty, że Rosję czeka zwycięstwo..., że po raz wtóry zdławi car „krwawego smoka“ i zasłuży się na wdzięczność ludów... Po takim kojącem preludjum zręcznie bar-

¹⁾ Ob. Mémoires de la comtesse Edling, str. 231—233.

dzo dotknęła się Krüdenerowa wewnętrznych walk cesarza i jego przeszłości, o której również posiadała najdokładniejsze informacje. Obrazowo, patetycznie z gestykulacją i westchnieniami dowiodła mu, że żył dotychczas w grzechu i błędzie. Obrażał Boga, bo marnował jego święte dary, bo szukał tylko znikomych wielkości i dogadzania swym zmysłom... bo pełzał ustawicznie po ziemi. A czy o duszy prawdziwie myślał? Przypomniała mu dalej, że jego subtelne i czułe serce budziło się niekiedy z duchowego letargu i odczuwało wyrzuty sumienia. Wtedy rozumiał, że wobec Boga nie był w porządku; zwracał się do Niego, żałował za swoje ciężkie przewinienia, pragnął poprawy, ale takie chwilowe porywy ducha, takie wybuchy żalu nie były jeszcze zmazaniem win i nie prowadziły do duchowego odrodzenia!... „Nie, Najjaśniejszy Panie, wołała baronowa, zapalając się coraz bardziej, jeszcze się nie zbliżył do Boga-Człowieka, jako grzesznik, żebrzący litości, i nie otrzymał przebaczenia od Tego, który na ziemi jedynie ma prawo rozgrzeszać!... Grzęzniesz w błędach... Jeszcze się nie upokorzył przed Chrystusem i nie rzekłeś, jak celnik z głębi serca: „Panie, jam wielki winowajca!... racz mi wybaczyć“... i oto powód, dla którego nie możesz zaznać spokoju ducha... Wierz słowom kobiety, wielkiej ongi grzesznicy, ale grzesznicy, która u stóp Zbawiciela znalazła wybaczenie wszystkich swoich grzechów...”

Aleksander w milczeniu wchłaniał słowa prorokini — nie miał odwagi przerywać jej mowy. Był ujarzmiony, podbity jej wyglądem: blaskiem jej czarnych pałających źrenic, jej ruchami, jej zapalem; był podbity jej proroczym duchem, jej wyznaniem gorącej, „bezinteresownej“ miłości dla niego, jej niezwykłą znajomością tajników jego serca, a nade wszystko słowami „prawdy“, które jak potok spływały na niego z jej zmysłowych ust... Wiele już pięknych rzeczy powiedział mu Koszelew o łasce, o odrodzeniu i miłości Trójjedynego; wiele wzniosłych prawd wyczytał u Fenelona, u Böhme'a, u pocziwej Pani Bouvier de la Mothe Guyon i t. p., ale takich prawd od nikogo jeszcze nie słyszał. Każde słowo baronowej, jak „miecz obosieczny“ wciskało się do jego du-

szy, płatało duszę, zdzierało mu łuskę z sumienia i oświecało go „Bożem, nadziemskim światłem...”¹⁾

Podniósł się wreszcie car z kanapy, na której siedział nieruchomy, padł na kolana i, twarz zasłoniwszy rękami, wybuchnął płaczem... „Panie, mówił, łkając, Panie, zmiłuj się nade mną; racz mi wybaczyć moje wielkie grzechy”... (Seigneur, ayez pitié de moi, daignez me pardonnez mes grands péchés...).

Nastąpiła iście szekspirowska scena. W małej komnatce, w półmroku, bo na stole dopalał się kinkiet — dygoczący, pochyłony, szlochający klęczał zwycięzca Napoleona, triumfator, regulator europejskiej polityki, pan Wszechrosji, panujący nad milionami ludzi i wołał do Boga o zmiłowanie; — a obok niego, jakby w ekstazie, „apostołka czystej wiary” modliła się o łaskę Ducha Świętego dla swego nowego adepta... Głośnie łkanie Aleksandra przstraszyło Krüdenierową. „Najjaśniejszy Panie, rzekła do niego czule, proszę cię, wybac mi, że tak do ciebie mówiłam... Wierz mi, że z czystym sercem przed Panem odsłoniłam ci prawdy, na które nikt dotychczas nie zwrócił twojej uwagi. Wywiązałam się tylko ze świętego obowiązku względem ciebie”.

„Niech się pani nie obawia, odparł Aleksander, wszystkie twoje słowa znalazły miejsce w moim sercu. Pomogłaś mi dojrzeć w sobie to, czegom sam nigdy nie dostrzegł. Jestem Bogu za to wdzięczny; — takie rozmowy są mi niezbędne, więc, proszę cię, nie oddalaj się ode mnie”²⁾.

Prawie trzy godziny trwała pierwsza audjencja baronowej u cara. Gdy się zakończyła, na dworze zaczynało już świtać...

„C'est l'ange du Seigneur, que je viens de recontrer“, donosił Aleksander Golicynowi w dwa tygodnie po owej pamiętnej scenie. W ciężkich chwilach wewnętrznych walk ulitował się Zbawiciel-Opiekun nad nim i przysłał mu świętą niewiastę — „jasnowidzącego anioła“, który mu wskazał, jak powinien żyć, co czynić, aby się wydostać z manowców, po

¹⁾ List Aleksandra do Golicyna 15 czerwca 1815 r. z Heidelbergu.

²⁾ Ob. B. K. Empaytaz. Notice sur Alexandre, Empereur de Russie. Genève 1840. Deuxième édition, str. 13.

jakich się błakał i odzyskać równowagę ducha. Poszedł za jej głosem.... kruszył się przed Panem tak, jak nigdy dotąd się nie kruszył; przetrząsał swoje życie i we łzach „płynących strumieniem” opłakiwał je. Wierzy, że Ukrzyżowany przyjął jego łzy, że pozwoli mu się duchowo oczyścić i oczyszczonemu zrozumieć głos łaski, która daje „duszy spokój Boży na ziemi”.

Golicyn nie posiadał się z radości, że jego ukochany car znalazł na swojej drodze takiego anioła! Choć nie znał baronowej, nie wątpił jednak, sądząc z tego, co mu pisał Aleksander, że Julanna była istotą wybraną, pełną „ducha Chrystusowego”, że mogła go innym udzielać. Zaklinał przeto cesarza, aby z nią dalej obcował; aby w skupieniu, w pokorze przyjmował „światło od kobiety Bożej” i zaprosił ją koniecznie do Petersburga, gdzie znajdzie obszerne pole do apostołskich prac. Gdy w parę lat później ujrzy Golicyn prorokinię nad brzegami Newy, jego sympatje i uwielbienie dla baronowej przemienia się w prawdziwy kult dla jej osoby. Będzie z nią trzymał nawet wtedy, gdy się car odwróci od swojej przyjaciółki; będzie z nią marzył o odrodzeniu ludów przez zakon miłości; będzie z nią wyglądał przyjscia Mesjasza, czy Ducha Świętego... i zamknie oczy w przekonaniu, że idzie po wieczną nagrodę, skoro poznał anielskiego ducha, który mu drogę uforował do Boga.

6 czerwca n. s. wyruszył car z Heilbronn do Heidelberga, aby być bliżej swojej armji, i zamieszkał u anglika Pikforda nad brzegiem Nekarzu za miastem, gdzie dłuższy czas pozostał. Oczywiście pani Krüdenerowa pospieszyła za nim i osiadła w pobliżu carskiej rezydencji, w schludnym dworku, tonącym w cieniu rozłożystych drzew. Codziennie w popołudniowych godzinach, gdy już był swobodny od zajęć, nawiedzał ją tam Aleksander i spędzał u niej całe wieczory. Owe duchowe pogadanki („duszespasitelnyja biesiedy”) odbywały się zazwyczaj na ganku od strony ogrodu, lub w altanie, gęsto obrosłej dzikim winem, skąd malowniczy rozciągał się widok na błękitną rzekę. Rozpoczynano je zazwyczaj od czytania Pisma świętego na klęczkach. Stawiała baronowa dwie zapalone świece na stoliku i między nimi krucyfiks i czytała ustępy z Ewangelji, z listów św. Pawła

lub z Apokalipsy. Po czytaniu następowało krótkie rozmyślanie, modlitwa do Ducha Świętego, później komentarze do Biblii, wreszcie zaś poufna i serdeczna rozmowa z carem o jego przeszłości, o potrzebach jego duszy, o jego pragnieniach i zamiarach. Niekiedy czytywano jeszcze pewne pobożne mistyczne książki, które zwróciły uwagę cara, lecz których nie był w stanie dokładnie zrozumieć. Do takich książeczek należało naprzykład dziełko, przysłane mu do Wiednia przez Koszelewa: „Obłok na świątyni, czyli przedmiot, którego zarozumiała filozofja nie śmie się dotknąć”¹⁾.

Parę miesięcy mordował się Aleksander nad tą książeczką: zastanawiał się nad każdym ustępem, wzywał pomocy Roksany Sturdza, ale niewiele wskórał. Dopiero baronowa „światłem swego ducha” wytłumaczyła mu dobitnie, o co chodziło autorowi tajemniczej książki, i zaspokoila jego ciekawość.

¹⁾ „Un nuage sur le sanctuaire, ou une matière que l'orgueilleuse philosophie n'ose aborder“.

(C. d. n.)

Biskup Michał Godlewski.

Losy prohibicji w Stanach Zjednoczonych.

Czytelnicy *Przeglądu Powsz.* przypominają sobie może krótką, lecz dość ostrą dyskusję, jaką wywołało, zamieszczone w czerwcowym zeszycie z r. 1920, drobne sprawozdanie o niepowodzeniach prohibicji w Stanach Zjednoczonych, do którego dołączyłem parę uwag ogólnej natury, nieprzychylnych tego rodzaju przymusowej metodzie.

Sąd ten ściągnął na mnie burzę. Zarzucono mi, że wyrabiam błędną opinię i przeszkadzam dobrej sprawie, ponieważ i w naszym kraju powinno się dążyć do wprowadzenia podobnej ustawy; zeszedłem niemal na obrońcę alkoholizmu, gorszego od protestantów, z taką energią zwalczających tę plagę w Ameryce.

Zarzut ten, choć widocznie przesadny, ale pochodzący od osób najlepszej woli, mógł mieć wtedy rację bytu. Były to dopiero pierwsze miesiące regime'u prohibicyjnego, niepodobna jeszcze było wydać ostatecznego sądu; powtóre, nie znano wtedy wszystkich jego tajemnic, widziano w nim tylko strony szczytne, zwycięstwo dobra nad złem.

Od tej chwili minęło jednak lat parę i sytuacja wyjaśniła się dostatecznie.

Wyszły na jaw właściwe sprężyny całego ruchu, metody jego przeprowadzenia i następstwa; prohibicja ukazała się oczom wszystkich we właściwym świetle. Niestety, do nas wiadomości te napływały skąpo i tem jedynie można wytłumaczyć, że nawet bardzo czytani ludzie mówią i piszą dziś jeszcze o „zbawczem“ dziele prohibicji amerykańskiej.

Dlatego uważamy za wskazane przedłożyć w całości je dzieje, tem bardziej, że jest to jedno z najciekawszych zjawisk lat ostatnich ¹⁾.

* * *

Jakkolwiek z pewnemi próbami ograniczenia pijaństwa spotykamy się już w starożytności, w Indjach, Persji, Chinach, Egipcie, Palestynie i Grecji, to jednak właściwa walka z alkoholizmem jest dopiero dziełem czasów nowszych, odkąd obok napojów, otrzymywanych drogą fermentacji, pojawiły się, prawdopodobnie od wieku 13-go, produkty destylacji, zawierające większy procent alkoholu.

Rozpowszechniały się one zwłaszcza na północy, gdzie używali ich wszyscy, także kobiety i dzieci, dla rozgrzania się i zdrowia (stąd „aqua vitae”); zgubne następstwa nadużycia stawały się jednak coraz widoczniejsze, tak że z początkiem 18 w. pojawiły się w Anglii pierwsze ustawy w tej mierze, a równocześnie rozpoczął się ruch antyalkoholowy który z Anglii przeniósł się do Stanów Zjednoczonych.

W walce z alkoholizmem Ameryka wyprzedziła stary świat. Podczas gdy pierwsze związki abstynenckie w Irlandji powstały w r. 1818 i stąd rozszerzyły się na resztę W. Brytanji, to w Stanach Zjednoczonych organizację taką widzimy już w r. 1808 w Stanie New York, a za nią poszły szybko inne. Niestety, zapal początkowy ostygł i w połowie 19 w. ruch abstynencki osłabł tam ogromnie, podobnie jak w Anglii. Rozbudziło go dopiero wzmagające się silnie pijaństwo. Walkę przeciw niemu podjęto w dwojakim kierunku: przez zachęcanie do dobrowolnego wstępowania do towarzystw wstrzemięźliwości i przez dążenie do przymusowego ograniczenia lub zniesienia handlu napojami drogą prawodawczą.

¹⁾ Materiał zaczerpnęliśmy jedynie ze sprawozdań naocznych i kompetentnych świadków; nadto korzystaliśmy z dzienników i czasopism amerykańskich, z informacji listownych oraz ustnych od gości przybyłych z Ameryki. Pragnąc przedstawić rzecz obiektywnie, uwzględnialiśmy zarówno zwolenników jak przeciwników prohibicji; dlatego nie zamieszczamy żadnych statystyk, przemawiających na niekorzyść prohibicji, ponieważ przekonaaliśmy się, że każda strona podaje odmienne liczby.

Chcąc zrozumieć kwestję prawodawstwa alkoholowego, trzeba sobie uprzytomnić przedtem prawno-państwowe stosunki w Stanach Zjednoczonych. Każdy z 48-iu Stanów cieszy się szeroką autonomją prawodawczą, obok Kongresu, złożonego ze senatu i izby deputowanych, a reprezentującego całe państwo, każdy poszczególny Stan ma własny senat i izbę deputowanych, które uchwalają prawa w jego obrębie. Wszelka ustawa, uchwalona przez Kongres jako obejmująca całe państwo, musi przejść naprzód przez organa prawodawcze pojedynczych Stanów, gdzie przybiera odpowiednie zabarwienie i swoisty sposób przeprowadzenia, zanim zacznie obowiązywać ich obywateli.

To też prawa, dotyczące wyrobu i sprzedaży alkoholu, były niemal w każdym Stanie inne. W przeważnej jednak części panowała swoboda w tej mierze, tylko władza udzielania koncesji spoczywała w różnych rękach, rozmaite były reguły nadawania jej i warunki z nią związane; naogół zakazywano sprzedawania napojów młodym poniżej 18-tu lat, pijakom, oraz wszystkim w dni niedzielne, świąteczne i wyborów.

W niektórych, nielicznych zresztą Stanach wprowadzono t. zw. „prohibicję stanową“, t. j. zabroniono sprzedaży napojów gorących. Praktyka ta stosowana była zwłaszcza w Stanach południowych, gdzie farmerzy, pijący zresztą sami chętnie, chcieli zapobiec pijaństwu murzynów, którzy, stanowiąc większość ludności, bywali w stanie nietrzeźwym niebezpieczni dla białych, zwłaszcza kobiet. W r. 1846 (według innych w r. 1851) wprowadzono ją w Stanie Maine, w 1852 w Vermont, w 1854 w Connecticut i t. d. Znaczna część tych Stanów porzuciła prohibicję po dłuższej lub krótszej próbie i dopiero z początkiem 20 wieku wzmożył się znowu ruch na jej korzyść; w r. 1907 istniała w pięciu, w 1910 r. w dziewięciu Stanach.

Największą popularnością cieszyła się „prohibicja lokalna“, starsza pochodzeniem, bo uznana prawnie od r. 1832; w r. 1907 miała ona zastosowanie w 30-tu przeszło Stanach. Polegała na tem, że w pewnej tylko miejscowości, najczęściej w okręgach wiejskich lub miasteczkach, zakazywano sprzedaży alkoholu; po miastach nie przyjmowano jej

zwykle, a udawała się wogóle tylko wtedy, jeżeli w bliskim sąsiedztwie była „klapa bezpieczeństwa“, t. j. inna miejscowość, w której można się było napić.

Osobnym, rzadko stosowanym typem, były t. zw. „Public dispensaries“, w których sprzedaż alkoholu pozostawała wyłącznie w rękach władz publicznych.

Taki stan rzeczy panował na terytorjum Stanów Zjednoczonych aż do wielkiej wojny światowej. Przeważnie swoboda fabrykacji i sprzedaży napojów gorących, jakkolwiek wszędzie ujęta w pewne normy prawne, w pewnych miejscowościach prohibicja lokalna, gdzieindziej stanowa. „Klapy bezpieczeństwa“ musiała istnieć nieodzownie, a mimo to skarżono się na liczne nadużycia i pokątny handel. Sympatją ogólną prohibicja zupełna nie cieszyła się nigdzie.

Jakim sposobem pomimo tego doszło do zaprowadzenia jej w całym państwie? — Aby to zrozumieć, trzeba wniknąć bliżej w jej właściwe przyczyny i warunki miejscowe.

* * *

Konsumpcja alkoholu w Stanach Zjednoczonych rosła ciągle. Jakkolwiek wszelkie statystyki w tym względzie grzeszą niedokładnością, przytoczymy jednak najprawdopodobniejszą z nich, aby dać pewien obraz tego wzrostu. Według *United States Statistical Abstract* na rok 1920 przypało na głowę gallonów (gallon = około 4 $\frac{1}{2}$ litra):

w roku		napojów destylowanych	win	piwa
przeciętnie rocznie	1891—95	1·37	0·39	15·20
	1901—05	1·39	0·47	17·34
	1906—10	1·43	0·62	19·81
	1911	1·46	0·67	20·69
	1912	1·45	0·58	20·02
	1913	1·51	0·56	20·72
	1914	1·44	0·53	20·69

Ogromne to zapotrzebowanie¹⁾, odbijające się ujemnie na zdrowiu ludności i na wydajności pracy w przemyśle i rolnictwie, musiało wywołać w tak uświadomionem społeczeństwie, jak amerykańskie, coraz silniejsze dążenie do ograniczeń, a akcja abstynencka w każdej formie cieszyła się wielką sympatją ogółu. Głównym wszakże jej celem stało się zniesienie t. zw. „saloon“, t. j. barów i karczem ludowych, uczęszczanych głównie przez warstwy robotnicze. Pozostając przeważnie w rękach wielkich właścicieli gorzelni i browarów lub ich dzierżawców, stały się one źródłem nieszczęść rodzinnych, przybytkiem demoralizacji, wyzyskiwanym dla celów rozpusty i zbrodni, a w ostatnich latach także agitacji czynników przewrotowych. Kto przeciw nim występował, mógł więc być pewnym, że znajdzie poparcie ze strony całego społeczeństwa.

Okoliczność tę postanowili wyzyskać zwolennicy absolutnej prohibicji, by przeprowadzić zniesienie używania alkoholu w całym państwie. Był to plan niezwykle śmiały, zrealizowanie go jednak w kraju, w którym agitacja i pieniądź są wszyskiem, było możliwe, chodziło tylko o odpowiednie fundusze i ludzi. Znalazło się jedno i drugie.

Znany filantrop i miliarder, „król nafty“, John D. Rockefeller, gorliwy członek sekty baptystów, postanowił użyć swych bogactw dla moralnego zreformowania społeczeństwa amerykańskiego i uznał, że bezwzględne usunięcie użycia i sprzedaży napojów gorących będzie najskuteczniejszym środkiem do tego celu. Myśl tę pochwycili skwapliwie fabrykanci wody sodowej, napojów bezalkoholowych i bombonów, zrozumieli bowiem doskonały interes, jaki na tem robią i złożyli również znaczne sumy. Resztę funduszków dostarczyli inni amerykańscy filantropi, sufrażystki i koła abstynentów.

Ludzi nie brakło. Obok członków stu blisko różnych

¹⁾ Było ono jednak niższe od niektórych krajów europejskich. W ostatnich latach przed wojną przypadało na głowę więcej piwa w W. Brytanji, Niemczech i Belgji, wina we Francji i krajach południowych, napojów destylowanych w Danji, dawnej Austrii, częściowo w Niemczech, Francji i Holandji.

stowarzyszeń abstynenckich, stanęły w pierwszych szeregach sufrażystki i pastorzcy.

Antypatja sufrażystek do alkoholu była zrozumiałą ze względów politycznych; u wejścia do „saloon“ kończyły się ich wpływy, nikt ich tam nie chciał słuchać, a tego przeniesić nie mogły. Do nich przyłączyło się mnóstwo kobiet, zwłaszcza żon robotników, pragnących zapobiec przepijaniu zarobków.

Nieco odmienne i wielce charakterystyczne było stanowisko pastorów różnych wyznań ewangelickich. Ich domy modlitwy świeciły coraz większą pustką¹⁾, zmniejszona frekwencja odbijała się zaś ujemnie na dochodach kościoła, a tem samem pastora. Należało się ratować i znaleźć sposób ściągnięcia ludzi do zboru. Budzący się już przed wojną ruch prohibicyjny wydał się najlepszym do tego środkiem i przez długi czas z ambon rozlegało się tylko o pijaństwie i konieczności zapobieżenia mu przez zupełne usunięcie alkoholu. Kwestja ta zainteresowała rzeczywiście ludzi, zaczęli przychodzić coraz liczniej; zwolennicy prohibicji, aby ją popierać, przeciwnicy, by zwalczać. Pastorzy zrozumieli, że pomysł ich był szczęśliwy, przyjęli więc na siebie rolę leaderów propagandy prohibicji, a wzamian za to mieli zbory pełne i zdobyli niemałe znaczenie u władz politycznych²⁾.

Aparat więc był gotów a pora sprzyjała. Był to już okres wojny światowej, nastrój ludności był podniecony i gotowość do ofiar większa. Przeprowadzenie prohibicji zupełnej w całym państwie powierzono organizacji „Anti-Saloon League“ (Liga przeciw „saloon“³⁾); zbrojna w liczne, doskonale przy-

¹⁾ Jak mi opowiadali księża amerykańscy, na stu katolików 80-ciu praktykuje i chodzi do kościoła, na stu ewangelików tylko 20-u czyni to samo.

²⁾ Kiedy później zainteresowanie się prohibicją upadło, trzeba było wyszukać inną „nowość“, by przyciągnąć ludzi. Było nią znane ze swych tendencyj amerykanizacyjnych i protestanckich „Ku Klux Klan“ (porów. „Przegląd Powsz.“ z marca b. r., str. 295), do którego, zdaniem niektórych informatorów amerykańskich, należy około 90% pastorów baptystów i metodystów.

³⁾ Z siedzibą główną w Washington; na czele jej stoi Komitet z 7-iu członków, których „superintendentem“ był wówczas Anderson, osobistość

gotowane zastępy, pod naczelnem przewodnictwem Rockefellera, który otworzył jej nieograniczony kredyt, ruszyła do ataku.

I rozpoczęła się kampanja, do jakiej tylko Ameryka jest zdolna. Zakotłowało w całym kraju. Język i pióro, perswazja i pieniądz, wszystko służyło do celu. Gdzie nie wystarczyło dobre słowo, tam pomogła siła. Każdego obywatela, który nie chciał się wpisać na listę prohibicjonistów, okrzyczano zaraz jako uczęszczającego do saloon, jako nałogowego pijaka lub rozpustnika, owszem jako zdrajcę kraju; przeważna część owych saloon była bowiem w rękach Niemców, występować zatem przeciw prohibicji znaczyło w ustach agitatorów tyle, co bronić Niemców.

Dzięki takiemu sterroryzowaniu opinii publicznej i zręcznemu manewrowaniu pieniędzmi Liga zdobyła niedługo największe znaczenie w kraju i przemożny wpływ na czynniki rządowe. Każdego członka Kongresu obrobiono z osobna starannie, układy i dolar współdziałały zgodnie w tej żmudnej pracy.

Toteż gdy przyszło do ostatecznego rozstrzygnięcia, Liga triumfowała. W grudniu 1917 r. ustawa prohibicyjna została przedłożona Kongresowi w formie poprawki do Konstytucji, zdobyła wymaganą większość $\frac{2}{3}$ głosów, poczem została odesłana do poszczególnych Stanów. Ratyfikacja jej przez $\frac{3}{4}$ ogólnej liczby Stanów przeszła również i 29 stycznia 1919 r. ogłoszono oficjalny tekst „18-tej poprawki do Konstytucji.“:

Art. 1. „Po roku od ratyfikacji tego artykułu zostaje zakazany wyrób, sprzedaż albo wywóz napojów upajających w obrębie państwa, import ich do niego, lub wywóz ich ze Stanów Zjednoczonych i wszystkich terytorjów, podległych ich jurysdykcji, w celu użycia ich jako napojów.

Art. 2 i 3 mówią o tem, że pierwszy artykuł może być obostrzony przez dalsze prawa i o terminie obowiązywania ustawy.

o tyle ciekawa, że postawiono go u szczytu nie dla przekonań abstynenckich, ale z powodu talentu organizatorskiego,

A zatem prohibicja bezwzględna i powszechna w całym państwie. Trzy tylko zrobiono wyjątki: dla celów kultu i medycyny, oraz pozwolono osobom, które miały jakie zapasy napojów w domu, zatrzymać je, ale tylko do osobistego spożycia na miejscu.

Poprawka ta miała wejść w życie w rok po jej ogłoszeniu, dnia 16 stycznia 1920 r., a uchwalony 28 października 1919 r. „Volstead Act” określił bliżej, co należy rozumieć przez „napoje upajające” i wyznaczył kary na przestępców.

W 1921 r. 23 listopada przybyła jeszcze nowa uchwała, t. z. „Campbell Willis Act”; zakazuje on używania piwa dla celów lekarskich, oraz zabrania wyrobu i sprowadzania win i alkoholu z zagranicy, jak długo zapasy, znajdujące się w kraju, będą uznane za wystarczające dla pokrycia potrzeb kościelnych i lekarskich.

Trzy te akty stanowią istotę ustawy prohibicyjnej, obowiązującej na terytorjach całych Stanów Zjednoczonych. Chcąc zestawić ją w szczegółowych przepisach, trzeba by spisać gruby tom.

W nich miało leżeć odrodzenie Ameryki, a zarazem gwiazda przewodnia dla reszty świata.

Zobaczmy, jak się ziściły te nadzieje.

* * *

Ustawę prohibicyjną wprowadzono w życie odrazu z niesłychanym rygorem. Liczne organa policyjne i urzędnicze, federalne i stanowe, nie mówiąc już o ochotniczych, czuwały nad zachowaniem przepisów; nie przepuszczano najmniejszego wykroczenia. Ci wszyscy, a była ich większość, którzy pragnęli tylko zniesienia „saloon” a nie napojów wogóle, byli jak ogłuszeni. Z początku jednak szło jako tako; wyniki komisji, wyznaczonych do badania rezultatów ustawy, brzmiały pomyślnie.

Lecz powoli przychodziło otrzeźwienie. Człowiek ocknął się, a z nim zbudziły się wszystkie dobre i ujemne strony jego natury.

Zniesienie całej jednej olbrzymiej gałęzi przemysłu i han-

dlu nie mogło się obejść bez głębokiego wstrząśnienia. Fabrykanci i kupcy mieli wprawdzie pozostawiony rok czasu do zlikwidowania swych przedsiębiorstw i naogół zdołali to skutecznie¹⁾; wielu jednakże ludzi, zajętych przy tem, np. kelnerzy i pomocnicy, starsi już lub nie umiejący innego rzemiosła, straciło źródło utrzymania. Postanowili więc ratować się w inny sposób i w porozumieniu z różnymi fabrykantami i kupcami puścili się na drogę tajnej sprzedaży napojów alkoholowych, których potrzeba zaczęła się budzić coraz żywiej wśród ludności. Tak powstała nowa, potężna dziś warstwa „bootlegger'ów“, t. j. przemysłowców i pokątnych handlarzy, którzy podjęli się zaopatrywania spragnionych, a każąc sobie słono płacić za ryzyko, dorabiali się olbrzymich majątków. Do nich przyłączyli się także liczni rybacy, i dziś wzdłuż całych rozległych granic Stanów Zjednoczonych odbywa się, zorganizowana na wielką skalę, kontrabanda alkoholu, lądem z Kanady i morzem ze wszystkich stron. Władze są zrozpaczone; ani straż na granicy północnej, ani specjalne flotylle małych, szybkich statków uzbrojonych nawet w działa, nie są w stanie zapobiec przemysłnictwu, narażają tylko państwo na grube wydatki.

Miejscowy przemysł alkoholowy odżył również i rozwinął się z taką siłą, jak nigdy przed wojną. Dziś, jak powiadają sami amerykańanie, niemal co drugi dom jest gorzelnia, a farmerzy, którzy najgorliwiej popierali prohibicję, wyrabiają u siebie wszelkie rodzaje napojów i raczą się niemi do sytości. Dodajmy wreszcie do tego kolosalne składy, nagromadzone, zgodnie z ustawą, w piwnicach bogaczy, a przekonamy się, że zapasów nie brakuje.

Toteż dziś w Ameryce można dostać napojów gorących wszędzie, jak dawniej, z tą tylko różnicą, że są droższe i często fałszowane (a skarżyć za to nie można!), oraz że przy nabywaniu ich trzeba zachować pewne środki ostrożności. Pije też, kto może; i zwyczajny śmier-

¹⁾ Ułatwiała im to istniejąca już wtedy „wojenna prohibicja“, która ograniczyła w wysokim stopniu wyrób i sprzedaż napojów; uchwalona 21 listopada 1918 r., w celu zaoszczędzenia zboża dla Europy, weszła w życie 1 lipca 1919 r.

telnik i urzędnik, który przed chwilą nałożył srogie kary na ujętych bootlegger'ów, i senator po nowem obostrzeniu ustawy prohibicyjnej i policjant. Dzienniki piszą otwarcie, że niektóre biura Kongresu na Kapitolu podobne są chwilami raczej do barów, a 25 lutego b. r. jeden ze senatorów „suchych“ został oskarżony na pełnem posiedzeniu o to, że go przy rannem głosowaniu znaleziono zbyt „mokrym“.

Prohibicja i jej zniesienie stały się dziś najważniejszym problemem publicznym, całe społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy: „suchych“ t. j. zwolenników prohibicji i „mokrych“, jej przeciwników; jest to wszakże tylko oficjalny podział, w praktyce bowiem u wielu „suchych“ jest bardzo „mokra“.

Wprawdzie organ prohibicjonistów, *The American Issue* z 2 lutego b. r. chwelił się, że „prohibicja, nowożytny Herkules, czyści stajnię Augiasza“, ale jest to frazes, któremu nie uwierzy szczerze żaden amerykanin. Prohibicja jest dziś ustawą „zabraniającą, która nie zabrania“.

Co ważniejsze, organa wykonawcze, czuwające nad zachowaniem ustawy, już oddawna coraz bardziej nie dopisują. Urzędnicy sądowi, przeciążeni skargami, nie są w stanie ich załatwić, a wskutek bezkarności wykroczenia rosną. Inni dają się przekupić, liczba zaś tych wypadków mnoży się ciągle; w Stanie Indiana sam burmistrz jednego z miast i różni wyżsi urzędnicy zostali przyłapani na sprzedawaniu za wysokie ceny skonfiskowanych napojów. Najbardziej jednak sprzykrzyła się ta rzecz policji; „z tą prohibicją za wiele kłopotu!“ powtarzano nieraz. Dzięki swej organizacji potrafiła ona sobie wszakże ulżyć; w wielu restauracjach tajna sprzedaż napojów odbywa się dziś w ścisłym porozumieniu z policją, która nie tylko pozwala, ale strzeże przed wykryciem owe lokale, a wzamian pobiera pewną takse od każdej butelki. Nowe te metody ułatwiają niemało bootlegger'zy, którzy w wielu miejscach zdobyli już decydujący wpływ na obsadzanie urzędów, zwłaszcza sądowych i policyjnych.

Prohibicja bankrutuje więc w praktyce doszczętnie. Nie tylko nie usunęła alkoholu, lecz wprowadziła używanie go przez kobiety i dzieci; dzięki bowiem temu, że fabrykacja odbywa się w domu, kosztują wszyscy. Owszem,

przesadną swą gorliwością osiągnęli prohibicjoniści to, czego najbardziej pragnęli uniknąć: w miejsce lżejszych napojów, piwa i wina, wprowadzili dziś użycie wódki, która ma te poważne zalety, że jest tańsza, zawiera więcej alkoholu i zajmuje mniej miejsca; dała ona początek nowej gałęzi przemysłu, który wyrabia naczynia w formie płaskich blaszanek, flakonów, cygar, lasek i t. p., ułatwiających bezpieczne przenoszenie drogiego trunku. Pijaństwo rośnie też ciągle, nawet w okolicach, w których go dawniej nie było. Zakazany owoc lepiej smakuje!

Co gorsze, z powodu nieuczciwości fabrykantów lub niedomagań prywatnej fabrykacji, dostaje się bardzo często zamiast czystego spirytusu alkohole metylowe, szkodliwe dla zdrowia i życia. Stąd ślepota, paraliż częściowy i całkowity, pomieszanie zmysłów i wypadki śmierci mnożą się. Wśród innych zaś, w braku alkoholu szerzy się używanie morfiny, kokainy i opjum; znany wynalazca, Hudson Maxim, oświadczył, że obecnie jest w Stanach Zjednoczonych sto razy więcej morfinistów, niż przed prohibicją.

Pijaństwo, fałszowane alkohole i zabójcze narkotyki musiały pociągnąć za sobą dalsze następstwa. Wzrost samobójstw, a przede wszystkim wzmożona przestępczość jest może najdotkliwszym ciosem dla prohibicjonistów, którzy zapowiadali, że ustawa antyalkoholowa zmniejszy w krótkim czasie liczbę przestępstw i zbrodni. Wystarczy przeglądnąć dzienniki amerykańskie z ostatnich dwóch lat, aby przekonać się o ilości zbrodni, które gdzieśkolwiek wystąpiły w stopniu wprost niebywałym. Jeden z dyrektorów więzień w New Jersey oświadczył w tym roku, że nigdy nie było tylu więźniów, co od czasu wprowadzenia prohibicji; w porównaniu z r. 1919 liczba ich wzrosła prawie o 50%. Odpowiadając zwolennikom prohibicji, którzy starali się przedstawić rzecz w innem świetle, pisał R. H. Gillette w *Current History Magazine* z października 1922 r.: „Jeżeli liczba przestępców, ubogich i rodzin nie utrzymywanych przez swych ojców tak zmalała, to czemu wytłumaczyć, że zakłady poprawcze i dobroczynne nigdy nie zwracały się w takim stopniu do ofiarności publicznej, jak właśnie od dwóch albo trzech lat?” Przeglądając budżety wię-

zien, przytułków, szpitali i sierocińców, zauważyła się również, że pozycje potrzebnych funduszy nie zmniejszyły się wcale, owszem raczej wzrosły.

Zapewne, nie można tych wszystkich niedomagań kłaść na karb prohibicji, ale mnóstwo ludzi kompetentnych przypisuje jej znaczny przynajmniej wpływ na to pogorszenie stosunków. „Nigdy bowiem dotychczas — powiedział wspomniany H. Maxim — przestępstwo nie przedstawiało tylu ponęt i widoków zysku, co od czasu wprowadzenia prohibicji“.

Do tych zaś wszystkich szkód dodajmy wreszcie jedną jeszcze, może największą — podkopanie autorytetu władzy i powagi prawa. Stany Zjednoczone, chlubiące się dotychczas praworządnością i porządkiem, okazały się dziś w oczach całego świata krajem, w którym każdy, od podwładnego aż do przedstawicieli władzy, może łamać prawa i naruszać nawet artykuły Konstytucji, opinia zaś publiczna toleruje to, owszem w wielkiej części uznaje za słuszne.

Odpowiedzialność za to spada na prohibicjonistów; oni sprowadzili ten stan swym nierozumnym zapałem i przesadą. Słusznie też zwracał się do nich już przeszłego roku *Courier-Citizen* z gorzkim wyrzutem: przypuśćmy nawet — pisał — co nie jest prawdą, że przed wojną był w Stanach Zjednoczonych milion nałogowych pijaków, to dziś mamy 50 do 60-iu milionów ludzi, którzy poniewierają już nie siebie tylko, ale to, co powinno być dla nas najbardziej święte z pośród praw, Konstytucję państwa; dziś upija się tak samo jak dawniej, albo raczej gorzej niż dawniej, a nadto „u milionów ludzi zmniejsza się z każdym dniem poszanowanie dla prawa i Konstytucji Stanów Zjednoczonych“.

* * *

Cóż wobec tego prohibicjoniści? Czy uznali pomyłkę i skłonni są do cofnięcia się? — Ktoby tak sądził, ten nie wie, co to jest zaciekłość partyjna lub chciwość grosza, gotowe poświęcić nawet dobro ogółu dla własnej korzyści.

Widzieliśmy przecież, jakie było właściwe podłoże tego ruchu. Obok przekonanych abstynentów, których część zmie-

niła już dziś swe poglądy na prohibicję, poparły ją sufrażystki dla celów politycznych, przemysłowcy i kupcy dla swego interesu, pastorzy protestanccy dla celów wyznaniowych¹⁾ i własnego utrzymania, przeprowadziła ją zaś głównie partja republikańska dla pozyskania sobie głosów powyższych osób. Sprawa zniesienia alkoholu opuszczała w ten sposób coraz bardziej właściwy swój teren społeczny i moralny, a przenosiła się na polityczny, obecnie zaś jest całkowicie niemal kwestją polityczną. Świadczy o tem najlepiej fakt, że dziś wybory na różne wybitne urzędy odbywają się w zależności od „suchych“ lub „mokrych“ przekonania kandydata, a według ustalonej w Ameryce opinii następne wybory prezydenta odbędą się pod znakiem kwestji alkoholowej.

Można więc być pewnym, że prohibicjoniści nie tylko nie cofną się dziś, ale będą usiłowali wzmocnić swe stanowisko i forsować za wszelką cenę wykonanie ustawy. Siła, jaką rozporządzają, stan posiadania władzy i funduszków ułatwia im to zadanie.

Świeżo dopiero dali przecież dowód tego. Pomimo ustawy antyalkoholowej na okrętach można było otrzymać wszelkie napoje. Prohibicjonistów korciło to, chcieli utrudnić kontrabandę od strony morza i przeprowadzić bezwzględna wstrzemięźliwość. Po dłuższych staraniach udało im się to i 8 października 1922 r. ogłoszone zostało przez ministra sprawiedliwości, Daugherty, nowe prawo, rozciągające prohibicję na wszystkie okręty, zarówno amerykańskie, jak obcych państw, znajdujące się na wodach amerykańskich w obrębie trzech mil od brzegu. Okręty, zawierające jakiegokolwiek zapasy napojów, choćby opieczętowanych, nie otrzymają pozwolenia na wpłynięcie do portu, ewentualnie ładunek ich zostanie skonfiskowany, a nawet może nastąpić zajęcie okrętu.

Można sobie wyobrazić oburzenie obcokrajowych to-

¹⁾ Do celów tych, przynajmniej u pewnej części ewangelików, należało także przeszkodzenie odprawianiu mszy św. u katolików przez pozabawienie wina; nie doszło wprawdzie do tego, ale starania były, owszem ponawiano je.

warzystw okrętowych; pod naporem przedstawicieli Anglii i Francji, a później także Włoch, Japonji i innych państw, rząd amerykański łagodził i odwlekał wykonanie ustawy, poczem sprawę oddano do rozstrzygnięcia najwyższego trybunału amerykańskiego. Długo trwały narady, prohibicjoniści nie tylko nie ustępowali, ale żądali jeszcze przedłużenia strefy przybrzeżnej poza trzy mile; toteż 1 maja b. r. wydano ostateczny wyrok, zatrzymujący w całej pełni „prawo Daugherty”. Nie pomogły żadne protesty obcych państw, 10-go czerwca ustawa weszła w życie, a wobec decyzji najwyższego trybunału nie może być mowy o jej zmianie, chyba dopiero po zwołaniu Kongresu. Wrażenie, jakie wywołała za granicą, było fatalne, określił je zresztą dosadnie jeden z najwybitniejszych uczonych amerykańskich na polu prawa międzynarodowego, H. Lafane, profesor uniwersytetu w Baltimore; w artykule, napisanym na ten temat, powiada, że rząd Stanów Zjednoczonych „chce ośmieszyć siebie i swój kraj w oczach całego świata”, postępowania zaś jego nie można inaczej wytłumaczyć, jak tylko jako „wrogie wobec państw dotąd zaprzyjaźnionych”.

Praktyki prohibicjonistów sprzykrzyły się jednak znacznej części społeczeństwa.

Potępiają je prawnicy dla nadużyć, lekarze wskutek przesadnych ograniczeń, inni uczeni z powodu niedomagań rzeczowych, ostatnio protestowali artyści i miłośnicy sztuki. Wzburzona jest wielka część ludności, która żądała zniesienia „saloon”, ale nie chciała absolutnej prohibicji i głosowała za nią tylko dzięki podstępnej agitacji lub terroryzmowi.

Owszem dziś otwarcie stawia się zarzut, że ustawa prohibicyjna w obecnej swej formie jest antykonstytucyjna. „Osiemnasta poprawka” zakazała bowiem wszelkich napojów „upajających”, a więc silniejszych, a tymczasem „Volstead Act” zaliczył do tej kategorii wszystkie napoje, zawierające więcej niż $\frac{1}{2}\%$ alkoholu, co jest oczywiście nadużyciem słów Konstytucji i niezgodnem z prawdą. „Utrzymywać — oświadczył w styczniu b. r. Silzer, nowo obrany gubernator w New Jersey — iż każdy napój, zawierający więcej niż $\frac{1}{2}\%$ alkoholu jest koniecznie upajającym, to znaczy poprostu kłamać”.

Zarzucono również prohibicji, że była niesprawiedliwością wobec ogromnej większości narodu. Bo, jak tłumaczył jeden z członków Kongresu, Kahn, sytuacja przedstawia się następująco: 85-90% ludności Stanów Zjednoczonych piło umiarkowanie; około 10% wstrzymywało się zupełnie od alkoholu; ilość zaś tych, którzy oddawali się pijaństwu, wynosiła najwyżej milion, czyli zaledwie 1%; i oto, aby poprawić ten jeden milion, 10% prohibicjonistów zmusza 85-90% obywateli, wbrew ich woli, do zupełnej abstynencji.

Przymus ten zresztą łączy się w sposobie przeprowadzenia z takimi gwałtami, jakim podobnych szukać można tylko w Rosji sowieckiej. Defektywi napadają prosto mieszkania i przeprowadzają rewizje lub starają się podstępnie zdobyć zaufanie domowników, aby wysledzić przechowywanie napojów. Na ulicy zatrzymuje się przechodniów pod ładą pozorem i rewiduje, czy nie mają whisky. Po hotelach urządza się to samo w sposób, urągający niekiedy najprymitywniejszym wymaganiom kultury; zdarzało się przecież, że w poszukiwaniu za alkoholem wyważano w nocy siłą drzwi do śpiących gości. Owszem w pobliżu Morristown (New Jersey) żandarmi zatrzymali pogrzeb pod pretekstem, że w trumnie zamiast nieboszczyka znajdują się naczynia z wódką.

Takie stosunki nie mogą chyba zdobyć uznania w „kraju wolności“.

Toteż prohibicja traci coraz więcej grunt pod nogami zmierzch jej zaczyna zapadać.

Opozycja przeciw niej rośnie wśród wszystkich warstw, dołączyły się do nich także kobiety, których wiele spostrzegło, jak głęboki zawód przyniosła im prohibicja. Miss Elisabeth Marbury, członek komitetu partji demokratycznej Stanu New York, urzędowała już od dłuższego czasu zgromadzenia przeciwpromibicyjne i po rzeczowem uzasadnieniu swego stanowiska wołała: „Mamy już dość tej potwornej niegodziwości... dość tego niedorzecznego szaleństwa, dość tej nikczemnej obłudy!“ Osobna organizacja antypromibicyjna, ciesząca się poparciem najwybitniejszych ludzi, prowadzi dziś gwałtowną agitację pod hasłem: „Lekkie wina i piwo? tak! Saloons? za nie!“ Nadzieja przyświeca, osta-

tnie wybory uzupełniające wprowadziły bowiem do Kongresu już sporą liczbę „mokrych“.

Myliłby się jednak bardzo, kto ze wszystkich tych symptomów chciałby wnioskować o rychłym upadku prohibicji. Zwolennicy jej byli przezorni i przygotowali się dobrze na taką możliwość przez włączenie ustawy antyalkoholowej do samej Konstytucji. Otóż chcąc dziś usunąć lub zmienić „18-ą poprawkę“, trzeba by posiadać znowu większość $\frac{2}{3}$ głosów Kongresu i $\frac{3}{4}$ liczby Stanów. Tymczasem pierwsze jest wprawdzie możliwe, ale drugie niemal wykluczone. Obecnie bowiem przynajmniej 15 Stanów zechce zatrzymać porządek „suchy“, jedne dla purytanizmu, inne ze względu na robotników, zwłaszcza murzynów. Toteż antyprohibicjoniści myślą skierować główny atak na „Volstead Act“, który chcą zwalczać jako antykonstytucyjny i żądać będą zniesienia go lub przynajmniej podniesienia procentu alkoholu w określeniu napojów upajających.

Walka zapowiada się więc zacięta i nie wiadomo, kto w najbliższej przyszłości zwycięży, tem bardziej że do dawnych obrońców prohibicji przybywa nowa falanga potężnych bootlegger'ów, którzy widząc w regimie prohibicyjnym złote źródło dochodów, pragną je zatrzymać nadal.

Od czego jednak przemyślność ludzka! Skoro nie jest się pewnym natarcia wprost, może się uda z boku.

Ustawa prohibicyjna obowiązuje całe państwo, ale nad wykonaniem jej czuwają organa federalne (państwowe) i stanowe, te ostatnie oczywiście w większości. Według „18-tej poprawki“ każdy Stan musi uznać prohibicję, ale niema zastrzeżenia, że musi pilnować jej wykonania. Z tego skorzystano i 2 czerwca b. r. gubernator Stanu New York, Alfred E. Smith, podpisał bil L. Cuvilier'a, na mocy którego „stanowa“ ustawa prohibicyjna zostaje zniesiona. Wobec tego prohibicja ogólno-państwowa obowiązuje wprawdzie nadal, ale 25.000 policjantów, którzy dotychczas forsowali jej przestrzeganie w Stanie New York, przestaje odtąd to czynić, tak że cały nadzór i egzekutywa pozostaje jedynie w ręku urzędników federalnych.

Fakt ten wywołał zrozumiałe poruszenie w całym państwie. Na ręce Smitha popłynęły ze wszystkich stron po-

gróźki „suchych“ i gratulacje „mokrych“, a przykład jego wpłynął momentalnie na innych. Stany: Connecticut, Wisconsin, Illinois, Nebraska, Maryland, zabrały się do podobnego załatwienia sprawy, a ruch ten ogarnia szybko resztę kraju.

Jakie następstwa wynikną, jeżeli metoda ta zostanie zastosowana w większej ilości Stanów, przewidzieć łatwo. Sami urzędnicy federalni nie dadzą sobie rady, bo na to potrzebny olbrzymiej ich armji, a zatem wydatków, na jakie sobie państwo pozwolić nie może. Zlekceważona zaś i niezachowywana ustawa prohibicyjna siłą rzeczy musi iść w zapomnienie.¹⁾

* * *

Tak przedstawia się w swej historii i dzisiejszym stanie ów, po bolszewizmie z największym może nakładem energii przeprowadzony eksperyment społeczny.

Dla badacza kwestji socjalnej jest on niesłychanie ciekawem i pouczającym zjawiskiem. Chciano jednym zamachem zaradzić złemu i uczynić naród „cnotliwym“; okazało się, że to się nie da. Prohibicjoniści sądzili, że władza państwowa potrafi nawet w kraju tak demokratycznym, jak Stany Zjednoczone, przeprowadzić ustawę i narzucić wszystkim regułę życia, przeciwną życzeniom większości; zawiedli się.

Prohibicja okazała się, według wyrażenia samych amerykańców, „marną farsą“ i „absurdem“. Pijaństwa nie usunęła, owszem powiększyła je gdzieindziej, naraziła masę ludzi na choroby i śmierć z powodu fałszowanych fabrykatów alkoholowych i innych narkotyków, nie zapobiegła przestępczości ale stworzyła nową jej gałąź, do państwa wolnego wprowadziła niebывały gdzieindziej przymus i gwałt, podkopała powagę prawa i władzy w takim stopniu, że nie wiadomo, czy i kiedy rana ta zdoła się zagoić.

A co dobrego zdołała przeciwstawić tym szkodom? — Jedyną może dodatnią stroną jest fakt, że od czasu wprowadzenia prohibicji ludzie składają więcej oszczędności

¹⁾ Nie chodzi tu zresztą o przywrócenie dawnych stosunków, wszyscy bowiem radzi są ze zniesienia „saloon“, pragną tylko wprowadzenia piwa i lekkich win, wódki zaś według przepisu lekarskiego.

w bankach; lecz inni zauważają, że jest to raczej następstwem wysokich płac obecnych, a zresztą oszczędności składają głównie klasy średnie. Poza tem nic, bo zmniejszenie się pijaństwa w jednym miejscu okupiono wzmożeniem go w innym, wprowadzeniem fałszowanych preparatów i zabójczych narkotyków.

Idea prohibicji w formie absolutnego zakazu okazała się niepraktyczną, owszem szkodliwą. Trudno, żeby było inaczej, skoro żaden ekstrem nie da się powszechnie i na stałe przeprowadzić z pożytkiem dla ogółu.

Toteż kiedy jedna z naszych posłanek w byłym sejmie odezwała się z okazji dyskusji alkoholowej, że gdyby kobiety miały rządy w rękach, dawnoby już w Polsce zniesiono napoje gorące — możemy to przyjąć jako dowód pocziwego kobiecego serca, ale nie jako głos spokojnej rozważi i doświadczenia. W dzisiejszym stanie naszego społeczeństwa znikoma tylko część pragnie abstynencji zupełnej, wprowadzenie jej przymusowe pociągnęłoby za sobą większe jeszcze nadużycia niż w Ameryce i stało się rajem dla żydów i innych pokątnych fabrykantów i handlarzy.

Kwestji alkoholowej nie wolno nam dziś spuszczać z oka, bo ona jest bolączką naszego kraju, zwłaszcza wśród sfer robotniczych i wiejskich — ale innej trzeba szukać drogi rozwiązania.

Trzeba szerzyć abstynencję dobrowolną, propagować ją przez pisma, odczyty i organizacje. Akcja ta w niektórych częściach kraju śpi, owszem zamarła zupełnie, a przecież ma ona dziś tak piękne pole do pracy. Rozwijać ją trzeba wśród starszych, korzystać zwłaszcza z istniejących związków młodzieży, by wśród nich wprowadzić wstrzemięźliwość i przygotować w ten sposób kadry do walki na przyszłość; jakże wiele możnaby przecież osiągnąć już teraz z pomocą harcerstwa i chrześcijańskich związków młodzieży.

Powtóre, trzeba drogą prawodawczą usuwać lub zmniejszać to wszystko, co sprzyja rozwojowi alkoholizmu; a więc ograniczać liczbę szynków, dni i godzin ich otwierania, zakazać umieszczania ich w bliskości fabryk i innych zakła-

dów, zmniejszyć procent alkoholu¹⁾). Szczegółowe określenie tych środków należałoby do osób kompetentnych, lekarzy i specjalistów; od siebie tylko zaznaczyć pragniemy, by w nich wyłącznie nie pokładać zbyt wielkich nadziei; są to półśrodki, które wtedy dopiero pomogą, gdy ludzie podniosą się moralnie i sami nie będą chcieli pić lub przekraczać granic umiarkowania.

Abstynencja dobrowolna wśród części społeczeństwa i przymusowe usuwanie nadużyć, celem utrzymania pozostałej części na drodze umiarkowania — oto główne wytyczne programu pracy na tem polu. Będzie to jedyne rozwiązanie, zgodne z wymaganiami rozumu i poszanowaniem godności człowieka oraz jego wolności osobistej.

W sprawie propagandy abstynencji pragnąłbym jednak dodać parę uwag.

Nie łudźmy się, że pociągniemy do niej warstwę robotnicze i wiejskie, jeżeli wzamian za to wyrzeczenie się nie damy im czego innego, w postaci różnych i to dobrych napojów bezalkoholowych, oraz zabaw i sportów, któreby zastąpiły dotychczasowe rozrywki w szynku i przy kartach; tak uczyniono za granicą. I dlatego sędzę, że koła abstynenckie nie powinny stanowić zupełnie odrębnych organizacji, ale stać się integralną częścią istniejących już stowarzyszeń oświatowych czy sportowych.

Powtóre, jestem głęboko przekonany, że robotnik i chłop nie wstąpią liczniej w szeregi abstynentów, jeżeli w nich nie ujrzą ludzi ze sfer t. zw. inteligencji. Tych więc trzeba przede wszystkim pozyskać — do tego zaś niezbędnym jest odpowiedni sposób.

Pamiętam, byłem na jednej wystawie, urządzonej w celu szerzenia abstynencji. Kierownik jej, człowiek poważny, objaśnił wszystkie tablice, poczem chcąc namacalnie przedstawić szkodliwość alkoholu, wziął kawałek chleba i włożył do szklanki z rozcieńczonym spiryfusem. Po jakimś czasie

¹⁾ Rząd polski wszedł już częściowo na tę drogę ustawą z dnia 23 kwietnia 1920 r., uzupełnioną i poprawioną przez ustawę z d. 27 stycznia 1922 r.

chleb stał się twardy jak kamień, a prelegent pokazał nam go jako „dowód“, co się dzieje z niektórymi pokarmami w żołądku pijącego. Następnie przytoczywszy, że na podstawie doświadczeń laboratoryjnych drobny nawet procent alkoholu zabija komórki, dodał: „co więc musi się dziać z człowiekiem, który więcej wypije!“

Część słuchaczy przyjęła to rzeczywiście z głębokiem przejęciem, ale inni, i to właśnie inteligentniejsi, uśmiechali się z lekka. Przecież gdyby to było prawdą, to wszyscy pijacy i bardzo wielu pijących już dawno musieliby wyginać, a tymczasem żyją i dobrze nieraz wyglądają.

Gorliwy prelegent zapomniał niestety, że co innego jest bezpośrednie zetknięcie się alkoholu z tkanką organiczną, a co innego wchłonięcie go drogą pokarmową, zmieszanego z innymi płynami i wydzielinami gruczołów trawienia. Za granicą, zwłaszcza w Anglii i Stanach Zjednoczonych, gdzie oddawna odbywają się specjalne badania nad szkodliwością alkoholu, zarzucono już szereg takich „pewników niezachwianych“, dotyczących wpływu alkoholu na zdrowie, śmiertelność, przestępczość i nędzę, które u nas kursują w najlepszym po broszurach i odczytach. Szerząc je przed ludźmi inteligentnymi, ośmieszamy tylko całą sprawę i nie pociągamy ich nigdy.

Wybitny znawca kwestji alkoholowej, Artur Shadwell członek Rady angielskiego Towarzystwa Epidemjologicznego podkreśla silnie względność różnych twierdzeń w sprawie następstw alkoholu i zaznacza, że „zarówno statystyczne jak doświadczalne racje, a zwłaszcza te ostatnie, pełne są pomyłek“, absolutnego zaś potępienia napojów gorących ze strony świata lekarskiego również nie podano, „ponieważ sprzeciwia się to powszechnemu doświadczeniu“.

Występując więc z odczytami przed warstwami inteligentnymi, nie przedkładajmy im rzeczy, w które one nie uwierzą; ogłędnością w twierdzeniach dopomożemy właśnie dobrej sprawie. Straszakiem chorób, śmierci i nędzy niewiele tu wskóramy; są to pobudki dobre i bardzo pomocne, ale słabsze i drugorzędne dla człowieka wykształconego. Przedłożmy mu, że odniesie niemałą korzyść osobistą pod względem materjalnym, zdrowotnym i duchowym, ale przede-

wszystkiem zaznaczmy mu, że zapisując się pod sztandar abstynencji, dokonuje czynu ogromnej wartości społecznej; że jego przykład i współpraca na tem polu są konieczne dla dobra szerokich sfer pracujących, które wskutek picia toną dziś częściowo w nędzy moralnej i materialnej. Takie pobudki, obok religijnych, odniosą bez wątpienia większy skutek, nikt nie będzie mógł przejść koło nich obojętnie. Wytrwała, dłuższa praca w ten sposób prowadzona przyniesie zapewne pożądane wyniki.

Ks. Stanisław Podoleński.

„Stabat Mater“.

Studjum historyczno-literackie.

Wśród niezmiernej ilości pieśni religijnych, jakie wyśpiewało Chrześcijaństwo w ciągu dwu niemal tysięcy lat, jest kilka hymnów, które wzbijają się do niedościgłych szczytów artyzmu, przy niezrównanej prostocie. Są to prawdziwe klejnoty, zdobiące wdzięcznie skroń Oblubienicy Chrystusowej, Kościoła katolickiego, które nie tylko dumą i radością przepełniać będą wszystkie pokolenia wiernych, ale nadto wzbudzają podziw obcych.

Do takich nieśmiertelnych pieśni należy sekwencja: *Stabat Mater*.

Krytyka naukowa nie ustaliła dotychczas czasu powstania pieśni, ani jej autora. Nie należy ona do wczesnych utworów, jakie już od IV wieku zdobią hymnarze i mszały. Dopiero z końcem XIV wieku rozpowszechnia się w użytku Kościoła. Jerzy Stella, autor księgi p. t. *Annales Genuenses* († 1420) twierdzi, że w r. 1388, podczas procesyj swoich śpiewali hymn ten biczownicy. Innym historykom zdanie to nie zdaje się uzasadnionem. To pewna, że w r. 1399 sekta albatów używała go wśród dziewięciu dni swoich procesyj pokutnych.

Błędem przecież byłoby przypuszczenie, że arcydzieło tak wielkiej ceny powstało poza Kościołem. Nawet pisarz protestancki Daniel (*Thesaurus hymn.* t. II. str. 140) stanowczo twierdzi, że nie Kościół katolicki wziął pieśń *Stabat Mater* od heretyków, ale oni od Kościoła.

W mszałach (z wyjątkiem angielskich) odnajdujemy pieśń tę dopiero w XV wieku. Do brewiarza rzymskiego

dostała się ona dopiero w r. 1727, z okazji wprowadzenia doń święta 7 Boleści N. P. Marji, w piątek po niedzieli Męki P. Jezusa.

Autorstwo pieśni: „*Stabat Mater*“ najczęściej przypisują franciszkaninowi Jacopone da Todi. Był on początkowo znakomitym adwokatem, żył po światowemu. Wstrząsający do głębi wypadek odmienił go przecież zupełnie. W r. 1268 podczas przedstawienia teatralnego zawaliły się trybuny i wiele pań, przyglądających się widowisku znalazło śmierć okropną. Między nieszczęśliwymi znajdowała się też małżonka Jacopone’go. Zrozpaczony pobiegł on szybko na miejsce wypadku i znalazł żonę dogorywającą. Kiedy dla ułatwienia oddechu rozpiął szatę na jej piersi, zobaczył, że pod bogatym strojem nosiła pokutną włosiennicę. Ten wypadek sprawił dziwną odmianę w życiu Jacopone’go. Rozdał majątek ubogim i został tercjarzem, a później członkiem zakonu OO. franciszkanów. Bolesne przeżycie, zdaniem wielu, miało usposobić Jacopone’go do prześlicznej pieśni *Stabat Mater*. Wadding († 1657), sławny pisarz Minorytów, przypisuje autorstwo hymnu Jacopone’mu, ale dowodu przekonywującego na poparcie swego zdania przytoczyć nie umie.

Za autorstwem Jacopone’go przemawia Gregorovius, opierając się na rękopisach z XIV wieku, które między poematami Jacopone’go i *Stabat Mater* zamieszczają. Mimo wszystko, autorstwo Jacopone’go, jak twierdzi Henry, (*The catholic encyclopedia* t. XIV, str. 239) nie jest uzasadnionem. „Powód — mówi on — dla którego hymn *Stabat Mater* nie może być przypisanym Jacopone’mu — jest ten, że jego hymny pisane są w dialekcie umbryjskim i odznaczają się sposobem pisania popularnym, odmiennym od stylu *Stabat Mater*. Nadto kilka hymnów, pierwotnie przypisywanych Jacopone’mu, jak późniejsza krytyka okazała, nie są jego i bardzo jest wątpliwem, czy wogóle pisał on oryginalne hymny łacińskie“. Henry sądzi, że autorem *Stabat Mater* jest papież Innocenty III († 1216) i przytacza za [tą opinią] powagę papieża Benedykta XIV (w. XVIII). Toż zdanie podtrzymuje More i Hurter w żywocie Innocentego III. Słusznie jednak Duffield w dziele *Latin Hymn Writers and their Hymns* i Mearns w swem dziele: *Dictionary of Hymnology*

zbijają tę opinię, opierając się na stylu Innocentego III, który cechuje intelektualizm uczonego, a nie żywa wyobraźnia poety i żywe uczucie. Henry broni swego zdania uważą, że hymny św. Tomasza z Akwinu, acz pochodzą od uczonego, tyle w sobie mają piękna i uroku. Dowód ten nie jest jednak dostateczny. Mimo swej doskonałości hymny św. Tomasza mają cechy raczej wybitnego intelektualizmu, niż porywająco prostego i szczerzego uczucia, jakie podziwiamy w sekwencji *Stabat Mater*.

Wybitny hymnolog O. Clemens Blume T. J. (*Analecta hymn.* t. 51, str. 317), odmawiając autorstwa Jacopone'mu nic nie wspomina o Innocentym III, podaje za to ciekawe spostrzeżenie, które dużo światła rzuca na problem autorstwa hymnu.

„Silnie trzeba zaznaczyć — mówi ten uczony — że w II części hymnu zwanego *Laudismus de S. Cruce* (*Analecta hymn.* 50, Nr. 383 znajdują się liczne podobieństwa do *Stabat Mater* tak, że musimy powiedzieć, iż twórca jednej pieśni miał drugą przed oczyma, albo też w pamięci słuchu“¹⁾.

Rzeczywiście podobieństwo niektórych strof jest uderzające. Weźmy pod uwagę następujące strofy *Laudyzmu*:

Inter magnos cruciatus
Est in cruce lacrimatus
Et emisit spiritum.

Suspiremus et fleamus,
Toto corde doleamus
Super Unigenitum.

Bone frater, *quiquid agas,*
Crucifixi vide plagas
Et tibi compatere. (II, str. 14, 1—3).

Crucifixe, fac me fortem,
Ut libenter tuam sortem
Plangam, donec vixero.

Tecum volo vulnerari,
Te libenter amplexari
*In cruce desidero*²⁾.

¹⁾ (Por. A. H. II 571 in.).

²⁾ Por. S. Bonaventura. Opera omnia a p. Lauer edita Ad Claras Aquas 1898, t. VIII, str. 669.

Są to zwrotki niemal identyczne z 11, 13 i 14 zwrotką hymnu *Stabat Mater*. Oba hymny cechuje piękna i naturalna forma, głębokie uczucie i stąd wykluczonem jest, aby jeden z nich był naśladownictwem drugiego, podjętem przez innego autora. Styl obu pieśni, równe ciepło uczucia, nawet te same usterki techniczne (niezachowanie cezury po II trocheju) dowodzą wyraźnie, że mamy tu do czynienia z jednym i tym samym poetą, który sam się powtarza. (zjawisko dość częste u autorów...)

Kto jest twórcą *Laudyzmu* nie jest dotychczas zupełnie ustalonym. W każdym razie najwięcej zdań przemawia za św. Bonawenturą († 1274), choć obok niego poważne powody przemawiać się zdają za *Johnem Peckham* († 1292), franciszkaninem. (Por. *Analecta hymn.* t. 50, str. 576 in.).

Tak więc zestawienie hymnu *Stabat Mater* z *Laudyzmem* dużo światła rzuca na zagadnienie, kto jest autorem pieśni, ale pełnego rozwiązania kwestji tej nie przynosi. Jak widzimy, autorem hymnu może być, albo św. Bonawentura, albo Peckham (autorstwo Grzegorza W., św. Bernarda, papieża Jana XXII i Grzegorza XV jest zupełnie, zdaniem takiego uczonego jak Henry — nieprawdopodobne).

Czy nie można badania posunąć o krok naprzód i w ten sposób „odkryć“ właściwego twórcę wspaniałej pieśni *Stabat Mater*? Spróbujemy to uczynić:

Weźmy pod uwagę poemat św. Bonawentury p. t. *Słowik (Philomela)*¹⁾. Święty opisuje w nim uczucia duszy, która w rozważaniu męki Jezusa, w słodkiej ekstazie, opuszcza cielesne więzienie, aby połączyć się z Oblubieńcem.

Rozszlochanej się przedstawia
Niewinny Baranek,
Bieluteńki, a na głowie
Ma cierniowy wianek,
Obie nogi, ręce obie
Gwoździami przebite,
Ciało święte posiniało
Ranami okryte²⁾.

¹⁾ W kodeksach łacińskich „Philomena“.

²⁾ *Plorans ergo respicit Agnum delicatum,
Agnum sine macula, spinis coronatum,*

Dusza na widok Jezusa ukrzyżowanego wypowiada słowa współczucia i gorącej miłości:

Czemuż z Tobą nie cierpiałem
 Na drzewie przybity?
 Czemuż Panie mi nie dano,
 Bym skonał, jak i Ty?
 Ominął mnie zaszczyt wielki,
 Małom miał zasługi,
 A więc wydam się na męki
 I wezmę krzyż drugi,
 Płakać będę bez przestanku
 I smutkiem się strawię,
 Póki zlepek ten mój ziemski
 Ziemi nie zostawię...! ¹⁾
 (tłum. L. Siemieński).

Porównując *Philomelę* z końcowymi zwrotkami hymnu *Stabat Mater*, zauważymy podobieństwo myśli i zwrotów, mimo formy odrębnej. Potwierdza to zdanie nasze, że autorem *Stabat Mater* jest św. Bonawentura.

W kodeksie rzymskim biblioteki Corsinich (Bibl. Corsiniorum) z w. XIV znajduje się wiersz p. t. *Meditatio de passione D. N. Jesu Christi* z dopisem, że jest to wiersz „domini Bonaventurae“. I w tym poemacie znajdują się wyrażenia, żywcem wzięte ze *Stabat Mater*. Tak np. zwrotka IV:

Attende caput inclitum,
 Caesum et sputis illitum,
 Pro te flagellis subditum,
 Morti crucis expositum.

zwr. 27: *Fac, ut in cruce gaudeam*
Crucis amore langueam,

Lividum verberibus, clavis perforatum,
Ac per cuncta corporis loca cruentatum.

¹⁾ *Tunc ut demens clamitat: Veniant lanistae,*
Qui affigant miseram (animam) cruci tuae, Christe:
Erit enim exitus mihi dulcis iste,
Si amplector moriens propriis ulnis te.

Zauważyć należy, że jedna z Edycji *Philomeli* wprowadza po strofie 79 następujący wiersz, zbliżony treścią do *Stabat Mater*:

Vitam namque mortuam videt condolendo,
Pro suis defectibus id esse credendo,
Videt Matrem Virginem asfare lugendo,
Sed et multos alios magistrum deflendo.

Nec satiari valeam,
Donec in cruce maneam!

zwr. 29: In his mihi satietas
 Et dulcor et *ebriefas*,
 Mei cordis iucunditas
 Sit Crucifixi pietas! ¹⁾.

Podobieństwo myśli i zwrotów do *Stabat Mater* w tym wierszu powiększa powagę zdania, przypisującego sławną sekwencję św. Bonawenturze.

Przypatrzmy się teraz, skąd pieśń tak cudowna powstała i co stanowi tajemnicę jej przedziwnego uroku? Widoczną jest rzeczą, że zrodziła się ona ze żywej kontemplacji słów Ewangelji św. Jana: *Stabat autem iuxta crucem Jesu mater eius...* (XIX, 25). Hymn powtarza dosłownie niemal słowa Ewangelji, ale wnet żywa wyobraźnia i uczucie poety od zwykłego opowiadania przechodzi do porywającej pieśni.

Przez dwanaście wieków ludzkość zapałtrona w postać Ukrzyżowanego, Jego ból i miłość opiewała, dopiero autor hymnu *Stabat Mater* zwrócił zwrok na tragedję, która odbywała się pod krzyżem, w sercu Matki Jezusa. Staje mu przed oczyma boleść bezbrzeżna Marji, którą dawno przepowiadał Symeon słowami: *I duszę twą własną przeniknie miecz.* (Łuk. II, 35). Jakiż temat więcej nadawać się mógł na pieśń rozdzierającej boleści, gdzież tragizm dosięgał bardziej swego szczytu?

Im większą jest miłość, tem sroższy ból na widok cierpień umiłowanego. A któż wyrazi wielkość miłości Marji dla Jezusa? Podanie głosi, że Niobe patrząc na śmierć córek, skamieniała od bólu... Głęboki tragizm matki, patrzącej na mękę dziecięcia leży w tem, iż matka więcej niejako żyje w dziecięciu swem, niż w sobie, od dziecka swego, które zrodziła i z tylu troskami wychowała odwrócić pragnie najmniejszą szkodę, tymczasem temu pragnieniu napożrek staje brutalny los i złość ludzka, wobec której ona jest bezsilną. Stąd ból, sroższy od wszelkich boleści ciała, przenikający, niby mieczem duszę samą, zadający gwałt jej

¹⁾ S. Bonawentura. Opera omnia a p. Lauer edita. Ad Claras Aquas r. 1898. t. VIII, str. 676.

najbardziej wrodzonemu uczuciu macierzyńskiej tkliwości.

Tragizm Marji sięga przecież daleko głębszych podstaw. Cierpiący Jej Syn jest nie tylko człowiekiem, ale i Bogiem, który musi odkupić świat; potrzeba jest, aby cierpiał i umierał... jak sam powiada. Marja wie, że chodzi tu o życie nie już doczesne, ale wieczne, dla wielu, wielu, którzy są też Jej dziećmi, przestrzega Ją o tem głos z krzyża płynący: *Oto syn twój* — i Marja zgadza się na męczeńską ofiarę, zgadza się na to, by się spełniło wielkie całopalenie i odkupienie świata przez śmierć Jej Syna. Dlatego nie wyrwa Go z rąk oprawców, nie szamocze się, ale jak Abraham ofiarujący syna, stoi mężnie, choć pełna boleści: *Stabat Mater dolorosa...*

Grozę tej cichej tragedji, jaka odbywała się pod krzyżem w sercu Matki Zbawiciela, w przerażająco prostych słowach odkrywa mistrzowski poeta. Powtarzając słowa Pisma św., rzuca coraz silniejsze światła na dno serca Marji przez szereg dobitnych określeń jej boleści, *dolorosa, lacrimosa, gemens, contristata, dolens, tristis et afflicta, quae maerebat et dolebat*. (i jak niektóre wersje mają zamiast *pia mater* w II zwrotce — *et fremebat*). Wyrazy te doskonale malują nawałę cierpień, które, niby ciężkie chmury zasłoniły przed Marją błękit nieba, srożej, niż ten mrok, który osłonił ziemię w czasie konania Boga-Człowieka...

Poeta w spokojnem rozważaniu przedstawia przyczyny, które boleść Marji tak srogą czynią. Wszak Ten, co wisi tuż nad Nią, na krzyżu — to Jej Syn „jednorodzony“, całe Jej szczęście i życie, wisi On w mękach, niewinny, za grzechy ludu, całe ciało Jego poorane biczami, opuszczony od uczniów i niejako od nieba samego, tak iż się skarży: *Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?* (Mat. XXVII 46), a wreszcie umiera — w kwiecie wieku, na szubienicy krzyża, między łotrami...

Dotychczas pieśń płynęła strugą spokojnej enarracji; od zwrotki VII liryzm poety wzbija się do wyższej skali, rozpoczyna on precudną rozmowę z Matką Jezusa. Pragnąc ulżyć Jej w cierpieniach, prosi, aby tak wielką miłość w sercu jego rozpałała, iżby odczuł, jak Ona, męki Zbawiciela i w ten sposób podzielił się z Nią ciężarem Jej boleści.

W pragnieniu tem dochodzi do ekstazy, błaga, by go męka i śmierć Jezusa upoiła nadziemską rozkoszą. Ostatnie dwie zwrotki hymnu przewyższają wzniosłością wszystko, co poeta uprzednio wyśpiewał: Oto staje przed oczyma poety chwila sądu ostatecznego, kiedy Ukrzyżowany przyjdzie w chwale zbierać plony ogromnego żniwa. Obok Niego zjawi się ta sama Matka boleściwa. W tej okropnej chwili, którą ma przed oczyma, w chwili, która decyduje o wieczności — z dziećcem zaufaniem zwraca się pisarz do Św. Dziewicy, błagając, by męka Jej Syna nie była dlań daremną. Żałosna pieśń uderza w ton triumfu, zda się słyszymy śpiew aniołów, na zlecenie Dziewicy otwierających nam bramy raj... Pieśń boleści się urywa, by przemienić się w okrzyk radośny „Alleluja“, co końca mieć nie będzie!

Takto genialny franciszkanin wypowiedział w precudnej pieśni to, co drzemało na dnie serca ludzkości i nauczył ją przemawiać do Matki Boleściwej. Nic dziwnego, że Kościół św. ten klejnot swej poezji w tak wielkiej zawsze ma cenie!

Jakie losy przechodził tekst hymnu w ciągu wieków? W rękopisach od XIV w. znajdują się niewielkie odmiany pojedynczych jego słów i zwrotów. (Por. Blume. *Analecta hymn.* t. LI str. 315) Niektóre przecież rękopisy odważają się na poważniejsze zmiany. Zaznaczyć trzeba, że hymn *Stabat Mater* znajdujący się w brewiarzu i mszale rzymskim różni się zwłaszcza pod koniec od tekstu powszechnego. Podajemy tekst pierwotny:

- II. (zwr.) 2. *contristantem*
- IV. „ 2. *Et fremebat, cum videbat*
- VI. „ 2. *Piam Matrem*
- VII. „ 2. *Jesum vidit in tormentis*
- VIII. „ 2. *Morientem*
- XIII. „ 1 *Fac me vere tecum flere*
- XIV. „ 2 *Te libenter sociare*
- XVI. „ 2 *Passionis Eius sortem*
- XVII. „ 2. 3. *Cruce hac inebriari*
- XVIII. „ 1. *Inflammatum et accensum ob amorem Filii*
Fac me cruce custodiri,
- XIX. „ *Morte Christi praemuniri,*
Confoveri gratia.

Jak widzimy, mamy tu do czynienia z poprawkami stylu, które znacznie podnoszą wdzięk oryginału. Zwrotka XIX w brewiarzu zaczerpnięta jest z tekstu znajdującego się już przedtem we wielu rękopisach.

Muratori (*Script. Ital.* XVII. p. 1170) podaje tekst Jerzego Stelli († mw. 1420) umieszczony w jego „Annałach“, gdzie po XV zwrotce znajdują się dwie wtrącone zwrotki następujące:

In me sistat dolor tui,
Crucifixo fac me frui,
Dum sim in exilio.

Hunc dolorem fac communem,
Nec me facias immunem
Ab hoc desiderio,

Kodeks paryski przed str. XX wtrąca:

Virgo, mihi tu sis scutum,
Iterque faciens tutum
Ad coeli palatia.

Kodeks „Cursus de Domina“ z r. 1522 dodaje jeszcze prócz tej drugą zwrotkę:

Fac me Christo praesentari
Et cum Eo conregnare
In perenni gloria!

Ciekawem jest usiłowanie zmiany liczby pojedynczej na mnogą we wielu rękopisach. Oczywiście takie poprawki obniżają piękno pierwotnego tekstu, jak widać np. na tych przykładach:

Ut portemus corde fortem,
Passionis Christi mortem,
Fac nos plagas colere.

Spinis, clavis vulnerari,
Cruce, lancea beari
Et cruore Filii.

Da, ne nos succendat ignis,
Qui paratus est malignis
In die iudicii.

Christe, da nos hinc exire,
Feliciter et transire
Ad palmam victoriae!

(kilka kodeksów z XV wieku)

Czy hymn *Stabat Mater* jest zupełnie oryginalnym? Zdaje się, że nie. W tym samym czasie, kiedy pojawia się pieśń *Stabat Mater*, o której mówimy, spotykamy pieśń podobną, ale dużo nieudolniejszą, z której jak się zdaje autor *Stabat Mater* zaczerpnął myśl do swego poematu. Zaczyna się ona od słów:

Stabat iuxta Christi crucem,
Stabat videns vitae lucem
Vitae valefacere (Por. An. Hymn. VIII. 58).

Ze takie zapożyczenie motywu nie umniejsza wartości arcydzieł, widzimy na Wergilim, Szekspirze i szeregu innych twórców, o wszechświatowej sławie. Zobaczmy teraz, jakie echo obudził przecudny hymn *Stabat Mater* w poezji łacińskiej i nowożytnych języków. W łacinie ukazała się w XV w. pieśń, będąca widocznie przeróbką *Stabat Mater*. I. jej strofa brzmi następująco:

Stabat Mater speciosa
Juxta foenum, gaudiosa,
Dum iacebat filius.

Pieśń tę zawierało wydanie włoskich poezyj Jacopone'go, ogłoszone w Brescji w r. 1495 obok hymnu *Stabat Mater dolorosa*. Pieśń poszła prędko w zapomnienie, dopiero A. F. Ozanam odpisał ją i umieścił jej przekład w „Bibliotece narodowej“ (*Bibliothèque Nationale*) pod tytułem: *Poètes Franciscains en Italie au treizième siècle. Paris. 1852.* Angielski hymnolog, dr. J. M. Neale, dał poznać *Speciosę* swemu społeczeństwu w r. 1866. Dwaj ci uczeni przypisują obie pieśni Jacopone'mu. Dr. Schaff trafnie zauważa, że *Speciosa* jest jakby parodią wspaniałego hymnu *Stabat Mater dolorosa*, i bardzo słabą w kompozycji. Dlatego niepodobną jest rzeczą, aby obie pochodziły od jednego autora, nikt bowiem nie pisze parodji do własnych poematów.

„Nie można — mówi Schaff — twierdzić, że pieśń *Dolorosa* powstała ze *Speciozy*, bo *Dolorosa* opiera się na tekście św. Jana, XIX 25, który mówi o N. Pannie pod krzyżem, nie zaś przy żłóbku.

Wyrażenie *pertransiuit iubilus* znajdujące się w *Speciosie* oczywiście wzięte jest ze słów *pertransiuit gladius*, a nie odwrotnie, i brzmi bardzo nienaturalnie“.

Również uczony Coles wątpi o wspólnem autorstwie obu pieśni.

Wszystko zdaje się przemawiać za tem, że autorem samej tylko „*Speciosy*” jest Jacopone i że on właśnie naśladował w niej wspaniały hymn swego brata zakonnego, św. Bonawentury. Badania uczonych angielskich schodzą się doskonale ze zdaniem naszym, przypisującym autorstwo hymnu „*Stabat Mater dolorosa*” św. Bonawenturze.

Urokiem pieśni *Stabat Mater* zachwycaly się wszystkie narody. Ozanam (t. V str. 169) tak się o niej wyraża: „Liturgia katolicka nic nie ma bardziej wzruszającego, od tej pieśni żalosnej, tak smutnej, której jednostajne strofy padają jak łzy, tak słodkiej, że rozpoznaje się w niej boleść bożą, pocieszaną od aniołów, tak prostą wkońcu w swej ludowej łacinie, że niewiasty i dzieci rozumieją połowę ze słów, połowę ze śpiewu i z głosu serca”.

Dr. Filip Schaff (*Literature and Poetry* 191) mówi: „Tajemnica potęgi pieśni „*Mater dolorosa*” leży w napięciu uczucia, z którym poeta utożsamia samego siebie z treścią i w łagodnej, skarżącej się melodji łacińskiego rytmu i rymu, która nie da się oddać w żadnym innym języku”.

Dr. Mikołaj Gihl (*Die Sequenzen des röm. Messbuches. str. 80*) mówi: „Ta ogólnie znana i lubiana pieśń odznacza się wielką pięknnością i wzruszającą siłą. Prosta, jasna i serdeczna mowa, mile i lekko płynące wiersze, rozmaicie powiązane i pełno brzmiące rymy wspierają i wzmacniają jeszcze wrażenie, jakie wzniosła i święta treść sama ze siebie w każdym wierzącym sercu wywołać musi”.

Nic dziwnego, że wszystkie cywilizowane narody starały się usilnie przyswoić sobie ten hymn „potężniejszy w swoim patosie ponad wszystko, co było kiedykolwiek napisane”. (Dr. Coles).

Wybitni muzycy, jak Pergolese, Palestrina, Haydn, Rossini, Liszt, Desprec, Orlandus Lassus, Astorga, Dworak, Anerio i inni dorabiali doń melodje. Przekładów liczy ta pieśń przeszło 200. Przeszło 60 tłumaczeń angielskich, (najlepsze Caswalla) koło 80 niemieckich, holenderskich w r. 1843 było 11.

A jak się przedstawia historia *Stabat Mater* w litera-

turze polskiej? Dziwna rzecz, nawet tacy poeci, jak Kochanowski i Karpiński,¹ którzy zadali sobie trud tłumaczenia całego Psalterza, nie biorą się do przekładu precudnej tej pieśni. Przez długi czas w użytku wiernych utrzymuje się przekład ludowy niezmiernie nędzny, będący, jakby karykaturą wspaniałego oryginału. Oto np. jego wyjątki.

Ze wszech Panien, Panno zacna
Bądź tak proszę na mnie *bacna(!)*,
Dozwól mi z Tobą płakać.

Jego zapał niech mam w sobie,
Poruczenie, (?) Panno w Tobie
Niechaj mam dnia sądnego...

Kiedy ciało pójdzie w ziemię,
Niech dusza, *niebieskie plemię (!)*
Wiecznej chwały nie traci. (Odpusty. Arndt str. 197.)

Dopiero w XIX wieku poeci zwrócili uwagę na piękno hymnu. Autor „Najświętszej Rodziny“, Bohdan Zaleski, dał nam przekład pełen wdzięku i uczucia. Oto niektóre jego strofy:

Stała Matka bolejąca
Tuż pod krzyżem, w głos łkająca
Za Synem na katuszy.

Strasznie ciężko umartwiona,
Jakby zimny miecz wśród łona
Przeszywał aż do duszy.

Za rodzaju swego winy
Cierpi oto On Jedyny,
Ubiczowany srodze.

Gwoździe wiercą, bolą ciernie,
A spogląda miłosiernie
I kona — ku Niebodze...

(Poezje B. Z. Lwów. 1877. t. I str. 52)

Szkoda, że pełen liryzmu śpiewak Ukrainy nie przyłożył się należycie do pracy żmudnej tłumaczenia. Przekład jego, acz pełen uczucia, nie dość jest ścisły co do treści, szwankuje w rytmie, a nawet w niektórych miejscach nie jest poprawnym np.

Czyżż sercê ludzkie, czyje
Nie uwielbi *te Marję* (IV strofa)

Znacznie większą wartość literacką ma przekład Felicjana Faleńskiego. Wykwintny estetyk wczuwa się bardziej w żalony ton sekwencji i w słowach pełnych siły maluje ból Dziewicy-Matki. Oto początek przekładu:

Stała Matka boleściwa,
Gdzie na krzyżu dogorywa
W srogich mękach Jej Syn miły.

I w Niej biednej dusza cała
Z bólu mdlała, w łzy topniała,
Wskroś w Jej sercu miecze tkwiły.

Jakże była zrozpaczona
Widząc, że już z cierpień kona
Ten wnętrzości Jej Syn miły!

Oto łkając, to ramiony
Obejmuje krzyż skrwawiony,
To znów sama sobą trwoży.

Jestże kto tak twardej duszy,
Kogo widok nie poruszy,
Gdy u słupa w wieńcu z cierni,

Był w Jej oczach ten Jedyny
Syn Jej, nie za swoje winy,
Bity najniemiłosierniej?

Potem smutny w ganku stoi,
Potem Go odbiegli swoi,
Potem krzyż Go nieść zmuszono.

Matko w której zdroj stodyczy,
Z Tobą dusza moja życzy
Łkać i być niepocieszoną...!

Obok wielkiego polotu i przejęcia się treścią przekład miejscami tak odbiega od oryginału, że zdaje się być tylko jego parafrazą. Czytelnik łatwo przekona się o tem zestawiając np. zwrotkę 6 i 7 ze strofami łacińskimi. Wcale udatne tłumaczenia „*Stabat Mater*“ daje arcybiskup Ignacy Hołowiński (Hymny kościelne Kraków 1856 str. 168) i arcybiskup A. F. Symon (Hymny kościelne. Warszawa. 1902). Główną wadą tych, a tembardziej starszych przekładów jest zbyt, że tak się wyrażę „ludowość“ przekładów pieśni, która w oryginale, obok swej prostoty odznacza się wysokim artyzmem. Nadto razi zmiana rytmu w III i VI wierszu sekstyny. W łacinie jest on następujący:

— — — — —

Jak widzimy, akcent przypada tu na ostatniej zgłosce. Tymczasem, z powodu rymów żeńskich, tłumacze polscy akcent kładą na przedostatniej, niezgodnie z rytmiką łaciny, tak np. Zaleski:

— — — — —

Faleński:

— — — — —

Niemieccy tłumacze umieją ten szkopuł wyminąć. Tak np. Schlosser (Die Kirche in ihren Liedern) zachowuje rytm łaciński:

Stand die Mutter qualentragend
An dem Kreuze und erklagend,
Wo der Vielgeliebte hing.
Deren Seele bang erstrebend,
Angstbeladen und erbebend
Tief ein scharfes Schwert durchging...

Pragnąc te braki usunąć, podjąłem się nowego przekładu, który wyszedł w Wilnie¹⁾. Przytaczam go w całości z uwzględnieniem najnowszych poprawek:

Stała Matka bolejąca
Obok krzyża, w łzach tonąca,
Gdy Jej miły wisił Syn.
Duszę Jej wśród jęków całą,
Zasmuconą i zbolałą
Przeszedł miecz dla naszych win.

O, jak smutna i strapiona
Była ta Błogosławiona,
Z której Bóg się zrodzić chciał!

Jak płakała i bolała
Tkliwa Matka, gdy widziała
Męki Syna, Króla chwał?!

Gdzież jest człowiek, co łyzy wstrzyma,
Gdy mu stanie przed oczyma
W mękach, Matka ta bez skaz?

¹⁾ Cenniejsze hymny kościelne. Nakładem J. Zawadzkiego (Wilno. Maj 1922).

Kto się smutkiem nie poruszy,
Gdy rozważy boleść duszy
 Matki z Jej Dziecięciem wraz?

Za swojego ludu zbrodnie
W mękach widzi, tak niegodnie
 Zsieczonego, Zbawcę dusz.

Widzi Syna wśród konania,
Jak samotny, głowę skłania,
 Gdy oddawał ducha już!

Matko, coś miłości zdrojem,
Spraw niech, czuję w sercu mojem
 Twój ból, u Jezusa nóg!

Spraw, by serce me gorzało,
By radością w życiu całą
 Stał się dla mnie Chrystus, Bóg.

Matko, ponad wszystkie świętsza,
Rany Pana aż do wnętrza
 W serce me głęboko wpój.

Twego Syna ból i rany,
Które dla mnie zniósł, krwią zlany,
 Niechaj duch podziela mój!

Spraw, niech leję łzy obficie
I przez całe moje życie
 Serce me z cierpiącym wiąż.

Pragnę stać pod krzyżem z Tobą,
Z Twoją łączyć się żałobą,
 W płaczu się rozplýwać wciąż.

Panno święta! Tve dziewicze,
Zapłakane wznies oblicze:
 Jeden niech nas łączy płacz!

Niech Chrystusa śmierć i męki
Sam poniosę, Jego jęki
 W sercu mem wycisnąć racz!

Zrań ranami serce moje,
Spraw, niech krzyżem się upoję
 I krwią która spływa zeń.

Bym w piekielne nie wpadł żary,
Ty mnie, Panno, od tej kary
 Obroń w sądu straszny dzień!

Gdy już życia kres nastanie,
Ty przez Matkę, Chryste Panie,
Palmę mi zwycięstwa daj!

Gdy ulegnie śmierci ciało.
Spraw, niech duszę wieczną chwałą
Twój rozkoszny darzy raj!

Amen.

Zachowanie rytmu łacińskiego oryginału ma tę wielką korzyść, że przekład daje się zastosować do precudnych melodyj, dorobionych do łacińskiego *Stabat Mater*. U nas we Wielki Piątek tłumnie zbiera się publiczność na słuchanie tej pieśni, śpiewanej przez zespół artystów. Ileż więcej odniosłaby pożytku, gdyby nie tylko samemi tonami się rozkoszowała, ale też rozumiała treść tak rzewnej pieśni!

Ujednostajnienie rytmu z łacińskim oryginałem zachowuje też w przekładzie swoim ks. Piotr Mańkowski, biskup kamieniecki. Oto wyjątek jego tłumaczenia:

Za grzechowe ludu zmazy
Widzi kaźń i biczów razy,
Które Jezus cierpieć chciał.

Widzi Syna najśłodszego,
W śmierci swej opuszczonego,
Kiedy Bogu ducha dał.

Ciekawe są echa, jakie pieśń *Stabat Mater* wywołała w literaturze świata. Osobnego trzebaby studjum, aby je zebrać razem. Goethe, na wyrażenie boleści serca ludzkiego nie znajduje piękniejszych słów nad słowa tej sekwencji:

Das Schwert im Herzen
Mit tausend Schmerzen
Blickst auf zu deines Sohnes Tod.

(Faust I. Część. w. 3590 in.)

U nas na tle pieśni *Stabat Mater* powstała przepiękna pieśń p. t. *Wiatr w przelocie*.

Wiatr w przelocie skonał chyżym,
Przeniknęła ziemię groza,
Krzyż na skale, a pod krzyżem
Stabat Mater dolorosa...

Żadnych słów, ni żadnych głosów,
 Krew z korony Bożej spływa:
 Pośród ziemi i niebiosów
 Stała Matka boleściwa... i t. d.

W naszych „*Gorzkich Żalach*“, rozmowy duszy z Matką Boską wzięte są tak żywo ze *Stabat Mater*, że niektóre strofy, włączone zostały w nie bez żadnej zmiany.

Nawet na Mickiewicza pieśń *Stabat Mater* potężnie musiała działać, czego echo widzimy w Dziadach cz. III. we wspaniałem „widzeniu ks. Piotra“.

Już wleką — już mój naród na tronie pokuty
 Rzekł: „pragnę“. Rahuz octem, Borus żółcią poi,
 A Matka Wolność u stóp *zapłakana* stoi...

Słowo „*zapłakana*“, żywe tłumaczenie *lacrimosa* wskazuje, że właśnie pieśń *Stabat Mater* miał przed oczyma, gdy to „widzenie“ tworzył. Drobne reminiscencje z pieśni *Stabat Mater* mniej lub więcej snują się i w nowszych utworach. Tak np. najnowsze wydanie *Łabędzia i Liry*, Leopolda Staffa, zawiera te słowa: (Zwiastowanie. str. 102).

Ave Maria! Mrok się uniża
 Do stóp Twych, pełznąc wśród niemej głuszy,
 By Cię przebłagać, że u stóp krzyża
Kirem rozpaczy legnie Ci w duszy.

Ave Maria! Bądź pozdrowiona,
 Że cała wieczność będzie Ci dłużna
 Plonu z katuszy twojego łona...

Tak jest, nieśmiertelne są plony boleści Marji pod krzyżem, i nieśmiertelną pieśń, co z taką prawdą i wdziękiem je wyśpiewała.

Ks. Tadeusz Karyłowski.

„Matki“ Ignacego Dąbrowskiego¹⁾.

Powieść Ignacego Dąbrowskiego „Matki“ została w *Przeglądzie Powszechnym* (luty 1923, str. 161 i n.) oceniona przez p. J. K. bardzo przychylnie, prawie entuzjastycznie. Zdaje mi się, że taka recenzja była niezasłużona, i właśnie próbuję wykazać, dlaczego.

Powieść porusza drażliwą sprawę, „kto się ma zająć uświadomieniem dorastającej panienki“. Ale czy tylko tyle? To pocóż druga część o budzeniu się zmysłów Nini, poco opis zapałów p. Więclawicza do jej matki? Zresztą i rzecz sama i sposób pozostawiają wiele do życzenia i na nie nie można zgodzić się ze względów zasadniczych, choć doznaje się wrażenia, że autor pisał w najlepszej myśli i wierze.

Są jednak rzeczy, których nawet w najlepszej chęci nie należy ani nie można poruszać w sztuce, czy literaturze

¹⁾ Dajemy miejsce nadesłanej nam nowej ocenie powieści, o której już była u nas mowa. Autor nadesłanej oceny patrzy na powieść z nieco innego stanowiska, niż poprzedni recenzent. J. K. widział w powieści Dąbrowskiego próbę rozwiązania problemu: czy, kiedy i przez kogo ma być dokonywane uświadomienie młodzieży dorastającej o obowiązkach pożycia małżeńskiego. Zgodził się z autorem powieści, że bez szkody uświadomienia tego można zaniechać, aż życie samo je sprowadzi. Obok tego dość upowszechnionego zapatrywania może być i jest zapatrywanie inne, mianowicie o potrzebie uprzedniego uświadomienia, byleby ono było delikatne i właściwe. To zapatrywanie podziela autor nadesłanej nowej recenzji. Jest to kwestja pedagogiczna dość sporna, a raczej przytoczone przez nowego recenzenta nie są gorsze od racyj Dąbrowskiego i J. K., i dlatego chętnie z tego powodu redakcja głos jego umieszcza. — Ponadto co do samej faktury powieści, sąd nowego recenzenta jest surowszy od sądu J. K., zdaje się nam dlatego, że każdy z recenzentów ma przed oczami inne koło czytelników: pierwszy myśli raczej o młodzieży, do której ręk książka wpaść może, drugi — o ludziach dojrzałych, interesujących się pedagogicznym zagadnieniem, które — dodajmy tu — inny jeszcze recenzent powieści Dąbrowskiego (w *Przegl. Warszaw.* lipiec 1923) uważa za temat nie główny powieści, jak chce J. K., lecz raczej uboczny.

Redakcja.

pięknej. Do tych należą właśnie sprawy fizycznego pożycia małżonków i nie darmo największe dzieła poezji i prozy kończą zwyczajnie na wyjściu „Numy za Pompiljusza“. *Sancta sancte sunt tractanda*, a powstanie nowego istnienia ludzkiego jest rzeczą świętą i tem bardziej poważną, że łączy się ze szczególnymi przeżyciami zmysłowymi. Cała ludzkość zgodnie okryła je tajemnicą i wstydlivością. A oto p. D. rozrywa tę zasłonę w sposób nieodpowiedni i niepotrzebnie opisując wiele szczegółów, bez którychby się oberzło. Cóżbyśmy powiedzieli o człowieku, który opowiadałby o tajemnicach swego łoża, choćby w oświeceniu najsztudniejszycch stanów psychicznych — w towarzystwie, a nie np. u lekarza lub w sądzie? A właśnie autor tak czyni. Wszak to powieść, a czytelnicy są słuchaczami. A nie jest to dzieło pornograficzne *ex professo*! Zatem pomieszanie pojęć i nieostrożność! Musi wywołać zgorszenie! A nie będzie to zgorszenie ani małuczkich i niepowołanych, ani faryzejskie. W dziele naukowem nie będzie razić najdrastyczniejszy opis, bo przeznaczone dla powołanych i fachowców musi je zawierać (książki lekarskie), w literaturze pięknej niema dla nich miejsca ani z moralnych ani estetycznych względów, inaczej muszą wywołać skutki niepożądane.

Czy razić może myśli Nini i jej prostracja duchowa, tak głęboko psychologiczna? Nie! Ale niepotrzebnie przeciągnięty opis nocy poślubnej, ale szczegółowe opowiadanie o budzących się zmysłach Nini, ale opis sposobów, jakich do tego używa p. Władzio — wedle p. J. K. „z delikatnością posuniętą do ostatecznych granic“ (?), ale drastyczne opisywanie pieśszczt i przyjemności małżeńskich, bo opis przeróżnych czułościowości i dzieciinnad już tylko niesmak budzi lub wzruszenie ramion (podobnie opis choroby morskiej 425). Każdy może i zapewne doświadczy tego z równą przyjemnością, ale opis równie jest niemiły, jak widok np. smarkosza, delektującego się zjadanemi potrawami.

Przecież to jest cechą czysto zmysłowych przyjemności i wogóle wrażeń, że są ściśle związane z czasem i przestrzenią, ale wyobrazić ich sobie w żaden sposób nie można. A jeżeli opisy erotycznych przeżyć czysto zmysłowych potrafią wywołać oddźwięk, to tylko przez kojarzenie wyobrażeń i własne zmysłowe poruszenie czytelnika, a nie jest to chyba to, czego sobie życzył autor, jeżeli pisał z najlepszych pobudek i w najidealniejszych zamiarach.

A jeśli chodzi o „trzon“ zagadnienia, to ten także fałszywy. Problem, kto ma uświadamiać dziecko, jest zbyt trudny i zawiły, aby go rozstrzygać w powieści, ale to pewna, że do lamusa przeżytków trzeba przenieść wychowanie, jak je pojmuje p. Jasieńska, wychowanie lalusi, wraz z taką in-

dagacją jak na str. 58—63. P. Jasińskiej nie można ani nazwać dobrą matką, ani uznać za uzdolnioną do uświadczenia dziecka. Na tyle nie ma delikatności! (choć 95). Satysfakcji jej, że dobrze wychowała córkę (298), bynajmniej podzielić nie można, bo matka nie może i nie śmie uświadczenia dziecka odwlekać (15/16) lub zdać na „jakoś to będzie“ (94).

Przeciwstawia swą Nini „łani, gotowej do bekowiska“, ale zapomina, że nieświadomość także nie jest cnotą. „A więc miała już od dziecka zaprawiać ją do tych rzeczy i nigdy nie dać jej zaznać tych obłocznych iluzji?“ (298).

Znowu pomieszanie pojęć, bo w rozdrażnieniu nie może p. J. logicznie myśleć, ale gorzej, że autor zdaje się z nią solidaryzować. Nie „od dziecka zaprawiać“, bo to nie ma sensu, ale przecież małżeństwo jest, a przynajmniej powinno być wyjściem z dzieciństwa, bo małżeństwo to nie zabawa, ani przyjemność, to także i przede wszystkim — obowiązek. „Uświadczenia“, to tylko w pojęciach ludzi zepsutych równoznaczne z „zepsutą“; uświadczenie to zresztą nie znajomość wszystkich fizjologicznych czynności, a tem mniej np. przestępstw płciowych lub t. p. Najśw. Panna Marja była kwiatem niewinności, a jednak pytała anioła: „Jakoż się to stanie, gdyż męża nie znam?“ — Typ Nini jest dziś nie-realny i niepożądany. A jeżeli p. Jasińska pamięta, że „kładała się do łóżka dziewczę, wstawała z niego samica tego gatunku, który w zoologii nosi nazwę *genus humanum*“ (92) — to bardzo źle i ubolewać tylko nad nią wypada, ale zaprotestować przeciw temu, aby to miało być regułą.

Zapomniała też p. J., a i autor zdaje się o tem nie wiedzieć, co to znaczy dla przyszłego szczęścia dzieci, jeżeli przyszła matka wychodzi za mąż nieuświadczenia, a tem bardziej z fałszywym wstydem, który jej nie pozwoli nauczyć się, jak należy czuwać nad dzieckiem w sprawach jego przeżyć, związanych z rozwojem płciowym. Czy taka matka potrafi dzieckiem pokierować, albo uchronić od wpływów zewnętrznego uświadczenia niewłaściwego i w formie niewłaściwej? Nie każdy ma atmosferę cieplarnianą, nie każda p. Władzia po ślubie. W ostateczności potrafi taka matka płakać (110) lub biadać (111 i n.), dziwić się i gniewać, nawet wtedy, gdy dziecko niewinne (jak p. Jasińska 56—62).

Ale jest rada na ustrzeżenie dziecka. I p. J. K. twierdzi, że p. Jasińska trzymała się w praktyce „starych doświadczonej reguł, do których należy umiarkowana, ale gruntowna religijność“... Otóż czego, jak czego, ale tej „gruntownej“ religijności, to niema wcale. Pacierz wieczorny to jeszcze nie wszystko (213, nawet 310, a 14/15!). Kilka miejsc książki o tej religijności, aż zanadto zalatującej powierzchow-

nością i dewocją, czasem swoistego rodzaju (7, 14/15, 126, 290 i n.), to nie religijność i do tego gruntowna. P. J. K. zdawało się, że widzi swe szlachetne pojęcia w dziele, w którym ich jednak niema.

Bo oto, gdy pani J. dochodzi do wniosku, że dobrze wychowała córkę:

„Więc nie tylko kajać się nie mogła, nie mogła też ani modlić się, ani błagać. O co?... A może o to, żeby dobry Bóg, ot tak z godziny na godzinę, na prośbę p. Jasińskiej wyrzucił jeden z fundamentów świata lub po raz wtóry, tym razem dla panny Nini, dopuścił cud Zwiastowania? (299).

Pomińmy, że poczucie religijne oburza się na takie lekkie zestawienie pojęć i myśli, które można jeszcze przebaczyć p. J., ale znów nie autorowi — to gdzież tu gruntowna religijność?

Jakto, to nawet o nic nie mogła się modlić? Ale czy to tylko tak z religijnością? A inne wyższe ideały: narodowość, społeczeństwo, sztuka, literatura lub t. p. Nic z tego! — Egoizm we dwójkę, życie próżniacze lub filisterskie, żądza użycia lub wygody. Dusze na miarę krawca, nie Fidjasza! (Strój ma podbić serce córki 476; zdanie samego autora 339).

Można dzieło p. Dąbrowskiego przyjąć jako dzieje przeżyć p. Władzia i p. Nini; jako próby wyjaśnienia zagadnienia uświadamiania — żadną miarą. Polecać ani do czytania, ani do specjalnych studjów literackich — nie warto!

Eugenjusz Jelonek.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.



Dr. Martin Grabmann: Die Idee des Lebens in der Theologie des hl. Thomas von Aquin. Paderborn, F. Schöningh, 1922 str. 92.

Ks. Dr. M. Sieniatycki. Prof. Uniw. Jagiell.: Problem istnienia Boga. Poznań, Księg. Św. Wojciecha, 1923, str. VIII+218.

Dr. Theodor Rütther: Die Lehre von der Erbsünde bei Clemens von Alexandrien, Freiburg, Herder, 1922, str. XVI+144.

Christian Pesch S. J.: Die Selige Jungfrau die Vermittlerin aller Gnaden. Freiburg, Herder, 1923, str. VIII+184.

1. Idea życia a teologia spekulatywna i, do tego scholastyczna cóż mogą ze sobą mieć wspólnego? Przecież, zdaniem wielu, scholastyka to jakiś bezduszny szkielet, zakrzepły las podziałów, podpodziałek i rozróżnień, karkołomny zrab skalisty, na którym nie zamajaczy nawet błędny ognik lub przelotna iskierka życia! A jeśli już idzie o Summę św. Tomasza, to wielu odstrasza sama jej zewnętrzna forma, naszpikowana setkami kwestyj, zatrzęsiona tysiącem artykułów, zaś monotonne: *videtur quod non, sed contra, respondeo dicendum* zrażają wykwintnych wielbicieli łaciny klasycznej,

Lecz co innego forma i zewnętrzny wygląd, a co innego treść. Dla niejednego profana olbrzymi jakiś motor elektryczny będzie tylko stosem drutów i drucików, szeregiem błyszczących śróbek, dźwigni, kół i kółeczek, podczas, gdy dla elektrotechnika będzie on kwiatem i owocem genjuszu ludzkiego, pulsującym potężną falą energii i siły. Podobnie rzecz się ma z ideą życia w teologii św. Tomasza z Akwinu. Gdy się cierpliwie przebijemy poprzez metodyczne rusztowanie, konieczne dla wszelkiego systemu, gdy po twardym żlebie wyrobienia dialektycznego przedrze się człowiek przez gęsty bór artykułów i kwestyj, wówczas przed okiem wykształconego filozofa i wierzącego teologa roztaczają się bezkresne widnokręgi wielkiego oceanu życia, którym jest Bóg, a pierś zdumieniem wezbrana, w przyspieszonym tempie chłonie w siebie najczystsze jego fale.

Małeńka książeczka Dr. Grabmanna z mistrzowskim znanstwem wykazuje, jak Summa Doktora Anielskiego drga, tętni i pulsuje ideą życia. Wszak jej część pierwsza wprowadza nas w najgłębszą toń Bożej istoty, uprzytomnia jej odwieczną płodność. Ojciec, poznając swą naturę, rodzi współistotnego. Sobie Syna. Ojciec i Syn w zachwycie miłości, dają

początek Duchowi Świętemu. Zaś cała Trójca Przenajświętsza, nie mogąc niejako powstrzymać nadmiaru swej doskonałości, w akcie stwórczym powołuje do życia zastępy duchów czystych i miriady jestestw, ożywiających martwą materję.

Druga część Summy przedstawia nader urozmaicony, różnemi przeszkodami spiętrzony powrót fali życia do swego źródła: „*motus creaturae rationalis ad Deum*”. Na tej powrotnej fali, kierowanej i podniecanej „wielką tajemnicą w Chrystusie”, tajemnicą łaski poświęcającej lśnią i odzwierciadlają się spokojne głębie wewnętrznego życia Trójcy Przenajśw. Nauka o grzechu pierworodnym czyli o zniweczeniu w człowieku zarzewia Bożego życia służy niejako za ciemne tło dla trzeciej części Summy. W postaci Boga-Człowieka widzimy jakby nową profuzję Bożego życia, biegnącą na pomoc ludzkości, która ginie i grzęźnie w grzechu. Żeby więc w piersi ludzkiej zapalić zamarły pierwiastek życia, i dzieci zbłąkane sprowadzać na łono kochającego Ojca; wciela się, rodzi, pracuje, cierpi, na krzyżu umiera „Syn Człowieczy”. W tym celu ustanawia nową ekonomję Zbawienia, Kościół św., sakramenta.

Poprzez całą więc Summę św. Tomasza snuje się jedna myśl: „*Jam jest zmartwychwstanie i żywot*”; „*Przyszędłem, aby życie mieli, i obficie mieli*”. Każdemu, kto chce nabrać zamięłowania do św. Tomasza, radzimy uważnie przestudjować klasyczne to dziełko.

2. Broszura przed kilkunastu laty wydana p. t.: „Dowód kosmologiczny na istnienie Boga”, urosła w nowem opracowaniu do rozmiarów poważnej rozprawy. W sposób jasny, i przystępny, naukowy co do treści, popularny co do formy, omawia w niej prof. Sieniatycki podstawową prawdę teistycznego na świat poglądu, t. j. ścisłą sprawdzalność istnienia Bożego.

Najpierw widzimy, jaką drogą nie powinno się dowodzić istnienia bożego, następnie, przygotowując solidną podwalinę pod właściwą budowę stwierdza autor przedmiotowość zewnętrznych zjawisk, oraz powszechność zasady przyczynowości. W rozdz. trzecim rozwija dwa szeregi dowodów: z otaczającego nas świata (kosmologiczny i teleologiczny), ze zjawisk duszy ludzkiej, (z powszechnego przekonania o istnieniu Boga, etyczny i z pragnienia szczęścia). Rozprawę autora, utrzymaną na wyżynach ściśle naukowego dzieła, niekiedy przysuchą, cechuje erudycja, przejrzyistość, werwa i żelazna logika.

Mamy jednak pewne zastrzeżenia. I tak sam tytuł nie bardzo zdaje mi się, trafny, bo „problem” to przecież zagadnienie dotąd nie rozwiązane, zaś istnienie Boga nie jest wcale „problematyczne”, czyli niepewne.

Również sformułowanie zasady przyczynowości nie było najszcześliwsze. Autorowi spodobała się najbardziej taka forma: każde nowo-powstające zjawisko musi mieć swoją przyczynę. Chcąc zaś wykazać, że ta zasada jest analityczną, (t. j. że z analizy podmiotu „nowo-powstające zjawisko” wynika jego zależność od przyczyny sprawczej), ucieka się do zasady wystarczającej racji i tak rozumuje: Racją powstania nowego zjawiska jest albo jego natura, albo nicość, albo możliwość. Ale ponieważ

żaden z tych trzech czynników nie może być dostateczną jego racją, więc musi nią być przyczyna sprawcza, (str. 44, 45); przeciwko takiemu ujęciu zasady przyczynowości można mieć coś do zarzucenia. Jeśliby zasadę przyczynowości autor rzeczywiście i logicznie opierał na zasadzie wystarczającej racji, to wtedy zasada przyczynowości nie byłaby zasadą pierwszą, bezpośrednio oczywistą (*principium primum, immediate evidens*), lecz zasadą *pochođną* (*principiatum*). Nadto nie byłaby *analityczną*, bo by o jej oczywistości i konieczności przekonywało nas nie refleksyjne wniknięcie w naturę i właściwości podmiotu, lecz jakaś inna zasada. Prof. Sieniatycki nie tylko opiera zasadę przyczynowości na zasadzie wystarczającej racji, ale jedną z drugą utożsamia. „*Racja dostateczna* w tym ostatnim razie”, (gdy mowa o stworzeniach, nie o Bogu) nazywa się przyczyną. Przyczyna tedy to nic innego tylko racja dostateczna istnienia tych bytów, które tej racji nie mają w sobie. Przyczyna jest więc tylko poszczególnym zastosowaniem zasady dostatecznej racji do bytów stworzonych, jest ona tej ostatniej jakby tylko szczególną odmianą” (str. 40). Zatem, skoro zasadę przyczynowości raz na zawsze z zasadą wystarczającej racji spłótl i utożsamil, dowodzenie tejże za pomocą i w świetle zasady wystarczającej racji jest klasycznym kręceniem się w błędnym kole i oczywistą „*petitio principii*”. Istotnie, o tyle racją powstania nowego zjawiska może być albo natura, albo nicosć, albo możliwość, o ile wogóle nowo-powstające zjawisko zależy od jakiejś racji, czyli przyczyny sprawczej. Lecz że tak jest, że rzeczywiście każde nowe zjawisko zależy od racji czyli (według autora) od przyczyny sprawczej, to trzeba to wykazać z samej treści podmiotu; w innym bowiem razie zasada przyczynowości albo nie będzie zasadą albo nie będzie *analityczną*, albo wreszcie zależność nowo-powstającego zjawiska od przyczyny sprawczej wcale nie będzie oczywistą. Po co to było odstępować od prostej i jasnej formuły, jedynie odpowiadającej tym wszystkim wymogom: „Był przypadłościowo, przez uczestnictwo istniejący zależy od przyczyny sprawczej”?

Wreszcie jeśli chodzi o dowód etyczny, to wypadł on mojem zdaniem najslabiej. Prostolinijność i przejrzystość dowodzenia zamazała i zagmatwała się przez ciągłą polemikę z Kantem, z etyką niezależną ewolucjonistów. A zresztą, choćby autor nie wiem jak się silił na jasne przedstawienie dowodu z moralnego prawa bezwzględnie ludzi obowiązującego, to dowód ten, sam dla siebie wzięty, nie wsparty na innych dowodach, albo niczego nie dowodzi, albo znów zawiera „*petitionem principii*”.

Mimo tych rzeczowych usterek i pewnych przeoczeń gramatyczno-stylistycznych (n. p. przypadki czwarte żydowskie po przeczeniu str. 11, 12, 25, 31) dzieło ks. Sieniatyckiego zasługuje na uznanie i na usilną reklamę w sferach naszej inteligencji.

3. Objawienie Boże uczy nas nie tylko o tak świetlanych i miłych prawdach, jakimi są n. p. podniesienie rodzaju ludzkiego do godności dzieci bożych, ale przekonywa nas także o tak ponurych dogmatach, jakim jest n. p. piekło lub grzech pierworodny, czyli dobrowolna utrata przez ludzkość w Adamie łaski poświęcającej. Choć nauka Pisma św.

o grzechu pierworodnym była i jest jasna, to jednak spór z pelagianami i protestantami niezmiennie się przyczynił do jej wyświeflenia. Według uczonych protestanckich, Ojcowie i pisarze kościelni przed św. Augustynem jakoby nie znali całkiem dogmatu o grzechu pierworodnym, owszem odrzucali go i zbijali, zwalczając gnostyków.

Dzieło Dr. Rütther'a stwierdza ponownie bezpodstawność i aprioryzm zarzutów protestanckich, jeśli chodzi o Klemensa Alexandryjskiego. Wprawdzie ten „pierwszy filozofujący teolog” nie mówi jeszcze tak jasno o grzechu pierworodnym jak n. p. św. Augustyn lub Sobór Trydencki, jednak trudno dziś utrzymywać, że Klemens odrzucał lub przynajmniej podawał w wątpliwość istnienie grzechu pierworodnego i strasznego upadku ludzkości w Adamie. Sumienna, systematyczna, nieomal pedantyczna i monotonna praca Rütther'a przekonywa niezbitnie, że między nauką katolicką o grzechu pierworodnym a nauką Klemensa Aleks. niema żadnych istotnych różnic, choć są drobne odcienia w szczegółach drugorzędnych.

4. Aczkolwiek do nieomylnych określeń, że jakaś prawda jest przez Boga objawiona, zwykle najlepiej przyczyniały się gwałtowne spory i herezje, to jednak nie brak w dziejach przykładów, że pod wpływem nalegań i prośb Kościoła słuchającego, Stolica święta zdefiniowała niejednen dogmat. W ostatniem dwudziestoleciu jesteśmy świadkami podobnego zjawiska. Z różnych stron świata dochodzą do Rzymu usilne prośby, by Najwyższy nauczyciel Kościoła orzekł swą nieomylną powagą, że Najśw. Marja Panna pośredniczy w rozdawnictwie łask i że wszystkie pomoce i zmiłowania boże przechodzą przez jej dłonie.

Szereg kongresów marjańskich (we Fryburgu szwajcarskim 1902, w Einsiedeln 1907, w Trewirze 1912, w Bretanji 1913, w Brukseli 1921), roztrząsał głównie to zagadnienie: czy powszechność i konieczność pośrednictwa Marji w rozdawnictwie łask jest prawdą przez Boga objawioną. Poważny zastęp biskupów belgijskich przesłał przez ręce swego prymasa, kard. Mercier'a suplikę do Ojca Świętego, by jaknajprędzej przystąpił do dogmatycznego określenia tej prawdy. Zbiorowe odezwy episkopatu i zakonnych zgromadzeń nie przebrzmiały bez echa. W r. 1921, Kongregacja św. obrzędów pozwoliła obchodzić w Belgji dnia 31 maja święto pod wezwaniem „Matki Najśw. pośredniczki wszystkich łask”. W tym też celu ułożyła i wydała osobną mszę św. oraz pacierze kapłańskie. Z przywileju odprowadzania mszy św. o Matce Bożej pośredniczce wszystkich łask korzystać mogą nie tylko belgijskie djecezje, ale i te biskupstwa, które o to poproszą.

Oprócz niewidzialnego działania Ducha Św. ożywiającego i oświecającego mistyczne Ciało Chrystusa, duże znaczenie w rozwoju dogmatów przypisać trzeba gruntownym badaniom teologów. Do postawienia kwestji na porządku dziennym, jeśli idzie o powszechność pośrednictwa Marji w rozdzielaniu łask, przyczyniły się głównie dzieła O. Terrien'a T. J. „La Mère de Dieu et la Mère des hommes”, J. Godts'a, „De Definibilitate universalis mediationis Deiparae” (Bruxelis, 1904), E. Hugon'a O. P. „La

Mère de grâce" (Paris, 1904), O. Villad'y T. J. „Por la definición dogmática de la mediación universal de la Santísima Virgen" (Madrid, 1917), R. M. de la Broise et. J. V. Bainvel T. J. „Marie Mère de grâce" (Paris 1921). Jak bowiem brak jasnych pojęć był w znacznej mierze, zarzewiem herezji, tak przeciwnie jasne i proste wyłożenie dogmatu najłatwiej ujawnia i uzasadnia prawdę. Jeśli chodzi o omawiane zagadnienie to książce O. Pesch'a T. J. trzeba przyznać tę wielką zasługę: że jasno, zwięźle i gruntownie wyjaśnił oraz udowodnił powszechność i konieczność pośrednictwa Marji w tajemnicy rozdawnictwa łask. W rozdziale 2-gim tłumaczy: dla kogo, jakich łask i w jaki sposób Marja Panna jest pośredniczką. W rozdz. 3, 5, 6, 7 i 8 przytacza dowody z tradycji i „racje" teologiczne za powszechnem pośrednictwem Niepokalanej; w rozdz. 4 i 9 rozwiązuje wszystkie trudności, w 10 r. zadaje sobie to pytanie: czy i w jaki sposób Kościół św. mógłby przystąpić do określenia nieomylnego tej prawdy przez Ojców świętych, papieży i teologów katolickich powszechnie przyjętej.

Ktoby na podstawie uprzedzenia, powziętego z metodycznych braków 9-tomowych „Praellectiones dogmaticae" chciał nad niniejszem dziełkiem przejść do porządku dziennego, toby się oszukał. „Die Selige Jungfrau" jest monografią teologiczną, jakich niewiele. Gdyby nie styl i forma nieco przyciężka i monotonna toby to ostatnie dziełko zaliczyć można do rzędu klasycznych rozpraw teologicznych, utrzymanych na wyżynie ściśle naukowej, choć bez balastu i przeładowania.

Ks. Władysław Lohn.

Dr. fil. Ks. Józef Umiński: Niebezpieczeństwo tatarskie w połowie XIII w. i papież Innocenty IV. Lwów, nakładem Towarzystwa „Biblioteka religijna" 1922 r.

Jedną z najwybitniejszych i najbardziej w dziejach polityczno-historycznych trzynastego stulecia znanych postaci, jest genueńczyk Sinibaldo Fieschi, który w dniu 25-go czerwca 1243 r. zasiadł na Stolicy Piotrowej, pod imieniem Innocentego IV-go. Potomek starego genueńskiego rodu hrabiów de Lavagna, mąż w średnich latach życia, bystrego umysłu, pełen energii i zapału, posiadający obok nabytej w Bolonii wiedzy prawniczej, także i długoletnie wykształcenie w sprawach dyplomatycznych kurji rzymskiej, dzierżył przez lat jedenaście († 7 XII 1254) ster nawy Kościoła ręką śmiałą i pewną. Pontyfikat Innocentego IV-go upamiętnił się, jak wiadomo, poskromieniem uzurpatorskich roszczeń cesarza Fryderyka II-go Hohenstaufa, a tej to okoliczności przypisać należy, iż literatura tycząca się rzeczonego papieża, lubo dosyć rozrosła i obfita, jest nazbyt jednostronna. Daje nam bowiem ona przeważnie tylko obraz walki jego z cesarstwem, jakoteż i politycznych stosunków jego z Sycylią, Francją, Anglią i Niemcami, a pomija prawie w zupełności działalność jego jako Namiestnika Chrystusowego, obejmującego ojcowską pieczę swoją wszystkie narody i kontynenty znanego podówczas świata, i śpieszącego z radą, obroną i pomocą wszędzie, gdzie dobru chrześcijaństwa mniejsze lub większe zagrożąło niebezpieczeństwo.

Przedmiotem i celem pięknej pracy ks. Umińskiego jest uchylenie niedostatecznej znajomości szczegółów biograficznych papieża Innocentego IV-go w tym właśnie kierunku. Wskazuje w niej autor (zwłaszcza na str. 148-mej) na zasługi jego, zarówno jako czujnego i baczego stróża zasad wiary, moralności i miłości bliźniego, jak niemniej jako gorliwego i roztropnego pracownika w pozyskiwaniu dla owczarni Chrystusowej, pogańskiego w części, a w części schizmatyckiego Wschodu Europy. Głównym zamiarem autora jest wszakże przedstawienie działalności papieża Innocentego w sprawie zapobieżenia niebezpieczeństwu, wiszącemu nad Kościołem, jako zapowiadana z różnych stron, ponowna wyprawa potężnego a okrutnego szczepu mongolskiego na (przerwane w 1241 r. skutkiem śmierci Wielkiego Chana Ogdaja) dalsze podbicie i ujarzmienie europejskich krajów i ludów. Próbował wprowadzić papież ów najpierw zorganizować powszechną akcję obronną przeciwko spodziewanym najeźdźcom; gdy wszakże podjęte w tej mierze na soborze lyońskim w 1244 r. usiłowania jego nie odniosły pożądanego skutku, wyprawił on już w roku następnym kilka równoczesnych, lecz różnemi drogami idących poselstw do Mongolji, w swoim jedynie imieniu, polecając im, obok wezwania W. Chana i jego podwładnych do przyjęcia wiary katolickiej, oraz do zaprzestania rozlewu krwi niewinnej, przede wszystkim dokładne zorientowanie się w rozmiarach zagrażającego Europie niebezpieczeństwa. Poselstwa te sprawowali misjonarze z zakonów św. Franciszka i Dominika. Najlepiej wywiązał się z danego zlecenia dyplomatycznie uzdolniony franciszkanin włoski, brat Jan z Piano del Carpine, któremu (między innymi) towarzyszył w dalekiej tej wyprawie rodak nasz, brat Benedykt Polak. Wyruszywszy na wiosnę 1245 r. z Lyonu, obrał Jan drogę na Czechy, Polskę, Ruś, Wołyń, Kijowszczyznę, Komanie i t. d. w głąb Azji i zdołał, mimo rozlicznych trudów i niebezpieczeństw swej długiej podróży dotrzeć aż przed oblicze samego (nowoobranego) W. Chana Kujuka, wręczyć mu list papieża, oraz odpowiedź nań otrzymać. Po powrocie swym w jesieni 1247 r. do Lyonu, zdał on papieżowi jak najdokładniejszą relację o tem co widział i słyszał w swej ekspedycji misyjnej, a prócz tego pozostawił on potomnym dwa jej opisy, większy i mniejszy. Najważniejsze wszakże pod względem kulturalnym i historycznym znaczenie posiada dotychczas jeszcze, inny traktat brata Jana, zatytułowany *Historia Mongolorum*, którego treść ks. Umiński w pracy swojej podaje i obszernie omawia.

Poselstwem brata Jana z Piano del Carpine zajmowano się zagranicą już niejednokrotnie; niektórzy uczeni nasi dotykali przedmiotu tego również, ale zawsze tylko przygodnie i niewyczerpująco. Stąd też ograniczały się wiadomości ogółu czytelników polskich o nim, dotychczas nieomal tylko do tego, co (czerpiąc z jednego z dawniejszych wydań opowiadania rzeczzonego misjonarza) wplotła była Dèotyma w fantastyczną swą opowieść „Branki w jassyrze“. Uznanie zatem i wdzięczność należy się ks. Umińskiemu, za rzeczowe i naukowe opracowanie przedmiotu, który wiążąc się dosyć ściśle z dziejami narodu naszego w owej epoce, mimo to leżał poniekąd odłogiem w historycznej literaturze naszej. Szczegółowo

góły dotyczące się inicjatywy organizacji i przebiegu innych równoczesnych, a także i późniejszych jeszcze, poselstw papieża Innocentego IV-go do Mongolji, które autor w dalszym ciągu przytacza i omawia, również są wielce ciekawe i ważne, dają nam bowiem pogląd na niejedno ze znanych skądinąd ówczesnych wydarzeń historycznych z zupełnie nowego punktu widzenia.

Pracę ks. Umińskiego cechuje przede wszystkim wyborne przygotowanie metodyczne, ujawniające się w systematycznej i przejrzystej dyspozycji treści, oraz w umiejętnem i krytycznem korzystaniu ze źródeł nie tylko podstawowych, ale i pomocniczych, które autor ten (jak świadczy o tem poprzedzający pracę jego „Spis użytej literatury”), z rzadką w obecnych czasach skrupulatnością, celem racjonalnej oceny niektórych faktów, ich antecedyj lub konsekwencyj, w bardzo znacznej ilości przestudjował. Praca ta jest zatem w piśmiennictwie polskiem nabytkiem bardzo cennym i trwałą wartość posiadającym, tem więcej, że zarówno styl, jak język autora, czyni ją nader zajmującą i dla szerszych kół inteligentnych czytelników przystępną. Odniosą oni i tę jeszcze korzyść z jej czytania, że poznają z niej wysoce cywilizacyjną działalność Głowy Kościoła katolickiego w epoce, w której bądź to dynastyczne ambicje i dążenia suwerenów świeckich, bądź też innego rodzaju przyczyny na to się złożyły, iż fala zagłady wszelkiej kultury, idąca z dziką hordą mongolską od wschodu, nie byłaby prawdopodobnie żadnej zapory na swej drodze znalazła. Moralna to bowiem potęga władzy papieskiej Innocentego IV sprawiła cud odwrócenia niechybnej klęski, i podobnie jak w czasach Leona I i Attyli, uratowała Europę. Treść pracy ks. Umińskiego jest — rzecz można — poniekąd i aktualną wobec wezbranej na Wschodzie nowej fali, przeciwko której nawa Piotrowa w dzisiejszej dobie wiośluje, a którą jedynie autorytet władzy Namiestnika Chrystusowego łącznie z pełnym poświęcenia trudem misjonarzy uciszyć i zażegnać jest zdolny.

Z. B.

Antoni Danysz: *Studja z dziejów wychowania w Polsce*. Książnica Polska w Warszawie, 1921; 6^o, str. 380.

Dr. Kazimierz Konarski: *Dzieje szkolnictwa w b. Królestwie Kongresowem 1915—1918*. Tamże 1923, 6^o, str. 284.

Zainicjowana przez Ministerstwo W. R. i O. P. Komisja do badania dziejów wychowania i szkolnictwa w Polsce, wydała w pierwszej serji swych publikacji już kilka prac monograficznych, które obok dwóch pozostałych seryj, obejmujących Polską Bibliotekę Pedagogiczną i Inwentaryzację materiałów rękopiśmiennych, będzie prawdziwym skarbem dla historii naszego szkolnictwa, jako źródła i nić, wiążąca dwie karty dziejów niepodległej Polski.

W trzecim tomie *Prac Monograficznych* p. t.: „*Studja z dziejów wychowania w Polsce*“, podaje A. Danysz kilka rozpraw i obrazów z różnych czasów. Mamy więc opis „podróży naukowej J. Rybińskiego w latach 1616—1623” i bardzo interesujące sprawozdanie „o młodych Tuczynskich w kolegium jezuickiem w Ingolsztadzie w l. 1654—1659“, oba

oparte na rękopisach, zachowanych w Poznaniu; dalej dzieje konwiktów szlacheckich przy szkole pijarskiej w Rydzynie, założonej w r. 1774, a zniesionej przez rząd pruski w r. 1820. Osobny ustęp ilustruje „jezuicki kanon lektury starożytnych autorów i przykład jego stosowania w szkole polskiej”. Kilka wreszcie rozdziałów poświęconych jest historii pedagogii. Objasnia więc autor „traktat humanistyczno-pedagogiczny o wychowaniu królewicza, z r. 1502”, jedną z pierwszych rozpraw pedagogicznych w Polsce, mylnie przypisywaną królowej Elżbiecie, a napisaną prawdopodobnie przez nieznanego bliżej humanistę włoskiego. Zapoznajemy się również z Szymonem z Pilzna (Maricius), właściwie pisarzem politycznym z XVI w., który pisząc o reformie uniwersytetów poruszył jednak różne kwestje wychowawcze, chociaż pedagogiem ani teoretycznym ani praktycznym nie był. Szczegółowo i krytycznie przechodzi autor bardzo ciekawe dzieło Erazma Glicznera, autora pierwszej właściwej pedagogiki polskiej z roku 1558. „Instrukcje wychowawcze Jakóba Sobieskiego”, napisane dla synów i wyczerpujące prawie wszystkie strony wychowania, stanowią także interesujący przyczynek do poznania owych czasów. Wreszcie w obszernym rozdziale „Jan Amos Komeński w Polsce”, stara się autor zbadać stosunek jego do Polski, w której znalazł gościnne przyjęcie po prześladowaniach religijnych w Czechach; rezultat tej analizy brzmi dodatnio, Komeński cenił nową ojczyznę i może ze względu na nią starał się unikać wycieczek religijnych, co sprawiło, że z pism jego korzystali także katolicy.

W opracowaniu wszystkich tych rozdziałów spotykamy się z wielką erudycją autora, który usiłuje każdy niemal szczegół objaśnić rzeczowo i historycznie, oraz z widocznym staraniem się o przedmiotowość, która przy kwestjach tak drażliwych, jak niektóre z powyższych, była rzeczywiście wystawiona na niemałą próbę. Dar zaś jasnego przedstawienia uławia i uprzyjemnia lekturę, która w innych warunkach mogłaby rzeczywiście być uciążliwą i nużącą.

Piąty tom p. t. „Dzieje szkolnictwa w b. Królestwie Kongresowem” nawiązuje do czasów obecnych. Dr. Kaz. Konarski zadał sobie ogromną pracę przeglądnięcia mnóstwa materiałów, w celu zestawienia na ich podstawie pewnego jednolitego poglądu na dzieje szkolnictwa w byłej Kongresówce w latach 1915—1918. Była to rzecz niełatwa. Burzliwy okres tych paru lat, w którym szkoły polskie musiały z pod jarzma carów przejść naprzód okupację niemiecką, nim doczekały się własnego rządu — odbił się zarówno na stanie szkolnictwa, jak i dokumentów do niego się odnoszących. Były one z natury rzeczy różnorodne, w wielkiej części dorywcze i niesystematyczne. Mimo to udało się autorowi odtworzyć z ich pomocą i dzięki czynnemu poparciu organów Ministerstwa, pewien całokształt, który w trzech częściach daje wcale dokładny i przejrzysty obraz tej epoki przejściowej.

Autor rozpoczyna przedstawieniem ówczesnych stosunków politycznych w b. Królestwie; okupacja niemiecka od r. 1915, specjalne rokovania niemiecko-polskie w r. 1917, które miały zapewnić ochronę szkolnictwa niemieckiego, oraz prace przygotowawcze do przejścia szkolnictwa

przez władze polskie; należało do nich zwłaszcza zredagowanie t. zw. „Przepisów tymczasowych“ w sprawie szkół elementarnych, sankcjonowanych 10 sierpnia 1917 r. przez Tymczasową Radę Stanu i przygotowanie administracyjnego aparatu szkolnego (str. 9—56). Jaki był stan szkół, które władze polskie przejęły w tym okresie, objaśnia autor w drugiej części (str. 57—151), w której przechodzi kolejno szkolnictwo elementarne, średnie, zawodowe, wyższe i seminarja nauczycielskie, ilustrując niektóre zwłaszcza działy bogatym materiałem statystycznym. Uzupełnienie tej części stanowi ostatnia (str. 152—254), która podaje stan tychże instytucyj w pierwszym roku urzędowania polskich władz szkolnych. Dodatek zawiera pogląd na organizację Ministerstwa Oświaty w tym czasie, osoby w niem zajęte i budżet, oraz niektóre dodatkowe tablice statystyczne.

Była Kongresówka doczekała się więc w krótkim czasie poważnej pracy o dziejach swego szkolnictwa do r. 1918. Książka dra Konarskiego jest — jak sądzić możemy z przedmowy — opracowana tak źródłowo, że pozostanie zapewne podstawowym dziełem, bez którego żaden z następnych historyków nie zdoła się obejść.

St. Podoleński.

Dr. Z. Łempicki: *Renesans — Oświecenie — Romantyzm.*
Książnica Polska T. N. S. W. Warszawa — Lwów 1923, 8^o str. 234.

Trzy największe prądy kulturalne czasów nowożytnych: renesans, oświecenie i romantyzm posiadają ogromną wprost literaturę. Dzisiaj nawet zawodowemu historykowi, który poświęcił swój czas i trud tym okresom dziejów ludzkiej myśli, nie łatwo objąć i opanować to wszystko, co godnego uwagi o omawianych prądach napisano. Cóż dopiero ma zrobić niefachowiec, pragnący przecież mieć możliwie najjaśniejsze i najobiektywniejsze pojęcia o tak ważnych zagadnieniach kulturalno-historycznych? Nie będzie mógł przeczytać ani części najważniejszych prac, więc, jak zwykle bywa, ograniczy się — odpowiednio może do swoich upodobań, a czasem przesadów — do niektórych tylko, rezygnując tem samem świadomie czy nieświadomie z obiektywności i wszechstronności sądu. Jeżeli jest nauczycielem czy popularyzatorem nauki, to będzie swoje jednostronne przekonania szerzył wśród uczącej się młodzieży i szerszych warstw. Stąd to pochodzi, że po podręcznikach, pod wieloma względami może nawet doskonałych, i popularnych wydawnictwach tyle jeszcze bardzo wątpliwych, często całkiem przestarzałych „syntez“, sądów, charakterystyk. Dlatego z uznaniem trzeba przyjąć książkę prof. Łempickiego ponieważ może ona w niejednej kwestji sprostować mylnie dotąd pojęcia. Dał w niej autor rezultaty własnych, mozołnych studiów, uwzględniając skrzętnie nie tylko starszą literaturę, odnoszącą się do tych trzech prądów, ale także najnowsze, z okresu wojny światowej, a więc też, do której w Polsce tylko wybrańcy losu znaleźli dostęp. — Właściwe wywody poprzedza autor wstępnym rozdziałem, poświęconym problemowi tworzenia pojęć ogólnych w historii. Poglądy jego, oparte przedewszystkiem na pracach Dilthey'a, współczesnego historyka niemieckiego, dalekie są od bankrutującego dziś coraz bardziej subiektywizmu. Autor stoi na stanowisku historycznego realizmu,

czyli innemi słowy przyjmuje możność odtworzenia rzeczywistości historycznej, a ideom ogólnym przyznaje obiektywną wartość. W dziejach ludzkich widzi ciągłą ewolucję a jest przeciwnikiem teorii katastrof i skoków. Najbardziej instryktywną i wartościową jest pierwsza część prac, poświęcona renesansowi. Znać wyraźnie, że autor tę epokę najlepiej opanował. Zadanie to ułatwił mu ogólny stan badań nad Odrodzeniem; jeśli one jeszcze nie osiągnęły, to w każdym razie bardzo zbliżyły się do tego, co nazywamy syntezą. Przeminał już zarówno okres entuzjazmu (renesansyzmu), jak i niechęci i uprzedzeń do renesansu, więc jesteśmy już blisko obiektywnej prawdy historycznej. Wogóle w pracy swojej autor jest dość powściągliwym w wypowiedzaniu własnych poglądów, częściej referuje rozwój poglądów innych badaczy na daną kwestję. Najjaśniej i najwyraźniej przedstawia nam swoje zdanie przy renesansie, w ostatnim rozdziale: problem syntezy renesansu. Wywody autora są wogóle bardzo trafne, ich resumé można bezpiecznie uważać za definicję odrodzenia o ile może być o definicji mowa przy tak skomplikowanych zagadnieniach. Mielibyśmy jedno tylko poważniejsze zastrzeżenie. Autor za Thodem i Neumannem widzi początki renesansu nie tylko w imprezie Giordana Bruno (na co zgoda) nie tylko w niektórych mniej lub więcej nieprawowitych kierunkach mistycznych średniowiecza (na co ostatecznie także można się z zastrzeżeniami zgodzić) ale nawet u św. Franciszka i we wieku któremu dał początek. Wprawdzie rozbudzenie religijności przez tego wielkiego Świętego i jego uczniów wpłynęło bardzo dodatnio na Giotto i Dantego, a tem samem przygotowało późniejszy wspaniały rozwój sztuki włoskiej, ale czyż to wystarczy aby w pokornym, ubogim Biedaczku z Asyżu widzieć prototyp ludzi Odrodzenia, natur bujnych, namiętnych, nie uznających żadnych więzów, czczących nie Chrystusa, ale greckich mędrców, a rozkochanych w nagiem pięknie ludzkich ciał? Czyż można w jego pełnej ewangelicznej prostoty nauce widzieć źródło późniejszego indywidualizmu renesansowego, źródło przerafinowania, dążności emancypacyjnych z pod wpływu Kościoła i religii? Jeżeli się już mamy bawić w historii w cenzurowanego, to chyba żadną miarą nie zaliczymy św. Franciszka do ludzi Odrodzenia, ale będziemy w nim widzieć jeden z najpiękniejszych kwiatów średniowiecza. Autor uważa go za pioniera nowej religijności, która zadowolenia swych religijnych potrzeb szukała w bezpośrednim obcowaniu z Bogiem, a Boga odnajdywała w głębi przeżyć duszy własnej i w piękności przyrody, a nie w bezdusznych dogmatach i czczych formułkach. Szumnie to brzmi, ale za dowód na prawdziwość dość ryzykownego twierdzenia uważanem być nie może. Widać, że autor mimo dużego obiektywizmu, nie potrafił się wyzwolić z panteistyczno — modernistycznych poglądów na religię, i choć energicznie zwalcza legendę o barbarzyństwie wieków średnich, to jednak nie otrząsnął się jeszcze z niektórych przesądów. Jednym z nich, to właśnie pogląd na religijność ludzi średniowiecza, jako na bezduszną, skostniałą formalistykę. A tymczasem było wprost przeciwnie. Owszem, nawet najbardziej abstrakcyjni, pogrążeni w dialektyce i t. zw. formalizmie scholastycy w życiu swem religijnem byli wybitnymi indywidualistami i wznosili się często na najwyższe szczeble mistyki. Im dogmat, teologia, formuły itd. wcale nie przeszkadzały

w stosunku z Bogiem, ale były potężną pomocą, wiedzieli bowiem bardzo dobrze, że wtedy tylko można mówić o prawdziwej religijności, kiedy się ją oprze na podstawach rozumowych, kiedy ona jest „rationabile obsequium”, a nie buja po grząskich falach uczucia i innych irracjonalnych potrzeb czy tęsknot. Jeżeli zaś idzie o silny u św. Franciszka wzrost ku przyrodzie, to trzeba powiedzieć że Odrodzenie pod względem odczucia przyrody było raczej cofnięciem się, niż postępem. Wszak przyroda w sztuce renesansu gra rolę złotego tła z dawnych mozaik, jest podrzędnym akcesorjum, niczem więcej; ludzie nie odczuwają jej piękna, ani nie umieją na nią patrzeć. — A więc św. Franciszkowi trudno w genezie renesansu przypisać jakąś wybitniejszą rolę.

Dwie następne części pracy prof. Łempickiego, poświęcone oświeceniu i romantyzmowi, rzucają również dużo światła na te prądy kulturalne, referują bardzo obficie literaturę, ale nie dają jasnego pojęcia o istocie oświecenia i romantyzmu, nie dają całego, skończonego obrazu. Autor za wiele uwagi poświęca szczegółom, czasem się nawet powtarza, porzuca jedną kwestję, przechodzi do drugiej, aby kilka stron później znów do pierwszej wrócić. Usterki te nie podkopują jednak ogólnej wybitnej wartości pracy. Zdumiewa nas, ale zarazem i przytłacza ogromna znajomość literatury, odnoszącej się do poruszanych zagadnień. I tu właśnie leży przyczyna, jak sądzimy, pewnych braków pracy prof. Łempickiego. Ciężar literatury przyniósł i samego autora, jego indywidualność pisarską i sądy, a książkę zamienił w pstrokaty zbiór wielojęzycznych tekstów. Prof. Łempicki nigdy nie tłumaczy cytatów z dzieł pisanych obcemi językami, ale je przytacza w dosłownem brzmieniu. A więc mamy teksty łacińskie, greckie (tych najmniej) francuskie, włoskie, angielskie, pospajane kitem zdań polskich. Trochę za wiele wymaga autor od swoich czytelników, albo raczej za nadto zacieśnił koło tych, do których pragnie przemawiać. Stylistyka i metodyka pracy naukowej uważają umieszczanie setek wielojęzycznych, nie tłumaczonych cytatów w tekście książki za poważną wadę.

Ks. St. Bednarski.

Dr. Joseph Ries: *Kirche und Keuschheit*. Paderborn, Bonifacius-druckerei 1922. 8°, str. XVI+472. (VII tom zbior. wyd. „Katholische Lebenswerte“).

Autor miał prawdopodobnie zamiar przedłożyć wszystko, co wiąże się z cnotą czystości, wynika to bowiem z treści książki, która w trzech częściach przedstawia stosunek tej cnoty do moralności, Kościoła i społeczeństwa i wyczerpuje niemal wszystko, co w tej mierze można poruszyć. W tem, co autor mówi o pojęciu czystości, jej zastosowaniu i środkach zachowania, nie wychodzi nigdzie ponad przeciętną miarę tego, co już napisano, ale też nie na tem polega główna wartość jego pracy. Najcenniejszą jej częścią, której poświęcona została przeważna część książki, to wykazanie związku pomiędzy cnotą czystości a Kościołem i obszernie przedstawienie tej prawdy, że w dziejach Kościoła herezje szły zawsze równoległe z upadkiem moralności, i to na pierwszym miejscu u ich przywódców. Z różnych stron autor oświetla ten fakt i popiera rozlicznymi

świadczeniami z historii. Tym sposobem książka ta staje się miejscami prawdziwą apologią Kościoła i zakonów, a w dzisiejszych czasach odszczepieństwa daje, duchowieństwu zwłaszcza, niemałą pomoc przez należyte wyjaśnienie kwestji czystości i celibatu, oraz znaczenia ich w życiu Kościoła, a zarazem ułatwia odpowiedź bądź na racje odszczepieńców, bądź na zarzuty innych wrogów wiary.

Sf. Podoleński.

Handbuch für die religiös-sittliche Unterweisung der Jugendlichen, II Bd : Christliche Grundlehren. Herausg. v. Dr. Wilhelm Burger. Herder, Freiburg i. Br. 1922. In 8°. str. VIII + 152.

Cel powyższej książki, obejmującej same kwestje z dziedziny apologetyki, jest ściśle praktyczny. Ma to być podręcznik dla katechetów i kierowników stowarzyszeń młodzieży, który im podaje gotowy i systematycznie rozłożony materiał do wykładów lub odczytów na temat podstawowych prawd naszej wiary. W 25 ustępach, składających się na całość, przesuwają się kolejno naprzód zagadnienia, dotyczące Boga i dowodów na jego istnienie, duszy i religji; druga część mówi o objawieniu i osobie Chrystusa Pana; trzecia, najobszerniejsza, o Kościele, jego znakach i historii, o papieństwie, sektach i rzeczach ostatecznych. Obszerne ten materiał przedstawiony jest przejrzysto, dzięki podziałowi na ustępy oraz różnaitości druku i jest, w niektórych zwłaszcza punktach, bardzo dokładny; tak np. kwestja zmartwychwstania Zbawiciela, Kościoła i papieństwa, poparte są czasem stronami dowodów z Pisma św., obok historycznych i tradycji. Dobrym jest również rozdział o innych wyznaniach, który podaje historję, naukę i statystykę różnych sekt dzisiejszych, by potem przeciwstawić im odpowiednie cyfry, dotyczące Kościoła katolickiego. Wogóle jest to praca starannie przygotowana i zbiorowa — kikunastu autorów złożyło się na jej napisanie — a umiejętnie zużytkowana może dostarczyć uczącym religji sporo myśli i materiału do nauk dla młodzieży dorastającej.

Sf. Podoleński.

M. Marja Loyola: Tajemnica szczęścia. Przygotowanie do I-e. komunji św., przełożyła H. Morstinowa, 11 ilustracyj. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1922. 12° str. 450.

Matka M. Loyola należy do wybitniejszych autorek duchownych. Jej dziełka np. „Powitanie P. Jezusa w komunji św.” pokazują, że autorka umie bystro spojrzeć w serce ludzkie, pochwycić jego uczucia, biedy i potrzeby, a następnie prosto i serdecznie je wypowiedzieć.

Te zalety posiada i „Przygotowanie do I-ej komunji św”. W części I daje autorka krótkie pouczenie o wieczności, ze St. Testamentu wzięte, przedewszystkiem momenta odnoszące się do Eucharystji, dalej życie dziecięce i chłopięce P. Jezusa, z życia publicznego uwypuklone znowu momenta tyżące się Najśw. Sakramentu. Część II uczy dziecko spojrzeć w swoje serce, zobaczyć w niem to, co go dzieli od P. Jezusa, jak się na jego przyjęcie usposobić. Część III zawiera kilka czytań na czas

komunji św. — Opowiadania proste, jasne, urozmaicone przykładami z życia Świętych i osób historycznych, ozdobione pięknymi obrazkami. Tajemnica szczęścia nadaje się bardzo na podarki dla dzieci, (dla obecnej dziatwy przystępującej już w 2, albo w 3-ej klasie powszechnej do I komunji jest nieco za trudna). Dużą korzyść mogą z niej odnieść starsi, zwłaszcza przygotowujący dzieci do I komunji św. Tłumaczenie dobre — byłoby lepsze, gdyby język był jeszcze konkretniejszy, bardziej dostosowany do malutkich główek.

Ferdynand Hoesick: P a r y ż. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Książka, napisana lekkim i barwnym stylem, daje nam obrazy Paryża dzisiejszego, Paryża związanego z emigracją polską, Paryża w literaturze polskiej i wreszcie kreśli nam sylwety Polaków i znakomitych Francuzów. Ktokolwiek poznał stolicę świata, i jej kipiące życie dnia dzisiejszego, i zakątki, gdzie się ukryły wiecznie żywe dla serca polskiego pamiątki, ten po przeczytaniu tej książki powie: — Tak, to naprawdę jest Paryż! Szczególniej wartościową stronę książki stanowią zebrane przez Hoesicka nieznane szczegóły o Słowackim i innych postaciach emigracji. Zapominamy wśród dni triumfu i odrodzenia o tych, którzy umarli, nie wszedłszy do ziemi obiecaniej. Rwie się w młodszym pokoleniu nie „między dawnymi a nowymi laty”, a ci, którzy żyli pełnią życia narodowego, czyli raczej narodowej. Golgoty przed wojną nie mają często energii, żeby zwracać się znowu ku temu, co przypomina dni tak wielkiej boleści. Nie każdy ma męstwo św. Sebastjana, który, wyzdrowiawszy od strzał, poszedł pod pałki straży cesarskiej. Młodsze pokolenie nie ma tak ciężkich reminiscencji; czytając wieszczów i dawne dzieje, dowiaduje się o bólu cudzym, nie odświeża własnego. Dlatego dla niego powrót do czasów niewoli nie jest tak ciężki. Nie tradycji trzeba wpleść w nowe przedziwo. Wszystkie więc książki, będące tym łącznikiem między okresami życia narodu, są nadzwyczaj pożądane. Piękna, wytworna i prawdziwie literacka książka Hoesicka spełnia w zupełności to zadanie.

H. Z.

Teofil Woyszwillo: Z odległej parafji. Nakł. Drukarni Ludowej w Krakowie. 1923.

Książka, nie pozbawiona zalet belletrystycznych, pozbawiona jest absolutnie ducha prawdy. Jak obecność niektórych zacnych skądinąd ludzi w szeregach bezwyznaniowców i socjalistów nie dowodzi prawdy marksizmu i ateizmu, tak istnienie kapłanów niedoskonałych nie dowodzi błędności wiary. Wobec prostaczków i ludzi o myśleniu niewykształconem argumenty filozoficzne nie działają. Do nich najbardziej przemawiają argumenta *ad hominem* — ta ohydna metoda polemiki, która tak zanieczyszcza życie narodowe Polski. Chcąc oderwać od Kościoła — hajże na księży. Książd może być grzeszny i ułomny, ale bezgrzeszny i nieskazitelny jest Chrystus. Wierzący mają potrzebę widzieć kapłana wysokim i świętym — ale czasem trzeba się zastanowić nad tem, że księża wychodzą z pośród społeczeństwa, że im wyższy poziom samego społeczeństwa,

tem wyższy poziom jednostek i że na ogromną ilość kapłanów trudno aby wszyscy byli świętymi. Człowiek żyjący w duchu umie poprzez głowy jednostek widzieć wiekuiącą całość Kościoła, człowiek tkwiący w ziemi i jej sprawach rzuci się na rzeczy przemijające — wykroczenia członków Kościoła, taksy kościelne etc. — Wszakże to właśnie przejście się materialną stroną życia kościelnego cechowało Lutra, człowieka ciężkiego, praktycznego, mało połońskiego.

Książka Woyszwilly może być niebezpieczna dla ludzi i fermentującej młodzieży. A brać odpowiedzialność za okropne załamanie się i tragedję takiej nierozwiniętej duszy — czy nie strach? Można przytoczyć całe setki takich tragedj życiowych, kiedy gorszy cięciom, istotnie, podług słów Pisma św. lepiej było kamień uwiązać u szyi. Np. piętnastoletni chłopak dowiedział się od swego niewierzącego korepetytora szczegółów ujemnych o życiu prywatnem swego spowiednika, który miał na niego duży i zbawienny wpływ, jako że, pomijając pewną stronę jego życia, był wogóle bardzo wierzący, żarliwy i wybitny. To tak na chłopca podziałało że wiara jego na pewien czas runęła i myślał o samobójstwie. Pewien socjalista miał dla robotników wykład o tem, że niema Boga. Dwóch bardzo wierzących ludzi wyszło z odczytu i w pierwszej chwili obaj mieli jedną myśl: pójść i zabić tego, który zabił w duszach ich Boga. Tragedja załamującej się wiary jest tak wielka, że żadna inna na ziemi dorównać jej nie może. Zastanawiającym jest nienawistny szal ateistów: jeżeli dbają o szczęście człowieka, jak twierdzą, po co odbierają mu „złudzenie“? Złe niszczyicielstwo, nienawiść prawdy jest w nich silniejsza, niż rzekoma miłość człowieka.

Woyszwillo doskonale zna stosunki kościelne. Księżom ułomnym przeciwstawił zanego patryotę — ks. Ordyńskiego. Ale to sytuacji nie zmienia. Niestety, ludzie pojmują najlepiej prawdę uosobianą w człowieku. Chcąc zwalczać Kościół, najlepiej jest oczerniać kapłanów. Ale czy to jest praca pożyteczna? dla kogo? Bo wiecznej prawdy to nie dosięga.

Wygląda, jakby autor sam przeżył kiedyś podobne rozczarowania. Po co więc chce dać je innym? Niech przypomni, co czuł wtedy.

H. Z.

Ekonomista, rocznik 1923, tom 2, zawiera szereg cennych prac opartych na danych statystycznych. I tak profesor Miklaszewski porusza w „Studjum ekonomicznem Polski“ doniosłe zagadnienia celowej i prawidłowej organizacji wykształcenia ekonomicznego i wykazuje konieczność usamodzielnienia w Polsce tychże studjów. Artykuł red. Dziewielskiego o „Handlu zagranicznym Rzeczypospolitej Polskiej“ daje wyczerpujący i dokładny obraz naszego bilansu zagranicznego, wykazując stałą jego poprawę. J. Nowak w pracy swej o „Neo Saint-Simonistach we Francji“ zapoznaje nas z nowemi prądami nurtującymi obecnie wśród młodszej plejady działaczy społecznych we Francji. P. Artur Benni w „Szkicach ekonomicznych“ wypowiada wiele trafnych sądów o pieniądzu i porusza zagadnienie unormowania naszej gospodarki pieniężnej.

Kronika finansowa P. Piekarkiewicza, współdziałnie K. Sokołow-

skiego i kronika społeczna — Landaua zawierają wiele bogatego materiału statystycznego. Część informacyjna podaje sprawozdanie z szerokiej działalności Tow. Ekonomistów i Statystów Polskich z III Targu Poznańskiego i drugiego kongresu Międzynarodowej Izby Handlowej w Rzymie. Uzupełnieniem tomu jest obfity dział recenzyjny i liczne tablice o ruchu kursów walut, listów zastawnych i niektórych akcji, o cenach ziemio-
płodów oraz światowej konjunkturze gospodarczej.

La Revue de Pologne 1 Année Nr. 1. Avril — Juin; Paris; Librairie ancienne H. Champion; Varsovie; Gebethner et Wolff.

Z największą satysfakcją można przeglądać ten pierwszy numer czasopisma, które będzie rzeczywiście na wysokości zadania, mając na celu informację o stosunkach kulturalnych, literackich i historycznych Polski. Obfitość i różnorodność treści, wśród której można się spotkać z nazwiskami najwybitniejszych pisarzy polskich i francuskich, daje rękojmię, iż czasopismo to utrzyma się też i nadal rzeczywiście na tym poziomie na którym widzimy je w tym pierwszym numerze. Odczuwało się dotąd bardzo potrzebę takiego czasopisma. Luka ta obecnie jest zapełniona i to w sposób nadspodziewanie odpowiedni, gdyż wszystkie artykuły świadczą o gruntownej znajomości rzeczy. Doskonałe też pod względem formy, przedstawiają całość nadzwyczaj ponętną, bardzo korzystne dając świadectwo o znakomitem kierownictwie tego nowego pisma.

M. S.

Prócz tego nadesłano do Redakcji:

- Dossier americain de „l'orthodoxie panukrainienne”
18 documents inédits, traduits de l'ukrainien par Wołkoński et d'Herbigny S. J. Z cyklu „Orientalja Christiana” n. 4. Roma 1923.
- K. Sarolea: Listy o Polsce poprzedzone listem Kard. Merciera, tłumacz. Jadw. Sienkiewiczówna, Gebethner i Wolff. 8°, str. 180.
- Fr. Sędzicki: Godka o Januszu Skwierku nojsławniejszym grajku kaszubscim. Nakł. Wyd. Dzieł Pomorskich w Starogardzie 1923. 8°, str. 36.
- Jerzy Moszyński: Pod adresem przewiel. Ks. Józefa Kruszyńskiego, autora książki p. t.: „Rola światowa żydostwa”. Kraków 1923, 8, str. 48.
- Col. Marmion: Sponsa Verbi. La Vierge consacrée au Christ, conférences spirituelles. Abbaye de Maredsous 1923, 12°, str. 78.
- H. Romanowski: Filozofja cywilizacji, zeszyt I, 8°, str. 48.
- Sprawozdanie z działalności Pocztowej Kasy Oszczędności za rok 1922 Warszawa 1923. fol.

Z nakładu „Biblioteki Religijnej”, Lwów 1923:

Arcyb. J. Teodorowicz: Okruchy ewangeliczne, 12°, str. 357.

Ks. dr. Wacł. Kosiński: Technika głoszenia kazań, z ilustracjami Ign. Wróblewskiego, 8°, str. 222.

Ks. Wład. Żyła: Kościół i klasztor Dominikanów we Lwowie. 9 ilustracji. 8°, str. 76.

Z Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Efpe: W wirze ezoteryzmu, 8°, str. 81.

Dr. St. Tomkowicz: Style w architekturze kościelnej z 36 ilustr.. 12°, str. 166.

Wł. Sikorski: O polską politykę państwową, mowy i deklaracje z okresu pełnienia urzędu Prezesa Rady Ministrów Rzplitej Polskiej. 8°, str. 151.

Z Książnicy Polskiej Twa Nauczycieli Szkół Wyższych
Lwów, Warszawa:

Dr. Feliks Kierski: Podręczna encyklopedia pedagogiczna, t. I. 8°, str. 304.

XX. Szydelski i Thullie: Dzieje objawienia bożego w St. Testamentie, podręcznik dla I gimn. z 2 mapkami i 39 ilustracjami. 8°, str. 156.

L. Jaxa Bykowski: Przewodnik do ćwiczeń fizjologicznych w zakresie szkoły średniej. 8°, str. 56.

St. Kwiatkowski: La France et les Français, seconde partie. 8° str. 208.

Dr. Miecz. Orłowicz: Ilustrowany przewodnik po Mazurach pruskich i Warmji z 85 ilustracjami. 12°, str. 294.

— Przegląd humanistyczny, rok I, zesz. IV.

— Przegląd Wydawnictw Książnicy Polskiej, 1923 maj-czerwiec.

— Ustawa o kwalifikacjach zawodowych do nauczania w szkołach średnich.

Ks. Wł. Szczepański T. J.: Egea i Hatti, 5 tablic i atlas o 363 rycinach. 8°, str. 177 i 112.

Z Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu:

A. Kranz: Rachunki dla szkół powszechnych, cz. I, II, III, trzeci rok nauki. 12°, str. 142+116+115.

Tenże: Zbiór zadań rachunkowych dla szkół powszechnych, cz. I, II, III, 3-ci rok nauki. 12°, str. 102+34+74.

XX. Baranowski i Kowalski: Dzieje St. Zakonu, podręcznik na I gimn. 12°, str. 218.

Ks. W. Kalinowski: Krótka historia święta wraz z katechizmem, do użytku w II, III, IV kl. powsz. 12°, str. 154.

Tenże: Wykład wiary katolickiej, cz. I, podręcznik na I gimn. Wyd. zmienione. 12°, str. 260.

Stef. M. Posadzowa: Gry ruchowe dla małych dzieci. 12°, str. 59.

Ks. J. Boczar: Metodyka nauczania religii katolickiej dla użytku seminarjów nauczycielskich. Wyd. 2, 12°, str. 110.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Sprawa powrotu ks. Metropolity Szeptyckiego. — Reforma wyborcza włoska a włoskie stronnictwo ludowe.

Powrót Metropolity obrz. gr.-kat. na granice Polski i skierowanie wagonu, w którym jechał, do Poznania zamiast do Lwowa — wywołały, co łatwo zrozumieć, dużo wrzawy w prasie polskiej, i echa tego wypadku zapewne rozniosą się dalej po świecie. Nie ulega też wątpliwości, że sprawa ta na nowo zaogni stosunki wzajemne między dwoma narodami, zamieszkującymi b. Galicję wschodnią.

W sprawie tej wypowiedziały się już chyba wszystkie dzienniki polskie. Popularne „kurjerki“ nie pominęły oczywiście sposobności, pozwalającej im z poważnej i drażliwej sprawy uczynić temat do ulicznej hecy; dzienniki poważne poświęciły jej uwagę w artykułach obszernych, niektóre w naczelnym.

Podzieliły się, jak zwykle u nas bywa, na dwa obozy. Jeden usprawiedliwia postąpienie rządu warszawskiego względem Metropolity, już to wysuwając racje porządku publicznego, którego zakłócenia należało się obawiać w razie jego powrotu do swojej rezydencji, już to wypominając ks. Szeptyckiemu jego politykę, wrogą interesom narodowości polskiej i państwa polskiego, dodając wreszcie zarzut nielegalnego powrotu do Polski wobec znanej mu woli obecnego rządu.

Drugi obóz, nie uniewinniając wcale polityki Metropolity, która zresztą zbankrutowała, podkreśla, że mimo wszystko rząd nie posiadał prawnych podstaw do przeszkodzenia w ten sposób, jak to uczynił, powrotowi Metropolity do Lwowa. Ks. Metropolita Szeptycki bowiem, zaraz po uznaniu przez Radę Ambasadorów suwerenności Polski nad Galicją wschodnią, co nastąpiło dopiero 14 marca r. b., poczynił kroki

w poselstwie polskiem w Rzymie o pozwolenie mu na powrót do Polski. W sprawie tej prowadzone były rokowania między Wąykanem a rządem polskim i w rezultacie Metropolita dokument podróży do Polski z poselstwa polskiego otrzymał. Zanim zdążył skorzystać z danego mu pozwolenia — co opóźniało się z powodu prawie ustawicznej obłożnej choroby Metropolity — zmienił się w Warszawie rząd, a z nim i zapastrywania na warunki powrotu Metropolity do Lwowa; wszakże ks. Szeptycki, mimo oznajmionej mu woli nowego rządu, w ostatnim dniu ważności wystawionego mu dokumentu skorzystał z niego, i ten odłam prasy, który go broni, sądzi, że miał do tego prawo. Rząd zaś — według zdania tej części prasy — internując Metropolitę w Poznaniu, dopuścił się prostego gwałtu na osobie obywatela Rzeczypospolitej, a zarazem wysokiego dostojnika Kościoła. Jeżeli Metropolita w rzeczywistości dopuścił się zdrady stanu, co mu inny odłam prasy polskiej zarzuca, rząd mógł pociągnąć go do odpowiedzialności sądowej i tylko władze sądowe mogły pozbawić go osobistej wolności. Zresztą — dodają — jakiegokolwiek było stanowisko Metropolity wobec państwowości polskiej w Galicji wschodniej, nie można mu z formalnych względów czynić zarzutu zdrady stanu wobec tego, że do 14 marca mógł on opierać się na prawie międzynarodowem, które wtedy jeszcze suwerenności Polski nad Galicją wschodnią nie uznawało.

Z przeglądu tytułów dzienników, które odezwały się w obronie rządu lub przeciw niemu, — po jednej stronie *Gazeta Warszawska*, *Gazeta Poranna*, *Słowo Polskie*, po drugiej *Kurjer Polski*, *Nowa Reforma* i pisma lewicowe — widać, że mamy tu do czynienia z prasą dwóch obozów politycznych: obecnej większości rządowej i opozycji, a w tym razie łatwo o podejrzenie, że na takie czy inne stanowisko dziennika wobec kroku rządowego wpływają może nie same rzeczowe względy czy to bezpieczeństwa Rzeczypospolitej u jednych, czy też wolności obywatelskiej i dobra Kościoła u drugich. W takich razach nawet słuszne rozumowania i dowodzenia łatwo idą w usługę partyjnym interesom: jedni usiłują obronić za wszelką cenę zarządzenie „swojego” rządu, inni za wszelką cenę rząd ten skompromitować. Sprawa atoli Ks. Metropolity Szeptyckiego powinna być rozważona bez żadnych ubocznych i partyjnych względów, a przede wszystkim bez niepotrzebnego hałasu i namiętności: *sine ira et studio*. I my zabieramy w niej głos, nie żeby dolewać do ognia oliwy, nie żeby wydawać takie czy inne sądy o polityce Głowy ruskiej cerkwi, albo wstępować w wir walki za i przeciw rządowi, ale żeby uczynić zadość obowiązkowi referenta „spraw kościelnych”; sądzimy zaś,

że obowiązкови temu uczyniliśmy zadość, przytaczając sam fakt przykry i różne aż do sprzeczności o nim komentarze.

• Nasuwa się nam tylko jedna uwaga, która nie nastroczyła się jakoś uczestnikom dotychczasowych dyskusyj. Podają już wszyscy, jako rzecz pewną, że wyjazd księdza Metropolity z Rzymu do Polski nastąpił wskutek porozumienia się Stolicy Apostolskiej z rządem naszym. W chwili, kiedy w poselstwie rzymskiem wystawiono Metropolicie dokument podróży, musiano w kołach rządowych uważać za wystarczające te oznaki lojalności względem Polski, jakie on wówczas złożył. Otóż mimo zmiany rządu w Warszawie Polska w stosunkach na zewnątrz winna uznawać swoje poprzednie oświadczenia, jeżeli nie zajądą jakieś nowe rzeczowe powody do zmiany stanowiska w danej sprawie. Inaczej kompromituje się *prestige* państwa wobec zagranicy. Czy takie powody zaszły w naszym wypadku, dokładnie nie wiadomo; z dzienników i wywiadów raczej wynioskować można, że nowy rząd p. Witosa zażądał od Metropolity jakichś deklaracji co do jego stosunku do państwowości polskiej, jakich nie żądał rząd generała Sikorskiego. Jeżeli nawet słuszne powody zaszły, by takie nowe żądania postawić, to zdaje się poprawność dyplomatyczna nakazywała rządowi wejść w nowe porozumienie ze Stolicą Apostolską o unicestwienie rezultatu poprzednich stypulacji, albo o ich uzupełnienie. Otóż co do tego punktu, zdaje się, zaszło przykre przeoczenie. Według wywiadu, jakiego udzielił p. Minister Wyznań Religijnych dziennikarzom, wyjazd Metropolity z Wiednia nastąpił — o ile ministrowi wiadomo — także wbrew życzeniu Watykanu. Z tych słów — „o ile mi wiadomo” — wychyla się jakaś niepewność, a ta zdradza, że porozumienie rządu ze Stolicą Apostolską co do zatrzymania Metropolity zdaleka od jego diecezji nie nastąpiło.

Obecnie, kiedy dopuszczono się jakiegoś przeoczenia pod tym względem, dobro sprawy publicznej zarazem jak i powaga Kościoła katolickiego, którego Metropolita Szepczycki jest wybitnym przedstawicielem, domagają się, aby przykry incydent został załagodzony jaknajrychlej przez nieulegające wątpliwości porozumienie się rządu ze Stolicą Apostolską. Wszak nie leży w niczym interesie, a już najmniej w interesie rządu — z czego zresztą on sam dobrze zdaje sobie sprawę — by postępowanie z dygnitarzami Kościoła przypominało choćby zdaleka metody stosowane niegdyś przez rządy zaborcze wobec biskupów polskich. Na prasie zaś nie tylko obydwóch polskich obozów politycznych, ale obydwóch zainteresowanych narodowości ciąży obowiązek łagodzenia namiętności, by przykrą sprawę łatwiej było

zlikwidować ku możliwie największemu zadowoleniu całej ludności Małopolski ¹⁾).

21 lipca b. r. został przyjęty przez izbę włoską nowy projekt reformy wyborczej. Ważny on jest ze względu na konsekwencje, jakie pociągnie za sobą w nowym ugrupowaniu stronnictw politycznych włoskich, a zwłaszcza stronnictwa ludowego, uważanego za stronnictwo katolickie.

Przeprowadzenie reformy wyborczej jest nowym wielkim triumfem obecnego dyktatora Włoch, Mussoliniego. Jeszcze dość długo przed uchwyceniem władzy państwowej w swe ręce partja faszystowska wstawiła do swojego programu reformę parlamentu. Chodziło o uchylenie zasady ścisłej proporcjonalności, tej najnowszej zdobyczy współczesnego parlamentaryzmu.

Ścisła proporcjonalność, wprowadzająca do parlamentu z każdej partji ilość posłów, odpowiadającą ilości wyborczych głosów, jakie dana partja zdobyła, w zasadzie jest wyrazem sprawiedliwości wyborczej i zabezpiecza każdemu stronnictwu taki udział w ustawodawstwie i rządach, jaki ściśle odpowiada sile danego stronnictwa w kraju. Praktyka wszakże pokazała, — i to nie tylko we Włoszech, ale n. p. i u nas w Polsce, — że ta, w gruncie rzeczy słuszna, zasada okazać się może zabójczą dla normalnego biegu państwowego życia. Mianowicie tam, gdzie społeczeństwo pod względem politycznym jest zbyt rozbita, parlament zamienia się w arenę zwalczania się całego szeregu drobnych stronnictw. W tym zaś razie nie może być mowy ani o produktywności pracy, ani o ciągłości polityki, ani o stałości rządu, skoro wszystko zależy od kaprysu jakiegoś małego nawet stronnictwa, które wchodząc w sojusz to z jednemi to z drugimi stronnictwami, może tworzyć chwilowe i sztuczne większości parlamentarne o rozbieżnych tendencjach politycznych i społecznych. Uzyskać większość parlamentarną, na wewnątrz jednolitą i spoistą, a zarazem długotrwałą, niezmiernie trudno w tych warunkach. Głównie dzięki tej zasadzie, zresztą nie wszędzie jeszcze wprowadzonej, wzrasta w społeczeństwach rozczarowanie co do wartości parlamentaryzmu wogóle.

Wódz faszystów, siłą dokonawszy przewrotu rządowego i nakazawszy parlamentowi milczenie, postanowił przeprowadzić taką ustawę wyborczą, by parlament, według niej

¹⁾ W czasie drukowania tego artykułu jeden z dzienników pisał, że paszport na przyjazd do Polski wystawiał Metropolicie poseł polski przy Watykanie hr. Skrzyński już za obecnego rządu i po porozumieniu się z nim. Jeśli tak było w istocie, to tem dziwniejszemi muszą wydać się dalsze kroki rządu.

wybrany, zapewnił mu na długie czasy posiadanie władzy. Zasada reformy na tem polega, że stronnictwo, które podczas wyborów pozyska największą liczbę głosów, choćby zresztą — co przy rozbiciu kraju na wiele stronnictw łatwo zdarzyć się może — liczba ta była daleka od połowy wszystkich wyborców w kraju, zyskuje nie odpowiednią do ilości pozyskanych głosów ilość mandatów, ale ilość znacznie przechodzącą połowę wszystkich krzeseł poselskich, tak, że bez pomocy innych stronnictw utworzy stałą i decydującą większość. Inne stronnictwa, choćby liczbą pozyskanych głosów każde z osobna zbliżało się prawie do siły stronnictwa największego, muszą zadowolnić się proporcjonalnym podziałem między siebie pozostałych krzeseł i wszystkie razem tworzyć będą mniejszość w parlamencie, chociaż w kraju posiadałaby za sobą, razem wzięte, przyniatającą większość. Tworzy się w tym systemie tak zwane premjum większości dla najsilniejszego stronnictwa.

Zasadniczymi przeciwnikami tak podjętej reformy wyborczej okazali się w pierwszej linii socjaliści, którzy zwłaszcza po świeżem rozgromieniu przez faszyzm musieliby zadowolnić się w nowym parlamencie nieznaczną liczbą miejsc i tworzyć słabą chyba tylko opozycję. Wypowiedzieli się przeciwko reformie wyborczej także *popolari*, t. j. włoskie stronnictwo ludowe, z zasad i celów swoich katolickie, które właśnie zagrożonej zasadzie proporcjonalności zawdzięczało tę imponującą cyfrę swoich posłów, jaką uzyskało przy ostatnich dwóch wyborach, a w razie uchwalenia reformy wyborczej mogłoby spaść do roli stronnictwa drugiego, pozbawionego decydującego wpływu na bieg spraw publicznych. Zapraszając kilku przedstawicieli *del Partito Popolare* do swojego gabinetu, obiecał Mussolini, że zamierzonej przez faszyzm reformy wyborczej nie przeprowadzi bez uprzedniego uzgodnienia jej zasad z zasadami stronnictwa ludowego. Stypulując tę umowę, zdaje się obie strony nie wierzyły w jej szczerość, — tak sprzecznymi przecież były zasady wyznawane przez dwie potężne organizacje polityczne, faszystowską i ludowcową. Bądź co bądź pakt ten wiązał nieco Mussoliniego, i zapewne z uczuciem ulgi powitał on podanie się do dymisji ludowcowych ministrów po wiosennym kongresie w Turynie. Miał teraz ręce zupełnie rozwiązane i dlatego, pomimo głośnych protestów ze strony *Partito Popolare*, projekt reformy wniósł do Izby na Montecitorio.

Opozycja przeciwko reformie wyborczej, wychodząca z dwóch tak liczebnie silnych stronnictw, jak stronnictwo socjalistyczne i stronnictwo ludowe, mogła stać się groźną dla rządowego projektu, gdyby nie urok, jaki otacza osobę Mussoliniego, jako restauratora publicznego ładu w państwie

i gdyby właśnie w łonie stronnictwa ludowego nie rozpoczęły się tarcia, wywołane zresztą troską wielu jego członków o dobro Kościoła i religji, tarcia wszakże tak silne, że osłabiły spoistość i rozerwały jednolity front stronnictwa na zewnątrz. Wprawdzie stronnictwo ludowe nie cofało swoich rezolucyj turyńskich, w których kategorycznie wypowiedziało się za utrzymaniem ścisłej proporcjonalności, jednakże wielu z jego członków stawalo przed pytaniem: czy wolno stronnictwu katolickiemu, za jakie ma się *Partito Popolare Italiano*, zwalczać kategorycznie projekt Mussoliniego, tego Mussoliniego, który dokonał tylu szczęśliwych pociągnięć w polityce kościelnej i na którego kraj patrzy, jako na zbawcę narodu z anarchji? Zapytywano się, czy można dla takiej czy innej formy parlamentaryzmu — kwestji ze stanowiska katolickiego, obojętnej — narażać interesy katolicyzmu w walce z wszechpotężnym dyktatorem, mającym na swe zawołanie legjony „czarnych koszul“, gotowych drogą zamachu przeprowadzić to, czego by odmówił parlament? Zdaje się, że i w Watykanie nie chciano zbyt ostrej walki z Mussolinim, a zwłaszcza angażowania interesów Kościoła i religji przez utożsamianie ich niejako z interesami jednego stronnictwa politycznego. Znamiennym pod tym względem był cyrkularz poufny Kardynała Sekretarza Stanu z dn. 25 kwietnia 1923 do biskupów włoskich, w którym wszyscy, w jakikolwiek sposób reprezentują interesy religji, wezwani zostali, aby zachowali jaknajdalej idącą roztropność, unikając mieszania się do jakichkolwiek partyj politycznych lub faworyzowania jednych przed drugimi.

Okólnik ten godził przedewszystkiem w osobę wodza stronnictwa ludowego, ks. Sturzo, nieustępliwego przeciwnika zamierzonej reformy wyborczej. Już na wiosnę podsuwano mu z najwyższych sfer kościelnych myśl do rozważenia, czy nie byłby czas, aby się usunął od kierowania stronnictwem i tym sposobem oddalił od Kościoła wszelkie *odium* z powodu walki o reformę wyborczą. Don Sturzo oświadczył gotowość usunięcia się od życia politycznego, jeżeli taką będzie wyraźna wola Stolicy św.; Kardynał Sekretarz Stanu wszakże nie uznał wtedy, by chwila wyrażenia takiej kategorycznej woli już nastąpiła, i ks. Sturzo pozostał na swoim stanowisku Sekretarza *Partito Popolare*. Chwila ustąpienia z tego stanowiska przyszła dla niego zresztą niedługo potem, kiedy projekt reformy wyborczej wchodził już na plenum Izby. Niewiadomo, czy nowe jakie poufne wskazówki ze strony Watykanu, czy zachwianie się znacznej liczby posłów ludowcowych co do bezwzględego zwalczania reformy, czy wreszcie własne zrozumienie *odium*, jakie mogło spaść na Kościół w razie zwalczania reformy przez stronnictwo

pod jego wodzą, — niewiadomo co z tego trojga skłoniło Don Sturzę do ustąpienia, — dość, że w wigilię rozpoczęcia debat parlamentarnych nad reformą wyborczą, 10 lipca, złożył godność sekretarza stronnictwa i usunął się do klasztoru w Monte Cassino.

Podczas debat nad reformą wyborczą Mussolini wypowiedział jedną z najsilniejszych swoich mów politycznych. Energicznie odparł wszystkie zarzuty, wytaczane przez przeciwników reformy. Zaręczał, że nie chodzi mu wcale o znieszczenie wolności, lecz o zaprowadzenie ładu w państwie, do czego dotychczasowy system parlamentarny i oparte na nim rządy nie były zdolne. Przypomnił co jego rząd uczynił dla uporządkowania państwa, a w szczególności podkreślił zasługi swoje wobec klasy robotniczej i organizacji robotniczych, — a miał tu poważne w rękach atuty w rodzaju n. p. przeprowadzonego prostym dekretem prawa o 8-godzinnym dniu pracy i ratyfikacji uchwał Waszyngtońskich. Żądał od parlamentu przyjęcia projektu reformy, wiążąc z tem żądaniem kwestję zaufania do swego rządu i dając niedwuznacznie do poznania, że w razie odmówienia mu tego zaufania potrafi bez parlamentu przeprowadzić swoją wolę. Zresztą okazywał się ustepliwym co do szczegółów w arytmetyce obliczania t. zw. premium większości. Wobec tak postawionej kwestji parlament nie wiele miał do mówienia, — zresztą abdykował on przecież raz przed Mussolinim; uznając fakt pałdźiernikowej rewolucji i obdarzając Mussoliniego dyktatorską władzą. Zwłaszcza przedstawiciele dawnego liberalizmu nie czuli żadnej siły ani w sobie, ani w opinji kraju, by się przeciwstawić żądaniu Mussoliniego; ich rola w każdym razie zdaje się już być skończoną. Socjaliści postanowili zwalczać projekt rządowy. Co się tyczy *popolarów*, to ci na naradzie partyjnej, jednogłośnie postanowili wyrazić wotum zaufania dla rządu Mussoliniego, w stosunku wszakże do samego projektu reformy wyborczej, 41 głosami postanowili wstrzymać się zupełnie od głosowania, podczas gdy mniejszość (39 głosów) była za opozycją. Dzięki temu wstrzymaniu się od głosowania partji ludowej, z której zresztą kilku i to wybitnych posłów, jak b. minister Cavazzoni, Mattei Gentili, Vassalo i inni, w ostatniej chwili złamawszy solidarność partyjną, pozytywnie dali głosy za reformą wyborczą, rząd odniósł zwycięstwo większością 235 głosów przeciwko 139 głosom opozycji, — i tym sposobem reforma wyborcza została uchwalona.

Tarcia wśród posłów stronnictwa ludowego pociągnęły dalsze konsekwencje. Najpierw wytoczono sprawę posłom, którzy głosowali za reformą. Na zebraniu partyjnym w Rzymie, na które sprowadzono nawet Don Sturzę, wykluczono

ich ze stronnictwa. Powzięto i inne uchwały w celu zapobieżenia dalszym odstępstwom od jego zasad. Czy stronnictwo to wszakże zdoła ocalić swoją spoistość, a zwłaszcza czy znajdzie dostateczny oddźwięk w stojących za niem dotąd masach? We francuskim dwutygodniku *Correspondant* znajdujemy znakomity artykuł Dominika Russo, omawiający całą politykę Don Sturza. Artykuł wykazuje na czym polegała siła i w czym tkwiła słabość tej polityki. Don Sturzo potrafił utworzyć tak silne stronnictwo, kiedy rozwinął działalność na terenie społecznym w duchu chrześcijańskich zasad: masy wierzącego ludu, a nawet robotników rozumiały jego głos, kiedy organizacjom socjalistycznym i rewolucyjnym przeciwstawił chrześcijański ideał harmonii społecznej. Mniej wszakże mogło stronnictwo zdobyć zainteresowania w masach, kiedy całą energję przeniósł na teren parlamentarny i poczęło ją trwonić na drobiazgi „polityki realnej”, w rodzaju tworzenia i wywracania gabinetów, targów z innemi stronnictwami, itp. Dla mas potrzeba zawsze jakiegoś wielkiego hasła, a hasło takie łatwo zagłuszają drobiazgowy walki i spory na terenie parlamentarnym. I dlatego zachodzi niebezpieczeństwo, że masy te może już nie pójść za swoimi dotychczasowymi wodzami, zwłaszcza że faszyzm wywiesił nowe gromkie hasło, które wielu ciąga, hasło ratunku ojczyzny. W dodatku swoją polityką ekonomiczną, społeczną a poniekąd i kościelną, Mussolini wytrącił z rąk *popolarów* te atuty, jakie oni dotychczas niepodzielnie trzymali. Wobec tego zdaje się włoskie stronnictwo ludowe stoi wobec poważnego kryzysu, w którym może być poważnie zachwiane jego znaczenie jako wielkiego stronnictwa katolicko-ludowego.

Swoją drogą wielki znak zapytania stoi również nad zwycięstwem stronnictwem faszystów. Stronnictwo to, a zwłaszcza jego bojowe organizacje rozrosły się niepomiernie. Rozrost ten jest właśnie ich słabością. Do obozu faszystów napłynęły przeróżne elementy: obok dawnych zdemobilizowanych wojowników o rozszerzenie granic ojczyzny wchłonał on masy tych, co podczas wojny szerzyli defetyzm. Wogóle do organizacyj faszystowskich cisnął się każdy we Włoszech, kto wolał bić drugich, niż być bitym. Wątpliwa wszakże rzecz, aby włożenie „czarnej koszuli” sprowadzało jakąś magiczną zmianę w duszach tych neofitów. Słysząc o przystępowaniu do faszyzmu całych organizacyj socjalistycznych; zresztą z tego obozu, jak wiadomo, wyszedł sam Mussolini. Czy wobec takiej różnorodności żywiołów faszyzm zdoła zachować wewnętrzną jednolitość? Dodajmy, że obecnie, kiedy wódz faszyzmu usiłuje ująć awanturnicze bojówki w karby ścisłej dyscypliny i powściągnąć je od czynnych

wystąpień, bezcelowych zresztą wobec odniesionego nad przeciwnikami zwycięstwa, tworzy tym sposobem zastępy malkontentów wśród tych, co w faszyźmie szukali możliwości wyładowania swych bojowych zdolności, wskutek czego musi się rozluźnić owa wychwalana faszystowska karność. Widzimy to przedewszystkiem na powtarzających się wciąż napadach faszystowskich bojówek na organizacje społeczne katolickie. W lipcu tego roku, t. j. w okresie walki o reformę wyborczą dokonano szeregu napadów we Florencji, w Pizie i innych miastach na organizacje katolickie młodzieży, nie mające nic wspólnego z polityką, demolując lokale, bijąc członków tych organizacji; w Pizie znieważono nawet portrety Ojca św. i miejscowego kardynała-arcybiskupa. Co wobec tego sądzić o „katolickich” zasadach faszyzmu? Te i tym podobne popisy faszystowskich organizacji lokalnych rozmijają się oczywiście z intencjami centralnego sztabu, który pragnie zachować z Kościołem dobre stosunki, by móc łatwiej uczynić zeń narzędzie swej polityki; sam Mussolini zakwalifikował te nowe napady jako „idiote violenze”; za mało wszakże widzi się energii ze strony rządu w celu zapobieżenia podobnym ekscesom na przyszłość i ukarania winnych, tak że Stolica Apostolska kilkakrotnie musiała piętnować tego rodzaju postępowanie faszystów z organizacjami katolickimi i uskarżać się na bezczynność rządu.

Zważywszy ten nadmiar awanturniczych żywiołów w faszyźmie i metody, które dały mu wprowadzić zwycięstwo, ale teraz kompromitują go wobec lepiej myślących w kraju i wobec świata, zdaje się, że i faszyzm nie jest pewny bezwzględnej wygranej w razie rychłego rozpisania nowych wyborów. Może dlatego, obok innych powodów, Mussolini nie spieszy się z rozwiązaniem obecnego parlamentu. Doświadczwszy jego powolności wobec siebie, czy przypadkiem nie sądzi, że roztropniej jest przeprowadzać wszystkie zamierzone reformy przy jego pomocy, niż ryzykować nowe wybory, które może wprowadziłyby na Montecitorio jakąś nieznaną ukrytą narażenie, a mniej pokorną siłę?

Ks. Jan Urban.

Polonia na dalekim Wschodzie.

Wśród nadchodzącej z różnych stron poczty redakcyjnej uderza niewielka gazetka, opieczętowana chińskimi znaczkami, która zjawia się przeciętnie z półtoramiesięcznem opóźnieniem; ostatni np. numer, jak i dziś mamy w ręku, pochodzi z 15-go lipca. Jest to „Tygodnik Polski” wydawany już drugi rok w Charbinie, jedyne czasopismo polskie w Azji, organ tamtejszej Polonii, interesujący się żywo wszystkim, co tylko dzieje

się w ojczyźnie i co jej dotyczy i starający się nawiązać z nią stosunki¹⁾. Niczego innego nie możemy też pragnąć.

Z pośród kilkudziesięciu tysięcy naszych rodaków, zapędzonych na daleki Wschód, począwszy od powstania w 1863 r. aż do ostatniej wojny światowej, około 40.000 przebywa jeszcze dotąd w trzech prowincjach rosyjskich, w krajach: Zabajkalskim, Amurskim, i Ussuryjskim, oraz w prowincjach: Giryńskiej i Hejlunkiańskiej w Chinach. Oprócz dziesięciu może tysięcy, które zechcą powrócić do Polski lub wyemigrować gdzieindziej, reszta stanowi osiadłą miejscową ludność, która pozostając zdala od rodzinnego kraju, pragnie jednak utrzymać z nim najściślejszą łączność i pracować dla jego dobra, jako najbardziej na wschód wysunięta placówka polskości.

Toteż praca nad uświadomieniem narodowem swych ziomków, prowadzona jest tam energicznie, pomimo olbrzymich trudności, jakie nastrocza rozległość terytorjum i znaczne wydatki. Ludność polska, związana w t. zw. „Kolonje polskie“, rozrzucona jest po większych miastach (we Władywostoku, Chabarowsku, Błagowieszczeńsku, Charbinie, Czycie, Wierchnieudińsku), mniejszych (Nikolsk Ussuryjski, Nowo Kijewsk, Aleksiejewsk, St. Mandżurja, Nerczyńsk, Sretieńsk) i po osadach; istnieje nawet szereg wsi, zamieszkałych wyłącznie lub przeważnie przez ludność polską. Niestety na całym tym ogromnym obszarze istnieje tylko 12 szkół pospolicitych, o 2, 3 i 4 klasach, a i z tych nawet część funkcjonuje bardzo słabo dla braku nauczycieli, podręczników polskich i środków materialnych. Szkoła średnia jest jedna tylko, w Charbinie, pod nazwą „Polskie gimnazjum koedukacyjne im. H. Sienkiewicza“; osobna Rada Opiekuńcza zajmuje się jego potrzebami naukowemi i materialnemi. Na obecny rok szkolny otrzymało ono prawa szkół państwowych i posiada już siedm klas. Wśród uczniów panuje wielki zapał dla wszystkiego, co narodowe; świadczy o tem zainteresowanie się literaturą i teatrem, w którym między innemi odegrali w czerwcu b. r. „Grażynę“, przerobiwszy ją własnymi siłami na scenę.

Wogóle miasto Charbin (leżące w środku Mandżurji) wybija się na czoło całej Polonji. Pomaga mu w tem nie tylko liczna kolonja polska, ale i położenie geograficzne, czyniące je punktem skrzyżowania się wpływów rosyjskich, chińskich i japońskich w sposób sprzyjający rozwojowi kulturalnemu i ekonomicznemu. Stąd szereg różnych instytucyj, pełnych życia, posiadających własne Komitety. Przy kościele parafjalnym, którego proboszczem jest ks. Ostrowski, istnieje Rada Parafjalna i związek „Apostolstwa Modlitwy“, odprawiający regularnie swe nabożeństwa i zebrania. Tegoroczna procesja Bożego Ciała była osobliwością, ponieważ wzięli w niej udział nie tylko Polacy, ale także katolicycy cudzoziemcy i krajowcy. Poprzedzała ją muzyka europejska i chińska wojskowa, które przez cały czas grały pieśni religijne; przed baldachimem szło duchowieństwo polskie, chińskie i francuskie, a za nim biskup Gaspee z „Misij Zagranicznych“, który umyślnie przybył na tę uroczystość z Girynu. Wśród tłumu

¹⁾ Adres: Polish Journal „Tygodnik Polski“, 79, Grand Prospect, St. Harbin, China.

wiernych szli Polacy, Chińczycy, Francuzi, Włosi, Irlandczycy, Litwini, a nawet Rosjanie niekatolicy; żołnierze chińscy pilnowali porządku, który zresztą nie został nigdzie zakłócony.

Obok kościoła i szkoły zbudowały stowarzyszenia społeczne Charbinu własną trzypiętrową kamienicę, „Gospodę Polską“, w której mieszczą się różne organizacje i instytucje polskie, jak teatr, sokół, harcerstwo, biura organizacji społecznych, biblioteka parafjalna, a od niedawna konsulat polski. „Polski Związek Chrześ. Demokracji“, „Stowarzyszenie uchodźców polskich“, „Związek młodzieży polskiej“, wszystko to żyje życiem czynnem, jak świadczą łamy „Tygodnika“. Harcerstwo miejscowe, liczące obecnie 70 młodych członków, istnieje już piąty rok i rozwija się doskonale, dzięki pomocy „Rady Opiekuńczej Hufca“; w czerwcu b. r. wydało nawet osobną jednodniówkę „Czuwaj“.

Radość napełnia serca nasze, kiedy pomyślimy, że tam daleko tyśiące serc bije gorąco dla tej samej sprawy, która i nam jest najdroższa, że mimo trudności miejscowych warunków i komunikacji z ojczyzną, nie ustają w pracy i ciągle pytają, co by jeszcze mogły uczynić¹⁾. — Ale też z naszej strony należy im się wzajemność i to czynna. Organizacje krajowe powinny się starać o nawiązanie łączności z nimi, redakcje pism nie żałować paru numerów, a całe społeczeństwo winno okazać żywsze zainteresowanie się losem swych braci. Z przyjemnością należy stwierdzić, że w różnych pismach zjawiają się dziś notatki, zaczerpnięte z „Tygodnika“, byłoby wszakże do życzenia, aby ogół nasz zapoznano także z potrzebami wschodniej Polonji, które są niemałe. Tamtejsze szkoły polskie wymagają koniecznie naszej pomocy, egzystencja niektórych z nich, między niemi także jedyne go gimnazjum, jest dość poważnie zagrożona; potrzeba pod ręczników polskich i pieniędzy. Także opieka duchowna jest tam niedostateczna! Na całym tym Dalekim Wschodzie istnieje zaledwie sześć kościołów z sześciu czy siedmiu kapłanami, z których jeden, ks. proboszcz we Władywostoku, Śliwowski, niedawno został prekonizowany przez Stolicę Apostolską na pierwszego katolickiego biskupa tego kraju²⁾.

Wypadałoby, żeby akcję wspierania polszczyzny na Dalekim Wschodzie podjął przedewszystkiem Rząd polski. Nie tylko dlatego, że jego zadaniem jest bronić polskości, ale dlatego, że Polonja wschodnia może się stać niedługo ważną placówką dla naszych stosunków ze Wschodem. — Rozmieszczona w Syberji, której bogactwa naturalne zwracają na siebie uwagę różnych krajów Europy, Azji i Ameryki, stanowiłaby dla ekonomicznej ekspansji naszego kraju gotowy aparat, składający się z ludzi, którzy wyrośli w stosunkach miejscowych, znają doskonale język i wa-

¹⁾ Wystarczy wspomnieć, że na wiadomość o zakładaniu u nas Instytutu gazowego „Tygodnik charbiński“ ogłosił odezwę, nawołującą do zawiązania miejscowego Komitetu, któryby zbierał składki na ten cel.

²⁾ W Mandżurji istnieje biskupstwo misyjne, obsadzone przez kler francuski, lecz parafia Charbin nie podlega jurysdykcji misyjnego biskupa. Tem mniej wszystkie inne znajdujące się w obrębie komunistycznej republiki Dalekiego Wschodu. Dla nich właśnie utworzone zostało świeżo biskupstwo we Władywostoku.

runki tamtejsze, a więc przewyższają wszelkich przybyszów europejskich¹⁾.

Słusznie pisał dr. Józef Jakóbkiewicz („Wychodźca“ nr. 18): „Rola naszej emigracji w ekonomicznej eksploatacji Syberji, zależy przedewszystkiem od tego, w jakim stopniu zechcemy...” — Zechcemy, jeżeli nie zapomnimy o naszych rodakach i wesprzemy ich czynnie.

P.

O Drugim Zjeździe „Związku zakładów teologicznych w Polsce“.

Myśl o zjednoczeniu wszystkich uczelni teologicznych w jedną „organiczną całość“, rzucona w r. 1919, przybrała we Włocławku 1921 roku określone i konkretne kształty. Wzorując się na francuskim zrzeszeniu: „*Alliance des grands seminaires de France*“, delegaci seminarjów duchownych utworzyli osobny „Związek zakładów teologicznych w Polsce“. Celem tego związku jest wspólna praca nad podniesieniem i udoskonaleniem metod nauczania i wychowania młodzieży duchownej, oraz stałe dążenie do stworzenia pewnej jednolitości poglądów i praktyk w intelektualnem i duchowem kształceniu przyszłych kapłanów. Do urzeczywistnienia tego szczytnego zadania głównie mają się przyczynić walne zjazdy Związku, na których profesorzy, dzieląc się owocem swego doświadczenia, zapalają swych kolegów do ciągłego doskonalenia się w swym zawodzie.

Okazałe seminarjum lubelskie gościło tego roku od 2 do 5 lipca przeszło 50 uczestników drugiego zjazdu. Pytanie: jak wychować seminarzystów na ludzi „bożych“ i jak w nich wszczepić, zamiłowanie do ścisłych nauk teologicznych, było osią koło której obracały się wszystkie referaty.

Ks. Dr. St. Szurek, długoletni duchowny seminarjum lwowskiego i autor gruntownej monografji p. t. „Ojciec duchowny i jego praca w seminarjum kleryków“ (Lwów, 1923, Bibl. Religijna), skreślił barwnie wzór duchownego w dobrze urządzonem seminarjum. O. Jacek Woroniecki rektor uniwersytetu katolickiego w Lublinie, przedstawił, jak tenże duchowny przez teoretyczny zarys ascezy oraz zřejne osobiste kierownictwo winien rozbudzać w sercach seminarzystów zamiłowanie do ascezy, idącej w praktykę życia. Na najwyższe zaś szczyty i najdalsze horyzonty w wyrobieniu duchownem alumna wskazał w swej porywającej przemowie ks. poseł, prałat K. Łutosławski. Z seminarjum muszą dziś wychodzić zdefiniowani wodzowie zwartego szczepu „bojowców“ — katolików, którym „żyć jest Chrystus, a umierać zyskiem“.

Drugie zagadnienie: jak rozbudzić w wychowankach seminarjum zamiłowanie do nauk ścisłych, podjął ks. biskup Jałbrzykowski,

¹⁾ Nie wiadomo nam, czy Rząd polski uczynił cokolwiek w tym względzie w samej Syberji. Natomiast w kraju należy wspomnieć umieszczenie 290 dzieci, sprowadzonych ze Syberji, w zakładzie wychowawczym w Weyherowie na Pomorzu, gdzie otrzymują wszystko wraz z wykształceniem, dzięki pomocy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.

wytyskając trafnie niektóre przyczyny rozbratu z książką teologiczną, nieraz już na progu seminarjum. O. Jacek Woroniecki uzasadniał, że jednym z czynników podniesienia i pogłębienia znajomości dogmatyki, czy teologii moralnej wobec przerażającej nieznajomości łaciny, może i musi być treściwe, poprawne, staranne powtarzanie wykładu w języku ojczystym. Referat ks. prałata Krzeszkiewicza można uważać za syntetyczną i praktyczną odpowiedź na naczelne zagadnienie drugiego zjazdu. Jest nią in concreto organizacja t. zw. seminarium practicum, ten rodzaj nowicjatu dla życia kapłańskiego, istniejący w Gnieźnie i w niektórych diecezjach niemieckich. W nim młody kapłan utwierdza i umacnia swe wyrobienie duchowe a zarazem pogłębia wykształcenie teologiczne.

Trzy dni skwarne i mozolne minęły szybko, bo prócz rannych plenarnych zebrań pracowały popołudniu osobne sekcje: dogmatyczno-apologetyczna, moralno-prawnicza, patrologiczno-homiletyczna, itd. Nastroj był podniosły, wysoki. Ton dyskusji ożywiony, lecz normowany miłością i taktem. Czuło się w tej atmosferze dobrze, jak wśród grona życzliwych przyjaciół, których skojarzyła jedna wspólna myśl. Otucha i zapał potężniały, skoro się widziało, że do wzniesłego ideału przysparzania Kościołowi apostołów, nie idzie się luzem, w pojedynkę, lecz, że nad realizacją tego ideału mozoli się i pracuje rąk i serc tyle! Więc choćby tylko dla tego podniesienia ducha, dla wzajemnej wymiany myśli, dla bliższego zetknięcia się, zbliżenia i zaznajomienia z tak poważnem gronem warto było przyjechać na zjazd do Lublina!

Przyszłość atoli i egzystencja „Związku” zależy, jeśli się nie mylę, od jak najwyższej owocności, korzyści duchowo-umysłowej, jaką dawać będą walne zjazdy. Ta zaś ostatnia w zupełności zawiśła od aktualności programu, jaki Zarząd Związku corocznie obmyśli i opracuje. Jeśli treść referatów będzie, jak się to mówi: „na czasie”, jeśli będzie systematycznie scharmonizowana w jedną ideową całość, to ufam, że każdy chętnie pokwapi się na zjazd, choćby i na krańce kraju. Drugim czynnikiem, który utrwali i scementuje świeżą budowę Związku, są prace w sekcjach; tylko im potrzeba stanowczo więcej poświęcić czasu. Codziennie winno być jedno posiedzenie sekcji, a nie jedno na trzy dni. W sekcjach bowiem przede wszystkim stykają się ludzie, których jednocy już nie ogólna idea, lecz fach i w tym fachu jeden dział, jeden w nim, że tak powiem, kącik. Na sekcjach łatwiej się podzielić nowym dorobkiem, nowem spostrzeżeniem, łatwiej zasięgnąć rady, przedłożyć do dyskusji jakieś zagadnienie, które napewno bliżej obchodzi wszystkich zebranych.

Wobec tego, że od 18 lipca 1923 r. do 18 lipca 1924 r. obchodzi kościół św. 600 letnią rocznicę kanonizacji św. Tomasza z Akwinu, przyszły Zjazd w Łomży odbędzie się niezawodnie pod znakiem tejże uroczystości i prócz wielu ważnych kwestyj nie pominie milczeniem tej doniosłej sprawy, jaką jest praktyczne obznajamianie alumnów z dziełami Doktora Anielskiego i wpajania w ich serca głębokiego szacunku dla jego teologii. W programach seminaryjnych nieraz stosunkowo mało czasu przypada na dogmatykę szczegółową. Chcemy krótko, prędko, jak naj-

zwięźlej poznać całokształt naszej wiary, oswójmy się ze „Summą“ św. Tomasza, nauczmy się w niej sprawnie i łatwo orientować, jak u siebie w domu. Znanie jest wszystkim powiedzenie Jana XXII, który, umierając, twierdził, że przez studjowanie św. Tomasza człowiek więcej korzysta w jednym roku, niż wertując księgi innych autorów przez całe życie. Jeśli według wyraźnego polecenia Ojca św. Piusa XI w tym roku jubileuszowym każde seminarjum urządzi uroczystą akademię na cześć Doktora Anielskiego, to zjazd samej elity profesorskiej musi się zdobyć na coś więcej.

Ks. Wł. Lohn.



REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 4 września 1923 r.

Spis rzeczy tomu 159.

Artykuły.

	Str.
Ks. Jan Urban: Z domu zaczadzonych	5
Ks. Józef Archutowski: Proroctwo Izajasza o Emma- nuelu	25, 136
M. Paciorkiewicz: Dwór Ludwika XIV	38
Ks. F. Hortyński: Filozoficzna Jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych (ciąg dalszy)	56, 148
Biskup kamieniecki, Piotr Mańkowski: Spór o początki Zgromadzenia Sióstr Niepokalanek	97
Anna Zahorska: Epopeja w Polsce	120
Biskup Michał Godlewski: O mistycyzmie cesarza Aleksandra I (ciąg dalszy)	125, 204
Ks. Ał. Klawek: Studium św. Pawła	193
Ks. St. Podoleński: Losy prohibicji w Stanach Zjednocz.	215
Ks. T. Karyłowski: „Stabat Mater“	238
E. Jelonek: „Matki“ Ignacego Dąbrowskiego	255

Przegląd piśmiennictwa.

H. Dérennes: Les psaumes, traduits et commentés. (Ks. J. Ar- chutowski)	70
Ks. Dr Władysław Szczepański: Palestyna po wojnie świato- wej. (Ks. Józef Archutowski)	71
A. Boudou S. J.: Le Saint - Siege et la Russie. (J. M. G.)	73
Albert Bessières: Ames nouvelles. (J. R.)	77
Mgr. D'Hulst: Pages choisies. (J. R.)	78
Ks. Dr. Kazimierz Wais: Dziwy hipnotyzmu. (St. Podoleński)	78
Rudolf Borch: Bilderatlas zur Geschichte der Pädagogik. (St. Podoleński)	79
Dr. med. Stanisław Kopczyński: Szkice historyczno - wycho- wawcze. (St. Podoleński)	80
Don Bosco, nach Filippo Crispolti bearbeitet von Fr. Ritter von Lama. (P.)	81
„Młody Robotnik“, ilustrowany miesięcznik młodych Polaków. (St. Podoleński)	81
Herold H. Mac Gregor: Amerykanin o Polsce i Ameryce. (J. Andrasz)	82
Henryk Korab Kucharski: R. S. F. R. Wrażenia z podróży naokoło Rosji sowieckiej. (J. Andrasz)	82

L. Desnoyers: Histoire du peuple hébreu. (Ks. J. Archutowski)	166
Franz X. Kugler S. J.: Von Moses bis Paulus. (Ks. J. Archutowski)	168
Anonim t. zw. Gall „Kronika Polska“. Przetłóczył i opracował Roman Grodecki. (Ks. M. Skibniewski)	169
Ostatnie wydawnictwa „Książnicy Polskiej Towarzystwa Nauzczycieli Szkół Wyższych“. (S. B.)	171
Dr. Martin Grabmann: Die Idee des Lebens in der Theologie des hl. Thomas von Aquin. — Ks. Dr. M. Sieniatycki, Prof. Uniw. Jag.: Problem istnienia Boga. — Dr. Theodor R��ther: Die Lehre von der Erbs��nde bei Clemens von Alexandrien. — Christian Pesch S. J.: Die selige Jungfrau die Vermittlerin aller Gnaden. (Ks. W��lody��sław Lohn)	257
Dr. fil. ks. J��zef Umi��ski: Niebezpiecze��stwo tatarskie w polowie XIII w. i papie�� Innocenty IV. (Z. B.)	261
Antoni Danysz: Studja z dziej��w wychowania w Polsce. — Dr. Kazimierz Konarski: Dzieje szkolnictwa w b. Kr��lestwie kongresowem 1915 — 1918. (St. Podole��ski)	263
Dr. Z. ��empicki: Renesans — O��wiecenie — Romantyzm. (Ks. St. Bednarski T. J.)	265
Dr. Joseph Ries: Kirche und Keuschheit. (St. Podole��ski)	267
Handbuch f��r die religi��s-sittliche Unterweisung der Jugendlichen. II. Bd. Christliche Grundlehren. St. Podole��ski	168
M. Marja Loyola: Tajemnica szcz��scia	298
Ferdynand Hoesick: Pary��. (H. Z.)	269
Teofil Woyszwil��: Z odleg��ej parafji. (H. Z.)	269
Ekonomista, rocznik 1923, tom II	270
La Revue de Pologne, 1 Ann��e Nr. 1. Avril. (M. S.)	271
Nade��stane do Redakcji.	83, 175, 271

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i spo  ecznego.

Sprawy Ko  cio  a.

Lipiec: Allokucja Piusa XI i o��rdzie papieskie do kardyna��a Gasparri. — Anarchja w cerkwi na Ukrainie i niebezpiecze��stwo przeszczepienia jej w��r��d Unit��w. — Upadek patriarchy Tichona i lekcja st��d dla nas p��yn��ca. (Ks. Jan Urban T. J.)	85
Sierpie��: Meksyk: wydalenie Delegata Apostolskiego i prze��s��adowanie Ko��cio��a; po��o��zenie obecne i widoki na przysz��o��c��. (Ks. P.)	176
Wrzesie��: Sprawa powrotu metropolity Szeptyckiego. — Reforma wyborcza w��oska a w��oskie stronnictwo ludowe. (Ks. Jan Urban T. J.)	273
Konkurs na ��ywoty ��wi��tych polskich	96
Sprawozdanie z Kursu etnologiczno-religjoznawczego w M��dling, 17 — 21 lipca 1923 r. (Ks. M. Morawski)	180
Interesuj��ca ankiet��. (Ks. St. Bednarski T. J.)	187
Polonja na dalekim Wschodzie (P.)	281
O drugim zje��dzie Zwi��zku zak��ad��w teologicznych w Polsce (Ks. W��lody��s��w Lohn)	284